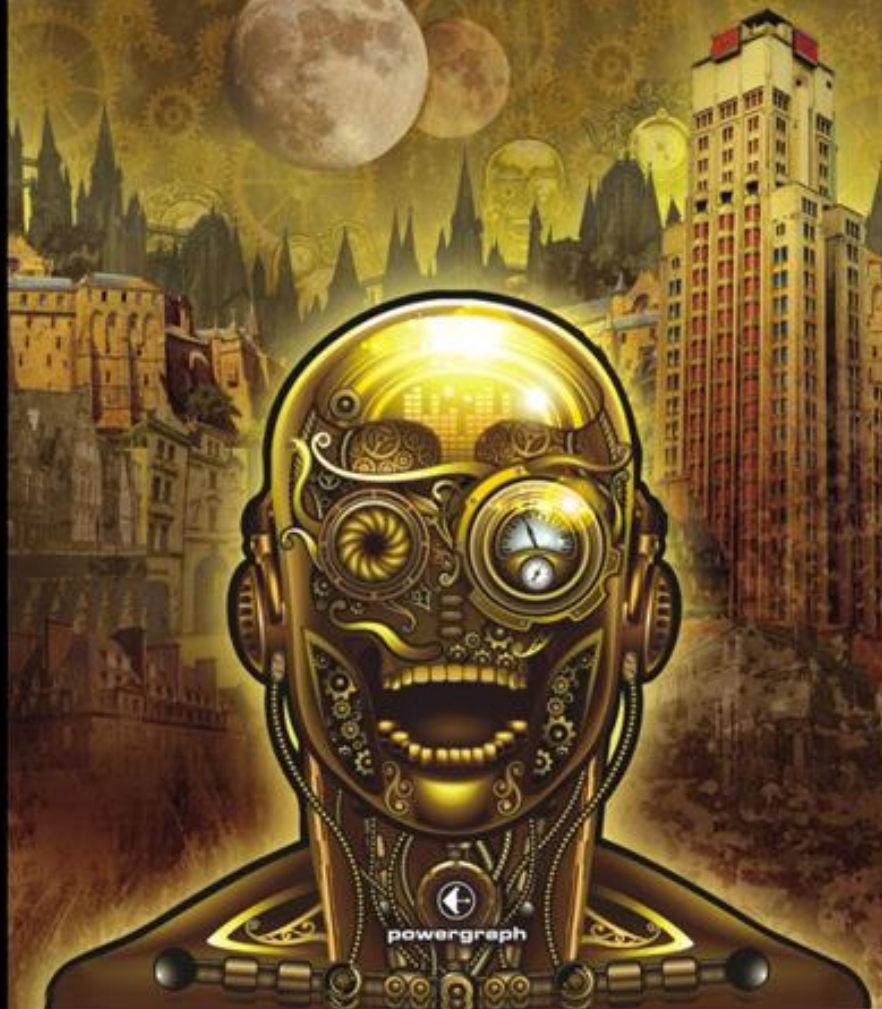


Anna
Kańtoch

Przedksiężycowi

I



Prolog

Jacques Diot chciał zabić Daniela Pantalekisa. Było to uczucie czyste, proste i stosowne do okoliczności. Francuz wierzył, że w ten sposób przysłuży się całemu społeczeństwu.

— Ty gnoju — powiedział cicho, zaciskając olbrzymie dłonie w pięści. Na kostkach palców poruszyły się czerwono-czarne tatuaże Kościoła Nowych Ziemi. — Ty porąbany skurwysynu.

Mniejszy, jasnowłosy mężczyzna pisnął coś niewyraźnie, a jego uderzająco brzydka twarz skurczyła się w wyrazie przerażenia. Cofnąłby się, gdyby mógł, ale za plecami miał konsolę nawigacyjną. Ekran wyświetlał koordynaty „Optymisty”.

— Co się stało? — Katerina niezgrabnie włożyła kurtkę pomarańczowego kombinezonu. Po hibernacji zawsze budziła się zmarznięta i zeszywniała; była pewna, że gdyby teraz spojrzała w lustro, zobaczyłaby skórę bladą i miękką jak niewypieczone ciasto. Na szczęście wtłoczone w jej żyły substancje pobudzające działały. Zaczynała być głodna, a to dobry znak.

— Jacques? Daniel? — rzuciła niecierpliwie.

— Co jest? — włączył się Ivain.

— Zmienił nam trasę — warknął Jacques. — I w rezultacie jesteśmy teraz na jakimś zadupiu, w odległości pół roku od domu.

— Myślałem, że w ten sposób ominiemy punkt celny! — Pantalekis z każdą chwilą robił się coraz bardziej błydy i wyglądał, jakby się kurczył. — Nie wiedziałem! Coś musiało się spieprzyć!

Jacques uderzył go w twarz. Daniel z jękiem zatoczył się do tyłu i wsparł o konsolę.

— Coś się spieprzyło? Ty wszystko spieprzyłeś.

— Tym razem przegiąłeś, Pantalekis. — Katerina włożyła rękę do kieszeni kurtki. Ładne, dziewczęce rysy zastygły w wyrazie obrzydzenia zmieszanego z pogardą. Nawet nie drgnęła, gdy Jacques uderzył drugi raz, ani później, kiedy Daniel upadł i wypłuł na podłogę krew.

— Przestańcie — wtrącił Ivain. — To nic nie da.

Lecz nawet on się nie ruszył, by powstrzymać Jacques'a.

Od przeszło roku tolerowali Daniela Pantalekisa, pomimo iż chudy i brzydki jak deszczowa noc potomek Greków miał niesamowitą zdolność pakowania się w kłopoty. Jednak miał też jeszcze więcej szczęścia, które pozwalało mu wychodzić z nich obronną ręką, zdolności

techniczne oraz talent do ciemnych interesów. Całe jego życie stanowiło pasmo spektakularnych wpadek i równie spektakularnych sukcesów. Właśnie Pantalekisowi zawdzięczali to, że poza legalnym ładunkiem „Optymista” wiozł również kilka starannie ukrytych skrzynek zakazanych antyagapików. Na Kerberosie będą je mogli sprzedać z kilkunastokrotnym przebicciem, jeżeli, oczywiście, do tego czasu rynek się nie zmieni.

Pół roku, pomyślała Katerina. Stracili pół roku, żeby dotrzeć na to zadupie, i stracą kolejne pół, żeby wrócić. Kurwa mać.

Daniel zaszlochał, wycierając rękawem smarki zmieszane z krwią.

Ivain podszedł do komputera.

— Jacques, przestań — powiedział i tym razem w jego głosie zabrzmiało coś, co sprawiło, że potężny Francuz posłuchał. — Patrzcie.

Na ekranie przesuwiał się zarejestrowany przez zewnętrzne kamery obraz powierzchni planety. Krążyła wokół starego słońca i wyglądała na martwą.

— Tam nic nie ma... — Jacques niepewnie podrapał kark.

— Spójrz uważniej.

Włączył opcję powiększenia, po czym wskazał lewy dolny róg ekranu.

— Tu. — Jego palec przesunął się w bok. — I tu. Przyjrzyjcie się.

Katerina wciągnęła powietrze przez zęby.

To, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak rozrzucone po górskich zboczach gigantyczne głazy, w rzeczywistości okazało się pozostałościami budynków. Teraz, gdy zdała sobie z tego sprawę, zaczęła dostrzegać coraz więcej szczegółów. Podświetlone blaskiem czerwonego słońca ruiny wyglądały, jakby płonął w nich ogień.

— To wymarłe miasto — szepnęła, ważąc na języku każde słowo. Bała się, że samo wypowiedzenie na głos myśli sprawi, iż wszystko okaże się złudzeniem. — Może któraś z naszych zaginionych kolonii, a może... może to miasto Obcych...

— Bzdura — burknął Jacques, ale bez specjalnego przekonania. Jego oczy błyszczały podnieceniem. Stojąca obok zarumieniona Katerina jeszcze nie chciała pozwolić sobie na radość.

Daniel stanął za ich plecami. Z rozbitej wargi wciąż ciekła krew, ale zdawał się tego nie zauważać.

Ivain roześmiał się niespodziewanie.

— Pantalekis, nad tobą musi czuwać jakiś cholernie pracowity bóg. Wiesz, z rodzaju

tych, którzy opiekują się idiotami i pijakami. Człowieku, ty masz więcej szczęścia niż rozumu. Nie, ty w ogóle nie masz rozumu, a za to masz kurewsko wielkie, kosmiczne szczęście.

— Zejdziemy tam, prawda? — zapytał z nadzieją Jacques.

— Skarby — szepnął Daniel niemal z nabożną czcią. — Niezależnie od tego, co to za miasto, tam mogą być skarby.

— Zawsze byłeś chciwy, Pantalekis — parsknęła Katerina.

— Mam na imię Daniel. — Brzydał poczerwieniał leciutko. — Ile razy prosiłem, żebyś nie zwracała się do mnie po nazwisku?

Mierzyli się wzrokiem i tak jak zawsze Daniel poczuł osobliwą mieszaninę nienawiści, zazdrości oraz pożądania, którą budziła w nim ta kobieta.

— Nie udawaj, że też o tym nie pomyślałaś — wymamrotał.

— Ja nie myślę o pieniądzach, tylko o przygodzie — wyszczerzyła zęby. — I o sławie odkrywców. To jak, bierzemy wahadłowiec i lądujemy?

— Nie mamy odpowiedniego sprzętu, tak naprawdę to jest zadanie dla archeologów — odezwał się trzeźwo Ivain. — Albo nawet ksenoarcheologów. Tam mogą być jakieś bezcenne artefakty, które zniszczymy, nie mówiąc już o tym, że komuś z nas może się coś stać.

— Daj spokój — Katerina parsknęła lekceważąco — przecież ja nie mówię o włożeniu w jakieś dziury. Po prostu wylądujemy i rozejrzemy się trochę, co w tym złego? Atmosfera — popukała we wskaźniki — nadaje się do oddychania, temperatura jest znośna. Brak śladów życia, więc nic nam nie grozi. Zresztą weźmiemy broń i pakiet medyczny. Chyba nie chcecie przepuścić takiej okazji?

— Nie, jasne, że nie. Ale ktoś musi zostać na statku.

— Zostawmy jego. — Jacques ruchem głowy wskazał Pantalekisa, po czym dodał złośliwie — zasłużył sobie.

Zanim Daniel zdążył zaprotestować, Ivain niespodziewanie przyszedł mu z pomocą.

— Jeśli zostawimy go samego, wysadzi w powietrze cały statek — burknął. — Nie, on idzie z nami, a zostać musi ktoś z naszej trójki.

Za plecami Ivaina Pantalekis pokazał Francuzowi wyprostowany palec.

Losowali zapalki, a raczej pełniące funkcje zapalek odcinki zapasowego kabla. Jacques wyciągnął najkrótszy. Skrzywił się, wyraźnie rozczarowany, ale nie zaprotestował.

Katerina odetchnęła z ulgą. Nie była pewna, czy na jego miejscu równie łatwo

pogodziłaby się z wyrokiem losu.

— Dostałbym klaustrofobii, gdybym tu mieszkał — powiedział Ivain, zdejmując hełm i zadzierając głowę.

Katerina i Daniel zgodzili się milcząco. Zrujnowane miasto piętrzyło się wokół nich niczym monstrualne klocki, rozrzucone od niechcienia na górskich zboczach. Schody, biegnące dziwaczными zakosami, to niknące, to znów pojawiające się w najbardziej niespodziewanych miejscach, tarasy, budynki, które zdawały się składać z dziesiątek mniejszych budowli, łączących się ze sobą i przechodzących jedno w drugie – wszystko to sprawiało wrażenie labiryntu. Słońce chlustało szkarłatem na czerń popękanych kamiennych ścian i szarość schodów pokrytych warstwą pyłu. Wszędzie ta szarość i czerń. Choć nie, nie wszędzie, zreflektował się Ivain. Część budynków przesłaniały konstrukcje z przerdzewiałego metalu. Rusztowania? Jakies osobliwe zdobienia? Mężczyzna nie potrafił zgadnąć. Czymkolwiek to było, teraz przypominało rudobrązową, bardzo starą i bardzo zniszczoną koronkę, tak lekką, że wydawało się, jakby od ścian mógł ją oderwać silniejszy podmuch wiatru.

Mężczyzna potrząsnął głową. Miasto było... dziwne, ale chyba nie aż tak, by uznać je za zbudowane przez obcą cywilizację. Z drugiej strony, nie bardzo też potrafił wyobrazić sobie mieszkających tu ludzi.

— Co teraz? — Przeczesał palcami włosy. W słońcu jego skóra wyglądała na oparzoną, jakby ktoś oblał go wrzątkiem.

Katerina powoli obróciła się wokół własnej osi, chłonąc piękno martwego świata i zarazem pozwalając, by zimny wiatr rozwiał jej włosy. Podmuchy niosły ze sobą drobinki ostrego pyłu i ledwo uchwytny zapach spalenizny. Podeszła do jednej z popękanych ścian i przesunęła po niej dłoń. Na skórze zostały czarne ślady.

— Tu był pożar — szepnęła, odrobinę speszona ciszą. — Może całe to miasto płonęło.

Poszukała wzrokiem budynku, do którego mogliby wejść. Nie musiała się długo rozglądać – jeden z czarnych gmachów, niezbyt wysoki, lecz za to bardzo rozległy, był znacznie lepiej zachowany niż pozostałe. Katerina podeszła bliżej. Mury potężne jak w romańskiej świątyni okazały się osmalone, ale nie popękane, płaski dach też sprawiał wrażenie

nienaruszonego.

— Pójdziemy tam — zdecydowała.

Ivain w pierwszej chwili chciał zaprotestować, uznał jednak, że budynek wygląda naprawdę solidnie, więc nic nikomu nie powinno się stać. Poza tym i tak nie zdołałby powstrzymać Kateriny.

Wkraczając w mrok, włączyli latarki. Smugi jaskrawego światła omiotły wnętrze, wyławiając z ciemności czarne kolumny. Każda z nich składała się z dziesiątek postaci naturalnej wielkości, nagie dziewczęta stały na ramionach nagich chłopców, inne pary obejmowały się jak w tańcu. Jedno na drugim, jedno obok drugiego. Ivain spojrział wyżej – tam tancerze rozpełzali się, podtrzymując wachlarzowe sklepienie, ich sylwetki stopniowo wtapiały się w strop jak w miękkie masło. Jeszcze gdzieś widać było kawałek pleców, pośladek, stopę, potem i to zniknęło.

Porównał wysokość sali z wysokością widzianego od zewnątrz budynku. Doszedł do wniosku, że nad nimi musi znajdować się jeszcze kilka pięter. Może nawet kilkanaście.

Ivain skierował strumień blasku w bok i odnotował obecność spiralnych schodów. Jednych, potem drugich. I kolejnych, ginących w półmroku.

Daniel wszedł w coś w rodzaju alejki, która biegła środkiem sali; tworzyły ją przerdzewiałe, czterołape i zwierzopodobne figury. Czas zatarł ich kształty, lecz i tak niektóre bardzo przypominały ziemskie ssaki. Tu szakal, tam chyba hiena, jeszcze dalej któryś z wielkich kotów.

— Myślicie, że to są bóstwa Obcych? — zapytał Pantalekis.

— Wątpię. — Ivain wyłowił z mroku następne schody, które wijąc się, wiodły na wyższe piętra. Pod nimi znajdował się mechanizm, oczywiście też przeżarty przez rdzę. — A jeśli tak, to ci Obcy niewiele się od nas różnili. Ona na przykład wcale mi na Obcego nie wygląda. — Oświetlił jedną z tańczących dziewcząt. — A ta sala pewnie jest... no nie wiem, muzeum albo czymś w tym rodzaju.

— Muzeum, dobre — zachichotał Daniel. Przesuwając palcem po jednej z figur, wzniesił chmurę żelazistego pyłu. — Rany, jakie to musi być stare. — Skrzywił się z niesmakiem. — Gdybym ją kopnął, pewnie całkiem by się rozpadła.

— A to co? — Katerina oświetliła okrągłą wnękę w ścianie.

Takich wnęk było więcej. Rozmieszczone równomiernie co kilkanaście kroków,

kojarzyły się Ivainowi z kapliczkami w kościele. Naturalną kolejną rzeczą sądził, że będą w nich stały posągi, lecz gdy wszedł do najbliższej, okazała się pusta. Starł ze ściany warstwę kurzu, odsłaniając rząd skomplikowanych symboli. A może po prostu liter?

— Za cholerę nie mam pojęcia, co to może być — powiedział.

Daniel nadal oglądał figury zwierząt, pełen nadziei, że któraś okaże się zrobiona z czegoś trwalszego niż metal albo przynajmniej będzie mniej zardzewiała. Katerina podeszła do schodów i ciekawie przyjrzała się mechanizmowi. Był wyższy i szerszy od niej, pełen jakichś skomplikowanych elementów, z których rozpoznawała tylko koła zębate.

— Ruchome schody? — zapytała niepewnie. — Myślicie, że to coś wprawiało w ruch schody?

Zadarła głowę. Nad nią, na wysokości niecałych trzech metrów, wisiała krata, niegdyś zapewne bogato zdobiona. Do czego służyła? Wisiała pionowo, na łańcuchach, więc pewnie w zależności od potrzeby można ją było podnieść bądź opuścić. Katerina uznała, że opuszczona krata oddzielała ludzi od napędu schodów, by nikt niepowołany nie pchał tam rąk, a podnoszono ją, gdy na przykład trzeba było coś naprawić.

Przesiane przez kratę światło latarki rzucało na ścianę wydłużone, drgające cienie, kurz wiercił w nosie i osadzał się w gardle drapiącą warstwą. Za plecami słyszała odgłosy kroków zwielokrotnione głuchym echem, a potem połknięte przez ciszę.

Katerina skierowała strumień blasku z powrotem na skomplikowany mechanizm i podeszła jeszcze bliżej. Miała niemal pewność, że poszczególne elementy napędu pełnią funkcję nie tylko użytkową, że każdy z nich stworzono tak, by był też piękny. Dzieło sztuki i mechanizm w jednym. O, na przykład to pordzewiałe kółko wyglądało, zupełnie jakby ktoś uformował je w kształt śmiejącego się słońca...

Wyciągnęła rękę.

Ivain był jedynym, który widział dokładnie, co się potem stało. Widział, ale ponieważ pozostało mu niecałe osiem minut życia, nie zdążył o tym nikomu opowiedzieć.

Po pierwsze, najbliższa drzwi figura obróciła się z przeraźliwym zgrzytem, zachwiała i runęła, pyskiem trącając kolejne zwierzę. I znów: lekkie poruszenie metalowego ciała, utrata równowagi, zardzewiała łapa uderza w kolejny zardzewiały grzbiet. Rząd przewracał się jak kostki domina, sypiąc wokół płatami rdzy, a najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że zwierzęta wcale nie stały aż tak blisko siebie, że każde przed upadkiem zdążyło jeszcze wykonać

ten jeden, ostatni ruch wystarczający, by trącić sąsiada.

Po drugie, gdzieś w połowie tego przedstawienia Daniel wyjął broń i obrócił się, tocząc wokół przerażonym spojrzeniem. Po trzecie, ostatniej w rzędzie figurze odpadła głowa; zwierzęcy łeb odłamał się jak sucha makówka i potoczył wprost pod nogi Pantalekisa. Mężczyzna wrzasnął, odskoczył, potknął się i przewrócił, a pistolet wypalił. W górę, ponad głowami ich wszystkich.

Krata zadygotała, jeden z podtrzymujących ją łańcuchów pękł. Katerina podniosła wzrok, a Ivain wrzasnął:

— Uciekaj!

W tej samej chwili drobinki rdzy wpadły jej do oczu i kobieta zasłoniła twarz, upuszczając jednocześnie latarkę.

— Uciekaj!

Krata zjeżdżała na jednym łańcuchu, przekrzywiona, w łomocie starego żelastwa. Łup, brzdęk, łup, brzdęk, w miarę jak pod wysokim sufitem rozwijały się kolejne zwoje.

Katerina ruszyła naprzód, oślepiąca, z zaciśniętymi powiekami i wyciągniętymi dłońmi. I uciekaby, miała na to wystarczająco dużo czasu, ale przecież była jeszcze latarka leżąca na posadzce. Kobieta potknęła się o nią i rozciągnęła jak długa. A krata opadła z hukiem, więżąc jej stopę. Jeden z metalowych bolców musiał ją zranić, bo wrzasnęła.

— Nie ruszaj się! — Ivain już do niej biegł. Nie miał czasu zastanowić się, jak przedziwnego zbiegu okoliczności właśnie był świadkiem. — Zaraz cię wyciągniemy. Daniel!

— Nic mi nie jest! — odkrzyknęła dziarsko. — Chociaż... cholera, trochę mnie boli.

— Spokojnie, pomożemy ci. Daniel, chodź tu z tą apteczką!

Pomogli Katerinie usiąść, a gdy posykurując z bólu, przekręciła stopę, bez trudu uwolniła się z pułapki.

Ivain podwinął nogawkę jej kombinezonu i oświetlił łydkę. Rana nie krwawiła mocno, ale skóra wokół niej miała brzydkie, sinozielone zabarwienie.

Przełknął ślinę.

— Co to było? — jęknęła Katerina. — I o co się... — urwała, widząc minę Ivaina. — I jak? Paskudnie to skaleczenie wygląda? Cholera, boli coraz bardziej... Chyba zaraz zemdleję.

— Daniel, podaj jej antybiotyki. Mogło dojść do zakażenia.

Pantalekis posłusznie sięgnął do apteczki. Ręce mu drżały i szczerze pragnął być teraz jak

najdalej stąd, najchętniej na statku, bezpieczny w swoim łóżku. Metaliczny łomot wciąż dzwonił mu w uszach; pod powiekami miał obraz zwierzęcego łba, który tak nagle potoczył się pod jego stopy, by spojrzeć zasnutymi rdzą ślepiami. Zbudził się w nim strach, nie o Katerinę, ale o siebie samego. Pantalekis wiedział, że to znowu będzie jego wina, ten przypadkowy strzał, krata, rana Kateriny... Zawsze jego wina.

— I coś na ból, proszę... — jej głos załamał się i zaszlochała. Ivain zeszywniał, czując, jak serce obciąża mu lęk. Nigdy wcześniej nie widział, żeby Katerina płakała.

Kilka sekund trwało, nim wziął się w garść.

— W porządku, środek przeciwbólowy też. Zabieramy cię na statek.

Podnieśli ją, biorąc pod ramiona. Zwisiała między nimi ciężko, płonąca od gorączki i na wpół przytomna. Przez pierwszych kilkanaście metrów próbowała jeszcze kuśtykać, potem po prostu ją wlekli. Podwinięta nogawka odsłaniała skórę, na której plama martwicy rozlewała się aż do kolana.

Ponad głową Kateriny Daniel posłał Ivainowi pytające spojrzenie.

— Co jej jest? — szepnął.

— Nie wiem, ale wygląda paskudnie, jak coś w rodzaju kurewsko szybko postępującej gangreny. Nie wiem, czy nie będziemy musieli jej tej nogi obciąć.

— Żartujesz? Nie mamy odpowiednich warunków!

— Nie widzę innego... Cholera... — Ivain zaklął, otwierając drzwi, bo gwałtowny podmuch wiatru sychnął mu w oczy pyłem. Puścił Katerinę, zatoczył się w tył i upadł na jedną z przewróconych figur.

Musimy stąd spieprzać, pomyślał, rozcierając łokieć. Im szybciej, tym lepiej.

— Zraniłeś się? — głos Daniela był wysoki, na granicy hysterii.

— Co?

— Zraniłeś się? Bo jeśli w tym zardzewiałym metalu coś jest...

— Nic się nie stało. — Ivain, mrugając, pozbył się spod powiek resztek pyłu. Razem wyciągnęli Katerinę na zewnątrz, po czym przystanęli w czerwonym blasku słońca.

Daniel był spocony i zdyszany, Ivain spocony, zdyszany i blady jak śmietankowy ser. Kładąc na ziemi Katerinę, skrzywił się, co nie uszło uwagi drugiego mężczyzny.

— Pokaż rękę — zażądał Daniel.

— Nie bądź idiotą.

— Pokaż.

Ivain z westchnieniem podwinął rękaw, demonstrując zdrową, nienaruszoną skórę.

— Zadowolony?

— Więc co ci jest? — nie ustępował Daniel. — Jesteś biały jak ściana.

— Mam kłopoty z sercem, w porządku? To nic wielkiego, zaraz jak wrócimy na statek, wezmę lekarstwo.

Katerina poruszyła się i jęknęła.

— Proszę, jeszcze jeden zastrzyk... Boli... O Boże, jak boli...

— Słyszysz? Zamiast martwić się o mnie, daj jej zastrzyk — warknął Ivain.

Daniel zacisnął zęby, ale posłusznie wyjął z apteczki środek przeciwbólowy, załadował ampułkę do iniektora i wbił igłę.

— Jeśli jej zaszkodzi, to będzie twoja wina — wymruczał.

Kobieta zamknęła oczy, jej ściągnięte cierpieniem rysy wygładziły się. Znieruchomiała.

— Już lepiej? — Ivain pochylił się nad nią z troską. — Katerina? Katerina?!

Zbliżył policzek do jej ust, położył rękę na szyi. Potem odwrócił się w stronę towarzysza.

W oczach miał grozę.

— Nie żyje... Danielu, ja myślę, że ona umarła.

Pantalekis odsunął się kilka kroków, jakby to, co spotkało Katerinę, było zaraźliwe.

— Ja nic nie zrobiłem! — krzyknął załamującym się głosem.

Ivain zacisnął usta. Wciąż pochylał się nad Kateriną, wspierając się jedną ręką o ziemię.

— Wiem. Pomóż mi wstać, proszę...

— Źle się czujesz, prawda? — zapytał podejrzliwie Daniel. — Słabo ci?

— Pomóż... mi... wstać...

Pantalekis na wszelki wypadek odsunął się jeszcze kilka kroków.

— Nie — powiedział. — Ani mi się śni. To może być jakaś zaraźliwa choroba, którą oboje złapaliście.

— Potrzebuję... lekarstwa... na statku... Proszę...

Daniel w milczeniu pokręcił głową. Oczy miał wielkie, przerażone, a twarz zaciętą w wyrazie zdecydowania.

— Nie.

Ivain zachwiał się, podparł drugą ręką. Jego skóra, wcześniej po prostu blada, teraz

wydawała się niemal przezroczysta. Grube krople potu spływały mu z czoła, usta poruszały się, jakby wciąż próbował coś mówić. Daniel przymknął oczy. Gdy je otworzył, Ivain leżał z głową na piersi Kateriny niczym Romeo przytulony po śmierci do swej ukochanej. Nie oddychał, a przynajmniej tak to wyglądało z odległości kilkunastu kroków. Pantalekis nie zamierzał sprawdzać.

Odwrócił się w stronę wahadłowca, rozważając, czy uda mu się dopilotować go do statku. Miał zawroty głowy, ale tłumaczył sobie, że to skutek strachu, z pewnością nie tej koszarnej choroby.

Wtedy właśnie z nieba sfrunął anioł.

Błękitne światło otulało jego sylwetkę niczym kombinezon. I miał skrzydła, srebrzyste, mechaniczne skrzydła, z których strzelały w niebo iskry. Wylądował na schodach, po czym zaczął iść w dół.

Daniel zamarł w bezruchu. Anioł kroczył, odziany w blask, i wyglądało na to, że za chwilę przetnie mężczyźnie drogę do wahadłowca.

Tak więc człowiek, nad którym całkowitą władzę przejęła panika, odwrócił się i pobiegł w drugą stronę.

Wprost do sali, z której przed chwilą wyniósł umierającą Katerinę.

Część I Czas się kończy

Finnen

Finnen... Oczywiście, możecie się w ten sposób do mnie zwracać. Tutaj wszyscy tak właśnie mnie nazywają. Moje prawdziwe imię brzmi nieco podobnie, ale jest znacznie trudniejsze do wymówienia.

I tak, opowiem raz jeszcze o Dniu Zero, choć robiłem to już tyle razy, że czasami mam dość.

Dzień Zero... To nie jest nasza nazwa, tylko wasza, my używaliśmy odmiennej. Podobnie Lunapolis, duszoinżynierowie, wieże Principium oraz Ekwilibrium, i wiele, wiele innych. Nazwy, a także imiona, potrafią sprawić kłopot, prawda? Dla ułatwienia będę więc używał waszej nomenklatury – myślę, że obu stronom ułatwi to rozmowę.

Tak więc ja, Finnen, a także kobieta, którą nazywacie Kairą, oraz jej brat Niraj, jesteśmy winni tego, co się zdarzyło w Dniu Zero. Tak przynajmniej uważa większość Nowych Ziemi. Ja nie jestem pewien. Możliwe, że historia potoczyłaby się dokładnie tak samo, gdybym nigdy nie spotkał Kairy ani jej brata. Lubię jednak myśleć, że los dwóch światów zależał od tego krótkiego momentu na Wodnym Placu, gdy w tłumie zauważyłem Kairę. Być może gdybym stanął kilkanaście kroków dalej, wszystko wyglądałoby dziś zupełnie inaczej. Może...

Aby zrozumieć, jak doszło do Dnia Zero, trzeba najpierw zrozumieć nas – to, jacy byliśmy, oraz miejsce, w którym dorastaliśmy.

Najprostszą, co nie znaczy, że najtrafniejszą odpowiedzią jest, iż byliśmy młodzi. Licząc według waszej rachuby, miałem dwadzieścia jeden lat, choć gdyby wówczas zadać mi takie pytanie, musiałbym się długo zastanawiać, a potem doliczyłbym sobie także lata przebyte podczas Skoków. Nasz system mierzenia czasu był skomplikowany, więc opowiem o nim przy innej okazji.

Na razie ważne jest to, że byliśmy młodzi, a młodzi ludzie wierzą, iż potrafią zmieniać świat.

Odpowiedź na pytanie, jakie było miasto, w którym dorastaliśmy, jest trudniejsza.

Przytłaczało mnie, kiedy byłem dzieckiem. Gdy zadzierałem głowę, widziałem wieże połączone mostami – tak wysoko w powietrzu, że na sam widok ścisnęło mnie w żołądku. Sieć

tych podniebnych dróg rzucała na niższe partie Lunapolis skomplikowany wzór cieni, jakby ponad nami mieszkał gigantyczny pająk. Niżej, zamiast dróg były schody, niektóre ruchome, inne nie. Wzdłuż nich ciągnęły się budynki z czarnego kamienia, każdy z co najmniej kilkoma tarczami księżycowymi na dachu, każdy oplątany siecią rur i rurek. Zarówno w metalu, jak i w kamieniu odbijał się blask czerwonego słońca i czasem, zwłaszcza pod wieczór, wyglądało to tak, jakby całe miasto broczyło krwią.

Bałem się Lunapolis, będąc dzieckiem, i nie przestałem, gdy dorosłem, lecz nauczyłem się także je kochać.

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień wiąże się z Hałami. Uwielbiałem przychodzić tam z bratem. Ary buszował pośród jedzenia, szukając dla nas smakołyków, a ja wpatrywałem się w buchające lodowatym zimnem wagoniki, które wjeżdżały do Hal, po czym otwierały się nad podłużnymi stołami. Pac, pac – wypadały z nich zamrożone owoce, warzywa, a także gołębie, całe, razem z piórami, delikatnymi pazurkami i oczkami jak czarne paciorki. Fascynowały mnie, bo w Lunapolis nie było prawdziwych ptaków, tylko mechaniczne.

Produkty te pochodziły z prowincji, z miejsc, gdzie nie mieszkał już żaden człowiek. W wielkich szklarniach pod sztucznymi słońcami automaty hodowały rośliny, owoce morza oraz gołębie, a potem Kolejka wysyłały je do naszego miasta. Wszystko to było darmowe, płacić trzeba było dopiero za posiłki sporządzone przez kucharzy-artystów. Przerzucenie podstawowych obowiązków na maszyny pozwoliło nam w pełni oddać się sztuce oraz nauce – i nie był to kaprys, lecz konieczność. Zdobywanie pożywienia czy inne niezbędne prace przez wiele lat hamowały nasz rozwój, a zgodnie z życzeniem Przedksiężycowych musieliśmy się doskonalić.

Za moich czasów w Lunapolis nie było już prostych robotników, bo nikt taki nie przetrwałby ani jednego Skoku. Istnieli co prawda rzemieślnicy, urzędnicy czy nawet domokrażni sprzedawcy, lecz każdy z nich był albo mistrzem w swoim fachu, albo też miał dodatkowe talenty. A większość skomplikowanych i zarazem poniżających prac wykonywali zamknięci w metalowych ciałach przestępcy.

Co jeszcze pamiętam z dzieciństwa? Przede wszystkim mechanizmy miasta, którym jak każde dziecko lubiłem się przyglądać. Wnętrza silników, ich trzewia, arterie i żyły – wszystko to, co w waszym świecie jest ukryte, u nas wystawiano na widok publiczny. Mechanizm Kolejki, mechanizmy tarcz księżycowych i podniebnych teatrów, zegarów i ruchomych schodów – każdy z nich miał w sobie coś oryginalnego, każdy był osobnym dziełem sztuki, oddzielonym od

gapiów metalową kratą. Zrobione z błękitnego ulferrum części nie rdzewiały, odporne na deszcz, zimno i śnieg. W istocie ulferrum, żelazo ostateczne, było odporne na wszystko. Z wyjątkiem przeszłości.

Coś jeszcze wartego wspomnienia? Może tylko to, że jestem dzieckiem Ekwilibrium, a z moją matką dzieliłem około czterdziestu procent materiału genetycznego. To średnia, choć znałem i takich, którzy byli doskonałymi, stuprocentowymi kopiami swego rodzica, jak i takich, którzy pod względem genetycznym nic z matką czy ojcem nie mieli wspólnego.

Pozostałe sześćdziesiąt procent to geny starannie dobrane przez urzędników korporacji. Miałem kilka różnych talentów – malowałem na szkle i płótnie, pisałem wiersze, czasem śpiewałem i komponowałem piosenki, byłem też nie najgorszym aktorem. Oczywiście wszystko to potrafiłem robić co najwyżej bardzo dobrze, nigdy genialnie. Taka jest cena bycia stworzonym przez duszoinżynierów Ekwilibrium.

Byłem ciekawskim dzieckiem i wyrosłem na ciekawskiego młodzieńca. Z ochotą rzucałem się na łeb na szyję w każdą awanturę, a jednocześnie miałem ambicję, aby traktować życie z cynicznym dystansem. Cyniczny dystans to nie jest coś, co łatwo przychodzi dwudziestolatkom, ale bardzo się starałem. Miałem sporą wyobraźnię, za dużo myślałem, tak mówili niektórzy, i uwielbiałem dzielić włos na czworo. Jeszcze bardziej uwielbiałem rozmyślać nad tym, jaki jestem skomplikowany, wrażliwy i oryginalny. Myślę, że pod wieloma względami byłem naprawdę irytujący, ale wiele osób mnie lubiło. Zwłaszcza dziewczęta, które uważały, że jestem uroczy, dobry w łóżku i mam ładne oczy.

Byłem także nieszczerze mądry, trochę narwany, a także dość kapryśny. Wspominam o tym, jest to bowiem ważne, wyjaśnia, dlaczego potrzebowałem Kairy. Kaira zaś z zupełnie innych powodów potrzebowała mnie.

Lecz i tak cała historia zaczyna się od Skoku.

1

Finnen malował w pośpiechu, starając się uchwycić wrażenie pomarańczowo-czerwonej nierealności nadciągającego Skoku.

W szkłe zatopiona już była jedna warstwa malowidła i teraz pracował nad drugą, zewnętrzną. Gdy za szybą zapłonie odpowiednio ustawione źródło światła, obraz ożyje, rzucając na pokój barwne cienie, a obie warstwy nałożą się na siebie i dadzą właściwy rezultat.

Taką przynajmniej Finnen miał nadzieję. Jego dzieła bywały lepsze i gorsze, a to, przeczuwał, należeć będzie do lepszych. Odkąd Przedksiężycowi ogłosili termin kolejnego Skoku, świerzbiły go palce, by jak najszybciej zacząć malować.

— Nudzę się. — Za jego plecami w krwawym blasku słońca stanęła Alika. Poczł woń korzennych perfum, rękaw sukni otarł mu się o ramię. — Czy nie powinniśmy już iść?

— Chwila — wymruczał.

— Spóźnimy się — marudziła — a ty jeszcze musisz się przebrać. Nie pójde na Wodny Plac z kimś, kto ma na sobie fartuch poplamiony farbami.

— Zamknij się — warknął. — Pójdziemy, kiedy skończę.

— Mogę iść sama. — Odsunęła się, wydymając usta, choć tak naprawdę nie uraził jej. Finnen był artystą, a artyści mieli prawo zachowywać się szorstko. Dziewczeta – zwłaszcza takie jak Alika – wręcz tego oczekiwały, wierząc, że odrobina brutalności dodaje romansowi pikanterii.

Ponadto oboje wiedzieli, że żadna porządna dziewczyna w godzinie Skoku nie pójdzie samotnie na Wodny Plac i nie będzie szukała partnera na ostatnią chwilę. A Finnen starał się o jej względy od trzech tygodni – przysyłał kwiaty i czekoladki, pisał wiersze i wycinał z papieru sylwetki ptaków. Przyjmując to wszystko, Alika zawarła uświęconą tradycją umowę. Gdy po Skoku wróca do jego zagraconego mieszkania, pozwoli zaciągnąć się do łóżka i podobnie jak tysiące innych mieszkańców Lunapolis świętować będzie fakt, że przetrwała.

— Skończyłem — powiedział, wycierając ręce w fartuch.

Odwrócił się i uśmiechnął do Aliki. Jej widok zawsze poprawiał mu humor i budził dumę zdobywcy.

Miała miękką skórę koloru kawy z mlekiem, wielkie oczy i blad złote włosy, w które wplotła kwiaty ciemiernika. Jej szczupłą figurę podkreślała suknia barwy poziomek,

najmodniejszy w tym sezonie fason z obcisłą dopasowaną górą i spódnicą rozkloszowaną na kształt odwróconego kwiatu tulipana. Alika była piękna jak dzieło sztuki, starannie wykonane w najdrobniejszym szczególe.

Finnen z niechęcią oderwał od niej wzrok. Przebrał się, w lewą dłoń wziął butelkę wina, a do kieszeni luźnej kurtki wcisnął paczkę konfetti. Drugą rękę podał dziewczynie.

— Boisz się? — zapytał.

— Oczywiście, że nie — odparła, zdumiona, że w ogóle mógł zadać takie pytanie.

— Ja też nie — skłamał.

Wiał ostry, przenikliwy wiatr, a słońce wisiało nisko nad dachami potężnych budowli z kamienia i metalu. Purpurowy dysk przypominał węgielek dogasający pośród popiołu; resztki blasku odbijały się w tarczach księżycowych, które rozkwitały na dachach niczym mechaniczne kwiaty.

Finnen zapiął kurtkę i wydłużył krok, pociągając za sobą dziewczynę.

— Nie tak szybko! — zaprotestowała.

— Podobno nie chcesz się spóźnić — wymruczał, ale posłusznie zwolnił.

Zjeżdżali teraz ruchomymi schodami. Metr w dół, zmiana perspektywy – i plątanina rur na jednym z domów ułożyła się w obraz splecionych w miłosnym uścisku par. Metr w dół, kolejna zmiana perspektywy. Inny dom pokryty dziewczęcymi twarzami, każda wysokości połowy piętra. Warkocze ze stalowych prętów, oczy jaśniejące blaskiem gazowych latarni, miękkość policzka zaznaczona wygięciem metalu. Kolejny metr, po ścianie wspinały się miedziane łodygi, niosąc ciężar liści wielkich jak talerze i długich, ostrych cierni.

Rury doprowadzały do mieszkań ciepłą wodę oraz gaz i odprowadzały nieczystości. Zazwyczaj ich położenie dyktowane było pragmatyzmem, ale czasem celowo prowadzono je po specjalnie zapętlonych szlakach, nakładając drogi lub dokonując karkołomnych skrótów, a wszystko po to, by stworzyć ten jeden jedyny, niepowtarzalny wzór. To było Lunapolis, miasto, gdzie rozsądek zawsze ustępował przed morderczą koniecznością sztuki.

Od czasu do czasu mijały ich mechanoidy, które zgrzytliwie stąpały na srebrzystych łapach, a im bliżej Wodnego Placu się znajdowali, tym częściej spotykali innych pieszych, idących parami albo w grupach. Wszyscy ubrani byli odświętnie, większość niosła butelki drogich alkoholi. Niektórzy do nadgarstków przywiązywali sznurki od lampionów, które unosiły się na tle coraz ciemniejszego nieba.

— Zimno mi — poskarżyła się Alika.

— Chcesz kurtkę? — Finnen zbyt późno przypomniał sobie o zasadach rycerskości.

— Nie chcę. — Pociągnęła nosem. — Jeśli ją założę, nie będzie widać mojej sukni.

Chłopak rozsądnie trzymał język za zębami.

— Wszystko jest takie dziwne — mówiła dalej Alika. — Takie rozmyte i nierealne, jak we śnie...

— To z powodu Skoku — wyjaśnił. — Powinnaś pamiętać, przecież jeden masz za sobą.
— Byłam wtedy mała.

Finnen w dzieciństwie przeżył dwa, ale to go wcale nie uspokajało. Skok rzadko zabierał dzieci, tak naprawdę zagrożeni byli niemal wyłącznie dorośli. A dla nich obojga miał to być pierwszy Skok po osiągnięciu dojrzałości.

Na Wodny Plac dotarli jako jedni z ostatnich, w chwili gdy na niebie pojawiły się szkarłatne litery.

„DO PRZEBUDZENIA POZOSTAŁO 59 LAT” — oznajmili Przedksiężycowi z głębi Studni. „POPULACJA MIASTA WYNOŚI W TEJ CHWILI 15 628 121 OSÓB”.

Finnen rozejrzał się. Wodny Plac był najważniejszym i zarazem najniżej położonym punktem Lunapolis. Otoczony wysokimi budynkami, wśród których królowały wieże Principium oraz Ekwilibrium, zawsze sprawiał wrażenie mniejszego, niż był naprawdę. A teraz, zatłoczony do granic możliwości, wyglądał na jeszcze bardziej ciasny.

Podczas gdy niebem płynęły kolejne cyfry, Finnen obserwował tłum. Część kobiet dla ochrony przed chłodem zarzuciła na ramiona miękkie szale, inne – tak jak Alika – wolały dygotać, demonstrując suknie we wszystkich barwach tęczy. Grupa wyrostków podawała sobie z rąk do rąk fiolkę z pastylkami synestetycznego narkotyku, obok trzy wysokie postaci skrywały twarze w obszernych kapturach. Gdy jedno z nakryć się zsunęło, Finnen ujrzał czubek zwierzęco włochatego ucha.

Okaleczonych rozpoznał od razu, podobnie jak i półnagich szaleńców skokowych, którzy przysiedli na szerokich gzymsach niższej z wież. W przeszklonych kabinach mechanoidów musieli siedzieć animatorzy, bo tylko oni potrafili sterować mechanicznymi zwierzętami. Odmieńcy także wyróżniali się z tłumu. A reszta? Która korporacja stworzyła czterech identycznych mężczyzn o poważnych twarzach? Albo brązowoskórą dziewczynę w ciężkiej, żałobnej sukni? Principium czy Ekwilibrium? A może któraś z mniej ważnych?

— Czterdzieści osiem procent obywateli to dzieci Principium, a tylko trzydzieści jeden Ekwilibrium — szepnęła mu do ucha Alika. — Tak twierdzą Przedksiężycowi — dodała, a potem zachichotała cicho. — Mamy nad wami coraz większą przewagę.

Finnen wziął ją za rękę, starając się nie okazywać złości ani strachu. Kilka ostatnich Skoków przetrwało więcej ludzi Principium niż Ekwilibrium, co natychmiast odbiło się na liczbie dzieci zamawianych w obu wieżach. To nic nie znaczy, myślał, kiedyś to nas było więcej i za

jakiś czas pewnie znowu tak będzie. Równowaga pomiędzy dwiema najważniejszymi korporacjami zawsze podlegała niewielkim wahaniom. To nic nie znaczy.

Lecz oczywiście znaczyło, i to dużo. Na przykład to, że miał mniejsze szanse przetrwać Skok niż chłopak zamówiony za tę samą cenę w konkurencyjnym Principium. Chyba że odmieni się zła passa Ekwilibrium, ale na razie nic na to nie wskazywało.

Po niebie płynęły kolejne cyfry i litery. Przedsięwzięcowi wymieniali nazwy wynalazków, które spowodowały najdłuższe Skoki. „Uniwersalny Środek Fabbiniego dla Osób Obojga Płci – 27 lat. Rewelacyjny System Błyskawicznej Nauki Języków Wszelakich – 31”. Później oczywiście Kolejka. I tak dalej, przez wieki istnienia Lunapolis.

Alika wysunęła dłoń z uścisku Finnena, a potem objęła go za szyję. Jej oczy błyszczały, w twarzy nie było ani śladu lęku. Czego miałyby się bać? Nie tylko została stworzona przez Principium, lecz w dodatku matka zapłaciła za nią bardzo dużo, więcej, niż kosztował Finnen.

Była piękna, była... doskonała.

Przytulił ją, czując, jak wyparowuje z niego całe podniecenie. Jeszcze niedawno nie mógł się doczekać Skoku. Chciał zaprowadzić Alikę do swojej pracowni, zdjęć z niej poziomkową suknię, a potem kochać się aż do rana, podczas gdy na niebie rozkwitałyby barwne fajerwerki. Jeszcze bardziej chciał namalować nadciągający Skok i nawet sądził, że mu się to udało. Był przy tym taki pewny, że nie zostanie z tyłu. Teraz drżał z zimna i strachu, a jego szklany obraz nagle wydał mu się banalny. Nie miał w sobie nic z prawdziwej grozy Skoku.

Grozy, jaką w tej chwili odczuwał Finnen.

— To już? — szepnęła Alika. Zamknęła oczy jak mała dziewczynka, której ktoś chce pokazać niespodziankę.

— Nie, jeszcze nie.

Plac otaczał kordon strażników, nieruchomych jak posągi. Światła gazowych latarni odbijały się w hełmach, pałkach i naszytym na kaftany metalu. Byli tutaj, bo Skok oznaczał nie tylko radość, ale czasem też kłopoty. Niektórzy ludzie wariowali, gdy z tyłu zostawali ich krewni czy przyjaciele. Finnen doskonale pamiętał wściekłość, jaka go ogarnęła, gdy Skok zabrał mu brata.

Zebrani na placu zamarli w oczekiwaniu, nawet najmłodszy przestali się wiercić. Niedaleko wieży Principium zrobiło się zamieszanie, gdy animator kazał swemu mechanoidowi uklęknąć, po czym wysiadł, wpychając się w tłum. Ktoś poczęstował go przekleństwem, ktoś inny bez

przekonania próbował przywołać strażnika.

Wszystko umilkło po chwili.

Oślepieni, z opaskami na oczach, czujnie nadstawiali uszu, głusi wytężali wzrok. Na gzymsach szaleńcy skokowi przysiedli jak ptaki, przykucnięci, z niespokojnymi twarzami uniesionymi w niebo. Pod ich nagą, cienką jak pergamin skórą poruszały się kości – Finnen widział to, nawet stojąc na ziemi piętro niżej. W dzieciństwie sądził, że wypukłości na plecach szaleńców to zawiązki skrzydeł, na których kiedyś wzleczą w słońce.

Zegar odmierzał czas do Skoku. Niewielu go widziało, tłok był zbyt duży, ale w ciszy wszyscy słyszeli wydzwaniane minuty.

Ponad ramieniem przytulonej Alike Finnen spojrział na ciemnoskórą dziewczynę w żałobnej sukni. Była wysoka, szczupła i sprawiała wrażenie silnej. Twarz miała okrągłą i miłą jak u dziecka.

Stała, garbiąc się, jakby przytłoczona niewidzialnym ciężarem. W jej oczach dostrzegł rozpacz. Wiedziała, że nie przetrwa Skoku, i pogodziła się z losem. To dlatego włożyła żałobną suknię zamiast odświętnej.

Finnen, który rozpaczliwie pragnął skupić się na czymkolwiek poza własnym lękiem, zaczął rozmyślać, kim ona może być i skąd ma pewność, że zostanie z tyłu. Może chorowała na coś, a może duszoinżynierowie zepsuli jej geny, a ona zdawała sobie z tego sprawę?

Zastanawiało go też, czemu przyszła na Wodny Plac sama. Wszyscy wokół stali w parach albo w większych grupach. Kochankowie tulili się do siebie, matki i ojcowie trzymali dzieci za ręce, przyjaciele i przyjaciółki czuлыми gestami dodawali sobie otuchy. Tylko dziewczyna w żałobnej sukni była samotna i, co więcej, sprawiała wrażenie, jakby w ostatnich chwilach wcale towarzystwa nie potrzebowała. Zamknięta w kokonie własnej tragedii, patrzyła na Finna, ale go nie dostrzegała, jej spojrzenie przenikało przez chłopaka, jakby był czystą, niezamalowaną szybą.

Alika poruszyła się i Finnen odruchowo przytulił ją mocniej.

— Czas się kończy — powiedziała wyraźnie, wciąż z zamkniętymi oczami, a potem wysunęła się z jego ramion. Po prostu znikła, pozostawiając po sobie pustkę, w której wciąż unosił się zapach korzennych perfum.

Później Finnen wielokrotnie opowiadał o tej chwili. W zależności od humoru bądź potrzeby mówił nonszalancko lub z przejęciem, zawsze jednak padały takie słowa, jak

przeżalenie, groza, rozpacz. Żadne jednak nie opisywało tego wrażenia, gdy chłopak pojął, że świat, który znał, właśnie skoczył do przodu, a on został w przeszłości.

Tak samo jak słowa ulga, zdumienie czy radość nie oddawały jego uczuć, gdy zrozumiał, że się pomylił. Że tak naprawdę to Alika została z tyłu, a on przetrwał.

Ktoś krzyczał – to pamiętał – ktoś krzyczał wysokim, piskliwym głosem:

— Patrzcie, napisy na niebie! Udało mi się! Udało!

— Mnie też! Dzięki Przedksiężycowym, udało mi się!

Lunął krótki, zimny deszcz i Finnen skulił się odruchowo, oszołomiony, pusty i lekki niczym łupinka groszku. Po niebie pęły ogromne, rozmyte przez ulewę litery, ktoś wrzeszczał, powtarzając wyliczenia Przedksiężycowych.

„DO PRZEBUDZENIA POZOSTAŁO 51 LAT. POPULACJA MIASTA WYNOSI W TEJ CHWILI 12 502 473 OSOBY”.

Gdy przestało padać, Finnen uniósł głowę. Tłum przeredził się wyraźnie, chłopak bez problemu mógł już dostrzec zegar zatrzymany na godzinie zero, a nawet kamienną cembrowinę Studni, w której spoczywali Przedksiężycowi. Jedna piąta, pomyślał. Zniknęła jedna piąta obywateli Lunapolis, choć tych obecnych na placu chyba mniej. Nic w tym dziwnego, tutaj przychodzą przede wszystkim ci najdoskonalsi, pewni, że po Skoku będą mogli świętować.

Tacy jak Alika.

Pomyślał o dziewczynie, o tym, jak bardzo musi być teraz przerażona, ale mimo to nie potrafił przestać się cieszyć. Płynęła przez niego potężna rzeka radości zbrukanej poczuciem winy i coś w nim wyśpiewywało, powtarzając usłyszane słowa: „Udało mi się, udało!”.

Wysoko na niebie przepływały szczegółowe wyliczenia Przedksiężycowych. Cyfry odbijały się w kałużach deszczowej wody jak w lustrze, by po chwili zniekształcić się i rozedrgać, gdy znów zaczął wiać wiatr. Podmuchy niosły ze sobą krople wody, która miała smak soli. Jakiś chłopak wołał swojego przyjaciela, ktoś płakał, ktoś inny próbował kogoś pocieszać. Nikt się nie awanturował. Przemoknięci ludzie nie mieli nawet ochoty puszczać fajerwerków, po prostu rozchodzili się, by w ciepłych domach oplakiwać utraconych bliskich lub pić i bawić się aż do rana. Po chwili na Wodnym Placu pozostali już tylko ci, którzy kogoś stracili, w oszołomieniu wciąż rozglądając się dookoła, jakby sądzili, że ów ktoś po prostu gdzieś się zawieruszył.

Nie rozglądał się tylko Finnen oraz dziewczyna w żałobnej sukni. Długo trwało, zanim na

jej twarzy nieśmiała radość zastąpiła niedowierzenie.

— To prawda? — zapytała. — Nie zostaliśmy w przeszłości?

— Gdyby tak było, nie widzielibyśmy tego. — Wskazał palcem ostatni napis sunący po niebie. „DOSKONALCIE SIĘ!”.

— Tak, wiem, ale wciąż trudno mi uwierzyć... Ja nie powinnam przetrwać.

— O tym decydują Przedksiężycowi, nie ty — powiedział zbyt ostro, niemal agresywnie. Jej poczucie winy było lustrzanym odbiciem jego własnych emocji. — Widać zasłużyłaś.

Tak samo jak ja, dodał w myślach. Najwyraźniej okazałem się doskonalszy od Alik i trudno, żebym z tego powodu płakał. Czasem Przedksiężycowi dostrzegają w człowieku cechy, których on sam u siebie nie podejrzewa.

Dziewczyna pokręciła głową, nieprzekonana.

Wyciszone na czas Skoku reklamy wież Ekwilibrum oraz Principium zabrzmiały z pełną mocą:

— Znów jesteśmy górą! — piał radośnie Principium. — Podczas najnowszego skoku straciliśmy zaledwie dwadzieścia siedem procent ludzi! Pomyślcie, czy to nie wystarczający dowód, że dominacja jednej cechy pozwoli wam dotrzeć aż do Przebudzenia? Doskonalcie siebie i swoje dzieci w jednym kierunku! Nie ma sensu rozdrabniać własnego potencjału. Pamiętajcie – Przebudzenie już za 51 lat! Czy chcecie zostać z tyłu jak inni nieszczęśnicy? Zaufajcie naszym duszoinżynierom!

— Równowaga jest kluczem — odpowiadało spokojnie Ekwilibrum, nie wspominając przezornie o cyfrach. — Dominacja jednej cechy was okaleczy i zamieni w automaty, które potrafią robić doskonale jedną rzecz – lecz tylko jedną, podczas gdy prawdziwe człowieczeństwo polega na harmonijnym rozwoju osobowości. Bądźcie utalentowani w wielu dziedzinach, cieszcie się wieloma aspektami życia! Przedksiężycowi docenią waszą skomplikowaną indywidualność!

— Słyszysz. — Finnen uśmiechnął się do dziewczyny. — Tak naprawdę nikt nie wie, jakie cechy pozwolą osiągnąć Przebudzenie. Szansę ma każdy, nawet ci, za których matka czy ojciec zapłacili marne tisos u szemranych duszoinżynierów.

Odpowiedziała niepewnym uśmiechem, a on poczuł w kieszeni ciężenie butelki wina. Nie było już Alik, z którą miał ją wypić, więc równie dobrze mógł zaproponować poczęstunek nieznanym. Skoro była na tyle niekonwencjonalna, by samotnie przyjść na Wodny Plac, to

może teraz zgodzi się na jego towarzystwo.

3

Dziewczyna miała na imię Kaira i była córką Brina Issy. Finnen znał to nazwisko.

— Ojciec nie wie, że tu przysłałam — powiedziała, nerwowo bawiąc się czarnymi rękawiczkami. — Będzie na mnie wściekły, kiedy wrócę.

— Chcesz, żebym odprowadził cię do domu? — zaproponował z ociąganiem, bo właśnie rozważał, czy nie dałoby się jej zwabić do łóżka.

— Nie, nie chcę. — Potrząsnęła głową i przez chwilę wyglądała na mniej zagubioną i dziecinną. — I tak mnie ukarze, więc równie dobrze mogę dziś w nocy się bawić.

— W takim razie chodźmy do mnie — poczuł przypływ nadziei.

Rzuciła mu spłoszone spojrzenie, a potem uciekła wzrokiem w bok.

— Wołałabym nie...

— W porządku, nie ma problemu — uspokoił ją pospiesznie.

Na dobrą sprawę sam nie wiedział, czy jest bardziej rozczarowany, czy też nie. Gdyby Kaira była starsza, wszystko wyglądałoby znacznie prościej – ona opierałaby się przez jakiś czas dla zasady, a on flirtowałby z nią tak długo, aż wreszcie by się zgodziła i oboje byłiby zadowoleni.

Przyjrzał jej się uważnie, chłodno, nie zwracając uwagi, że dziewczyna czerwieni się i peszy. Doszedł do wniosku, że właściwie wciąż może to zrobić, że jeszcze nic straconego. Bez trudu poradziłby sobie z jej obiekcjami. Co z tego, że Kaira była na tyle młoda, by jej „nie” naprawdę znaczyło „nie”? Brak doświadczenia mógłby być dodatkową zaletą, o tak, miał pewność, że spodobałoby mu się przełamywanie nieśmiałości – dla odmiany – prawdziwej. Pomyślał o tym niemal z humorem, niemal zapominając, co się stało, by zaraz potem poczuć tępe, mdlące uderzenie poczucia winy.

Odsunął się i spojrzał na Kairę z niechęcią, jakby to była jej wina. Że przetrwała, że nie miała urody Alike ani jej wdzięku, a także, że pomimo tych niedostatków Finnen chciał się z nią przespać i teraz gryzło go sumienie.

Dziewczyna odgarnęła z czoła mokre włosy. Zepsuty, nasiąknięty wilgocią lampion w kształcie smoka ciężko szorował po bruku, aż wreszcie wiatr przygnał go pod stopy Kairy. Odsunęła go kopniakiem w sam środek papierowego pyska.

— Myślisz o dziewczynie, która była z tobą, prawda?

Skinął głowę.

— Kochałeś ją?

Chciał potwierdzić, ale zawahał się, bo owo szczególne poczucie zauroczenia Aliką już zaczynało się rozmywać.

— Nie wiem — powiedział wreszcie, przytłoczony własną bezradnością, a potem dodał, jakby to miało cokolwiek wyjaśnić — była piękna.

— Tak, wiem. Nadal chcesz, żebym została z tobą do rana? Moglibyśmy pójść do jakiejś kawiarni i po prostu tam posiedzieć, jestem pewna, że tej nocy wszystkie będą czynne.

Wydawało się, że dziewczyna zyskuje pewność siebie, w miarę jak on ją traci. Nie przeszkadzało mu to. Jaki zresztą miał wybór? Wrócić do domu, rozmyślać o Alice, a potem potłuc niedawno namalowany obraz, co pewnie prędzej czy później i tak zrobi?

— Możemy pójść do... — urwał, bo najczęściej bywał w Melancholijnej Fantasmagorii, gdzie teraz pewnie bawili się jego koledzy. Chodziło o to, że Kaira wyglądała dziwacznie w tej mokrej, żałobnej sukni, a u boku Finnena zazwyczaj widywano piękne, eleganckie kobiety. Innym razem skarciłby samego siebie i starałby się przełamać, bo lubił myśleć o sobie jako o człowieku niezależnym, który nie kieruje się opinią innych. Tyle że dzisiaj zwyczajnie nie miał siły, by znosić docinki kolegów. Mimo wszystko był szczęśliwy, tak paskudnie, obrzydliwie szczęśliwy.

Kolory nabrały głębi, a dźwięki stały się czystsze; cieszył nawet wiatr, który ciskał w jego twarz drobinki studziennej wody o smaku soli. Żył i mógł do woli smakować życie, podczas gdy tamci, pozostawieni z tyłu, wkrótce umrą.

— Do Kakofonii — zaproponował po chwili milczenia czekającej cierpliwie Kairze. — Możemy pójść do Kakofonii.

Siedzieli w kamiennej wnęce na plecionkach ze słomy i pili z kubków grzane wino. Obok unosiły się świetlikowe lampki. Najpierw rozciągnięte na kształt wirującej wstęgi, po chwili skupiły się w kulę, która zawisała nad stolikiem.

Dopiero wtedy, gdy na twarz Kairy padł ciepłozłoty blask, Finnen dostrzegł, że dziewczyna wcale nie jest tak młoda, jak sądził wcześniej w półmroku Wodnego Placu. Mogła być nawet w jego wieku, a wrażenie dziecinności brało się z jej niedoświadczenia, z niepewności gestów, ze źle skrywanej fascynacji, z jaką przyjmowała to, co dla niego było codziennością. Szeroko otwartymi oczami gapiła się na okaleczonych, którzy kubki z winem przytrzymywali stopami, na czterorękiego żonglera i obdarzoną dodatkowymi stawami tancerkę.

Dziewczyna opowiadała o sobie z roztargnieniem, często urywając w połowie zdania, lecz Finnen nie potrzebował wiele, by zrozumieć, że pójście na Wodny Plac było jej pierwszą w życiu samodzielną wyprawą, że wcześniej wychodziła tylko w towarzystwie służących albo rodziny, a najczęściej po prostu siedziała w domu, pogrążona po uszy w książkach. Miała gładką twarz człowieka, który nic jeszcze nie przeżył, nikogo nie oplakiwał, niczego nie żałował. Przekonanie, że podczas Skoku zostanie z tyłu, a potem umrze, było jedynym ważnym doświadczeniem w jej życiu, a i ono wydawało się przefiltrowane przez pryzmat romantycznych lektur, jakby Kaira nie do końca zdawała sobie sprawę, co to naprawdę znaczy. Właśnie z lektury wziął się pomysł założenia żałobnej sukni, pomyślał, uśmiechając się z satysfakcją, bo przez chwilę zdawało mu się, że w niespełna godzinę przejrzał tę zupełnie obcą dziewczynę na wylot, rozkładając na drobne elementy całą jej osobowość. Lecz było coś jeszcze, coś więcej.

Widział w jej oczach dziką, zachłanną radość życia, i to było naturalne, podobnie jak jej zdumienie, a także poczucie winy – jakim cudem udało się właśnie jej, podczas gdy wielu innych, teoretycznie znacznie bardziej doskonałych, zostało w przeszłości? Sam doświadczał bardzo podobnych uczuć, więc doskonale ją rozumiał. Tym, czego nie rozumiał, było, że Kaira nawet śmiejąc się i żartując, wydawała się poświęcać mu tylko niewielką część uwagi. Piła grzane wino, a potem tańczyła do wtóru skocznej muzyki, i przez cały czas wędrowała myślami gdzieś daleko, rozważając coś, a on mógł być tylko biernym świadkiem tego procesu, coraz bardziej zaintrygowany i jednocześnie zirytowany, bo nie przywykł, by cokolwiek spychało go na drugi plan.

Mówił więc, żeby zasypać słowami coraz częstsze okresy milczenia, a także by poradzić sobie z chaosem własnych uczuć. Słowa zawsze były jego przyjaciółmi, to one określały i porządkowały rzeczywistość, ale tym razem go zdradziły. Mimo iż wcale nie wypił dużo, miał wrażenie, że się upił; słowa, zdania, całe historie wylewały się z niego jak woda z niedokręconego kranu, a on już wiedział, że wielu z nich będzie żałował.

— Moja matka była laborantką w Archiwum — powiedział, pochylając się po kubek z winem. Pod wpływem ciepła w rubinowym płynie rozwijał się złocistozielony kwiat. — Za swojego pierwszego syna, a mojego starszego brata, zapłaciła dwadzieścia surimów, na więcej nie było ją stać. Ary był dzieckiem Ekwilibrium, ale niezbyt uzdolnionym, trudno oczekiwać cudów za taką sumę. Oczywiście moja matka miała nadzieję, matki zawsze mają nadzieję, prawda? — zaplątał się, zażenowany własną niezręcznością. — Potem w laboratorium wydarzył się poważny wypadek. Mama przeżyła, ale została oszpecona, jej twarz... ciesz się, że nigdy nie widziałaś jej twarzy. Dostała wtedy odszkodowanie i całą sumę postanowiła przeznaczyć na mnie, na jeszcze jedno dziecko, i to takie, które będzie miało szansę przetrwać aż do Przebudzenia. Zamówiła mnie tak jak Ary'ego, u duszoinżynierów Ekwilibrium, życząc sobie dokładnie tego samego, czyli zrównoważonego pakietu artystycznych talentów. Zapłaciła więcej, więc jestem znacznie bardziej utalentowany, choć i tak w porównaniu z innymi... — zamilkł i chwilę bawił się kubkiem. — Kairo, czy to w ogóle cię interesuje? — zapytał desperacko.

— Owszem — odparła, i najdziwniejsze było to, że chyba mówiła prawdę. Widać dziewczyna miała dobrą podzielność uwagi. — Co się stało z twoją matką?

— Została z tyłu, kiedy byłem jeszcze bardzo mały. Większość dzieciństwa spędziłem wraz z bratem w dzielnicy sierot, a potem, ledwo Ary osiągnął dojrzałość, jego też zabral Skok. Wtedy znalazłem sobie mieszkanie w centrum i się przeprowadziłem.

— Mnie stworzyli duszoinżynierowie Chaosu — powiedziała Kaira powoli, jakby smakując na języku wypowiedane słowa. — Jestem zlepkiem przypadkowo dobranych genów. I nie mam żadnych zdolności.

Finnen poczuł uderzenie gorąca; żal, współczucie, skrępowanie jej nieszczęściem miękką falą podeszły mu do gardła. Nic dziwnego, że Kaira była tak głęboko przekonana, iż podczas Skoku zostanie z tyłu. Nikt już nie zamawiał dzieci u duszoinżynierów Chaosu – owszem, byli niegdyś modni, ale to było dawno, przed stu kilkudziesięciu laty albo i więcej, w czasach gdy żyła jeszcze matka jego matki. I moda ta trwała bardzo krótko. Ta niemal zapomniana korporacja

tworzyła ludzi dokładnie tak, jak powiedziała Kaira, dobierając geny bez żadnego planu i nie dbając o to, by zapewnić im jakiegokolwiek talenty. Czasem z takich dzieci wyrastali geniusze, ale znacząca większość była zupełnie przeciętna. I zostawała z tyłu przy swoim pierwszym dorosłym Skoku. Duszoinżynierowie Chaosu mieli najfatalniejsze statystyki w mieście, gorzej radzili sobie tylko nieistniejący już Perfecti, którzy dawno, dawno temu uparli się, by tworzyć ludzi doskonałych pod każdym względem.

— Nie rozumiem, jak ktoś mógłby zrobić swojemu dziecku taką krzywdę...

Kaira wzruszyła ramionami.

— Jestem jedenastą córką i mój ojciec twierdzi, że miał dość przewidywalności. Chciał choć raz nie wiedzieć, co wyrośnie z jego dziecka. Myślę — dodała z ociąganiem, jakby zastanawiając się, czy warto ojca usprawiedliwiać — że on naprawdę wierzył, iż przypadkiem otrzymam zdolności, które pozwolą mi przetrwać. Lubił mnie, gdy byłam mała, pamiętam, że często wołał mnie do siebie, a potem podsuwał różne zabawki, kredki do rysowania, mechaniczne układanki, muzyczne instrumenty. I czekał, obserwując, czym najchętniej się bawię i do czego mam talent. Tyle że ja żadnego talentu nie mam i w miarę jak rosłam, stawało się to coraz bardziej oczywiste. Od pewnego czasu wszyscy już byli przekonani, że zostanę z tyłu. Nikt nie powiedział tego głośno, ale ja wiedziałam, widziałam to w oczach ojca, sióstr, nawet służących. — Potrząsnęła głową, najwyraźniej zdziwiona. — Byłam przekonana, że oni wszyscy mają rację.

— Ale przecież przetrwałaś, prawda? Może jednak masz jakieś ukryte zdolności...

Czuł, że jego optymizm brzmi fałszywie. Co prawda ten Skok nie zabrał Kairy, ale z powodzeniem mógł to zrobić następny, za kilka lat, może nawet miesięcy. Pewnie tak będzie. Czy dziecko Chaosu miało w ogóle jakąkolwiek szansę dotrzeć aż do Przebudzenia? A jakie szanse miał on? Nikt nie znał dokładnych planów Przedksiężycowych, ale z dotychczasowych wyliczeń wynikało, że czeka ich jeszcze kilka do kilkunastu Skoków, podczas których odrzuconych zostanie ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent obywateli Lunapolis. A więc na koniec zostanie około tysiąca osób, które Przedksiężycowi z takich czy innych względów uznają za najdoskonalsze.

Kilka do kilkunastu Skoków. Jeśli nadal będą następować w tym samym tempie, tak szybko jeden po drugim, to Finnen i Kaira należeć będą do ostatniego pokolenia. Tego, które osiągnie Przebudzenie.

Poczuł lęk, nie ten przyjemny dreszczyk emocji, który tak lubił, lecz prawdziwy, dojmujący lęk, jakby stanął na iglicy Kopuły i spojrzał w dół, w otwierającą się pod jego stopami przepaść. I wiedział, że prędzej czy później w nią wpadnie, przy kolejnym Skoku albo jeszcze następnym. Nie zestarzeje się ani nie umrze naturalną śmiercią, lecz zginie w przeszłości, w płomieniach, od zakażenia z ran albo zepsutego jedzenia.

„Czas się kończy” — powiedziała piękna Alika i było to prawdopodobnie jedyne mądre zdanie w całym jej życiu.

Miał zawroty głowy, a w żołądku czuł ucisk, jakby zjeżdżał windą czasową.

— Chodźmy się przejść — zaproponował desperacko.

Spojrzał na Kairę. Ona także powinna się bać, jeszcze bardziej niż on, a mimo to wcale nie wyglądała na wystraszoną. Poczuł przypływ niechęci. Może była zbyt głupia, by myśleć o przyszłości, może tak jak wielu innych po prostu żyła chwilą.

Zazdrościł jej tak czy inaczej.

Wiatr ucichł, ale wcześniej rozgonił chmury i na niebie lśniły teraz jasnym blaskiem trzy księżyce – największy srebrny Wóz, różowawy Woźnica i błękitny Wół.

Najpierw szli w górę, do wyżej położonych dzielnic, z których większość była opuszczona. Przez wieki Lunapolis rozrastało się, by potem, w miarę jak malała liczba mieszkańców, a z prowincji już nikt nowy nie przybywał, zacząć się kurczyć. Ci, których Skok oszczędził, zajmowali domy swych mniej szczęśliwych sąsiadów, wolno, ale nieustępliwie prąc w stronę centrum. Tam był Wodny Plac, wieże Ekwilibrium i Principium, Hale, a także Archiwum. Tam teraz skupiało się życie.

Miasto lśniło czystością, jak zawsze po Skoku. W przeszłości został cały brud, kurz i śmieci. Tylko pod jedną z ławek Finnen dostrzegł złożoną na pół gazetę. Najwyraźniej kupiono ją tuż przed Skokiem, strony miała całe i niepoplamione. Pewnie dlatego ocalała. Finnen podniósł ją. W świetle trzech księżyców doskonale widział dużą czcionkę na pierwszej stronie.

„Mei Igonette z siódmego piętra Archiwum zapewnia, że wkrótce zostaną ukończone prace nad Błyskawicznym Transporterem Materii Ożywionej na Długie Dystanse. Czy w związku z tym już niedługo czeka nas jeszcze jeden Skok? Przypominamy, że Igonette jest prawnikiem twórcy Kolejki, dzięki której przeskoczyliśmy prawie pięćdziesiąt lat...”.

Przeniósł wzrok niżej:

„Ile lat przeskoczymy dzisiaj?”.

I na drugą stronę:

„Art-morderca Mirka Mirhei w liście do prasy zapewnia, że uda mu się zabić rzeczoznawcę Omariego. Omari słynie z wielkiej ostrożności, zatrudnia zaufane strażę oraz ludzi, którzy próbują jego pokarmów. Morderstwo ma nastąpić trzy miesiące po Skoku...”.

Ciekawe, pomyślał Finnen, czy Mirka w ogóle Skok przetrwał.

Pewnie tak. Ten starzec – jeden z nielicznych starców w Lunapolis – był nie do zdarcia.

Kaira czekała cierpliwie, podczas gdy wiatr, teraz łagodny, szarpał jej suknię. Finnen odłożył gazetę i ruszyli w dół, w stronę centrum, tam gdzie okna były oświetlone, a z wnętrza dobiegały dźwięki muzyki. Fletnia, tamburyn, gitara... Finnenowi sprawiło niespodziewaną przyjemność to, że stał na zimnych schodach, podczas gdy inni bawili się w ogrzewanych salach. Czuł się trochę jak aktor na scenie, często tak bywało i podobała mu się rola, jaką grał. W

tkwieniu na zimnie z kimś, kogo ledwo znał, było przynajmniej coś oryginalnego, a Finnen lubił oryginalność.

Wziął Kairę za rękę. Nie dlatego, że w świetle księżyców wyglądała jakoś szczególnie ładnie – chociaż wyglądała – lecz dlatego, że ten gest wydał mu się odpowiednim dopełnieniem chwili. Nie zaprotestowała, a on zdał sobie sprawę, że jest zbyt zamyślona, by zwrócić na to uwagę. To go zabolalo, lecz ból szybko minął. W dotykaniu nieświadomej dziewczyny, która wcale nie pragnęła być dotykana, była pewna ukradkowa, brudna przyjemność, kojarząca się z podglądaniem przez okno.

Zatrzymali się przed Archiwum. Gmach wyróżniał się, gdyż jako jedyny w Lunapolis miał gładkie, niczym nieozdobione ściany. Ze względu na zagrożenie szalejącymi w przeszłości pożarami mury zbudowano z materiałów ognioodpornych, a rury, którymi dostarczano gaz i ciepłą wodę, poprowadzono wyjątkowo wewnątrz budynku, nie na zewnątrz.

W Archiwum paliły się światła, bo nawet w noc Skoku wrzały tu prace nad nowymi wynalazkami, z których każdy spowodować mógł kolejny Skok. „Igonette z siódmego piętra Archiwum zapewnia...”. Alika po stokroć miała rację: czas rzeczywiście się kończył.

Wrócili na Wodny Plac i tam Finnen puścił rękę dziewczyny – czuł się trochę jak złodziej, który ma odrobinę poczucia winy, ale tak naprawdę nie żałuje swego czynu.

— Ktoś za nami idzie — powiedział, stając niedaleko Studni.

— Słucham? — Zmarszczyła brwi. Dopiero te słowa wyrwały ją z zamyślenia.

— Ktoś za nami idzie — powtórzył cierpliwie. — Wiem to od pewnego czasu. Nie, nie oglądaj się...

Pociągnął ją w stronę cembrowiny. Studnia wielkością przypominała tak naprawdę nieduży okrągły basen, a swoją nazwę zawdzięczała temu, że była niezwykle głęboka. Niektórzy twierdzili, że jej dno leży w przeszłości, w najniższym i najstarszym z odrzuconych światów. Finnen czasem w to wierzył, a czasem nie – w zależności od tego, czy akurat miał ochotę na bardziej lub mniej romantyczną wersję rzeczywistości.

Woda w Studni była leciutko naelektryzowana, a jej krople smakowały solą.

Finnen pochylił się i udał, że spogląda w głąb, tam gdzie na dnie spoczywali Przedksiężycowi, a w rzeczywistości dyskretnie zerknął w stronę, gdzie przed chwilą dostrzegł ciemną, zwinną sylwetkę. Bawiły go takie wybiegi, choć tak naprawdę nie było powodu, dla którego nie mógłby się obejrzeć normalnie.

— Tam, przy gmachu Principium, tuż przy cokole z kamiennym gryfem. Ostrożnie... O, widzisz?

— To mój brat.

— Dlaczego za nami chodzi?

— Musiał zauważyć, że wymknęłam się z domu, i teraz mnie pilnuje.

— Powie twojemu ojcu?

— Że się wymknęłam? Ojciec i tak będzie wiedział. Ale Niraj mnie nie zdradzi.

Finnen spojrzał w ciemność Studni. Jak naprawdę wyglądają Przedsięwzięcowi? Kiedyś wyobrażał ich sobie jako śpiących olbrzymów; teraz, gdy dorósł, ta wizja wydawała się mocno naiwna, ale wciąż nie potrafił się od niej uwolnić.

— Próbował mnie zabić — powiedziała Kaira dziwnie spokojnym głosem. — Dwa razy. Zmieszany, podniósł na nią wzrok. Jeśli miał to być żart, to go nie rozumiał.

— Twój brat?

Skinęła głową, całkowicie poważna.

— Ten sam brat, któremu ufasz, że cię nie zdradzi? Kairo... — urwał. Dziewczyna miała talent do wytrącania go z równowagi. Czy ona w ogóle jest normalna? Gdyby się okazało, że nie, poczuliby pewną ulgę, bo wtedy świat wróciłby w stare, wytarte koleiny.

Ulgę, ale chyba też rozczarowanie.

— Powinnaś powiedzieć ojcu, zawiadomić straż miejską... — zaplątał się. — Powinnaś coś z tym zrobić.

— Nie rozumiesz.

Powstrzymał się od stwierdzenia, że ona chyba też.

Skinęła dłonią. Ciemna postać oderwała się od cokołu z kamiennym gryfem i zaczęła do nich zbliżać. Brin Niraj szedł długim, sprężystym krokiem, jego sylwetka była wysoka i barczysta.

— Mieszkamy niedaleko Hal, przy Schodach Żonglerów — powiedziała Kaira. Jej brat był coraz bliżej, Finnen dostrzegł już nie tylko zarys sylwetki, lecz także jasną plamę twarzy okolonej krótkimi, kręconymi włosami. — Odwiedź nas, jeśli będziesz miał ochotę.

— Możesz mieć przeze mnie kłopoty — zastrzegł.

— Nie większe niż te, które i tak będę miała.

Nie zdążył odpowiedzieć. Niraj stanął przed nimi i przyjrzał się Finnenowi z leniwym,

rozbawionym zainteresowaniem. Chłopak odwzajemnił spojrzenie, starając się nie okazywać przesadnej ciekawości.

Brin Niraj miał szeroką, bladą twarz, wąskie usta i bezkształtny, najwyraźniej kilkakrotnie złamany nos. Wcale nie był do siostry podobny, jedynie kolor włosów i oczu mieli tak samo węglisczarny.

Brat, który próbował zabić Kairę.

— Nie musisz z nim iść — powiedział Finnen pod wpływem nagłego impulsu.

— Oczywiście, że muszę. — Zdziwiona dziewczyna zmarszczyła brwi.

Niraj wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

— Słyszałeś. Musi.

Finnen zacisnął szczęki. Nienawidzę go, pomyślał z nagłą, dziecinną urazą, czując, jak zalewa go piekąca fala złości. Arogancki sukinsyn.

— Nie martw się o mnie — rzuciła Kaira przez ramię, gdy brat chwycił ją za łokieć i pociągnął za sobą. — Wszystko będzie dobrze.

Patrzył, jak odchodzą przez plac, ścigani przez własne, wychudzone cienie.

„Wszystko będzie dobrze”. Też coś.

Stał przy Studni, czekając, aż Kaira odwróci się i poprosi go o pomoc. Nie miał pojęcia, co wtedy zrobi, Brin Niraj był od niego wyższy, cięższy i znacznie lepiej umięśniony. Mimo to czekał.

Dziewczyna nie odwróciła się i po chwili Finnen został na Wodnym Placu sam. Ponownie poczuł ciężar samotności i tym razem nie było w nim nic przyjemnego. Wiatr znów się wzmógł, słona woda zafalowała, a chłopak zadrżał z zimna.

Miał wrażenie, że wydarzyło się coś ważnego, tylko on jest zbyt głupi – a może jedynie zbyt młody, zmęczony i zmarznięty – by zrozumieć, co to było.

Wrócił do domu jeszcze przed świtem.

W pracowni pstryknął włącznik, a przesłona na suficie rozsunęła się, ujawniając krągłe ślepie inoszyby. Szkło płonęło księżycowym światłem, błękitnym i drgającym, jakby przefiltrowano je przez falującą wodę. Dla przodków Finnena światło to z pewnością nie byłoby wystarczające, lecz chłopak, jak większość ludzi jego pokolenia, miał udoskonalony wzrok. Widział nawet rysunki na miedzianych płytkach, którymi wyłożono sześć z ośmiu ścian pracowni (pozostałe dwie zajmowały ciemne teraz okna), widział też bałagan na stole, wszystkie pędzle, rozpuszczalniki, farby i szmatki, a dalej sztalugi, czyste szyby i płótna. Przywykł pracować przy blasku inoszkła, bo świetlikowe, bardzo drogie lampki budził tylko na specjalne okazje.

To, co teraz zamierzał zrobić, trudno było nazwać specjalną okazją.

Rzucił kurtkę na szafkę, gdzie trzymał listy oraz wiersze, a potem rozbił niedawno namalowany obraz.

Chciał zrobić to na spokojnie, bez złości, ale nie wytrzymał. Obraz był martwy, bezduszny – Finnen nie miał pojęcia, jak kiedykolwiek mógł uważać go za dobry. Deptał więc kawałki szkła, miażdżył je podeszwami na drobny pył. Później podarł wiersz dla Alikei, wysypał przy okazji na podłogę zawartość dwóch szuflad i kopniakami rozrzucił ją po pokoju. Zniszczył też miejski pejzaż, bo malował go bez przekonania, a także zaczęty portret Alikei, bo wiedział, że go nie dokończy.

Na koniec otworzył okno i cisnął w półmrok fletnię, na której nigdy nie nauczył się porządnie grać.

Potem usiadł na łóżku, odrobinę przestraszony napadem furii. Zdarzały mu się czasem podobne, owszem, niektóre nawet świadomie podsyczał, ale ten był inny, bardziej gwałtowny. I po nim Finnen wcale nie czuł ulgi.

— Załóż jeszcze kolczyki... Będą pasować do sukni. Widzisz? I ładnie podkreślają ciemny kolor twojej skóry. Teraz makijaż...

Noora, drobna i delikatna niczym porcelanowa lalka, krążyła wokół Kairy, demonstrując niespożyte zasoby energii oraz słów. Jej pewność siebie wynikała ze świadomości własnej urody i uroku osobistego. Jak skrupulatnie odliczała, miała za sobą siedem „poważnych” romansów i w każdym z nich to ona ostatecznie chłopaka rzucała.

— Teraz wyglądasz naprawdę ładnie — powiedziała całkowicie szczerze, bo jej własna pozycja piękniejszej siostry i tak była niezagrożona. — Będzie zadowolony, mężczyźni lubią, kiedy kobiety ładnie wyglądają.

Kaira skinęła głową, choć nie sądziła, że to jej cokolwiek pomoże. Ojciec i tak ją ukarze, pytanie brzmiało jak.

Nieważne, zacisnęła zęby. Wytrzymam wszystko. Po ćwiczeniach z Nirajem i tak mam pełno siniaków, więc kilka dodatkowych nie zrobi różnicy. A jeśli zamknie mnie w pokoju i zakaze wychodzić, to co z tego? Spędziłam tam większość życia.

Wytrzymam.

— Iść z tobą? — zapytała Noora.

— Tak, jeśli możesz. Proszę.

— Kairo, podejdź bliżej. Noora, zostań.

Starsza dziewczyna została przy rozsuwanych drzwiach, młodsza podeszła do fotela. Sylwetka Brina Issy ginęła w mroku, podczas gdy blask świetlikowych lamp padał na zupełnie przypadkowe elementy: globus, na którym Lunapolis rozlewało się ciemną plamą pośrodku górzystego kontynentu, zabytkowe astrolabium, częściowo złożony prototyp głowy mechanicznego z czasów, gdy głowy te były dwa razy większe niż ludzkie, zegar wodny i gablotę, za której szybą tkwiły wypchane ptaki, każdy z nich wart fortunę.

Wszystko to niegdyś należało do ojca Issy.

Kaira rozejrzała się dyskretnie. Pokój niemal się nie zmienił, od czasu gdy przychodziła tu jako dziecko, by bawić się układankami, farbami i muzycznymi instrumentami. Potem rozczarowany ojciec stopniowo przestał po nią posyłać, a przez ostatnich kilka lat miała wręcz wrażenie, że w ogóle dla niego nie istnieje.

Teraz przypomniał sobie o najmłodszej córce.

— I co ja mam z tobą zrobić, Kairo?

Czy jej się zdawało, czy rzeczywiście w głosie Brina Issy brzmiała nutka zadowolenia? Może chodziło o to, że naprawdę ładnie wygląda, a może ojca ucieszyła jej samowola. Nie mogła być córką utalentowaną, to niech chociaż będzie krnąbrna, może z jego punktu widzenia byłoby to interesujące.

— Nie wiem, tato, decyzja należy do ciebie.

Pokój się nie zmienił, ale jej ojciec tak, i to bardzo. Dawniej, gdy spędzała z nim najwięcej czasu, był rzeźbiarzem, potem chirurgiem, jeszcze później hodowcą jedwabników i zawodowym graczem w kości, a teraz handlował dziełami sztuki. Kaira jako młodziutka dziewczyna starała się wyłuskać spośród zmiennych talentów jądro jego osobowości.

Znalazła dwie cechy, które pozostawały bez względu na kolejne genozmiany: inteligencję oraz talent do zadawania bólu.

— Dużo ćwiczysz z Nirajem?

Kairze ścierpła skóra. To Brin Issa pozwolił, by uczyła się walki nożem darakka, bo miał nadzieję, że przynajmniej w tej dziedzinie córka wykaże uzdolnienie. Nie wykazała, a przynajmniej niewystarczająco duże, by go zadowolić, lecz nie zabronił jej dalszej nauki i nigdy

później o tym nie wspominał.

Aż do teraz.

— Owszem.

— I jak ci idzie?

— Nie najgorzej.

Oznaczało to mniej więcej tyle, że potrafi się bronić przez pierwszych pięć–dziesięć minut. To i tak długo, biorąc pod uwagę, że najlepsi duszoinżynierowie Principium dobrali cechy jej brata pod kątem sztuk walki. Właśnie podczas tych ćwiczeń Brin Niraj dwa razy próbował Kairę zabić.

— Jest surowym nauczycielem, prawda? Założę się, że cała jesteś posiniaczona.

Milczała, zgarbiona pod ciężarem jego słów. Jeśli jej podejrzenie jest słuszne...

— Kairo? — ponaglił ją szept z mroku. — Mam rację?

— Nie jest tak źle... — wymamrotała, doskonale wiedząc, że nie brzmi to przekonująco.

— Zawsze byłaś twardą dziewczyną — zaśmiał się Brin Issa, ale w jego głosie nie słyhać było ani odrobiny uznania. — I spokojną, to też trzeba ci przyznać. Przynajmniej do niedawna. Wszystkie te dni, które tak grzecznie spędzałaś w swoim pokoju...

On wie, pomyślała, teraz już absolutnie, całkowicie pewna. Wie dokładnie, co rozważałam, zanim tu przysłałam. Może podczas ostatniej genozmiany kazał dodać sobie zdolności telepatyczne. Albo zwyczajnie zna nas wszystkich lepiej niż my siebie, potrafi przejrzeć wszystkie nasze kłamstwa i zawsze wie, za jaki sznurek pociągnąć.

Tak czy inaczej nie ukarze mnie ani biciem, ani zamknięciem na klucz w pokoju. Znajdzie inny sposób, gorszy.

— Zdecydowałem, że nie zasłużyłaś na karę — powiedział lekko, a ona mu uwierzyła i poczuła wdzięczność, może nawet coś zbliżonego do miłości, jaką darzyła ojca w dzieciństwie. Wspomnienie tej chwili miało ją później palić ogniem upokorzenia.

— Jesteś tak młoda, że za twoje wybryki odpowiadają twoi bezpośredni opiekunowie, nie ty — ciągnął Brin Issa. — Ukazanie służących nie ma sensu, więc obawiam się, że będę musiał obarczyć odpowiedzialnością ciebie, Nooro. Powinnaś pilnować młodszej siostry. Myślę, że dwadzieścia uderzeń dyscypliną wystarczy.

Kaira zdrętwiała. Od strony drzwi dobiegł cichy pisk strachu.

— Ojczy, proszę...

— To niesprawiedliwe — poparła siostrę Kaira, gdy już udało jej się odzyskać głos. — Jestem dorosła, mogę odpowiadać za siebie. To moja wina, nie Noory!

Krzyczała, doskonale wiedząc, że to nie pomoże, bo decyzja ojca nie miała nic wspólnego z logiką.

Brin Issa słuchał w milczeniu. Potem poruszył się i na chwilę z ciemności wychynęła jego biała dłoń o długich palcach.

— Nie sprzeciwiaj mi się — powiedział ostrzegawczo.

Kaira zignorowała jego ton. Wiedziała, że ojciec świetnie się bawi.

— Ukarz mnie! — wrzasnęła desperacko. — To ja zasłużyłam!

— Kairo, wyjdź. Noora zostaje.

— To była moja wina, nie jej!

— Wyjdź, zanim zawołam Niebieską Dziewiątkę.

Przygryzła dolną wargę. W potężnym, mechanicznym ciele Niebieskiej Dziewiątki uwięziony był gang braci podziemnych, których pilnował najłagodniejszy z nich. Lecz nawet ten najłagodniejszy bez zmrużenia oka potrafił połamać człowiekowi rękę.

Dotarło do niej, że przegrała. Tak naprawdę w starciu z ojcem w ogóle nie miała szans. Mogła zostać, czekając, aż przyjdzie służący i wyniesie ją, wrzeszczącą, na plecach.

Albo mogła wyjść, zachowując przynajmniej odrobinę godności.

W progu odwróciła się i spojrzała na siostrę. Jej drobna, delikatna twarz kobiety, której nikt nigdy nie uderzył, zastygła w wyrazie grozy.

Daniel Pantalekis unosił się na fali, która w jego wyobraźni była czerwona jak świeża krew. Czasem nurkował tak głęboko, że tracił przytomność, i to było dobre, bardzo dobre. A potem wynurzał się i jego ciało znów zaczynało skowyczeć, zalewane szkarłatnym bólem. Szybko odkrył, że cierpi mniej, jeśli nie próbuje się poruszać, więc leżał w ciemności, modląc się do Boga, aby pozwolił mu zejść niżej, w błogosławioną ciszę śmierci.

Tak naprawdę jednak nie chciał umierać.

Rozchylił sklezione wargi i poruszył ustami. Otworzył oczy.

— Proszę... — wyszeptał.

Jego wzrok powoli przyzwyczajał się do czerwonego półmroku. Zobaczył wysokie sklepienie wspierane przez czarną kolumnę w kształcie tańczących postaci, a potem, niżej, pysk zwierzęcia, które przypominało panterę.

Pantera z mechanicznym zgrzytem obróciła łeb w jego stronę.

Krzyknął cicho, bo tylko na tyle było go stać, i szarpnął się w tył. A przynajmniej próbował to zrobić. Szkarłatna fala była niczym w porównaniu z bólem, który wybuchł w jego ciele i w jednej chwili spopielił mu nerwy, a potem wtrącił w ciemność.

Obudził się mokry od potu i rozpalony gorączką. Leżał z zamkniętymi oczami, skupiając się na oddychaniu: wdech, wydech, wdech, wydech. Przynajmniej to potrafił zrobić.

Wiedział, że obok czai się niebezpieczeństwo. Czuł instynktownie, jak zwierzę, choć jego umysł nie potrafił sformułować odpowiednich słów i nawet wspomnienie pantery było tak rozmyte, jakby widział ją dawno temu.

Unióś powieki i powoli obrócił głowę.

Pantera wciąż tam była.

Gdy na nią spojrział, ze zgrzytem poruszyła łbem. Jej oczy lśniły zielenią. Tym razem wytrzymał, drgnął tylko lekko i zaraz zamarł.

Pantera znowu przekręciła głowę. I znowu. Za każdym razem ruchowi towarzyszył zgrzyt zardzewiałego mechanizmu.

To maszyna, pomyślał, w dodatku chyba zepsuta. Nic mi nie robi.

Odczuł ulgę. Niewielką, bo w niczym nie zmieniało to faktu, że wciąż miał poważne kłopoty.

Mógł poruszać obiema dłońmi, a także palcami prawej stopy – wyczuwał je doskonale, wciąż tkwiące w bawełnianej skarpetce i wojskowym bucie. Ale poniżej lewego uda nie czuł już nic prócz bólu, który promieniował na całe jego ciało, skręcał wnętrzności i żelaznymi kleszczami obejmował żołądek. Nie chciał patrzeć w tamtą stronę. Spojrzał raz, z wysiłkiem unosząc się na łokciach, i zobaczył, że jego lewą nogę przygniata kamienny blok, tak duży i ciężki, że za nic nie zdołałby go podnieść. Jego kości... Kości musiały być zgruchotane, widział własne udo znikające pod kamieniem, sztywną od krwi nogawkę spodni.

Poczuł mdłości i odwrócił głowę. Zwymiotowałyby, ale żołądek miał pusty, więc po prostu starał się leżeć nieruchomo, czekając, aż miną skurcze.

Tak bardzo chciało mu się pić. Jego usta i gardło były suche, jakby ktoś nasypał w nie pustynnego piasku. Oddałby duszę za łyk chłodnej wody, płakał, kiedy wyobrażał sobie rozkoszną wilgoć na wargach, na języku, spływającą po podniebieniu. Płakał cicho, bez łez, wciąż skupiając się na tym, by leżeć nieruchomo.

Zielonooka pantera przyglądała mu się dalej, od czasu do czasu kręcąc łbem jakby z dezaprobatą.

Gorączka zniekształcała obraz miejsca, w którym się znajdował. Mechaniczne zwierzę, tańczące na kolumnie sylwetki i zawalona wnęka, która go uwięziła – wszystko to rozmazywało się przed oczami. Przez wyrwę w murze wpadało przyćmione czerwone światło, lecz Daniel nie potrafił dostrzec niczego, co znajdowało się na zewnątrz.

Nie potrafił też sobie przypomnieć, skąd się tu wziął. Jak przez mgłę pamiętał bardzo podobną salę, tylko znacznie bardziej zniszczoną, zrujnowaną. Uciekał przed jakimś koszmarem i z jakiegoś powodu uznał, że idealnym schronieniem będzie ta właśnie wnęka, więc wpadł do niej, a potem...

Potem były już tylko ból i gorączka. Z nich wynurzały się sceny, zatrzymane w czasie niczym wycięte z filmu kadry. Katerina leży na ziemi, Ivain, pochylony nad nią, coś mówi, o coś prosi...

Mężczyzna spychał wspomnienia w głąb umysłu. Wiedział, że kiedyś nadejdzie czas, gdy będzie musiał stawić czoła temu, co się wtedy wydarzyło. Kiedyś, ale nie teraz, teraz był ranny i potrzebował pomocy.

Mimo to obrazy wciąż napływały, a Daniel powoli przegrywał nierówną walkę. Próbuje pomóc Katerinie, sięga po pakiet medyczny...

Pakiet medyczny?

Jego serce zabiło mocniej, w głowie się rozjaśniło. Spróbował sobie przypomnieć, ile ampulek środka znieczulającego zużył. Dwie dał Katerinie, Ivainowi... Ivainowi chyba nie dał żadnej.

Powinien więc mieć jeszcze jedną.

Ostrożnie, niczym uzdrowiony paralityk po raz pierwszy wstający z łóżka, uniósł się na łokciach. Przeniósł ciężar ciała na lewą rękę, prawą zaś sięgnął za plecy, tam gdzie pod kręgosłupem czuł wypukłość pakietu medycznego, który przesunął się podczas upadku. Namacał miękką sztuczną skórę i odnalazł zamek błyskawiczny. Długo trwało, zanim zdołał go otworzyć, język zamka był maleńki i zdawał się śliski niczym kostka lodu, a Daniel palce miał niezgrabne jak pęczek zdrewniałej marchwi. Raz poruszył się zbyt gwałtownie i musiał przeczekać, aż minie spazm bólu, a sklepienie przestanie wirować przed oczami. Spocony i dygocący od gorączki, wbijał palce lewej dłoni w szparę między dwiema kamiennymi płytami, czerpiąc odrobinę ulgi z ich chłodu.

Wreszcie otworzył pakiet i sięgnął do środka. Teraz czekało go jeszcze odnalezienie ocalonej ampulki, jeżeli w ogóle istniała, wymacanie jej pośród leków przeciwgorączkowych i przeciwwymiotnych, środków odkażających i opatrunków. Najpierw trafił na iniektor, który starannie odłożył na bok. Potem wrócił do poszukiwania ampulki. Byłoby mu łatwiej, gdyby zdołał przekręcić pas tak, żeby pakiet znalazł się tam, gdzie powinien być, czyli na biodrze, ale w tym celu musiałby wyżej unieść się na łokciach, a na to nie miał siły. Grzebał więc w torbie coraz bardziej zdrętwiałymi palcami, z każdą chwilą mocniej przekonany, że jeśli nawet ampulkę odnajdzie, to nie zdoła jej rozpoznać, bo zaczynał tracić czucie. Chciało mu się krzyknąć i przeklinać, wyrzесzczеć z siebie całą nagromadzoną złość i rozpacz, całe przerażenie.

— No chodź tu, mała — mamrotał przez zaciśnięte zęby. — Wiem, że tam jesteś, no chodź, chodź, zrobimy z ciebie użytek, dobry użytek. Przecież się nie zniszczyłaś, maleńka? Nie mogłaś się potłuc, nie jesteś ze szkła...

Kiedy jego palce dotknęły plastikowej osłonki, w duchu odmówił krótką modlitwę. Sięgnął głębiej i zacisnął pięść. Opanowała go pokusa, by włożyć ampulkę między zęby, rozgryźć i choć przez chwilę poczuć w gardle wilgoć. Jak smakuje środek przeciwbólowy? Kiedyś pił rozpuszczone w wodzie witaminy i wtedy smak wydawał mu się obrzydliwy, ale teraz całowałby po rękach kogoś, kto dałby mu taki napój.

Czy jeśli połknie płyn, to zadziała tak samo, jakby go wstrzyknął?

Prawdopodobnie nie, odpowiedział rozsądek, i to przeważało. Najważniejsze było wyciszenie bólu, potem będzie się martwił pragnieniem.

Drżącymi dłońmi włożył ampulkę w iniektor, przyłożył go do prawego uda i wcisnął tłok. Po chwili po ciele rozlało się ciepło. Nie gorąco, jakim płonął wcześniej, po prostu przyjemne ciepło. Czerwone fale uspokoiły się, wygładziły. Ból nadal trwał, ale ukryty pod powierzchnią. Wszystko rozmywało się, oddalało, traciło na znaczeniu. Daniel dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Pragnął jedynie zwinąć się w kłębek w tym miękkim ciepłe i spać, spać...

Zasypiając, myślał o deszczu.

I deszcz przyszedł.

Gdy Daniel usłyszał szum, otworzył oczy. Nadal był przekonany, że śni, i w tym śnie wyciągnął dłonie w stronę strug, które wpadały przez wyrwę w murze. Były zbyt daleko, zdołał jedynie zamoczyć końce palców, z których starannie zlizał wilgoć, nie dbając o to, że zlizuje też brud.

— Bliżej — wychrypiał w stronę ulewy, bo ta odrobina tylko podrażniła mu gardło. — Bliżej.

Wiatr wzmógł się, deszcz teraz zacinał.

— Jeszcze trochę... — powtarzał z nadzieją, jego żołądek kurczył się spazmatycznie w oczekiwaniu na wodę, oczy płonęły gorączką. Słyszeć deszcz tak blisko i nie móc się napić było prawdziwą torturą.

— Bliżej...

Wyciągnął złożone w miseczkę dłonie i z trudem je uspokoił, by nie drżały. Gdy ciężkie krople uderzały o skórę, zmuszał się, by nadal tkwić nieruchomo, choć miał ochotę natychmiast podnieść ręce do ust. Wytrzymał jednak, zczekał, aż dłonie się napełnią, i dopiero wtedy...

Ruch był zbyt szybki, zbyt gwałtowny. Zebrana woda wylała się, a Daniel krzyknął boleśnie. Chwilę ssał w rozpacz wilgotne palce.

Jeszcze raz, pomyślał. Tym razem powoli. Dam radę, muszę.

Za drugim razem doniósł do ust łyk deszczówki. Potem trzeci. Czwarty znów wylał, ale czuł się już na tyle dobrze, by nie przejąć się tym aż tak bardzo. Wiedział, że z piątym pójdzie mu lepiej. I poszło. Pił wodę, aż poczuł ból w żołądku. Wtedy przestał, lekko wystraszony, i zczekał, aż jego organizm się uspokoi. Drżał przy tym, bo od strony wyrwy wiało wilgotnym zimnem, a on miał mokrą koszulę.

— Niech deszcz już przestanie padać — zamarudził, wciąż nie do końca przekonany, czy to wszystko jest jawą, czy snem. Jednego był pewien: kończyło się działanie środka znieczulającego, a następnej ampułki nie miał. — Teraz pora, żeby ktoś przyszedł mi pomóc.

Uczepił się tej myśli, pieścił ją w wyobraźni. Pochylone nad nim zatroskane twarze lekarzy w białych fartuchach, zastrzyk wbity w ramię i wreszcie uspokajające „Wszystko będzie dobrze, dzięki Bogu udało nam się pana odnaleźć, zaraz zabierzemy pana do domu. Proszę się

niczym nie martwić”.

A potem sterylny chłód szpitalnych sal, łóżko z wykrochmaloną pościelą, igła kroplówki, a także jego noga, poskładana i na wyciągu. Nijaki smak posiłków i stopniowy powrót do zdrowia, podczas gdy młode, uśmiechnięte pielęgniarki codziennie przychodzą, by zapytać: „Jak się pan czuje, panie Pantalekis? Lepiej? Czy mogę coś dla pana zrobić?”.

Wszystko to widział w najdrobniejszych szczegółach i jednocześnie zdawał sobie sprawę, że wizja ta jest niezbyt realna. Jedynym ocalałym członkiem załogi „Optymisty” był Jacques, który najprawdopodobniej w tej chwili z całą mocą silników pędził w stronę Kerberosa, przekonany, że Daniel także zginął.

W miarę jak wzmagał się ból, wizje stawały się coraz mniej przyjemne. Zamiast dziewczyny w pielęgniarskim czepku, nad jego łóżkiem pochylała się Katerina. Gdy poruszała ustami, spomiędzy jej warg wylewały się strugi krwi. Obok stał Ivain, ręce miał postarzałe, wykręcone artretyzmem i poznaczone wątrobianymi plamami. Tymi dłońmi manipulował przy kroplówce, mówiąc jednocześnie z uśmiechem Szalonego Kapelusznika: „Nie martw się, już wkrótce przestanie cię boleć, obiecuję”.

Wróciła czerwona fala, a wraz z nią gorączka. Daniel ledwo uświadamiał sobie, że po pierwsze, deszcz przestał padać, a po drugie, w sali zjawili się ludzie.

Było ich troje – ciemnoskóra kobieta i dwóch białych mężczyzn. Młodszy niósł coś, co wyglądało jak zardzewiały miecz.

Na widok rannego przystanęli i naradzali się chwilę. Potem podeszli bliżej.

Daniel, który dopiero teraz ich zauważył, wyciągnął ręce i wybełkotał prośbę o pomoc. Ich postacie rozmazywały mu się przed oczami, ale i tak widział, że wszyscy mają postarzałe, zniszczone twarze i ubrania, które bardziej przypominały brudne łachy. Trudno było o większy kontrast z wymarzonymi lekarzami w białych kitlach.

Młodszy mężczyzna przyłożył mu do szyi ostrze miecza, kobieta uklękła obok. Poglaskała go po włosach i powiedziała coś miękkiem, uspokajającym tonem.

Daniel nie znał jej języka, ale bez trudu odgadł, co to było.

„Zrobimy to szybko i nie będzie bardzo bolało — obiecywała. — Uwolnimy cię od cierpienia”.

Wrzasnął, wybałuszając oczy, i jednocześnie dłonią odepchnął ostrze. Było zardzewiałe, nawet się nie skaleczył, a oni zamierzali go nim zabić. Z litości.

Mężczyzna odsunął się, zdziwiony i jakby lekko urażony. Kobieta powiedziała coś do niego, jej mowa brzmiała jak odgłos kamyków spadających na metalową tackę: szybko wypowiedane, krótkie i dźwięczne słowa. Mężczyzna kręcił głową z powątpiewaniem. Sprzeciwiał się, ona go przekonywała. Ten trzeci, najstarszy, stał z boku i najwyraźniej nie zamierzał się wtrącać.

Dygocąc, Daniel uniósł się na łokciach. Czuł, że lada moment straci przytomność. A wtedy będzie za późno.

— Proszę... — wymamrotał. — Ja będę żył... Tylko mnie stąd uwolnijcie, proszę, błagam, dajcie mi szansę... Nie sprawię wam kłopotu.

Chwycił ciemnoskórą za rękaw, wczepił się w nią jak dziecko i błagał, nie mając pojęcia, czy to w ogóle ma sens; może nie miało, bo nie znała jego języka, lecz przecież nietrudno się było domyślić, o co prosi.

Kobieta spoglądała, zdezorientowana. Wreszcie podjęła decyzję. Delikatnie uwolniła rękaw z jego słabnących palców, a drugą ręką odsunęła mężczyznę z mieczem. Skrzywił się niechętnie, ale nie zaprotestował.

A Daniel wiedział już, że wygrał. Osunął się w ciemność, czując, że wypełnia go miłość do ciemnoskórej kobiety, której imienia nie znał.

— Keir też? — Finnen usiadł na ławce pod pomnikiem Aylena. Kosz, w którym znajdowały się zamrożone owoce, warzywa oraz małże, postawił obok nóg. Niebo chmurzyło się wyraźnie, lecz chłopak liczył, że zdąży wrócić do domu, zanim zaczną padać.

— Też — przytaknął rudowłosy Dime. Usiadł obok i zaraz wstał. Wepchnął rękę do kieszeni spodni, wyjął je i obejrzał, obrócił się, przeszedł kilka kroków tam i z powrotem. Zazwyczaj jego nadpobudliwość była zabawna, bo kojarzyła się z dzieckiem, które nie może usiedzieć spokojnie, lecz dziś w zachowaniu Dime nie było nic z radosnej dziecięcości. Okrągłe niebieskie oczy patrzyły na Finna w udręce, a przy tym jakby trochę oskarżycielsko. — Keir, który był najzdolniejszy z nas wszystkich! Dlaczego, Finnen, powiedz mi?

Zapytany milczał. Nie było na to żadnej odpowiedzi.

— Dlaczego nie ja? Jestem dzieckiem Ekwilibrium, moje zdolności są tak rozdrobnione, że tak naprawdę mam talent do wszystkiego i do niczego. Dlaczego więc nie ja?

Kolejny przypadek poskokowego poczucia winy, pomyślał Finnen ze znużeniem. Zupełnie jak Kaira.

— Dime, proszę — powiedział cicho. — To nic nie daje.

Mógłby dodać, że chłopak powinien cieszyć się życiem, ale nie dodał.

— Co teraz z nami będzie? — zapytał rudzielec, kołysząc się na piętach. Rękę znów wbił w kieszenie, głowę schował w ramionach, jakby było mu zimno. — Wiesz, z naszymi spotkaniami i w ogóle...

Tu już Finnen znał odpowiedź. Przed Skokiem było ich ośmioro – wszyscy młodzi, wszyscy w mniejszym bądź większym stopniu obdarzeni artystycznymi talentami. Razem pili, dyskutowali aż do rana i przechwalali się miłosnymi podbojami, wspierali nawzajem i przyjaźnili.

Teraz czworo zniknęło, zabranych przez Skok, i Finnen wiedział, że ich nieformalna grupka nie przetrwa takiego ciosu. Koniec z wieczorami spędzonymi przy winie, koniec ze wspólnymi wyprawami do Hal i z dowcipami, jakie robili rzeczoznawcy Omariemu. Każdy z nich pójdzie we własną stronę, bo gdyby nadal trzymali się razem, każdego dnia musieliby stawiać czoła zbyt dużej ilości wspomnień.

— Nie wiem — odparł jednak.

Rudzielec przestał się kołysać i zacisnął usta. Odwrócił się, zgarbił, ramiona mu drżały.

Nigdy nie radził sobie ze smutkiem, pomyślał Finnen, wspominając wiecznie roześmianego Dime, który wszystkich lubił i chciał, aby wszyscy lubili jego. A potem zreflektował się, że może było dokładnie odwrotnie, może to właśnie Dime jako jedyny poradził sobie z rozpaczą. Wyplakać ból – czy to nie jest najwłaściwszy sposób? Co z tego, że dziecinny.

Finnen czuł smutek, mimo że żaden z tych, którzy zostali z tyłu, nie był jego przyjacielem. On nie miał przyjaciół, tak naprawdę nie był nim nawet Dime, choć czasem tak go nazywał.

Wstał, poklepał płaczącego po plecach, mając nadzieję, że tym gestem dodaje mu otuchy. Pomyślał przy tym, że znacznie lepiej wychodzi mu pocieszenie kobiet.

Dime wytarł oczy w rękaw i pociągnął nosem. Potem spojrzał na pomnik najsłynniejszego w dziejach Lunapolis wynalazcy, który z wyciągniętą ręką stał pod ciemnym burzowym niebem.

— Pamiętasz, jak kłóciliśmy się o Aylena? Kto miał rację, on czy Toramea? A ty nie potrafiłeś się zdecydować, kogo popierasz, ten miał sporo słuszności, mówiłeś, i tamten też, i w rezultacie...

— W rezultacie pod koniec obie strony dyskusji nie lubiły mnie tak samo. Pamiętam, Dime.

Pamiętał tamten wieczór i jeszcze więcej. To się ciągnęło za nim od dzieciństwa, ta nieumiejętność zajęcia jasnego stanowiska w żadnej ze spraw. Zawsze istniało dla niego jakieś „z drugiej strony...”. Czasem uważał to za zaletę, za szczególną oryginalność umysłu, bo potrafił zrozumieć argumenty tak wielu różnych ludzi, a czasem za wadę, bo sam sobie wydawał się nijaki, rozmyty. Nawet w tej kwestii nigdy nie potrafił się zdecydować.

Był ciekaw, czy Dime wspomni o pewnym wydarzeniu z ich dzieciństwa, ale myśli chłopaka już biegły innym torem.

— A pamiętasz, jak nurkowaliśmy nocą w stawie? Albo jak porwaliś kochankę Omariego, żeby poczytać jej nasze miłosne wiersze? Albo — zachichotał, najwyraźniej na chwilę zapominając o płaczu — jak planowaliśmy wyjechać z miasta pustym wagonikiem Kolejki? To były czasy, co?

Czasy nie tak znów dawne, dla ścisłości. Finnen poczuł ucisk w sercu, nagły gwałtowny skurcz żalu za dawnymi szalonymi eskapadami. Dime miał mnóstwo pomysłów, ale brakowało

mu cierpliwości, żeby którykolwiek z nich zrealizować. To Finnen opracowywał szczegóły, narwany z jednej strony, a rozsądny z drugiej, dwie przeciwności w jednym. Zajmował się tym często, ale mógłby jeszcze częściej – tak naprawdę wszystkie pomysły Dime powinny zostać zrealizowane, zanim dorośli.

Pozostał tylko żal.

— Myślisz, że jeszcze kiedyś pojedziemy tym wagonikiem? Chciałbyś?

Finnen nie odpowiedział. Czasem wydawało mu się, że Dime wciąż jeszcze myśli jak dziecko, podczas gdy on z dzieciństwa wyrósł, uważał je za zamknięty rozdział. Czy teraz pojechałby wagonikiem Kolejki? Tak naprawdę chyba nie, to było dobre dla chłopców.

— Wszystko w porządku? — zapytał Dime szczerze, z troską, gotów natychmiast przeprosić, jeśli tylko Finnen w jakikolwiek sposób poczuł się urażony. — Słyszałem, że ta twoja dziewczyna, Alika, została z tyłu... I że w noc Skoku spotkałeś inną...

— To prawda.

— Powiesz coś więcej?

— Powiem, ale chodźmy stąd, bo zaraz lunie.

Finnen opowiadał tę historię już kilka razy, i to na różne sposoby – podkreślając melancholijny nastrój tamtej nocy albo z dyskretnym humorem sugerując istnienie erotycznej więzi pomiędzy nim a Kairą. Lecz każda z tych wersji wydawała się okaleczona, czegoś w niej brakowało, jakiegoś ważnego elementu, który wyczuwał, ale nie potrafił ująć w słowa.

Tym razem też tak było, choć starał się opisać wszystko jak najdokładniej.

— Pójdiesz do niej, skoro cię zaprosiła? — zapytał Dime, gdy Finnen skończył mówić. Wtedy stali już w bramie domu Finnena, a deszcz zacinał szerokimi, zimnymi strugami.

— Oczywiście, że tak. Jutro.

Świadomie odwlekał tę wizytę. Ćwiczył w ten sposób cierpliwość, jednocześnie ucząc się czerpać radość nie tylko z samej przyjemności, lecz także z oczekiwania na nią. A to, że wizyta w taki czy inny sposób sprawi mu przyjemność, było pewne. Spotkanie z człowiekiem tak bogatym i wpływowym jak Brin Issa rodziło różne... możliwości. Perspektywy, z których każda na swój sposób była interesująca. Nawet ta, w której Issa oskarżał gościa o zbałamucenie córki, a potem wyrzucał za drzwi. Taka konfrontacja byłaby świetną okazją do poćwiczenia słownej szermierki, nie mówiąc już o tym, że Finnen ułożyłby potem o całym zdarzeniu opowieść, zabawną bądź poważną, wszystko jedno. I niezależnie od prawdziwego wyniku starcia to on

byłby w niej górą.

Wyczuwając mały dramat, w którym przyjdzie mu zagrać jedną z głównych ról, Finnen uśmiechnął się lekko.

Kaira szła korytarzem, ostrożnie niosąc tacę z miodem, pieczywem i zieloną herbatą, która chlupotała w srebrnym dzbanuszk. Specjalnie wybrała najładniejszą zastawę, a chleb owinęła w haftowaną serwetkę. Noora zwracała uwagę na takie drobiazgi.

Zastanawiała się, czy siostra nadal będzie na nią zła.

Oczywiście przeprosiła ją już wcześniej. Noora leżała na łóżku, cała zapłakana, służąca opatrywała jej krwawiące plecy, a Kaira pospiesznie, połykając końcówki, tłumaczyła, jak bardzo jest jej przykro i że gdyby to było możliwe, z ochotą zamieniłaby się z nią miejscami.

Zyskała tyle, że starsza dziewczyna wykrztusiła z siebie krótkie „wszystko w porządku”, po czym odwróciła się do ściany.

Kaira wiedziała, że nic nie jest w porządku, ale nie traciła nadziei, iż siostra przestanie się bocyć. Noora nie jest głupia, na pewno w końcu zrozumie, że wściekać się powinna na ojca, nie na Kairę. Musi zrozumieć.

Przed pokojami siostry dziewczyna przystanęła i odetchnęła głęboko. Przełożyła ciężar do lewej ręki, a prawą ostrożnie rozsunęła drzwi. Dzbanuszek zachybotał się niebezpiecznie, serwetka z pieczywem podjechała na skraj tacy. Kaira czym prędzej przytrzymała ją drugą dłonią.

— Przyniosłam ci kolację — powiedziała, po czym znieruchomiała w progu.

Wyprostowana Noora siedziała na taborecie przy harfie. Nad nią pochylał się ojciec, który głaszcząc gęste, czarne włosy dziewczyny, mówił coś szeptem. Kaira przeniosła wzrok niżej, na plecy siostry okryte lekką koszulką, którą dobrano specjalnie tak, by nie drażniła zablizniających się ran. Biel jedwabiu w kilku miejscach znaczyły czerwone smugi. Na ten widok Kaira poczuła, jak wracają paskudne, dławiące wyrzuty sumienia.

Noora drgnęła i odwróciła się – miała osobliwy wyraz twarzy, jakby nie do końca wiedziała, czy ulec pieszczocie ojca, czy może odsunąć się z niechęcią.

— Postaw tacę na stole — polecił Brin Issa, uśmiechając się do młodszej córki i wciąż głaszcząc włosy starszej.

Co on jej mówił?, zastanawiała się Kaira, sztywno podchodząc do stołu. Noora wyglądała teraz na zakłopotaną i jednocześnie jakby... wyzywającą?

Głęboko z umysłu Kairy wychynęło wspomnienie z czasów dzieciństwa, gdy ojciec

jeszcze się nią interesował.

Tatuś musiał cię uderzyć, ale już się na tatusia nie gniewasz, prawda? Pocałujemy i przestanie boleć.

Zrozumiała, dlaczego siostra wciąż jest na nią zła.

Dłoń na włosach Noory nie miała nic wspólnego z pieśczętą, to był gest posiadacza. W ten sposób Brin Issa zaznaczał, że może córkę ukarać, zbić do krwi, a ona i tak nie przestanie go kochać. I ten gest w jakiś sposób skierowany był do niej, do Kairy, dziewczyna była niemal pewna, że ojciec wiedział, o której godzinie przyniesie siostrze kolację, i postarał się przyjść o tej samej porze.

Kaira powoli wycofała się w stronę drzwi. Czowała się oszukana i samotna jak nigdy dotąd. Brin Issa ukarał ją podwójnie – najpierw wyrzutami sumienia, a potem odbierając jej jedyną osobę, której na niej zależało.

„Wszystko w porządku” — tyle powiedziała Noora, gdy siostra szczerze ją przepraszała. A Kaira wiedziała, że nic nie jest w porządku. I nie będzie.

Cicho zasunęła drzwi. Na korytarzu dogonił ją ojciec.

— Chciałem ci coś dać. — Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej sakiewkę. — Pamiętam, jak bardzo bałaś się Skoku i martwiłaś się, że twoje geny nie są wystarczająco doskonałe. Teraz możesz je zmienić, jeśli zechcesz. Tutaj jest dwieście surimów.

— Dlaczego? — wyszeptwała zmieszana Kaira. — Tyle razy cię prosiłam, żebyś pozwolił mi to zrobić, ale zawsze odmawiałeś. Czemu teraz?

Oczywiście nic jej nie wyjaśnił.

— Zmieniłem zdanie, czy to tak trudno zrozumieć? Zresztą, skoro nie chcesz zabezpieczyć się przed kolejnym Skokiem, wydaj te pieniądze na cokolwiek innego, kup sobie modne suknie czy coś w tym rodzaju.

Kaira nie wierzyła w ani jedno słowo. Brin Issa doskonale wiedział, że najmłodsza córka nie pragnie drogich strojów, a jego propozycje nigdy nie były skutkiem prostego kaprysu. Każda z nich miała drugie i trzecie dno, każda mogła być precyzyjnie zbudowaną pułapką.

O co chodziło tym razem?

Kairę kusilo, żeby odmówić i zademonstrować w ten sposób własną niezależność. Możliwe jednak, że on tego właśnie chciał. Być może specjalnie zaproponował jej pieniądze w chwili, gdy czuła się tak bardzo urażona, by potem żałowała, że ich nie przyjęła.

A dwieście surimów było sumą zbyt wielką, żeby tak po prostu z niej zrezygnować.

Wyciągnęła rękę i wzięła sakiewkę. Pięknie haftowaną i obszytą rzeczonymi perłami. I ciężką. Ojciec uśmiechnął się z zadowoleniem, a Kaira ledwo opanowała impuls, by rzucić mu pieniądze pod nogi.

— Dziękuję.

— Nawiasem mówiąc — Brin Issa zbył jej podziękowanie lekceważącym machnięciem ręki — mogłabyś odzyskać przyjaźń Noory, gdybyś tylko chciała.

— Nie rozumiem... — Kaira zmarszczyła brwi, wyczuwając kolejną pułapkę. Sakiewka z monetami ciążyła w kieszeni, dziewczyna czuła się, jakby przyjmując ją, zawarła wyjątkowo niekorzystny układ, z którego nie będzie potrafiła się wyplątać. Z drugiej strony, gdyby odmówiła, miałyby zupełnie takie samo wrażenie.

W oczach Brina Issy zabłyśły kpiące iskierki.

— Przekonaj ją, że to przeze mnie cierpi. Bądź co bądź to ja ją zbiłem, prawda? Jeśli wytłumaczysz jej, jakim okropnym jestem ojcem, to na moim tle ty będziesz się wydawać bardzo dobrą siostrą. Ja nie miałem żadnych obiekcji, kiedy wykorzystałem cię dokładnie w ten sam sposób.

Wstręt i gorycz ścisnęły Kairę za gardło. Co on właściwie jej proponował? Jakąś dziwną rywalizację, w której stawką byłyby uczucia Noory?

— Ja tak nie potrafię — wyszeptała, z trudem powstrzymując łzy.

Issa wzruszył ramionami.

— Więc spróbuj wykorzystać siłę swojej osobowości. Mogłabyś... cóż, może to słowo zabrzmiało dziwne, ale myślę, że gdybyś tylko chciała, mogłabyś ją UWIEŚĆ. — Zachichotał, niczym ubawione żartem dziecko, i odszedł, zostawiając oszołomioną Kairę samą.

Finnen tkwił pośrodku korytarza niczym wyspa omywana rwącym nurtem rzeki. Obok przebiegali mechaniczni służący, dostawcy oraz rozliczni petenci, z których większość prawdopodobnie była artystami, pragnącymi, by Brin Issa wylansował ich dzieła. Chłopak z życzliwym zainteresowaniem spozjrzał na swego rówieśnika, który pod pachą niósł rulon ze zwiniętym obrazem. Mało brakowało, by Finnen znalazł się na jego miejscu, często przecież rozmyślał o tym, aby przyjść tu któregoś dnia i poprosić pana domu o protekcję. Zrezygnował jednak, bo gdyby Issa odmówił, Finnen raz na zawsze przekonałby się, że w jego talencie nie ma ani odrobiny geniuszu.

A teraz znalazł się tu z innego powodu.

Poprosił już jedną ze służących, by powiadomiła Kairę o jego przybyciu, ale jak dotąd nikt po niego nie przyszedł.

W porządku, pomyślał, zaciskając zęby. Poczekam.

Wyobrażał sobie różne scenariusze tej wizyty, ale nie przyszło mu do głowy, że będzie stał na środku korytarza i nikt się nim nie zainteresuje.

Zadarł głowę, starając się sprawiać wrażenie kogoś, kto się nudzi, bo nieco zbyt wcześnie przyszedł na umówioną godzinę. Wysoko ponad nim rozedrganym, błękitnym blaskiem płonęły inoszyby, skośnie ułożone na suficie; niżej w ozdobnych trójnogach świetliki naśladowały targane wiatrem płomienie. W rozmieszczonych co kilka kroków wnękach stały posągi, w większości gliniane albo drewniane. Finnen rozpoznał dzieła starych mistrzów. Nagi młodzieniec musiał zostać stworzony przez Avrę Abirana, trudno było pomylić styl, to chorobliwie szczupłe, a jednak pełne energii ciało. Dalej czteroręki mężczyzna, posępny, ze zmarszczonym czołem i chmurnym spojrzeniem. Wyglądał groźnie i jednocześnie smutno, więc Finnen przypisał go szkole Maikego. Jeszcze dalej urocza dama, z parasolką i w falbaniastej sukni tak precyzyjnie oddanej w drewnie, że musiała ją rzeźbić Hari Zurima.

A gdzie nowoczesne dzieła sztuki, którymi handluje Issa?

Zaintrygowany Finnen szedł wzdłuż korytarza, przyglądając się posągom tak intensywnie, że omal nie przegapił służącej, tej samej, którą wcześniej poprosił o powiadomienie Kairy.

Wyciągnął rękę i zatrzymał ją.

— Miałś powiedzieć panience Kairze, że przyszedłem ją odwiedzić — powiedział surowo. — Dlaczego tego nie zrobiłaś?

— Pan chyba rozmawiał z Zieloną Siódmką. — Służąca mówiła głosem młodego chłopca. — Ona jest roztargniona, często zapomina...

Usta srebrnej mechanicznej twarzy hermafrodyty ułożyły się w lekki uśmiech. Finnen zmarszczył brwi.

— W takim razie chcę jej to powtórzyć.

— Oczywiście.

Sługa skłonił się niedbale i po chwili jego rysy zmieniły się w subtelny sposób – były teraz nieco bardziej kobiece, sygnalizując w ten sposób powrót poprzedniej osobowości.

Finnen powtórzył polecenie, a potem odesłał służącą. Przez chwilę próbował odgadnąć, za co ukarano tę kobietę oraz chłopca i czy w tym ciele znajdowało się jeszcze więcej uwieczionych dusz. I kto pełnił rolę dozorczy?

Rozmyślając, dotarł do końca korytarza i wyszedł na podest szerokich schodów. W górę czy w dół?

Zdecydował się iść w górę.

Pogwizdywał cichutko, z przyjemnością przesuwając dłoń po wypolerowanej na połysk poręczy. Miękki dywan tłumiał jego kroki, a służący, którzy go od czasu do czasu mijali, zdawali się wcale nie zwracać na niego uwagi.

Skręcił w kolejny korytarz, węższy, niższy i mniej zatłoczony. Potem znów szedł schodami. I jeszcze jednymi, tym razem w dół.

Po kilkunastu minutach pojął, że zgubił drogę. Uśmiechnął się do siebie – to było zdecydowanie bardziej interesujące niż smętne tkwienie w tłumie petentów.

A jeszcze bardziej interesujące okazało się, gdy dostrzegł otwarte drzwi, w których stał mechaniczny strażnik szeroki w barach jak lodowiec. Serce zabiło Finnenowi mocniej. Skoro był tu strażnik, to znaczy, że w środku znajdowało się coś cennego. Przez chwilę zbierał odwagę, a potem przemknął obok mechanicznego, który odwrócił w ślad za nim srebrzystą głowę, ale nie ruszył się z miejsca.

Chłopak znalazł się w okrągłej, zwieńczonej witrażową kopułą sali, która musiała być galerią Brina Issy. To tutaj znajdowały się nowoczesne dzieła sztuki. Obrazy na płótnie i szkle, rzeźby z płonącego świetlika, kukielki, maski i wirofotografie, a także miniaturowe mechanoidy

ożywiane przez osobowości zwierząt – te ostatnie trzymano w klatkach, bo choć nie potrzebowały jedzenia, to zachowywały się jak prawdziwe zwierzęta. Finnen oglądał to wszystko z ciekawością, lecz zatrzymał się dopiero przy wysokiej na pół łokcia przezroczystej statuetce, która przedstawiała małą dziewczynkę.

Stała pod szklanym kloszem, unosząc drobną, poważną twarzyczkę. Było w niej coś niewymownie smutnego i jednocześnie pięknego, kruchość przemijającej chwili, która chwyciła Finnena za gardło.

— Podoba się panu?

Odwrócił się gwałtownie. Za nim stał drobnokościsty mężczyzna o starannie wypielęgnowanej cerze, ciemnych włosach i oczach. Finnen znał tę twarz z niewyraźnych zdjęć w gazetach.

Brin Issa.

— Tak, jest bardzo piękna. — Czuł się nieco skrępowany, sądził bowiem, że Issa wziął go za potencjalnego kupca. — Z czego ją zrobiono?

— Z lodu, który nie topi się dzięki polu mrozu. Mogę je wyłączyć, o tutaj... — Ojciec Kairy dotknął guzika poniżej szklanego klosza.

— Nie! — krzyknął Finnen, a Issa uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony.

— Ja wykonałem tę rzeźbę — powiedział. — Przed wielu laty, zanim zamieniłem uzdolnienia rzeźbiarza na inne.

Chłopak popatrzył na lodową dziewczynę, nagle posmutniały. Jak można zrobić coś takiego samemu sobie? Okaleczyć się, dobrowolnie pozbawić talentu.

— Spałeś z moją córką?

Finnen spojrzał na Issę niezbyt przytomnie. A więc jednak ojciec Kairy go poznał.

— Nie. — Spodziewał się tego pytania i przygotował kilka odpowiedzi, ale w tej chwili zdobyć się mógł tylko na tyle.

— A powiedziałbyś mi, gdyby tak było?

— W zależności od humoru. — Finnen uśmiechnął się lekko. Powoli zaczynał dochodzić do siebie.

— W przypadku dobrego humoru – tak, a złego – nie, czy na odwrót?

— Nie wiem. A to miałyby dla pana znaczenie?

— W zależności od humoru. — Brin Issa roześmiał się, demonstrując białe zęby. — I nie

dziw się, skąd wiedziałem, że to właśnie ty. W tym domu wszystkie informacje trafiają najpierw do mnie.

Finnen skinął głową, uznając wyjaśnienie za oczywiste.

— Mogę się zobaczyć z Kairą?

— Oczywiście, jest teraz w wewnętrznym ogrodzie. Od czasu Skoku bardzo dużo rozmyśla. Ciekawie, czy wiesz o czym?

— Nie wiem.

Issa odprawił chłopaka ruchem ręki, a potem, najwyraźniej się rozmyśliwszy, zatrzymał go.

— Dałem jej dwieście surimów, żeby mogła zapłacić za genozmianę — powiedział. — Marzyła kiedyś o tym, ale teraz chyba się nie zdecyduje.

— Dlaczego?

— Prawdopodobnie wyobraża sobie, iż Skok oszczędził ją właśnie dlatego, że jest tak przeciętna. Skoro art-zbrodniarze starają się osiągnąć perfekcję w popełnianiu morderstw i kradzieży, to czy równie dobrze nie można stać się doskonałym w braku jakiegokolwiek talentu?

— Naprawdę istnieje taka możliwość?

— Nie mam pojęcia. — Brin Issa wzruszył ramionami. — A teraz idź i znajdź jakiegoś służącego, który akurat nie ma nic do roboty. Niech cię zaprowadzi do Kairy.

Finnen wyobrażał sobie, że zastanie ją siedzącą na ławce i pogrążoną w myślach. Nic bardziej mylnego. Kaira leżała na ziemi pośród opadłych liści zimnorośli, a Brin Niraj kopał ją po żebrach.

Wszystko to Finnen zobaczył z okna na półpiętrze – dziewczynę, która niezgrabnie usiłuje się podnieść, podczas gdy krew wąską strużką spływa z kącika jej ust, zaciętą w wyrazie złości i pogardy twarz Niraja, a także nóż darakka w jego ręce i drugi, porzucony obok.

— Wstawaj — powiedział syn Issy, po czym odsunął się kilka kroków i aktywował tarczę. Całą jego sylwetkę oblało błękitne światło, przylegając do ciała jak druga warstwa ubrania. — Wiem, że stać cię na więcej.

Kaira jęknęła w odpowiedzi. Uniosła się do pozycji kłęczącej, jej ciemna twarz wydawała się teraz szara niczym popiół z ogniska. Wytarła krew, spróbowała wstać i upadła na powrót.

Niraj wyłączył tarczę i raz jeszcze kopnął siostrę w plecy.

Finnen, klnąc, chwilę walczył z opornym mechanizmem okna, nim udało mu się je otworzyć.

— Zostaw ją! — wrzasnął, wychylając się na zewnątrz. — Upadłeś na głowę? Chcesz ją zabić?

Brin Niraj uniósł ku niemu twarz, na której nie było śladu poczucia winy.

— Ona nie ma pretensji — odkrzyknął. — Jeśli chcesz, zejdź tutaj i sam ją zapytaj. Korytarzem w prawo, potem schodami w dół i jeszcze raz w prawo.

Finnen zastosował się do instrukcji, ale i tak w pośpiechu pomylił drogę. Zaklął, zawrócił i wreszcie odnalazł wyjście do wewnętrznego ogrodu.

Niraja już nie było. Kaira została sama, wciąż zwinięta w kłębek, jakby spodziewała się, że brat lada moment wróci i znów zacznie ją bić.

Chłopak pochylił się nad nią i delikatnie odgarnął włosy ze spoczonej twarzy.

— Posłać po lekarza? — zapytał, przełykając idiotyczne „Dobrze się czujesz?”.

— Nic mi nie będzie — wymruczała w odpowiedzi. — Muszę tylko chwilę poleżeć.

Usiadł obok, zeschnięte liście szeleściły, gdy próbował znaleźć wygodną pozycję. Niedaleko maleńki, smukły kamienny delfin wypływał do basenu strugę podświetlonej różowo wody.

— Rozmawiałem z twoim ojcem — powiedział chłopak. — Podobno podarował ci

dwieście surimów. To duża suma, gdybyś chciała... — zawahał się. — Mogłabyś zapłacić Principium, żeby dali ci zdolności, jakie ma twój brat. No wiesz, talent do machania nożem, zręczność, czy co tam jeszcze potrzeba.

Kaira poruszyła się lekko. Jej okrągła twarz niemal już odzyskała normalną barwę.

— I wtedy mogłabym mu dokopać, co? Myślałam o tym. — Uśmiechnęła się z wysiłkiem. — Jeden wielki talent kupiony w Principium albo kilka mniejszych w Ekwilibrium, umiejętności animatorki albo art-zbrodniarki, wszystko to mogłoby być moje. Myślałam nawet o tym, żeby pójść do okaleczonych, pozwolić się oślepić albo dać sobie odebrać słuch i za tę cenę zyskać jeszcze więcej zdolności.

— Więc czemu tego nie zrobisz? Twój ojciec twierdzi...

— Wiem, co twierdzi mój ojciec. — Podniosła się niezgrabnie, zacisnęła wargi. — Mniejsza z tym, co on myśli i czy ma rację.

Podeszła do fontanny i nabrała w usta wody. Gdy ją wypłuka, woda miała czerwony kolor.

— Cieszę się, że jesteś — powiedziała z prostotą. — Już się bałam, że nie przyjdiesz.

— Stało się coś złego?

— Dużo. — Usiadła obok na trawniku i podciągnęła kolana pod brodę. Jej twarz na moment wykrzywił grymas bólu. — Ja muszę stąd odejść.

— Z powodu brata? Postraszył go strażą miejską, to powinno wystarczyć. On nie ma prawa tak cię traktować.

Potrząsnęła głową, zniecierpliwiona.

— Nie z powodu Niraja, tylko mojego ojca.

— Zawsze możesz uciec z domu. Nie będziesz pierwszą ani ostatnią córką, która tak zrobiła.

— Nie mogę. On mi nie pozwoli. I wszędzie mnie znajdzie, ma od tego ludzi.

Finnen uniósł brwi. Kaira była tak niesamowicie poważna i jednocześnie smutna, że nie miał serca śmiać się z tej dramatycznej wizji.

— Nie wydaje ci się, hm... że lekko przesadzasz? — zapytał delikatnie. — Twój ojciec jest może trochę dziwny, ale przecież nie więzi tutaj wszystkich swoich dzieci. Mówiłaś, że jesteś jedenastą z kolei córką. Mam przez to rozumieć, że dziesięć twoich siostr wciąż tu mieszka, a Brin Issa strzeże ich jak dzieł sztuki?

— Nie, oczywiście, że nie. — Spojrzała zdumiona, a Finnen zanotował w myślach, żeby

nie używać w rozmowie z Kairą ironii. Ta dziewczyna zdecydowanie brała życie zbyt poważnie. — Teraz mieszkam tu tylko ja i Noora, no i oczywiście Niraj. Noora nie chce odejść, ona lubi ładne, drogie stroje, przyjęcia i zabawy, a ojciec potrafi jej to wszystko zapewnić. Niraj ma mnóstwo pieniędzy, które wygrał w turniejach, i mógłby kupić sobie własny dom z całym wyposażeniem i służbą, ale woli mieszkać tutaj. Myślę... myślę, że on, że oni oboje na swój sposób kochają ojca i czują się mu potrzebni.

— No dobrze, a dlaczego ty nie możesz uciec?

— Ojciec twierdzi, że lubi mieć mnie przy sobie.

— Po co?

— Bo dzięki mojej obecności pamięta, że nawet on popełnia błędy.

Ta spokojna odpowiedź przypomniała Finnenowi chwilę, gdy w noc Skoku Kaira powiedziała mu, że została stworzona przez duszozinżynierów Chaosu. Teraz, tak jak wtedy, poczuł niemal namacalnie nieszczęście tej dziewczyny, wrażenie przekraczające granice zwyczajnego współczucia, jakby na ułamek sekundy ktoś postawił go na jej miejscu. A potem wszystko się rozwiało i pomyślał, że Kaira jednak trochę przesadza.

— Oczywiście to nie jest prawda — zapewniła pospiesznie, jakby zgadując, o czym chłopak myśli. — Ojciec trzyma mnie przy sobie z zupełnie innych powodów.

— Jakich?

— Nie mam pojęcia.

— Dlaczego Brinowi Issie miałyby na czymś takim zależeć? Nie wydaje ci się, że jesteś przewrażliwiona?

Potrząsnęła głową, tym razem energiczniej, jakby zła na siebie, że nie potrafi tego właściwie wyjaśnić.

— Miałam kiedyś guwernera, wiesz? Nazywał się Esh Gurleen i był dla mnie bardzo dobry, opiekował się mną, uczył literatury, historii, geografii i języków, choć do tego ostatniego zupełnie nie miałam talentu. A poza tym uczył mnie także... innych rzeczy.

— Na przykład?

— Rozpoznawania zła, tam gdzie nikt się go nie spodziewa. I tego, że od cierpienia nie wolno się odwracać. Uczył mnie z książek, na przykładach bohaterów baśni, ale raz... Raz zabrał mnie w przeszłość, żebym zobaczyła, jak tam jest. Widziałam tych ludzi, Finnen. Oni nie mają nikogo, kto by się nimi zajął, żadnej pomocy, nic, rozumiesz? Odrzuceni jak śmieci, bo okazali

się niewystarczająco doskonali. Kiedy przetrwałam Skok, pomyślałam sobie, że... że...

— Że jesteś im coś winna?

Przytaknęła. Większość ludzi dodałaby w tej chwili: „To brzmi naiwnie, prawda?” – drobne, usprawiedliwiające zdanko, pokazujące, że człowiek ma dystans do tego, co mówi. Kaira nie powiedziała nic takiego.

— Ojciec zorientował się, czego Gurleen mnie uczy, i zwolnił go. Gurleen potem kontaktował się jeszcze ze mną w sekrecie, ale ja byłam dzieckiem, nie potrafiłam utrzymać tajemnicy i kiedy ojciec się dowiedział... — Bezradnie wzruszyła ramionami. — Gurleen zniknął, próbowałam szukać go przez służących, ale on jakby zapadł się pod ziemię.

— Sądzisz, że twój ojciec go skrzywdził?

— Myślę, że to możliwe. Wiesz, co zrobił ostatnio, gdy chciał mnie ukarać? Kazał zbić dyscypliną moją siostrę, do krwi. Bo wiedział, że to mnie zaboli najbardziej, rozumiesz? To poczucie winy, że ona przeze mnie cierpi. Gdyby mnie stłukł, to by niewiele dało, ja jestem przyzwyczajona. A tak nie dość, że gryzie mnie sumienie za każdym razem, jak ją widzę, to jeszcze w dodatku Noora nie chce ze mną rozmawiać. Kiedyś mnie lubiła, a teraz traktuje jak obcą osobę... — Podniosła zaciśniętą pięść do ust i przygryzła palec. Finnen miał wrażenie, że dziewczyna z trudem tłumi płacz.

Spojrzała na niego po chwili. W oczach nie miała łez, tylko uroczystą powagę. Patrzyła długo, aż Finnen poczuł się nieswojo.

— Mój ojciec jest zły, wierzysz mi?

Powoli, niemal wbrew sobie, przytaknęła. Ten przytłaczający, wielki dom, rozmowa z Brinem Issą i jego lśniącobiały uśmiech, a potem Niraj kopiący siostrę po żebrach i cienka strużka krwi spływająca z kącika jej ust... I wspomnienia jeszcze wcześniejsze, z nocy po Skoku, gdy spotkał Kairę.

Finnen pamiętał przekazywane szeptem z ust do ust plotki o ludziach, którzy opłacają straż miejską, dzięki czemu mogą robić, co im się żywnie podoba. W swoich domach, ze swoimi służącymi i – co gorsza – z własnymi dziećmi.

Coś przyszło mu do głowy.

— Ile genozmian przeszedł twój ojciec?

— Nie jestem pewna, kilkanaście. A co?

— W takim razie prawdopodobnie jest od nich uzależniony i w końcu jego osobowość

załamie się, jak u szaleńców skokowych. Tyle że oni wariują jedynie w dniu Skoku, a Brin Issa będzie pomyłony przez cały czas. Zdajesz sobie z tego sprawę?

— Aha. — Splotła palce. Na jednym z nich zostały wyraźnie odcisnięte ślady zębów. — Ale ja nie mam zamiaru czekać.

— W takim razie jaki masz pomysł?

— Chciałabym — powiedziała wolno, tym razem nie patrząc mu w oczy — żebyś pomógł mi upozorować moją śmierć.

Później Finnen często rozważał, jak by to wszystko potoczyło się dalej, gdyby on i Kaira byli inni, starsi, bardziej doświadczeni. Gdyby ona nie miała tej dziecięcej ufności, która pozwoliła jej zaproponować coś takiego niemal zupełnie obcemu człowiekowi. I gdyby on był mniej naiwny, a jednocześnie mniej przekonany, że wcale naiwny nie jest i że pakując się w tę historię, wszystko ma pod kontrolą.

Zawsze miał słabość do takich rozważań.

Ani przez chwilę nie pomyślał, że to żart. Kaira nie należała do ludzi, którzy robią sobie dowcipy.

— Co masz na myśli? — zapytał ostrożnie, niczym ślepiec wyczuwający grunt.

— Nic złego. — Kaira zamrugła nerwowo. — Myślałam o tym, żeby zejść w przeszłość i znaleźć odpowiednie ciało. Tam ludzie wciąż umierają, prawda? Ojciec pójdzie za mną, a wtedy upozorujemy wypadek. Spalone zwłoki kogoś podobnego do mnie na pewno go przekonają. Później zatrudnię się w Archiwum. Nie mam dużych wymagań, na początek wystarczy mi najniższe stanowisko, więc sądzę, że mnie przyjmą. Oczywiście będę potrzebowała fałszywych dokumentów, w tym też mógłbyś mi pomóc. A potem...

— Przestań, proszę.

Potańił czoło. Naiwność Kairy, jej absolutna pewność, że ten plan się powiedzie, że wykonanie go będzie proste jak pstryknięcie palcami, zwały mu się na głowę z siłą żelaznej sztaby.

— Nikomu nie stanie się krzywda — zastrzegła, najwyraźniej wierząc, że skoro ona tak twierdzi, to tak właśnie będzie. Finnen uznał to za dość przerażające.

— Nawet mnie nie znasz.

— Ufam ci — powiedziała, i to do reszty przelało czarę goryczy, bo niewątpliwie mówiła szczerze.

Przez chwilę chłopak żałował, że w ogóle tu przyszedł. Żałował, gdyż wiedział już, że się zgodzi. Z kilku powodów – współczucia oraz dlatego, że trudno jest zawieść kogoś, kto ufa tak bezwarunkowo. Ale przede wszystkim dlatego, że gdyby odmówił, sprzeniewierzyłby się własnemu wizerunkowi, który od lat budował. Człowiek, jakim Finnen lubił się postrzegać, nigdy nie przepuszczał okazji do udziału w przygodzie, i to była prawda, to szaleństwo na swój

sposób rzeczywiście go kusiło, prawdą jednak były też paskudne przeczucia, które zepchnął w głąb umysłu.

— Zgoda, ale zrobimy to na moich zasadach. Ja będę decydował o wszystkim.

Daniel Pantalekis leżał z zamkniętymi oczami, rozkoszując się miękką pościelą, ciepłem oraz tabletką przeciwbólową, którą przed chwilą włożyły mu do ust dwa szczupłe brązowe palce. Czasem próbował je ssać, gdy sądził, że została na nich odrobina zbawiennego środka.

Palce były częścią dłoni, które od czasu do czasu unosiły go, obmywały gąbką i zmieniały brudne prześcieradła, dłonie z kolei wydawały się związane z kobiecą twarzą, pochylającą się nad nim z troską. Daniel nie miał pewności – w świecie słodkiego otępienia, w którym królowała Jej Wysokość Tabletką Przeciwbólową, nie istniało nic pewnego.

Kobieta czasem coś mówiła. Z tonu głosu Pantalekis wnioskował, że słyszy uspokajające „wszystko będzie dobrze” oraz „nie martw się, twoja noga świetnie się goi”. Któregoś dnia jednak, gdy był nieco przytomniejszy, uświadomił sobie, że ten miłosierny anioł może mówić cokolwiek, może nawet z uśmiechem nazywać go pierdolonym skurwysynem, a on nie miałby o tym zielonego pojęcia.

To go wystraszyło, wytrącając ze stanu otępienia.

Nie chodziło tylko o słowa. Daniel był całkowicie zależny od ludzi, których języka, kultury ani nawet biologii nie znał. Ich uśmiechy mogły w istocie oznaczać groźbę, środki przeciwbólowe na dłuższą metę mogły wykończyć jego organizm, a oni sami być może mieli zwyczaj zajmować się obcymi tylko po to, by potem zaprząć ich do niewolniczej pracy albo poderżnąć gardła na chwałę jakiegoś dziwnego bóstwa.

Kilka następnych godzin Daniel przeżył w stanie lekkiej paranoi. Tak jak wcześniej w ogóle nie zwracał na kobietę uwagi, tak teraz z napięciem śledził każdy jej ruch, wsłuchiwał się w słowa, a tabletkę przeciwbólową przed połknięciem długo obracał w ustach, starając się wyczuć smak czegoś szkodliwego.

Wyniki uznał za zadowalające. Troska ciemnoskórej opiekunki wydawała się szczerą, a ona sama wyglądała na najzwyczajszą w świecie kobietę, niemłodą już, ale i jeszcze nie starą. Gdyby nie jej dziwaczne, sięgające kostek suknie, można by ją wziąć za mieszkankę Nowych Ziemi. W zupie, którą go karmiła, też nie było nic niepokojącego – smakowała jak rosół gotowany na mięsie przypominającym kurczaka, tylko nieco słodszy. Najbardziej osobliwy był pokój, w którym Pantalekis leżał: osmiokątny, z okrągłym łóżkiem ustawionym pośrodku i złotymi ścianami. Daniel wściekał się, bo nie mógł wstać i sprawdzić, ale i tak miał niemal

pewność – to nie była tapeta ani nic w tym rodzaju, lecz autentyczne złoto, w którym wytłoczono jakieś drobne wzorki, ni to litery, ni obrazki, przez co ściany wyglądały jak stronicie lśniącej księgi. Pantalekis gapił się na nie przez dobre pół godziny, obserwując refleksy słońca pełgające po owych literko-obrazkach. Złoto, niewątpliwie. Potrafił je rozpoznać nawet z daleka.

Potem spojrział na okrągłą szybę wprawioną w sufit. Wokół niej tańczyły anioły czy może wróżki, w każdym razie skrzydlate sylwetki, które dla odmiany wyglądały na srebrne. Z początku Daniel uznał to za ozdobny świetlik, jednak z nadejściem zmroku szyba rozjarzyła się błękitnym blaskiem. Na krótko, bo po kilkunastu minutach blask zmętniał i zgasł. Odtąd noce były ciemne, a za dnia jedyne źródło światła stanowiło sześć wysokich i bardzo wąskich okien, przez które wpadały promienie czerwonego słońca.

Poza łóżkiem w pokoju znajdował się tylko niski stolik na wygiętych lwich łapkach, z nieregularnym, tęczowobarwnym blatem. Stolik był osobliwy, owszem, tak jak i cały pokój, ale z pewnością nie aż tak bardzo, by podejrzewać, że nie jest to dzieło ludzkich rąk.

Wszystkie te podobieństwa kazały Pantalekisowi wierzyć, że znalazł się na jednej z kolonii, które przed kilkuset laty odłączyły się od Nowych Ziemi, by w izolacji pielęgnować swoje staroświeckie style życia. Teorię tę potwierdzały stroje kobiety, a także to, że mężczyzna, który chciał go zabić, miał coś w rodzaju miecza.

Humor znacznie się Danielowi poprawił, gdy doszedł do tego wniosku. Wracał też do zdrowia, środki przeciwbólowe dostawał rzadziej i chyba słabsze, bo coraz częściej bywał przytomny. Co prawda nadal ciężko mu się myślało, ale już nie odpływał w krainę obojętności.

Osiągnął wtedy kilka drobnych sukcesów. Po pierwsze, metodą „Ja Tarzan, ty Jane” przekazał opiekunce swoje imię i w zamian usłyszał, że ona nazywa się Sarimel. Po drugie, nauczył się prosić o basen, a po trzecie, dużo machając rękami, namówił Sarimel, by przy pomocy mężczyzny – tego samego, który próbował poderżnąć mu gardło – przesunęła jego łóżko pod okno. Przy okazji mógł wreszcie dotknąć ściany, zetrzeć z niej kurz, delikatnym, pełnym lękliwego podziwu gestem przesunąć dłoń po wytłoczonych wzorach. Złoto, bo to naprawdę było złoto, pulsowało ciepłem, a gdy przyłożył do ściany ucho, usłyszał szum gorącej wody.

Dopiero potem wyjrzał na zewnątrz.

Za oknem rozciągał się widok na miasto, które konało, oblane czerwonym blaskiem słońca. Daniel podniósł się w pościeli i patrzył na ściany domów, po których wspinały się zardzewiałe rury, na resztki szyb, wyszczerbione stopnie schodów i okaleczone posągi na

placach. Patrzył na brud, błoto i śmieci. Skrzywił się wtedy z niechęcią, a także poczuł ukłucie lęku, bo czy przedstawiciele tak podupadłej cywilizacji mogli prawidłowo go wyleczyć, a później pomóc wrócić do domu?

Ponadto im dłużej spoglądał na miasto, tym więcej dostrzegał podobieństw pomiędzy nim a ruinami, w których wylądowali wahadłowcem. Schody zamiast porządných ulic, tarasy, kształt budynków i czarny kamień, z którego zostały zbudowane – wszystko to, pomijając stopień zniszczenia, wydawało się zdumiewająco wręcz podobne. Oczywiście istniała możliwość, że miasto wzorowano na jakiejś starszej, obecnie całkiem już wymarłej miejscowości. Problem polegał na tym, że z orbity nie dostrzegli śladów żadnych innych osiedli. Tylko ruiny jednego miasta, a teraz Daniel niespodziewanie znalazł się w drugim, lepiej zachowanym.

Porównał w myślach dwa pomieszczenia – salę, którą Ivain nazwał „muzeum”, oraz miejsce, w którym uwięził go kamienny blok. Co prawda nie widział wtedy wiele, bo przez wyrwę w murze wpadała ledwo odrobina światła, ale i tak zauważył, że zgadza się zdumiewająca ilość szczegółów. Na przykład kolumna w kształcie tańczących postaci, w obu miejscach różniąca się tylko stopniem zniszczenia, mechaniczna pantera, która mogła być jedną z tych przerdzewiałych, ustawionych w dwa rzędy figur, no i wnęka ścienna – do licha, czy na niego nie zaważyła się właśnie jedna z tych dziwacznych wnęk, o których Ivain powiedział, że nie ma pojęcia, do czego służą? Daniel pamiętał, że uciekał przed potworem ze skrzydłami i wpadł do jednej z nich, a potem... potem odzyskał przytomność w nowszym, mniej zniszczonym świecie.

To nie były dwa różne, choć podobne miasta. To było to samo miasto, tylko pochodzące jakby z dwóch okresów.

Nie miał pojęcia, o czym miałyby to świadczyć, bo teoria, że w jakiś sposób cofnął się w czasie, wydawała się zbyt absurdalna.

Odsunął te myśli na bok, podobnie jak codziennie odsuwał od siebie wspomnienia umierających Kateriny i Ivaina. Przede wszystkim musiał wyzdrowieć, potem będzie się martwił, gdzie właściwie jest i jak przesłać wiadomość na którąś z planet Nowych Ziemi. Potem też przyjdzie czas na żałowanie kolegów, choć prawdę mówiąc, aż tak bardzo ich nie lubił, a nawiedzające go obrazy ich śmierci z każdym dniem stawały się coraz bleedsze. Najważniejsze to przetrwać, myślał. A Daniel Pantalekis był dobry, jeśli chodziło o przetrwanie.

Jadł więc rosół z niby-kurczaka, przyjmował środki przeciwbólowe i patrzył przez okno. Po schodach i tarasach poruszały się dziwaczne metalowe stwory. Nie widywał ich dużo – ot,

jeden, dwa dziennie i wszystkie wydawały się już mocno zardzewiałe. Mimo to wciąż robiły wrażenie. Łby miały koto- bądź psopodobne, z błyszczącymi ślepiami i ruchomymi uszami, a w ich brzuchach mogło się zmieścić kilkoro ludzi. Jednak najbardziej niepokojące było to, w jaki sposób się poruszały: zgrabnie, szybko, z gracją prawdziwych zwierząt. Owszem, czasem w ich zużytych mechanizmach coś zgrzytało i się psuło, ale kiedy już ruszały z miejsca, to nigdy nie myliły kroku, nawet jeśli przychodziło im biegać po nierównych stopniach.

Pewnego dnia Daniel zobaczył, jak jeden z tych stworów skręca gwałtownie na schodach i uderza w ściany budynku. A potem cofa się, nabiera rozpędu i raz jeszcze wpada na mur, z jeszcze straszniejszym zgrzytem miażdżonego metalu. Zesztywniały z przerażenia Pantalekis nie potrafił oderwać wzroku od tego widoku. Nie miał pojęcia, czy to mechanizm zawiódł, czy też sterujący nim człowiek zdecydował się popełnić samobójstwo w tak paskudny sposób.

Po chwili z brzucha maszyny wypłynął zakrwawiony mężczyzna. Przez jakiś czas jeszcze próbował się czołgać, potem skonał.

Po tym wydarzeniu Pantalekis przez kilka dni nie wyglądał na zewnątrz. W końcu jednak nuda zwyciężyła strach.

Miasto wydawało się jeszcze brzydsze, brudniejsze i bardziej zrujnowane, niż pamiętał. W oknach prawie nie było szyb, rdza niemal doszczętnie zżarła metalowe rury; niektóre popękały i teraz wylewała się z nich parująca woda. Pantalekis spojrzał w górę, na sieć podniebnych mostów łączących najwyższe budynki. Spojrzał i przeraził się, bo brakowało jednej trzeciej z nich, a reszta wyglądała, jakby za chwilę miała się zawalić.

Jedynym wytłumaczeniem, jakie przyszło mu do głowy, była jakaś burza, może tornado albo coś w tym rodzaju, która przeszła nad miastem, podczas gdy on spał twardo po środkach przeciwbólowych.

A potem przeniósł wzrok w dół, na plac, który znajdował się pod oknem. Stał tam mężczyzna, lekko pochylony, jakby chciał zerknąć, czy ma dobrze zasznurowane buty. Nie ruszał się i Daniel dopiero po chwili pojął dlaczego. Mężczyzna nie żył, a w pionie utrzymywał go metalowy pręt, który przeszedł przez kark, jego drugi koniec zaś utkwiał w szparze pomiędzy kamiennymi płytami.

Wtedy właśnie Daniel na dobre zrezygnował z patrzenia przez okno. Czasem tylko – gdy już mógł – stawał przy nim z zamkniętymi oczami, ciesząc się świeżym wiatrem, bo Sarimel mieszkała wystarczająco wysoko, by nie sięgały tu niewątpliwie paskudne wyziewy

umierającego miasta.

Dzień po dniu przekonywał samego siebie, że wszystko będzie dobrze, musi być dobrze, bo przecież on, Daniel Pantalekis, radził sobie w gorszych sytuacjach, więc i teraz sobie poradzi. Ale dzień po dniu tłumienie narastającego przerażenia przychodziło mu z coraz większym trudem.

Po pierwsze, w pokoju zrobiło się chłodno, ściany nie pulsowały już ciepłem, a Daniel, dygocząc, sypiał okryty kilkoma warstwami koców. Po drugie, zauważył, że jego pościel leciutko cuchnie zgnilizną, nawet świeża zmiana, którą przynosiła Sarimel. Zupełnie jakby kobieta trzymała ją w wilgotnej piwnicy, zamiast suszyć w bardziej odpowiednim miejscu. Po trzecie, w tradycyjnym rosółku wyczuwał już nie tylko słodkiego niby-kurczaka, ale też coś jeszcze, jakiś nieprzyjemny posmak, jakby zupę dzielił krok od skwaśnienia. Wcześniej tego nie dostrzegał, może dlatego że tabletki przeciwbólowe przytępiły mu węch i smak. Pocieszał się myślą, że skoro do tej pory się nie pochorował, to pewno nadal nic mu nie będzie, widać jego organizm się przyzwyczaił. Jednak nie były to przyjemne odkrycia. Ponadto w kątach złotego pokoju zalegała warstwa kurzu, a Sarimel nosiła poszarzałe od brudu suknie i często zalatywało od niej wonią niemytego ciała.

Daniel starał się zdobyć na wyrozumiałość. Utrzymanie czystości w zrujnowanym mieście musiało być kłopotliwe, to oczywiste, ale czy ta kobieta nie mogła przynajmniej od czasu do czasu się wykapać i wyprać odzieży? Wreszcie doszło do tego, że gdy Sarimel pochylała się nad nim, by poprawić poduszkę, Pantalekis z niechęcią odwracał głowę i marszczył nos.

Najważniejsze to wyzdrowieć, tłumaczył sobie. Jak już będę umiał chodzić, to znajdę ludzi, którzy lepiej radzą sobie w tych warunkach. Przecież muszą tu być tacy. Ktoś, kto jeszcze ma ciepłą wodę i dostęp do świeżego jedzenia.

A potem, któregoś ranka, opiekunka przyniosła mu jabłko.

Było wielkie, czerwone, soczyste. I smakowało wspaniale, zwłaszcza po niezbyt świeżym rosółku. Daniel wgryzał się w nie z rozkoszą, nie dbając o to, że sok ścieka mu po brodzie. Zjadł niemal trzy czwarte – reszty nie dał rady, bo jabłko było za duże. Tę resztę położył na brzegu łóżka, po czym uciął sobie drzemkę. Nie miał zegarka, ale mógłby przysiąc, że spał nie dłużej niż trzy–cztery godziny.

Kiedy się obudził i sięgnął po jabłko, okazało się zepsute. Nie lekko zbrązowiało, czego się spodziewał, ale lepkie, rozplywające się i przeżarte zgnilizną. Odrzucił je ze wstrętem.

Sarimel nakrzyrzała na niego, zła, że zabrudził podłogę. Albo dlatego, że zamiast zjeść cały owoc od razu, zmarnował jedną czwartą.

Około południa przyszedł do Sarimel mężczyzna, którego Daniel w myślach nazywał „facetem z mieczem”. Często ją odwiedzał, ale rzadko miał przy sobie broń. Tym razem nie tylko miał, ale także podszedł do Daniela i śmiejąc się, przyłożył mu ostrze do gardła. Pantalekis, zezując na błyszczący czubek, starał się ani drgnąć. Był niemal pewien, że mężczyzna żartuje. Niemal.

Sarimel zawołała gościa do pokoju obok. Przez jakiś czas Daniel nasłuchiwał dobiegających stamtąd odgłosów – były to całkiem jednoznaczne pojękiwania, które budziły w nim zazdrość i złość, bo zdawał sobie sprawę, że on sam na takie przyjemności jeszcze długo będzie musiał czekać. Aby zająć umysł czymś innym, rozmyślał o sposobach, dzięki którym mógłby skontaktować się z Nowymi Ziemiemi.

Potem wrócił kochanek Sarimel i raz jeszcze powtórzył swój dowcip z przykładaniem do gardła ostrza.

Zardzewiałego ostrza.

Daniel miał pewność – wcześniej rdzy nie było, wcześniej miecz był wyczyszczony do połysku. Metal zardzewiał w ciągu kilku zaledwie godzin.

Daniel wrzasnął, wołając Sarimel. Kobieta przybiegła i odciągnęła od łóżka kochanka, uznawszy zapewne, że jej podopieczny krzyczy z powodu idiotycznego dowcipu. A Pantalekis, któremu paskudne podejrzenie wyostriło wzrok, naraz dostrzegł, że Sarimel postarzała się od dnia, w którym ją poznał, postarzała się tak, jak ludzie starzeją się w ciągu roku albo dwóch. Całą jej twarz znaczyły płytkie zmarszczki, a mimo to trzymała się prosto i chodziła sprężysto jak młoda kobieta.

Zażądał lustra.

Długo trwało, zanim za pomocą pantomimy zdołał wytłumaczyć, o co mu chodzi, ale wreszcie je dostał. I odetchnął z ulgą, widząc, że jego własna twarz jest niezmienną. Co prawda był bladejszy, chudszy, a pod oczami rysowały się cienie, ale z pewnością się nie postarzał. Chwilę wodził palcami po grubych brwiach, cienkim nosie i agresywnie wysuniętym podbródku, po czym, zadowolony, przeniósł wzrok na strzechę jasnych włosów, matowych i od dawna niemytych, ale dzięki Bogu wciąż gęstych.

Pantalekis, nadal za pomocą gestów, poprosił o papier i coś do pisania. Dostał plik

pożółkłych kartek oraz coś, co przypominało węglowy rysik. Nie narzekał.

Przysunął się bliżej okna, za którym powoli zapadał zmierzch, i zapisał palcami zgrabiętymi z zimna:

„Znalazłem się w świecie, w którym wszystko gnije, rozpada się, rdzewieje i zmierza ku chaosowi...”.

Dopiero teraz, gdy jasno sformułował tę myśl, naprawdę zaczął się bać.

Interludium Irelle Sirye

Jeszcze do niedawna Irelle Sirye była lalkarką.

Z metalu, gliny oraz szkła tworzyła kukiełki o ruchomych stawach, błyszczących oczach i łysinach gładkich niczym pistoletowe kule. Mężczyźni, kobiety, chłopcy i dziewczęta, czasem nawet starcy. Wszyscy tańczyli, kłaniali się i uśmiechali dzięki zamontowanym sznurkom.

Wszyscy na swój sposób byli piękni, pomimo braku włosów.

Każdego z nich Irelle wrzucała w ogień, by patrzeć, jak płonie.

Potem przyszedł Skok i Irelle oszalała. Przez kilkanaście minut w jej głowie walczyło ze sobą wiele różnych osobowości, a gdy dziewczyna przetrwała, była już kimś innym.

Została autorką poczytnych artykułów, jednak sedno jej zainteresowań pozostało to samo.

Irelle Sirye wzięła pióro do ręki i napisała:

„Przeszłość płonie, wszyscy o tym wiedzą.

Ogień pojawia się w miejscach, w których nie powinien się pojawić, tam gdzie nie ma nic suchego, nic łatwopalnego. Pośród wilgotnych murów, pod zimnym niebem, w deszczu i śniegu. W miejscu, gdzie niemal nie ma roślin, tylko kamień i metal.

Pożar pędzi poprzez miasto, rycząc, zasysając tlen i gnąc metalowe rury, które niegdyś doprowadzały do domów wodę i gaz. Mury pękają pod wpływem gorąca. W resztkach szyb odbija się luna”.

Odłożyła pióro i zamyśliła się, gładząc delikatnie policzek.

Po chwili dopisała:

„Poeci lubią mówić, że to płoną wspomnienia. Czasem wspominają, że razem z nimi płoną też ludzie”.

Część II Przeszłość płonie

Finnen

Jedno z moich dziecięcych wspomnień wiąże się z osobą chłopca o imieniu Manli, który pokłócił się i pobił z innym chłopcem, a potem przybiegł do nas, swoich kolegów, by opowiedzieć o całej sprawie. Wszyscy uważali, że Manli miał słuszość i dzielnie jej bronił, a tamten drugi chłopak to po prostu wredna świnią.

Dla ścisłości, uważali tak wszyscy, z wyjątkiem mnie, ja bowiem dostrzegłem w nieskładnej opowieści Maniego, że jego przeciwnik także miał swoje racje. Jak w wielu kłótniach, tak i tutaj wina zdawała się leżeć po obu stronach, może nie po równo, może rzeczywiście Manli był bardziej pokrzywdzony – lojalność wobec kolegi ma swoje prawa – ale w przeciwieństwie do reszty ferajny, nie widziałem w całej tej aferze jasnego podziału na dobro i zło. Co gorsza, powiedziałem o tym głośno i natychmiast zostałem zakrzyczany. Byliśmy dziećmi, żyliśmy w grupie i kto nie był z nami, ten był przeciw nam, a ja tę zasadę złamałem.

Przez jakiś czas próbowałem się stawiać, potem stchórzyłem i wykręciłem kota ogonem, tłumacząc, że tak naprawdę nie to miałem na myśli, tylko coś zupełnie innego. Dali mi wtedy spokój, skończyło się na tym, że niektórzy wołali na mnie „zdrajca”, niby w żartach, ale jednak niezupełnie. Dało się wytrzymać. Potem były inne podobne sprawy, a ja czasem potrafiłem utrzymać język za zębami, a czasem nie. Najczęściej nie. Teoretycznie to nie miało znaczenia, dorastaliśmy przecież, dziecięcy instynkt stadny zastąpiło pragnienie oryginalności, a każdy z nas zaczynał dyskusję od „Szanuję twoje poglądy, ale...”. A jednak żaden z kolegów nie potrafił mi już do końca zaufać – lubili mnie, owszem, tak jak się lubi kogoś, z kim można wypić, pośmiać się, poszaleć i pogadać. I tyle. Nie żeby mi to przeszkadzało, bo nad męską przyjaźń zawsze przedkładałem wdzięki kobiet.

Wspominam o tym po to, żeby wyjaśnić, jak poznałem Dime.

Dime był owym chłopakiem, z którym pokłócił się i pobił Manli.

Spotkałem go kilka lat po tym wydarzeniu i okazało się, że on nie tylko całą sprawę pamięta, ale w dodatku jest mi wdzięczny, bo, cytuję, „stanąłem w jego obronie”. Nie mam pojęcia, jakimi drogami dotarła do niego ta informacja i co tam przy okazji ktoś do niej dodał. Próbowałem tłumaczyć, że to niezupełnie tak, że nic mnie zresztą już nie obchodzi, kto miał rację w dziecinnej bójkę sprzed lat. Dime słuchał, przytakiwał, po czym włączył się za mną jak cień,

wciąż tryskający optymizmem i szalonymi pomysłami.

Irytowało mnie to na początku, potem przywykłem, wreszcie chłopaka polubiłem.

1

— Chcę skorzystać z windy czasowej. — Finnen rzucił trzy tisos urzędnikowi, który siedział na progu Archiwum. Brodaty mężczyzna uniósł głowę znad skomplikowanego wykresu matematycznego i obrzucił chłopaka uważnym spojrzeniem.

— Nie ma pan broni.

— Nie potrzebuję jej.

— W przeszłości bywa ostro, lepiej mieć broń. Mogę pana puścić, ale na pańską odpowiedzialność. Ma pan jakiś dokument?

Zirytowany Finnen złożył podpis na podsuniętym druczku, nawet nie przeczytawszy treści. Kiedyś był już w przeszłości, dawno temu wraz z bratem, i nic złego im się nie stało.

Brodacz wpakował do kieszeni druczki wraz z trzema tisos i skinął głową. Finnen poszedł dalej.

Wielka sala wyglądała na pustą, nigdy zresztą nie cieszyła się zbyt dużym powodzeniem. Z wind czasowych rzadko korzystano, bo rodziny ludzi zabranych przez Skok wołały uznać swych krewnych za zmarłych, a wycieczki w przeszłość dla przyjemności wyszły z mody. Czasem tylko przychodziły tu dzieciaki, by w Archiwum oglądać przedstawienia na żywo, w których sterowane przez animatorów mechaniczne zwierzęta walczyły ze sobą, zjadały się, goniły i kopolowały. Finnen też kiedyś lubił te widowiska, ale szybko z nich wyrósł. Nawet jako mały chłopiec wołał oglądać bardziej precyzyjne – i droższe, o wiele droższe – mechanizmy kierowane osobowościami zwierząt. To były dzieła sztuki, nie zabawki dla małolatów.

Srebrzysty szakał odwrócił za nim łeb, a Finnen w przyływie dobrego humoru przytknął go w nos. Zwierzę warknęło, przeszło pół kroku i stanęło. Chłopak uśmiechnął się – bez pomocy animatora mechanizm niewiele mógł zrobić.

Wsuwając się do jednej z wind, dostrzegł uzbrojonego po zęby mężczyznę, który wchodził do windy naprzeciwko. Nieznajomy posłał mu zakłopotane, ale jednocześnie porozumiewawcze spojrzenie, jakby spotkali się w domu publicznym.

Finnen przymknął oczy. Zastanawiał się, który z odrzuconych światów wybrać.

Nie ten najwyższy, pomyślał. Tam ludzie wciąż żyją w miarę normalnie i minie jakiś czas, nim zaczną umierać. Poza tym... poza tym nie chcę się spotkać z Aliką.

A więc muszę zejść głębiej. Byle nie za głęboko, bo tam z kolei światy będą zupełnie

wymarłe.

Skoncentrował się na Skoku, który zabrał mu brata. Przywołał w pamięci tamten dzień, chłodny i bezwietrzny. Sunące niebem napisy, sztucznie beztroski śmiech Ary'ego, smak ciastek, które tuż przed Skokiem ukradli...

Wspomnienie zagarnęło go, w ustach poczuł smak czekolady z pomarańczową skórką, kark bolał od zadzierania głowy, oczy od wpatrywania się w błyszczące liczby i litery. Wróciła tamta specyficzna mieszanina lęku i ekscytacji.

Finnen poszybował w przeszłość.

W przeszłości padał śnieg. Wychodząc z Archiwum, chłopak odruchowo postawił kołnierz i pochylił głowę. Wielkie płatki osiadały na jego włosach i karku, wciskały się pod kurtkę. Ręce natychmiast zgrabiały, więc wsunął je w kieszenie. Stał niezdecydowany, potem niechętnie uniósł twarz, by się rozejrzeć.

Śnieg zostawiał na jego policzkach szare smugi.

Finnen zorientował się, dopiero gdy poczuł woń spalenizny. Uniósł dłonie do oczu i roztarł w palcach kilka płatków – część rzeczywiście była śniegiem, część zaś popiołem. Smród niedawnego pożaru snuł się przy ziemi, mokry i ciężki.

Poprzez śnieg i popiół dostrzegł niewyraźny zarys ludzkiej sylwetki. Zawołał, a potem, nie czekając na odpowiedź, pobiegł w stronę nieznanego.

Wysoki mężczyzna zatrzymał się i czekał. Oczy miał zapadnięte i rozgorączkowane, wargi poznaczone krwawiącymi wrzodami. Był tak wychudzony i zarośnięty, że jego głowa przypominała czaszkę omotaną pajęczyną.

Finnen nerwowo przełknął ślinę i sięgnął do kieszeni.

— Przyniosłem trochę lekarstw — powiedział, czując jednocześnie litość, wstręt do tego człowieka i obrzydzenie do samego siebie. — W zamian chcę zapytać o parę rzeczy.

Starzec, który tak naprawdę starcem wcale nie był, wyrwał mu paczkę z ręki i splunął w twarz. Potem odwrócił się i uciekł, zadziwiająco chyżo jak na swój stan.

Finnen wytarł plwocinę rękawem, rozmazując po skórze sadzę. Usiłował odnaleźć w sobie choć odrobinę złości, ale przepelniało go tylko przekonanie, że słusznie mu się należało. Ruszył do przodu, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy, alternatywą był powrót do windy. Cały czas miał wrażenie, że ktoś za nim idzie, ale ponieważ nic nie mógł z tym zrobić, a i tak był już nieźle wystraszony, tłumaczył sobie, że to złudzenie.

Po chwili śnieg przestał padać, a Finnen ujrzał zawaaloną ścianę. Z gruzu sterczały rury, rozerwane i wygięte w kształt fantastycznych kwiatów, o płatkach ostrych jak brzytwy i zboczonych ludzką krwią. Byli tu bowiem też ludzie – martwe ciała, osmalone, rozdarte, połamane i niekompletne, z włosami ściętymi soplami lodu, szronem na rzęsach i nagimi stopami, z których wybuch gazu zdarł buty.

Chłopak jęknął i zatoczył się w tył.

Jestem kompletnym idiotą, pomyślał, bo słowa miały moc porządkowania rzeczywistości. Jestem idiotą, powtórzył i jego własna naiwność niemal zaczęła go bawić. Fakt, kiedyś, dawno temu, zszedł w przeszłość wraz z bratem i widział tam ludzi, którzy z wdzięcznością przyjmowali jedzenie i leki. Tyle że to było w innej rzeczywistości, mniej zniszczonej, mniej zezwierzęconej. Tam miałyby szansę – jak to sobie zaplanował – wypytać o kobietę podobną do Kairy. Tutaj nie. Mieszkańcy tego świata dzielili się na martwych, dogorywających i szalonych.

Skierował się z powrotem w stronę Archiwum. Najpierw szedł normalnym tempem, potem zaczął przyspieszać. Wróciło wrażenie, że jest śledzony, mało tego – sądził teraz, że idzie za nim nie jedna osoba, lecz więcej.

Pod koniec już biegł.

Zbyt wolno, bo nim dopadł drzwi Archiwum, usłyszał świst nadlatującego kamienia, który uderzył go w tył głowy. Łupnęło. Finnen upadł do przodu i mało brakowało, a wyrznąłby zębami o próg. Jego czaszka rozdzwoniła się bólem, świat stracił wyraziste kontury. Oszołomiony, chwilę zastanawiał się, dokąd właściwie tak pędził.

Wiedział, że powinien spróbować wstać. Im szybciej, tym lepiej.

Spróbował więc, lecz kolejny kamień skutecznie sprowadził go do poprzedniej pozycji: na czworakach, z nosem skierowanym w stronę progu Archiwum. Sięgnął dłonią do karku, a potem przesunął ją wyżej, na włosy. Poczul lepkość krwi, zrobiło mu się mdło i gorąco, przed oczami zawirowały czarne plamy.

Odwrócił się powoli i usiadł, a właściwie ciężko klapnął na tyłek. Widział już swoich prześladowców, co prawda jak przez mgłę, ale widział. Było ich pięcioro, a wśród nich znajdował się ten, który splunął mu w twarz.

— Czego ode mnie chcecie? — wybełkotał Finnen.

Ten, który wcześniej pluł, teraz kopnął go w nos. Chłopak zaskowyczał i zwinął się w kłębek. Ciepła, gęsta krew wsiąkała w rękaw kurtki. Nie zabijaj mnie, myślał, najwyżej porządnie stłukaj, żeby dać nauczkę. Za to, że jestem zdrowy, najedzony, mam ciepłe ubranie i życie przed sobą, podczas gdy oni tak naprawdę są już martwi. Nie zabijaj mnie, powtarzał, bardzo chcąc w to uwierzyć.

Ktoś chwycił go za włosy i poderwał mu głowę. Finnen zamrugał, starając się skupić wzrok na jednym z pięciorga napastników. Którymkolwiek. Mętnie wyobrażał sobie, że jeśli zdoła nawiązać z kimś kontakt, będzie umiał wybłągać sobie życie. Wybłągać albo wykupić

obietnicą przyniesienia czegoś z góry. Wtedy właśnie ujrzał szóstego mężczyznę, który stał kilkadziesiąt kroków za atakującymi. Tamci, zaślepieni gniewem, chyba nawet nie zdawali sobie sprawy z jego obecności. A on po prostu gapił się na całą scenę. Finnen nie widział twarzy, ale w tej nieruchomej sylwetce było coś znajomego.

— Pomóż mi! — krzyknął, przez chwilę pewien, że to brat przyszedł mu na ratunek. — Proszę!

Szósty ani drgnął. Gdy jeden z napastników zaczął ściągać z Finnena kurtkę, chłopak poddał się bez protestu. Spróbował nawet pomagać w miarę możliwości. Równie chętnie pozwolił pozbawić się spodni, koszuli oraz butów. Utrata ubrania była niewielką ceną za ocalenie skóry.

Na pożegnanie dostał jeszcze kilka kopniaków, wyraźnie słabszych niż poprzednie. Albo nienawiść napastników się wyczerpała, albo zwyczajnie byli zbyt chorzy i wycieńczeni, by skopać kogoś na śmierć.

Gdy odeszli, Finnen leżał bez ruchu, błogosławiąc własne szczęście. Bo mimo wszystko miał szczęście, że dopadli go na progu Archiwum. Do najbliższej windy było tak blisko, że mógł dotrzeć tam na czworakach, plując krwią i dygocąc z zimna. A nawet gdyby musiał się czołgać.

Pomyślał o tym, wyobraził sobie odległość, jaka dzieli go od windy, zdążył nawet ucieszyć się, że to tak blisko. Potem zemdlął.

3

— Obudziłeś się?

Finnen spróbował zebrać rozproszone myśli. Głowa bolała go przy każdym, nawet najmniejszym ruchu, powieki miał ciężkie jak z metalu.

— Obudziłeś się?

Zdołał otworzyć oczy, ale minęła dobra chwila, zanim rozmazana plama przy jego łóżku ułożyła się w kształt twarzy.

Brin Niraj.

Finnen spróbował zadać pytanie.

— Jeśli chcesz wiedzieć, skąd się tu znalazłeś, to ja cię przyniosłem — przerwał mu brat Kairy. — Nawet pożyczyłem ci własną kurtkę, żebyś nie zmarzł po drodze. I wezwałem lekarza, choć jakoś specjalnie potrzebny nie był.

Finnen zmarszczył brwi. Kurtka, lekarz, Brin Niraj, który skądś go tu przyniósł – powiązanie wszystkich tych informacji wymagało niejakiego wysiłku. Podjął próbę zadania drugiego pytania i tym razem udało mu się wymamrotać kilka słów: „Skąd... ty... moje mieszkanie...”.

— Obserwuję cię od wczoraj, wiem nawet, gdzie chowasz klucze, kiedy wychodzisz z domu. — Gdy chłopak spróbował się odezwać, Niraj nie pozwolił mu dokończyć. — Dziś rano poszedłem za tobą do Archiwum, a potem zjechałem w przeszłość tuż po tobie.

Finnen przypomniał sobie swoją wycieczkę i zacisnął w palcach brzeg kołdry. Usiadł, syknął z bólu i przeczekał zawrót głowy. Wściekłość dodawała mu sił.

— Ty pieprzony draniu, stałeś tam i gapiłeś się, kiedy oni mnie bili. Nawet nie ruszyłeś palcem, żeby mi pomóc.

Niraj wzruszył ramionami. Na jego bladej, aroganckiej twarzy malował się wyraz pogardy.

— Byłem ciekaw, czy sobie sam poradzisz. — Uśmiechnął się kąpiąco. Mimo odmiennych rysów przypominał w tej chwili ojca, tyle że w przypadku Niraja ironia wydawała się wyrazem nie tyle rozbawienia, ile agresji, jakby syn Issy od czasu do czasu używał jej zamiast ciosów i kopniaków. — No i jak widać, kiepsko ci poszło.

— Mogłem tam zamarznąć na śmierć. — Finnen pożałował tych słów dokładnie w chwili,

gdy je wypowiedział. I tak czuł się już wystarczająco upokorzony.

— Mogłeś, ale nie zamarłeś. I to dzięki mnie, więc powinieneś być choć odrobinę wdzięczny. Poza tym tak naprawdę nic ci nie jest. Owszem, masz paskudne skaleczenie z tyłu głowy, rozkwaszony nos i sporo siniaków, ale nic więcej. Nawet żeber ci nie połamali.

W pierwszej chwili Finnen chciał zaprzeczyć, bo przecież czuł się okropnie, jednak powstrzymał go lęk przed kolejnym upokorzeniem. Poza tym... poza tym chyba rzeczywiście nie było aż tak źle. W dzieciństwie parę razy dostał porządne lanie od starszych dzieciaków i pamiętał, że wtedy też na początku ledwo mógł mówić, ale szybko odzyskiwał siły.

Brin Niraj przyglądał mu się z pełną wyższości ciekawością. Finnen odwrócił wzrok.

— Kaira ci powiedziała, prawda? O tym, co planujemy?

— Ona o wszystkim mi mówi.

Finnen bardzo chciał poczuć złość – na dziewczynę albo jej brata, wszystko jedno. Zamiast tego był tylko obolały, oszołomiony i poważnie zaniepokojony.

— Powiedziała mi też, że kiedyś próbowałaś ją zabić.

Niraj skinął głową, a Finnen nie zadał pytania „Dlaczego?”. Nie zniósłby kolejnej odpowiedzi w stylu „Nie rozumiesz”. Zresztą co go to wszystko obchodziło? Brin Issa był dziwny. Jego syn był dziwny i córka pewnie też. A związek pomiędzy Nirajem a Kairą z pewnością wykraczał pomiędzy zwykłe relacje rodzeństwa. Może ze sobą sypiali, a może dziewczyna miała skłonności masochistyczne i podobało jej się, że brat kopie ją po żebrach. Albo jedno i drugie. W porządku, Finnen nie takie rzeczy już widywał i potrafił jeśli nie zrozumieć, to przynajmniej zaakceptować. Wolałby jednak wiedzieć, w co właściwie się wpakował.

Bardzo bolała go głowa.

— Jeśli chcesz wziąć w tym udział... bo domyślam się, że chcesz? — zapytał, a gdy brat Kairy przytaknął, odetchnął, po czym dodał desperacko — to nie jest zabawa, mam nadzieję, że zdajecie sobie z tego sprawę. To nie jest zabawa... — Powoli docierał do niego sens jego własnych słów. Zamknął oczy. — Pomogę wam, ale teraz wynoś się. Chcę odpocząć.

O dziwo Niraj wyszedł bez ociągania.

Następnego ranka Finnen przywołał mechanicznego ptaka, jednego z wielu, które krążyły po Lunapolis, i przesłał wiadomość do Dime. Rudowłosy chłopak zjawił się po południu, ociekając zimnym deszczem, ale jak zawsze z szerokim uśmiechem na twarzy. W jednej ręce trzymał rozmiękle kartonowe pudełko, w drugiej butelkę soku.

— Ale pogoda, co? — rzucił od progu. Uprowadzony wcześniej, nie skomentował opuchniętego nosa kolegi ani siniaków na twarzy.

Finnen zrzucił ze stołu kilkanaście szkiców, robiąc tym samym miejsce dla kartonowego pudła, w którym znajdowały się słodkie bułki z rodzynkami. Oderwał kawałek jednej, zamoczył go w soku i spróbował przeżuć, używając zębów po prawej stronie. Lewa za bardzo go bolała. Przy okazji przyglądał się Dime, który czekał cierpliwie, choć jego oczy lśniły ciekawością.

Kłopot z Dime polegał na tym, że rudzielec był zbyt miły. Ze swoim wiecznym entuzjazmem i brakiem pretensji przypominał radosnego psa. Ludzie lubili go, ale trochę też lekceważyli i wykorzystywali, często nawet bez złych zamiarów, nieświadomie, po prostu dlatego, że chłopak na to pozwalał.

Finnen też zamierzał go wykorzystać, ale pocieszył się myślą, że dla przyjaciela samo powierzenie mu sekretu będzie wystarczającą nagrodą. Dime bardzo chciał, żeby wszyscy traktowali go poważnie.

Opowiedział więc o Kairze, starając się dodać całej historii romantycznego blasku i kładąc nacisk na konieczność zachowania tajemnicy. Tak jak się spodziewał, rudowłosy chłopak poczerwieniał, mile połączony tym, że ktoś okazuje mu tyle zaufania.

Na koniec Finnen wyluszczył swoją prośbę, a Dime zmarszczył brwi, demonstrując stosowną do powagi chwili zadumę.

Finnen uzbroił się w cierpliwość.

— Potrzebujemy Magrita — zawyrokował wreszcie Dime, znający w Lunapolis wszystkich, których warto było znać. Uwagi Finnena nie uszło owo „my”. Dime za nic nie zamierzał rezygnować z udziału w czymś, co pewnie wydawało mu się znakomitą przygodą, a Finnen z kolei nie zamierzał go powstrzymać, rozsądnie bowiem uznał, że jeśli to zrobi, chłopak będzie bardziej skłonny do wypaplania sekretu.

— Magrit jest wnukiem art-złodzieja — tłumaczył Dime, gdy godzinę później zmierzali do domu człowieka, który miał im pomóc.

Deszcz przestał padać, słońce przedarło się przez zwały ciemnych chmur i jego blask roziskrzył teraz głębokie kałuże na placu Zegarów. Skręcili w prawo. Woda bulgotała w fantazyjnie poskręcanych rynnach i spływała z szumem do studzienek.

— Ten art-złodziej ukradł kiedyś z Archiwum Skrzydła, to był jego najlepszy wyczyn, niczym innym się nie wstawił. A w liście z żądaniem okupu zaznaczył, że w zamian za zwrot chce trzystu surimów oraz gwarancję, że jego potomkowie będą mogli Skrzydła wypożyczać. Podobno postawił taki warunek, bo sam nie mógł z nich skorzystać. Miał lęk wysokości, biedaczek, co dla włamywacza jest dość paskudną cechą.

— I Archiwum na to poszło?

— Nie od razu. Najpierw długo trwały negocjacje. Okup zmalął do stu pięćdziesięciu surimów, a lista potomków została skrócona do syna i wnuka, no i Archiwum zaznaczyło wyraźnie, że żaden z nich nie może być art-zbrodniarzem. Przez jakiś czas wydawało się, że cała sprawa pójdzie w zapomnienie, bo syn złodzieja też miał lęk wysokości i od Skrzydeł trzymał się z daleka. Dopiero wnuk, czyli właśnie Magrit, kiedy dorósł, zażądał wypełnienia warunków umowy. To na swój sposób budująca historia, nie? Świadczy, że Archiwum dotrzymuje słowa. Od tej pory Magrit całe dnie spędza w przeszłości. Pole deflekcyjne chroni go przed tymi, którzy czasem rzucają w niego kamieniami, więc może spokojnie fruwać ponad miastem i robić zdjęcia umierającym światom.

— Po co? — zapytał Finnen, gdy weszli do kamienicy i zaczęli się wspinać krętymi schodami. Czekala ich długa droga, bo Magrit, jak przystało na człowieka-ptaka, mieszkał na ostatnim piętrze.

— Po co je robi? — zasapany Dime oparł się o poręcz. Z góry patrzyły na niego maski przyspawane do rur światłowodów niczym osobliwe owoce. Światłowody nocą doprowadzały do inoszyb blask księżyca, schwytyany w tarcze i wzmocniony. Maski nie robiły nic, tylko szczyrzyły się dziwacznie. — Mówi, że po to, aby upamiętnić ludzi, którzy zostali w przeszłości. Uważa, że oni na to zasługują.

— Bardziej by się im przydało świeże jedzenie, ciepłe ubrania i leki — burknął Finnen,

trochę wbrew sobie, bo przecież sam był artystą i rozumiał Magrita. Chciał jednak zobaczyć zdumioną minę Dime, który nie spodziewał się po koledze takich słów, a ponadto, do licha, było w tym sporo prawdy. — To tutaj?

Dime skinął głową.

Drzwi na ostatnim piętrze były uchylone, a gdy Finnen je pchnął, rozsunęły się z metalicznym zgrzytem.

— Jest tu ktoś?

Przeciąg rzucił mu w twarz błony fotograficzne, które porwane przez wiatr frunęły jak stado wściekłych wron. Chłopak odruchowo zasłonił oczy ramieniem.

— Zamknij drzwi! — wrzasnął do Dime.

Błony opadały leniwie, a na parapecie szeroko otwartego okna właśnie lądował gospodarz. Finnen dopiero po chwili połapał się, że patrzy na niego z wyjątkowo nieuprzejmą ciekawością.

Lata używania Skrzydeł zniekształciły sylwetkę Magrita. Mężczyzna miał szeroki, beczkowaty tors i krótkie, chude jak patyczki nogi. Rzeczywiście przypominał ptaka, nawet twarz miał trochę ptasią – pociągłą, z dużym nosem i wielkimi czarnymi oczami. Oczy te wpatrywały się w gości podejrzliwie, podczas gdy palce rąk zręcznie manipulowały przy uprzejmy mocującej Skrzydła.

— Cześć — powiedział Dime. — To mój kumpel, Finnen. Ma do ciebie sprawę.

Magrit zszedł z parapetu, zdjął z szyi aparat, a z nadgarstka aktywator pola deflekcyjnego. Potem odczepił Skrzydła i ostrożnie postawił je pod oklejoną zdjęciami ścianą. Miał nagi tors, ale nie wyglądało na to, że jest mu zimno. Finnen zauważył na jego ramionach i plecach kilkanaście gniazd, w które wchodziły łącza mocujące mechanizm do mięśni. Skóra wokół ran była stwardniała, dawno zablizniona.

— Jaką? — Sięgając po koszulę, fotograf odsłonił pudło wiroprojektora. Na gości spojrzało wypukłe ślepie obiektywu.

— Szukam mojej siostry, zabranej przez ostatni Skok — wyjaśnił gładko Finnen. — Problem polega na tym, że w najwyższym z odrzuconych światów jej nie ma, musiała więc zejść niżej.

— Po co miałyby coś takiego zrobić? — Na twarzy Magrita malowała się podejrzliwość tak wielka, jakby dzień w dzień oszukiwali go młodzieńcy opowiadający o swoich zaginionych

siostrach.

— Pewnie po to, żeby szybciej umrzeć i się nie męczyć. — Finnen sugestywnie pociągnął nosem. Chciał jeszcze otrzeć z oka wymagowaną łzę, ale uznał, że to byłaby przesada. I tak był dumny ze swoich zdolności aktorskich, bo podejrzliwość gospodarza zelżała.

— I co to ma wspólnego ze mną? — zapytał ostrożnie.

— Gdybyś pozwolił mi obejrzeć twoje zdjęcia z ostatnich kilku dni, to może na którymś bym ją zobaczył.

— Robię kilkaset wirofotografii dziennie, naprawdę chcesz je wszystkie obejrzeć?

— Im więcej, tym lepiej. Większa szansa, że na którymś będzie moja siostra.

Magrit przeniósł wzrok z Finnena na Dime, a potem z powrotem na starszego chłopaka.

— Jesteś artystą?

— Komponuję muzykę. — Finnen uśmiechnął się niewinnie, doskonale wiedząc, że gospodarz podejrzewa go o jakieś skomplikowane oszustwo, mające na celu zagarnięcie cennych zdjęć. — Na wirofotografice nie znam się zupełnie.

Magrit niechętnie skinął głową, po czym podszedł do niewielkiej szafki. Deptał przy tym leżące na podłodze błony, ów półprodukt do tworzenia płytek wirofotograficznych, którego najwyraźniej nie zamierzał już wykorzystać.

Z szuflady wyjął kilka grubych teczek.

— To zdjęcia z wczoraj, a to z przedwczoraj i jeszcze z kilku wcześniejszych dni. Nie zdążyłem ich przejrzeć; potem większość i tak wyrzucę.

Nie czekając na zaproszenie, Finnen usiadł przy stoliku i otworzył pierwszą teczkę. Dime ciekawie zaglądał mu przez ramię, potem też przysunął sobie krzesło. Ciemne, wypukłe oczy Magrita śledziły każdy ruch gości.

Finnen oglądał zdjęcia. Kobiety o pomarszczonych policzkach i młodych oczach czyściły z rdzy garnki, prały i sprzątały, powoli przegrywając walkę z entropią. Starsi mężczyźni siedzieli na progach i gapili się w przestrzeń – jeszcze oddychający, ale tak naprawdę już martwi. Młodszy krążyli po mieście z bronią w ręku i nienawiścią w oczach. Jakiś starzec buszował w Halach pośród gnijących odpadów, staruszka ciągnęła po schodach trupa. Ktoś konał, zaplątany w zwoje miedzianych drutów, ktoś inny ugrzązł w mechanizmie Kolejki, pośród zardzewiałego ulferrum, a tryby powoli zdzierały mu skórę z twarzy. Ktoś umarł, mając na sobie zwierzokształtną zbroję, metal wgryzał się w napuchłe od gazów ciało.

Ludzie chorowali, marzli, głodowali. Uciekali przed ogniem, a ich szeroko otwarte usta świadczyły, że musieli głośno, bardzo głośno krzyczeć.

Mnóstwo odrzuconych światów: od tych niższych, gdzie życie niemal całkiem wymarło, aż po najwyższy, ten, który wciąż jeszcze niewiele różnił się od zwyczajnej rzeczywistości. Całe mnóstwo światów i jeszcze więcej twarzy.

Finnen przerzucał zdjęcia coraz szybciej. Odetchnął z ulgą, gdy trafił na jedno jedyne, na którym nie było żadnego człowieka. I tylko dlatego zatrzymał na nim wzrok – po prostu po to, by trochę odpocząć. Na to, co znajdowało się na zdjęciu, w pierwszej chwili w ogóle nie zwrócił uwagi.

— To najstarszy z odrzuconych światów — pospieszył z wyjaśnieniem Magrit. — Rzadko tam schodzę, wolę fotografować ludzi niż budynki, ale ostatnio się skusiłem. I nie żałuję, bo zobaczyłem coś wyjątkowego. To przyleciało z nieba, wicie? Być może nawet ktoś był w środku. Albo — zachichotał — coś było w środku.

Finnen w skupieniu studiował fotografię.

— Widziałeś, jak przyleciało?

— Tak, ale byłem wtedy daleko i nie zdążyłem zrobić zdjęcia. Dopiero potem, kiedy znalazłem się bliżej. To stało wtedy przed Archiwum i było puste.

— Wciąż tam jest?

— Pewnie tak, ale do tego czasu zmieniło się w kupę złomu. To najstarszy świat, przypominam. A tu jest drugie zdjęcie tej... rzeczy.

Na drugim znajdował się nie tylko latający mechanoid, lecz także człowiek, który z rozwianymi włosami pędził w stronę Archiwum.

— Moment. — Magrit spojrział na wypisany ołówkiem numer, po czym sięgnął po pudło z wirofotografiami i znalazł odpowiednią płytkę. Wsunął ją do projektora i zachęcił gościa, by pochylił się nad obiektywem

W głębi aparatu Finnen ujrzał to samo zdjęcie. Widoczny od tyłu mężczyzna biegł co sił w stronę Archiwum, wiatr rozwiewał mu włosy.

A potem, w miarę jak Magrit manipulował pokrętłami, fotografia zaczęła się zmieniać. Ten sam mężczyzna, tylko w bliższym planie. I w dalszym. Widoczny nieco z boku lub tylko od pasa w górę.

Wreszcie Finnen ujrzał jego twarz.

— Brzydał, prawda? — Uśmiechnął się fotograf. — Musiał wystraszyć się tej latającej rzeczy, bo uciekał tak szybko, że ledwo zdążyłem złapać go w obiektyw.

Mężczyzna rzeczywiście był brzydki. W istocie jego szpetota była tak porażająca, że Finnen zastanawiał się, czy nieznajomy nie jest przypadkiem okaleczonym, który urodę oddał w zamian za jakiś niezwykły talent. I po co on zszedł tak nisko, aż do najstarszego z odrzuconych światów, gdzie nic nie było?

— Masz jeszcze jakieś jego zdjęcie? — Finnen zapomniał o Kairze i jej problemach.

Magrit przerzucał zawartość teczek długo, aż chłopak stracił nadzieję i już chciał mu powiedzieć, żeby nie robił sobie kłopotu. Wtedy fotograf odnalazł zgubę.

— Tutaj. To zdecydowanie któryś z wyższych światów, choć nie pamiętam który dokładnie.

Na zdjęciu nieznajomy stał przy oknie. Miał zamknięte oczy i teraz, gdy rysów nie wykrzywił grymas przerażenia, jego twarz była... no, może nie miła, ale przynajmniej znośna.

— I tutaj. — Gospodarz podał Finnenowi kolejną fotografię.

Nieznajomy nadal wyglądał przez okno, ale chłopak nie patrzył już na niego, tylko na ciemnoskórą kobietę, która stała za nim. Z podniecenia zaschło mu w ustach. Spojrzał na numer, potem na pudło z płytkami.

— Mogę?

Magrit skinął głową, a Finnen wyszukał odpowiednią płytkę i wsunął ją do wiropjektora. Manipulował obrazem tak długo, aż znalazł ujęcie, w którym widać było całą sylwetkę nieznajomej.

Z trudem powstrzymał okrzyk – miał rację, była ludzaco podobna do Kairy. Ten sam, wysoki jak na kobietę, wzrost, ta sama szczupła sylwetka. Nawet ich twarze miały zdumiewająco dużo cech wspólnych, choć oczywiście skórę nieznajomej pokrywały zmarszczki. Ale to bez znaczenia, ciało i tak trzeba będzie spalić, myślał Finnen. Zostanie szkielet, a w szkielecie czaszka z tymi charakterystycznymi kośćmi policzkowymi i wysokim czołem. W przeszłości kości starzały się wolniej niż skóra. Brin Issa, jeśli zechce, może zdecydować się na rekonstrukcję plastyczną twarzy i otrzyma wtedy obraz kogoś bardzo podobnego do swojej córki. Biorąc pod uwagę, że rekonstrukcje nigdy nie odwzorowują wyglądu zmarłych ze stuprocentową pewnością, powinien dać się nabrać.

Oczywiście, szepnęło coś złośliwie w głębi jego umysłu, Issa może także zapłacić za

analizę genetyczną, a wtedy dowie się prawdy. Na szczęście taką analizę można było zrobić tylko w jednej z Korporacji, a tam duszoinżynierowie mieli pełne ręce roboty, więc na wyniki czekało się bardzo długo i mało kto się na takie badania decydował.

Finnen potarł policzek.

Nic na to nie poradzę, zawyrokował w myślach. Jeśli Issa zechce zrobić analizę, to trudno, cały nasz plan weźmie w łeb. Musimy podjąć ryzyko. A ja powinienem skupić się na tym, na co mam wpływ.

— Twoja siostra? — zapytał Magrit.

— Aha — odparł Finnen, zanim zdążył pomyśleć. I popełnił błąd.

Fotograf zbladł gwałtownie.

— Oszukałeś mnie — syknął. — Ona nie może być twoją siostrą. Jest zbyt zniszczona, z pewnością została z tyłu wcześniej niż przy ostatnim Skoku. Ona niedługo umrze!

Finnenowi rozbłysły oczy.

— Jesteś pewien? Nie wygląda na chorą.

Magrit zbladł jeszcze bardziej.

— Widziałem ich całe mnóstwo — odparł z pogardą. — I potrafię rozpoznać, kiedy ktoś umiera. A ty jesteś parszywym oszustem.

— Jestem oszustem — Finnen radośnie wyszczerzył zęby — który dziękuje ci za dobrą wiadomość.

— Przeszedłem omówić plan, ale to już ostatni raz. Nie możemy się więcej widywać, bo twój ojciec mógłby nabrać podejrzeń — zastrzegł Finnen.

W wewnętrznym ogrodzie nic się nie zmieniło; kamienny delfin wciąż wypływał strugę podświetlonej na różowo wody, a zeschnięte liście szeleściły pod ich stopami, gdy siadali na ławce. Chłopak spoznał w górę, na rząd ciemnych okien. Kaira zapewniła, że jeśli nie będą mówić zbyt głośno, z pewnością nikt ich nie podsłucha, i Finnen właściwie jej wierzył, bo okna były zbyt daleko. Ale mimo to czuł się nieswojo.

Opisywał jej plan krok po kroku, a ona komentowała każde zdanie skinieniem głowy.

— Rozumiem — powiedziała, gdy skończył. — Dam sobie radę.

— Jeśli chcesz o coś zapytać...

— Nie chcę. Dam sobie radę — powtórzyła.

Finnen lepiej by się czuł, gdyby Kaira miała jakiegokolwiek wątpliwości i nieco mniej zaufania do niego.

— Nadal chcesz to zrobić? Jesteś pewna?

— Tak. Ja... — Uniosła dłonie do ust. Przez chwilę sądził, że wbije w nie zęby, ale odsunęła tylko kosmyk włosów. — Teraz już o nim nie śnię, wiesz? Kiedyś śniłam często, ale teraz już nie.

— Esh Gurleen? — Finnen nie od razu zorientował się, o kim Kaira mówi. — Twój były nauczyciel?

— Aha. — Jej twarz wykrzywił grymas bólu. — Myślisz, że to źle o mnie świadczy? Że o nim powoli zapominam? Nie zapominam, naprawdę, ani o nim, ani o tym, czego mnie uczył.

— Wiem — powiedział, bo najwyraźniej na to czekała. Pomyślał przy tym, że miał rację od początku, od pierwszego ich spotkania. Kaira rzeczywiście całą swą wiedzę o świecie czerpała z książek, bo tylko tam związek snów i pamięci był tak silny.

— Za to śnią mi się inne rzeczy. — Spojrzała na Finna, teraz dla odmiany dumnie wyprostowana, z rozjaśnioną twarzą. — Przeszłość, umierający tam ludzie. To są koszmary, złe sny, ale też w jakiś sposób dobre, bo świadczą o tym, że pamiętam, rozumiesz? Że wciąż pamiętam. Śnię o czerwieni, bólu i przemocy, a kiedy się budzę, jest trochę lepiej, zupełnie jakbym przecięła wrzód.

Finnen chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Kaira posłała mu uśmiech, który na chwilę uczynił jej miłą twarz boleśnie piękną.

— Idź już i nie martw się o mnie. Pamiętam wszystko i poradzę sobie.

Sarimel stawała się coraz chudsza i słabsza. Każdego dnia gdy przychodziła do sypialni Daniela, by przynieść mu śniadanie, dostrzegał na jej twarzy nowe spustoszenia. Włosy posiwiały, skórę pokryła sieć coraz głębszych zmarszczek. Od czasu do czasu kaszlała okropnie, chrypiąc, rżąc i brudząc krwią już i tak brudne chusteczki. Nawet noszenie tacy sprawiało jej kłopot; sapała wtedy z wysiłku i przystawała co chwilę. Przestała karmić go jabłkami, teraz jedynym pożywieniem Daniela był ów rosół z niby-kurczaka, który – nawiasem mówiąc – smakował coraz paskudniej. A Sarimel śmierdziała z każdym dniem bardziej. Daniel zresztą też, bo o wodzie do mycia mógł tylko pomarzyć.

Mimo to przerażało go, że wkrótce straci opiekunkę. Co z nim będzie, gdy jej zabraknie? Potrafił już wstać z łóżka, a nawet przejść kilka kroków. Przejść, czy może raczej przeskoczyć, bo jego lewa noga, ta zmiądzzona, do niczego się nie nadawała, była teraz krótsza, z wielkim, sztywnym i gruzłowatym kolanem oraz stopą śmiesznie wykręconą do wewnątrz. Gdy Daniel ujrzał ją po raz pierwszy, ogarnęła go furia. Na Nowych Ziemiach do czegoś takiego by nie dopuszczono, tamtejsi lekarze z pewnością właściwie poskładaliby mu kości i mógłby teraz chodzić. A tak mógł tylko skakać niczym stuknięty pasikonik, bezradny wśród obcych jak dziecko. Poza tym nie znał tutejszego języka, nie potrafił się bronić i nie wiedział, skąd wziąć pożywienie. Wciąż potrzebował pomocy. Dlatego właśnie mimo wstrętu, jaki budziła w nim Sarimel, starał się być dla niej miły. Liczył, że kobieta przed śmiercią poprosi kogoś, by jeszcze przez jakiś czas zajął się jej podopiecznym. Miała chyba jakichś przyjaciół oprócz kochanka z zardzewiałym mieczem, który przestał do niej przychodzić? Daniel uśmiechał się więc, gdy przynosiła mu rosół, i starał się nie krzywić, choć smak zupy pozostawiał wiele do życzenia. Dziękował jej też za każdą przysługę, nawet za głupie poprawienie poduszki. Słowo „dziękuję” było jednym z kilkunastu, które znał.

W zamian otrzymał buty.

Sarimel przyniosła je któregoś ranka i postawiła przy łóżku. Od razu poznał, że zostały uszyte specjalnie dla niego, bo podeszwa lewego była odpowiednio grubsza, tak by wyrównać długość okaleczonej nogi. Mógł teraz chodzić, co prawda mocno utykając, bo na sztywność kolana nic się nie dało poradzić, ale niewątpliwie był to znacznie efektywniejszy sposób poruszania się niż skakanie. Był ciekaw, ile buty wytrzymają – Sarimel jakimś cudem zdobyła

solidną skórę, ale przecież w tym świecie nic nie pozostawało solidne na długo.

Obszedł pokój, po czym zatrzymał się, zdyszany. W nodze znów odezwał się ból. Daniel wiedział, że minie sporo czasu, zanim odzyska siły. Wiedział też, że już nigdy nie będzie chodził normalnie – chyba że wróci na Nowe Ziemie, gdzie połamią mu kości i złożą je na nowo.

Przymknął oczy, przełknął złość i odwrócił się do Sarimel, chcąc jej podziękować, ale opiekunka zniknęła właśnie w drzwiach. Poszedł za nią, wciąż trochę wdzięczny, trochę zły, a przede wszystkim zaciekawiony, bo nigdy wcześniej nie opuszczał pokoju.

Siedziała, kuląc się przy piecyku, jeśli za piecyk można uznać ażurową kulę z metalu, zawieszoną na wymyślnie powyginanym stojaku. W kuli dogasały węgle, żaru wystarczyło na tyle, by oświetlić znękaną twarz kobiety. W chwili gdy Pantalekis wszedł, właśnie dostała napadu kaszlu. Krtusiła się, plując krwią w rozłożoną na kolanach chustkę, ramiona podrygiwały jej spazmatycznie.

Daniel pospiesznie odwrócił wzrok i omiół spojrzeniem resztę wąskiego, mrocznego pomieszczenia. Ściany tak poczerniały od tłustego brudu, że Pantalekis nie potrafił rozpoznać ich pierwotnego koloru, a przez zakurzone szyby z trudem przedzierała się odrobina słońca. Jedno z okien przesłonięto źle dopasowanym kawałkiem deski, który klekotał w podmuchach zimnego wiatru.

Za plecami Sarimel ciągnęła się lada, która równie dobrze mogła być blatem stołu, jak i blachą pieca – w półmroku trudno było to stwierdzić. Stały na niej garnki, chyba też jakieś kuchenne sprzęty, ale na nie Pantalekis nie zwracał uwagi.

W pomieszczeniu unosiła się woń wilgoci i gnijącego mięsa, nie do pomylenia z niczym innym.

Sarimel wreszcie przestała kaszleć i wskazała stojący na ladzie garnek. „Częstuj się, jeśli jesteś głodny”, mówił jej zachęcający gest. Potem palcem wycelowała w drzwi.

Mężczyzna zacisnął usta. Zrozumiał teraz, że buty były nie tylko prezentem, lecz także czymś w rodzaju wskazówki. Opiekunka w ten sposób dawała mu do zrozumienia, że pora na samodzielność.

— Nie możesz mnie teraz wyrzucić — powiedział, z trudem panując nad złością. — Jestem zbyt słaby, potrzebuję jeszcze kilku dni, no, najwyżej tygodnia. Jak nabiorę sił, sam stąd odejdę. Słyszysz, co do ciebie mówię? Rozumiesz choć słowo? Sam odejdę, wcale nie chcę, żebyś przez cały czas mnie niańczyła, ale potrzebuję jeszcze paru dni!

Kobieta patrzyła bez śladu zrozumienia.

Pantalekis zacisnął dłonie w pięści, a potem je rozluźnił. Odetchnął, starając się uspokoić. Nie pomogło.

— Nie pozbędziesz się mnie, ty brudna krowo — wysyczał. — Jeśli mnie teraz wyrzucisz, to będzie tak samo, jakbyś mnie zabiła. Słyszysz?! Będziesz winna mojej śmierci, chcesz tego?!

Sarimel nie odpowiedziała. Wyglądała na bardzo starą, chorą i wyczerpaną. Oczy miała łagodne, pogodzone z losem.

Daniel trząsał się ze wściekłości i strachu. Ona naprawdę chce się mnie pozbyć, kołatała mu w głowie. Co ja teraz zrobię? Osłabione mięśnie lewej nogi bolały coraz bardziej i musiał chwycić się ściany, bo inaczej straciłby równowagę.

— W porządku — powiedział wreszcie. — Pójdę sobie, ale ty tego pożałujesz.

Czepiając się ścian, ruszył w stronę wyjścia. Chwilę trwało, zanim je znalazł, nie znał przecież tego mieszkania. Potem czekało go jeszcze kilka minut szarpania się z ciężkimi, zakratowanymi drzwiami, aż wreszcie rozsunęły się z posępnym zgrzytem. Daniel wyszedł na klatkę schodową, przechylił się przez poręcz i jęknął z rozpaczą – poniżej serpentynami wily się schody. Ile to może być piętér? Dwadzieścia, trzydzieści? I żadnej windy; nawet jeśli znają tu coś takiego, to mechanizm i tak dawno już zardzewiał. Wiedział, że Sarimel mieszka wysoko – bądź co bądź widział z jej okien spory kawałek miasta – ale nie sądził, że aż tak.

Za plecami usłyszał koszmarny, wilgotny kaszel, jakby kobieta usiłowała wypluć sobie płuca.

Zaciskając zęby, zaczął schodzić. Pocił się, chwiał, czasami jęczał z bólu. I przez cały czas czekał, aż Sarimel zrozumie swój błąd, dogoni go i zaprowadzi z powrotem do mieszkania.

Nie dogoniła, a Daniel wkrótce pojął, że nie da rady zawrócić – prędzej zemdlełby, niż wszedł na górę. Schodzenie było łatwiejsze, więc schodził, na zmianę popłakując i przeklinając byłą opiekunkę. Metal łomotał pod jego stopami, echo odbijało się od kamiennych ścian. Dwa razy musiał usiąść i odpocząć, trzy razy mało brakowało, a upadłby i stoczył się po stopniach. W rezultacie na dół dotarł porządnie wystraszony, ze śladami łez na policzkach.

Wyszedł przed budynek i pierwsze, co zobaczył to szczątki szkieletu przyszpilone do płytek placu. Zimny wiatr targał strzępami płaszcza i resztkami siwych włosów.

Daniel cofnął się lekko i dopiero teraz zauważył drugiego człowieka, tym razem całkiem

żywego. Stał po przeciwnej stronie placu i wyglądał bardzo młodo, a także zdrowo – zdecydowanie zbyt młodo i zdrowo jak na to miejsce. Miał pociągłą, przystojną twarz i sięgające ramion jasnobrązowe włosy, a jego obszerna kurtka bardzo różniła się od zniszczonych szmat, jakie nosiła Sarimel.

Daniel nie wahał się długo.

— Proszę, pomóż — wydukał, podchodząc do nieznajomego. A przynajmniej miał nadzieję, że to właśnie mówi, bo w dziwnym języku obcych znał niewiele słów. — Proszę, pomóż. Ja chory.

Chłopak spojrział na niego, speszony. Na jego twarzy odmalowało się poczucie winy. A potem, nagle wystraszony, jakby Danielowi wyrosły rogi, odwrócił się i uciekł.

Pantalekis obejrzał się. Przez plac, wyraźnie w ich stronę, zmierzała Sarimel. Uśmiechnął się, gotów przyjąć przeprosiny.

— Chodź, pokażę ci, jak się stąd wydostać — powiedziała czarnoskóra kobieta, na której śmierć Finnen czekał. Mówiła to do mężczyzny, który przed chwilą z dziwnym akcentem poprosił go o pomoc i który chyba pochodził z góry, z normalnego świata. W każdym razie nie był postarzały ani schorowany jak nieszczęśnicy z przeszłości.

Ukryty w bramie Finnen patrzył, jak odchodzą. On kulejący i zdezorientowany, ona bardzo już słaba, ale pełna determinacji. Poszedł za nimi w bezpiecznej odległości. Musiał jej pilnować, ale nie miał najmniejszej ochoty spotkać się twarzą w twarz. Nie chciał z nią rozmawiać ani wiedzieć, jak ma na imię, a przede wszystkim nie chciał, żeby zapytała go, po co sterczy pod jej domem. Bał się, że w panice powie coś w rodzaju „Czekam, aż umrzesz”. Niewątpliwie była to prawda, ale Finnen długo żałowałby takiej odpowiedzi.

W całej tej historii było coś mrocznego, niedobrego. Coś, co wiązało się z oczekiwaniem na śmierć ciemnoskórej kobiety, lecz także z tym, że Finnen pomagał ludziom, których prawie nie znał. Nie ufał zwłaszcza Nirajowi, który w istocie mógł być po stronie nie siostry, lecz ojca. Możliwie także – Finnen rozważał i taką teorię – że wszystko, co mówiła Kaira, było kłamstwem, a on sam stał się zabawką w rękach znudzonego i zdziwaczałego rodzeństwa. Miał niemal pewność, że Kaira jest kimś więcej niż tylko naiwną dziewczyną, jaką się niekiedy zdawała, a osobliwych relacji łączących ją z bratem wciąż nie potrafił rozwikłać.

Mimo to ani przez chwilę nie rozważał poważnie możliwości wycofania się. Czasem go to martwiło, czasem sam sobie wydawał się lecącą w płomień ćmą, taką, o jakich czytał w książkach. Pamiętał, że kiedyś poszedł do teatru na przygnębiający dramat pewnego młodego reżysera – jednego z tych, którzy rzadko się myją, jeszcze rzadziej golą, a szczęśliwe zakończenie uważają za policzek wymierzony publiczności. Chciał wyjść w połowie, ale nie potrafił, był jak zahipnotyzowany, zatruty. Musiał wiedzieć, jak ta historia się skończy. Teraz czuł się podobnie. A świadomość, że tym razem sam jest jednym z aktorów, dodawała upiornej pikanterii.

Szedł więc za ciemnoskórą kobietą oraz jej kulawym towarzyszem i obserwował ich. Domyślał się, dokąd idą.

Do Archiwum.

Kobieta coś mówiła; do chłopaka dolatywały poszczególne zdania.

— Zostaliśmy odrzuceni — tłumaczyła. — Giniemy od zepsutego jedzenia, od zimna, chorób, które na górze wcale nie są śmiertelne, od wypadków i ognia. Tutaj najdrobniejsze skaleczenie jest zabójcze, bo rany nie goją się, tylko gniją. Jesteśmy skazani na śmierć. Na początku jest prawie normalnie, a potem... potem wszystko toczy się coraz szybciej. Zdarzają się wypadki, im świat jest starszy, tym dziwniejsze i bardziej skomplikowane. Kiedyś, w innym odrzuconym świecie, moja matka zginęła uduszona, gdy wiatr przywiął czyjś szal. Jeden koniec owinął się wokół jej szyi, a drugi utknął w mechanizmie ruchomych schodów, który włączył się na tych kilka kluczowych sekund. Prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności w świecie na górze jest niemal zerowe, tutaj... jest już duże. A w jeszcze niższych, opustoszałych światach zdarza się to tak często, że wystarczy tam zejść, by zginąć w ciągu... pierwszych kilku minut. Zabija nas entropia, roz...umiesz? E...entropia i... staty...styka.

Rozkaszała się, bryznęła z ust krwią – na schody, poręcz i własne dziurawe buty. Potem zgięła się w dziwnym półprzysiadzie, a serce Finnena zamarło. To już, pomyślał jednocześnie przerażony i podekscytowany. Ona za chwilę przewróci się i umrze.

Lecz kobieta ruszyła dalej. Chłopak nie miał pojęcia, jakim cudem jeszcze znajduje w sobie siłę. Zataczała się, chwytając poręczy, ale szła naprzód. A towarzyszący jej mężczyzna, na oko o wiele silniejszy, nawet nie pomyślał, żeby ją podtrzymać.

Gdy weszli do Archiwum, Finnen dyskretnie wsunął się za nimi. Pomyślał, że nawet jeśli zostanie zauważony, to właściwie teraz nie ma to już znaczenia.

Jedna z wind czasowych była zawalona, a kulawy mężczyzna cofnął się na jej widok. Towarzyszka ujęła go za ramię i poprowadziła do innej. Wciąż tłumaczyła coś coraz słabszym głosem, a on słuchał milcząco, od czasu do czasu z irytacją potrząsając głową.

Co jest nie tak z tym facetem? Stracił pamięć i trzeba mu wszystko wyjaśniać, jakby był małym dzieckiem? Nawet jak działają windy? To w jaki sposób znalazł się w przeszłości? Przecież on musi pochodzić z góry, nie może być jednym z odrzuconych, bo okaleczona noga dawno by go zabiła.

I wtedy na chłopaka spłynęło zrozumienie. Więcej niż zrozumienie – olśnienie, prawdziwa iluminacja. Twarz tego człowieka bez śladu zmarszczek, jego osobliwy akcent, wreszcie zdjęcie, na którym uciekał przed Magritem – unoszący się na Skrzydłach i otoczony polem deflekcyjnym fotograf musiał wyglądać cholernie przerażająco.

Kulawy mężczyzna przybył z gwiazd i jakimś cudem, zamiast od razu zginąć w

najniższym ze światów, dostał się do wyższego. A winda czasowa zawałiła się, bo naraz przeskoczył zbyt wiele odrzuconych rzeczywistości. I najwyraźniej sam nie miał pojęcia, jak to zrobił. To było... porażające, niemal niemożliwe, a jednak niewątpliwie prawdziwe. To było coś, co w jednej chwili wymazało z umysłu Finna problemy Kairy.

Kulawy wszedł do windy, a jego towarzyszka cofnęła się. Jej wargi ułożyły się w słowa „Ty idź, ja nie mogę”.

I mężczyzna zniknął.

Finna rzucił się naprzód, odepchnął kobietę, która w tej chwili znaczyła dla niego tyle co tarasujący drogę mebel. Na wewnętrznych ścianach windy wciąż jeszcze wyświetlały się parametry świata, do którego przeszedł obcy.

Chciał iść za nim. Pokusa była nie do odparcia. Kaira przestała się liczyć, wszystko inne przestało się liczyć.

— Finna?

Chłopak zatrzymał się, ale nie odwrócił. Miał ochotę udąć, że po prostu nie słyszy.

— Wybierasz się dokądś?

Dopiero teraz się obejrzał. Zrobił to powoli, walcząc z siłą, która ciągnęła go naprzód. Z przeciwległej windy wyszedł Niraj. Finna zawahał się. Kaira, ich wspólny plan – wszystko to wróciło do niego w jednej chwili. Poszukał wzrokiem ciemnoskórej kobiety i znalazł ją leżącą na posadzce. Jeszcze oddychała.

— Coś się stało? — zapytał Niraj. — Masz dziwny wyraz twarzy.

— Nie, nic. — Finna starał się zrobić niewinną minę. Udawanie oraz duma z własnego opanowania ostatecznie przywróciły mu równowagę.

Znajdę tego człowieka, pomyślał. Gdy tylko wszystko się skończy, odzyskam go. To nie powinno być szczególnie skomplikowane, bardzo rzuca się w oczy.

— Szedłem za nią — wskazał kobietę — a ona nagle upadła. Nie wiem, co zrobić.

Niraj klęknął przy niej.

— Jest nieprzytomna — powiedział.

— Myślisz... myślisz, że ona umiera? — zapytał Finna, zdając sobie sprawę, jak bardzo bezradnie to brzmi.

— Ona umiera, odkąd została z tyłu. — Niraj skrzywił się i wstał.

Kobieta otworzyła oczy. Chwilę trwało, nim skoncentrowała spojrzenie na twarzy

Finnena. Poruszyła ustami, chłopak odgarnął z jej czoła siwe włosy.

— Powinniśmy dać jej trochę wody...

Niraj parsknął.

— Zdawało mi się, że właśnie czekamy na jej śmierć? Naprawdę chcesz to przedłużyć?

Finnen przyklęknął i delikatnie ujął przeraźliwie chudą dłoń. Pomyślał, że kobieta mogła zginąć znacznie wcześniej i w znacznie gorszy sposób. Choć z drugiej strony to, co widział teraz, trudno było nazwać szczęściem.

— Wszystko będzie dobrze — te słowa z kolei zabrzmiały idiotycznie i prawdopodobnie Niraj za jego plecami znów skrzywił się z pogardą. W tej chwili nic go to jednak nie obchodziło.

Była tak słaba, że nie potrafiła wstać ani nawet mówić. Mimo to Finnen wiedział, że mogą minąć godziny, zanim skona.

Choć przecież to było prawdopodobne. Finnen brał pod uwagę sytuację, w której będą musieli pomóc jej umrzeć. Na początku była to obrzydliwa, przerażająca myśl, której się wstydził i którą usiłował wyrzucić z głowy. Potem stopniowo oswajał się z nią, tłumacząc sobie, że jeśli zrobią coś takiego, to z litości, chcąc oszczędzić kobiecie męczarni. Był pewien, że Niraj też rozważał taką możliwość. Nawet łagodna Kaira, która z takim zapalem zaręczała, że nikomu nie stanie się krzywda, musiała o tym pomyśleć.

Nerwowo przełknął ślinę.

— Myślę, że powinniśmy jej pomóc — szepnął.

— Masz na myśli dobieć jej? — Zza pleców dobiegło go pytanie.

Skinął głową.

— Zrobisz to? — Stchórzył i nie odwrócił się, by spojrzeć Nirajowi w twarz. — Ja nie wiem, czy dam radę.

Brat Kairy milczał, a potem, ku zdumieniu Finnena, odmówił.

W pierwszej chwili chłopak pomyślał, że się przesłyszał, potem, że pomylił się co do Niraja. Może ta jego agresywna, pełna pogardy postawa była w dużej mierze pozą, może potrafił ranić, ale nie zabijać. Jednak trudno było w to uwierzyć.

Niraj pochylił się i poklepał go po ramieniu. Starał się wyglądać na rozluźnionego, ale – co Finnen zauważył bez trudu – w rzeczywistości był napięty jak lina, po której spaceruje akrobata.

— Nie martw się — powiedział. — Pójdę po siostrę, a kiedy wrócimy, ta kobieta na

pewno nie będzie już żyła.

Kaira wykasowała wiadomość z pamięci mechanicznego ptaka i wypuściła go z powrotem na miasto.

Wiadomość była bardzo krótka: „To już”.

Dziewczyna stanęła przed lustrem i upięła włosy. Potem włożyła prostą, wygodną i jednocześnie ciepłą suknię, w której dobrze będzie się czuła pośród zimna, błota i brudu. W uszy wpięła kolczyki – Finnen podkreślał, że powinna zabrać jakąś charakterystyczną biżuterię, bo dzięki niej będzie można rozpoznać ciało. Wszystkie rzeczy zostały przygotowane już kilka dni temu, a każdy ruch, który teraz wykonywała, po wielokroć wyobrażała sobie, wierząc się bezsennie w łóżku.

Lustro ukazywało jej zaskakująco pogodną twarz. Dręczący niepokój minął, jakby ktoś przekręcił wyłącznik, i Kaira z trudem zmuszała się, żeby wszystko robić powoli i starannie. Miała wrażenie, że jeśli pozwoli sobie na chwilę nieuwagi, to szczęście uniesie jej ciało niczym wypełniony helem balonik. To nie była zwyczajna radość, tylko upojenie adrenaliną, coś w rodzaju desperackiej euforii ludzi, którzy wiedzą, że nie ma już odwrotu, i stawiają wszystko na jedną kartę. Chciało jej się śmiać, śpiewać i tańczyć. Wiedziała, że to źle, że powinna być wystraszona, bo wtedy będzie też ostrożniejsza, i ten lęk nawet gdzieś w niej był, stłumiony na dnie.

Boję się, pomyślała, chichocząc do swojego odbicia. Boję się, boję.

To wydawało się tak cholernie zabawne.

Teraz pasek od sukni i buty. Sprawdzić, czy w kieszeniach jest to, co potrzeba. Powoli, spokojnie.

Pomyślała o Eshu Gurleenie. Gdziekolwiek przebywał, jeśli w ogóle żył, w tej chwili byłby z niej dumny. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Wyszła z pokoju i kilka minut krążyła po domu w poszukiwaniu Zielonej Siódemki. Wreszcie znalazła ją w jadalni, czyszczącą srebrne patery. Ją, a raczej jego, bo chwilowo wspólnym ciałem kilkorga służących władał Czerwona Trójka.

— Mam sprawę do Siódemki — powiedziała Kaira.

Kobieta przejęła kontrolę nad mechanicznym ciałem i skłoniła się głęboko.

— Weźmiesz duży kosz i pójdziesz ze mną do Hal. Potem powiem ci, co dalej.

Nieruchoma, srebrzysta twarz była kompletnie pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

— Czy mogę zapytać po co?

— Możesz, ale i tak nie odpowiem. — Kaira niecierpliwie tupnęła nogą i omal nie wybuchnęła śmiechem. Zachowywała się jak rozkapryszona jedynaczka. — Idź po kosz, ja zaczekam przed bramą.

— Panienska nie powinna sama wychodzić z domu.

— Nie wyjdę sama, tylko z tobą, prawda? Poza tym ojciec mi pozwolił. — Mimo wszystko była jednak trochę zdenerwowana i dlatego kłamstwo wypadło tak jak powinno, czyli fałszywie. Zielona Siódemka pójdzie teraz po wiklinowy kosz do kuchni, gdzie rozpowie wszystkim służącym, że Kaira gdzieś się wybiera, prawdopodobnie bez pozwolenia pana domu.

Niraj stał na zewnątrz w lekkiej mżawce i patrzył, jak jego siostra wraz z niosącą gigantyczny kosz służącą znikają za rogiem. Odczekał kilka minut, dla zabicia czasu obserwując ptaki, które krążyły na tle szarego nieba. Potem przeniósł wzrok na biegające po schodach mechanoidy i na dzieci, które kręciły się tu i ówdzie, najpewniej czekając, aż w dół zjedzie scena podniebnego teatru. Jeden z chłopców miał nogi ucięte w połowie ud i chodził na krótkich szcudłach, podpierając się jednocześnie przywiązany do dłoni kulami, przez co przypominał wyrośniętego pająka. Pozostali najwyraźniej uważali go za przywódcę, i chyba słusznie, bo dzieciak rzeczywiście sprawiał wrażenie najbardziej rozgarniętego z całej grupki. Niraj pomyślał, że nie minie wiele czasu, gdy mały okaleczony dorobi się porządnych protez, może nawet ze srebra.

Niżej na schodach czteroręki artysta jedną parą rąk żonglował, a drugą malował portrety, wywołując od czasu do czasu zdawkowe oklaski przechodniów. Dalej dwóch sprzedawców zachwalało gorącą herbatę i prażone orzechy w miodzie. Młodszy reklamował także wynalezione przez siebie kubki-termosy, a starszy własne wiersze. Niraj przeczytał kiedyś kilka z nich; były okropne.

W porządku, już czas.

Wszedł do domu.

Pierwszy napotkany służący nic o Kairze nie wiedział. Drugi też nie. Dopiero trzeci powiedział to, co chłopak chciał usłyszeć. Oczywiście Niraj doskonale zdawał sobie sprawę, gdzie jest jego siostra, ale zależało mu, by ich mistyfikacja była jak najbardziej wiarygodna. Możliwe, że po wszystkim Brin Issa będzie wypytywał służących o wydarzenia z tego ranka.

Tak więc Niraj zadał pytanie, na które znał odpowiedź, i odpowiedź tę otrzymał. Zdumienia udawać nie musiał, nie miał nawet takiego zamiaru. Wszyscy znali go jako człowieka, którego nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi, i teraz się to przydało.

Podszedł do okna i przywołał mechanicznego ptaka. Przesłał nim wiadomość do Brina Issy, który jak zwykle o tej porze przebywał u rzeczoznawcy Omariego.

Wiadomość zawierała dwa zdania:

„Kaira wzięła jedną ze służących i poszła do Hal. Idę za nią”.

Finnen został sam na sam z umierającą kobietą. Klęczał przy niej, trzymał za rękę i ze wszystkich sił starał się wmówić sobie, że jej pomaga. Przez okna z podniesionymi przesłonami do Archiwum wpadało wystarczająco dużo światła, by chłopak widział dokładnie jej rysy. A wolałby nie widzieć, z ochotą odwróciłby wzrok od tej wymęczonej, ale dziwnie spokojnej twarzy. Jednak to byłoby tchórzostwo, więc zmuszał się, by na nią patrzeć. Uznał, że skoro już zdecydował się wykorzystać śmierć tej kobiety, to powinien również znieść poczucie winy.

Przelotnie pomyślał, czy Dime będzie żałował, że nie znalazł się na jego miejscu. Pilnowali domu kobiety na zmianę i teoretycznie to pełen entuzjazmu rudzielec mógłby teraz tu klęczeć. Ciekawe, czy wtedy wciąż jeszcze sądziłby, że to wszystko jest fascynującą przygodą.

Umierająca otworzyła oczy. Wydawały się zaskakująco młode w jej pomarszczonej twarzy.

— To był potomek Przedksiężycowych — powiedziała wyraźnie, a Finnen w pierwszej chwili pomyślał, że ma halucynacje, bo tak czysty głos nie mógł należeć do kogoś, kto został w przeszłości.

— Słucham?

— Mężczyzna, który był ze mną. To potomek Przedksiężycowych, którzy odeszli dawno temu.

— Skąd pani to wie?

— Nie... mówi... — jej oddech zaczął się rwać — ... żadnym naszym językiem. Wiem, bo byłam... jestem lingwistką... I jego rany się goją... nor...malnie.

Finnen przygryzł wargi. To było możliwe, to wyjaśniało, jakim cudem mężczyzna nie zginął w najniższym z odrzuconych światów, lecz zdołał przejść do wyższego.

— Odnajdę go i zaopiekuję się nim — obiecał, bo sądził, że umierająca tego właśnie pragnie. Bądź co bądź ostatnie chwile życia poświęciła na to, by zaprowadzić kulawego do windy.

Kobieta potrząsnęła głową. Wyglądała, jakby chciała zachichotać, ale zamiast tego zakrztusiła się. Finnen podniósł ją i przekręcił na bok, by nie zadławiła się krwią. Kaszłała długo.

Wytarł jej usta. W zagłębieniach spękanej skóry warg i tak zostały ciemnoczerwone ślady.

— Przepraszam — powiedział bezradnie. Miał wrażenie, że zaraz się rozpłacze. —
Przepraszam...

W jej oczach, które z każdą chwilą stawały się coraz mniej przytomne, zobaczył zdziwienie. Kobieta z wysiłkiem starała się pojąć, za co właściwie przeprasza ją chłopak, który był na tyle miły, że został z nią, choć przecież mógł wrócić do swojego świata.

To całkiem go dobiło. Finnen rozryczał się tak, jak mu się nie zdarzyło, odkąd wyrósł z dzieciństwa. Przez chwilę snuł szalone myśli, że może mógłby tę kobietę uratować. Jej płuca nie były w aż tak złym stanie, by nie dać się wyleczyć. Bardzo osłabiona, prawdopodobnie nie jadła od kilku dni, a wcześniej jej posiłki składały się z na wpół zgniłej żywności. Gdyby zapewnić jej właściwą opiekę...

Jednak w tym celu musiałaby wrócić na górę, a to było niemożliwe. W jej świecie ciepło, leki i dobre jedzenie nic by nie pomogły, najwyżej trochę opóźniły to, co nieuniknione.

Kobieta zamknęła oczy. Przez chwilę Finnen sądził, że umarła, zdążył nawet zawstydzić się z powodu ulgi, jaką poczuł. Ale nie, ona wciąż żyła, choć wyglądała na pogrążoną we śnie albo nieprzytomną.

Wtedy właśnie cały ich plan zaczął się psuć.

Najpierw z windy czasowej wyszedł Dime. Niósł pokrowiec, w którym spoczywało coś, czego kształt wydał się Finnenowi znajomy.

Starszy chłopak zaklął w myślach. Zupełnie zapomniał, że o tej porze Dime miał go zmienić.

— Pożyczyłem od Magrita Skrzydła. — Rudzielec uśmiechnął się radośnie. — Teraz będzie łatwiej obserwować tę kobietę...

Zauważył leżące na posadzce ciało i jego uśmiech zniknął jak zdmuchnięty.

— O — powiedział, zastygając na chwilę z otwartymi ustami. — O...

W innym przypadku byłoby to zabawne, lecz teraz wydawało się jedynie irytujące i głupie.

— Nie żyje? — Dime podszedł bliżej, na jego twarzy lęk walczył z ciekawością.

— Jest nieprzytomna.

Uklęknął obok Finna. Wyglądał na zakłopotanego, jakby w przedstawieniu teatralne wtargnęła nagle brutalna rzeczywistość, a on nie miał pojęcia, co z tym zrobić.

Odchrząknął.

— Nie umiem ci pomóc... Ja... przepraszam... Chyba na nic się nie przydam... Jeśli nie masz nic przeciwko, to pójde na dach wypróbować Skrzydła. Bo skoro już je pożyczyłem... W porządku?

Finnen skinął głową, tłumiąc złość. On musiał zostać, nie mógł sobie tak po prostu pójść, żeby polatać nad umierającym miastem.

Dime postawił Skrzydła przy jednej z tarcz księżycowych i otarł czoło. Po wspinacze na dziesiąte piętro, a stamtąd na dach, był spocony i zdyszany. Postanowił, że trochę odpocznie, zanim założy Skrzydła. W rzeczywistości starał się odwlec ten moment. Sam przed sobą musiał przyznać, że trochę się boi.

Powietrze było zimne i nieruchome jak przed burzą, nawet krwawe refleksy zachodzącego słońca zastygły w ciszy. Miasto wyglądało na wymarłe i dopiero po chwili Dime dostrzegł kilka czarnych punkcików, które poruszały się wzdłuż Schodów Solnych. Z tej wysokości ludzie byli maleńcy jak kukiełki.

Zdjął kurtkę, potem koszulę. Jego pokryte gęsią skórą ramiona wyglądały żałośnie chudo, jak oskubane udka gołębia. Co będzie, jeśli nie zdoła wzbić się w powietrze? Albo gorzej, jeśli się wzbije, a potem spadnie?

Rozpakował skrzydła i pogładził połyskujące metalicznie lotki. Każda z nich zawierała maleńką baterię słoneczną, której energia będzie wspomagać siłę jego mięśni. Tylko najpierw tę siłę trzeba mieć. A Dime od dziecka był słabeuszem.

Mimo to pokusa była zbyt duża. Szybować nad miastem, czuć na twarzy zimny wiatr... To było coś, czego pragnął przez całe życie, do czego został stworzony. A przynajmniej tak mu się teraz wydawało.

Przymknął oczy i stał tak, niezdecydowany.

Ciepły podmuch nadszedł nie wiadomo skąd. Wzbił w powietrze kurz i rozwiął rude włosy. Lotki Skrzydeł załopotwały z cichym, metalicznym zaśpiewem.

Chłopak uniósł powieki. Schodami Haków sunęła rudoczerwona rzeka ognia, żar zasysał tlen i gwał metalowe rury. Pękały dachy budynków. Słysząc już było odległe, jakby przesączone przez watę krzyki ludzi, a w twarz Dime uderzył kolejny podmuch wiatru, gorący i ciężki od drapiącego gardło dymu.

— Teraz do Archiwum — zdecydowała Kaira.

Siódemka nie zaprotestowała; jej srebrna twarz wciąż była nieruchoma i bez wyrazu. Mimo to cała postawa służącej wyrażała chłodną dezaprobatę, która niewymownie Kairę irytowała.

Kosz, wypełniony po brzegi jedzeniem, musiały nieść we dwie. Schodziły więc powoli, patrząc pod nogi i od czasu do czasu gubiąc na stopniach gruszkę czy pomidor. Kaira klęła, gdy wpadała na kogoś albo ktoś wpadał na nią. Na schodach w pobliżu centrum pełno było żonglerów, połykaczy ognia i mimów; kręcili się tu też poeci, gotowi ułożyć wiersz na dowolny temat, oraz animatorzy zabawiający przechodniów popisami miniaturowych mechanoidów.

Kaira zastawiała się już chyba setny raz, czy ojciec uwierzy w jej śmierć. I po raz kolejny doszła do wniosku, że tak, że może uwierzyć. Zabranie świeżego jedzenia z Hal, by zawieźć je w przeszłość i nakarmić głodujących, to było coś, co Kaira rzeczywiście mogłaby zrobić. Coś nieodpowiedzialnego i niebezpiecznego, co miałoby wszelkie szanse zakończyć się właśnie taką głupią śmiercią, jaką zamierzali upozorować.

W Archiwum rzuciła urzędnikowi całego surima.

— Żadnych druczków, nie będę nic podpisywać.

Urzędnik cofnął się, a Kaira uśmiechnęła się z satysfakcją. Zależało jej, żeby ją zapamiętał.

Gdy tylko dotaszczyły kosz pod pierwszą z brzegu windę czasową, Kaira odesłała służącą.

Potem kucnęła i lekko przechyliła kosz – musiała to zrobić, inaczej nie zmieściłby się w wąskim wejściu. Na posadzkę potoczyło się kilka jabłek. Kaira przechyliła go jeszcze bardziej, wsunęła do środka i nogą popchnęła w głąb. Na stos jedzenia dorzuciła jabłka, po czym weszła do windy. Z trudem wystarczyło tam dla niej miejsca.

Wychyliła się jeszcze, by pomachać Nirajowi, który właśnie wszedł do Archiwum. Brat posłał jej złożony z dwóch skrzyżowanych palców znak powodzenia.

Kaira wiedziała, że nie powinni tego robić, ale, do licha, przecież oprócz nich sala była całkiem pusta. Dziewczyna pamiętała, jak bardzo Finnen nalegał, by grali swoje role nawet wtedy, gdy będzie im się zdawało, że nikt nie patrzy. Jednak uznała to za przesadę, szybko

zresztą zauważyła, że Finnenowi udawanie po prostu sprawia przyjemność. On grałby nawet wtedy, gdyby był pewien, że jest zupełnie sam.

Uśmiechnęła się do brata, a później zamknęła oczy i poszybowała w przeszłość.

— Miasto płonie — powiedział Finnen, gdy tylko Kaira wyszła z windy czasowej. Stojący obok Dime potwierdził wiadomość gorliwym skinieniem głowy. Wyglądał na bardziej podekscytowanego niż wystraszonego, co było zrozumiałe, mury Archiwum były bowiem ognioodporne. Musiały takie być, bo gdyby spłonęły windy, połączenie z odrzuconym światem zostałyby przerwane.

— Co takiego?

— Miasto płonie — powtórzył cierpliwie. — A ta kobieta... — zająknął się, bo miał wrażenie, że powinien użyć jej imienia, a nie znał go — ... ta kobieta wciąż żyje.

Kaira uklękła przy nieprzytomnej.

— Co teraz? — Wyglądała na dezorientowaną. — Co teraz zrobimy?

— Z nią czy z ogniem? Bo jeśli chodzi o ogień... — Finnen miał pustkę w głowie.

Zamknął oczy i na wewnętrznej stronie powiek zobaczył – tak wyraźnie, jakby się naprawdę zdarzyła – scenę, w której Brin Issa wychodzi z windy i widzi ich wszystkich, gapiących się na niego bezradnie. Co to oznaczałoby dla niego? A dla Kairy?

Zacisnął ze złością pięści. Ich plan sypał się w gruzy, bo przecież nie mogli teraz wyjść na zewnątrz.

I wtedy spłynęło na niego natchnienie.

— Dime, co zrobiłeś ze Skrzydłami?

— Zostały na dachu, tak jak moja kurtka. Złapałem tylko koszulę i pobiegłem na dół.

— W porządku. Wszyscy więc pójdziemy na dach. Tylko najpierw...

— Najpierw będziemy musieli pomóc jej umrzeć — uzupełnił Niraj, który pojawił się w drugiej windzie i podszedł do nich cicho.

Finnen zmarszczył brwi, zdziwiony. Dopiero po chwili zrozumiał.

Niraj już wcześniej wiedział, że kobietę trzeba będzie dobić, ale z jakiegoś powodu chciał to zrobić wtedy, gdy będzie z nimi Kaira. Finnen poczuł się zaniepokojony i zagubiony jednocześnie. Wokół działo się coś dziwnego, a on nie miał pojęcia, jak reagować – i w jakiś sposób nawet mu się to podobało.

— Musimy się pospieszyć — dodał Brin Niraj. — Przed chwilą posłałem drugą wiadomość do ojca, a przy wejściu do windy kredą napisałem parametry tego świata. Ojciec

powinien tu być za kilka minut.

— Miasto płonie — wtrącił szybko Dime, bojąc się, że Finnen po raz kolejny odbierze mu przyjemność oznajmienia tej rewelacji. — Ale nie musimy wychodzić na zewnątrz — dorzucił z dumą. — Mamy inny plan. Pójdziemy wszyscy na dach.

Finnen spojrzał pytająco na Niraja, który powoli skinął głową.

— Kairo — powiedział cicho Finnen — chodź, przejdziemy się trochę.

— Nie — zaprotestował zdecydowanie syn Issy, ku zdumieniu Finnena, który najwyraźniej źle zinterpretował jego skinienie. — Zostań, Kairo. W końcu to był twój pomysł.

— Czy ona umiera?

— Owszem — potwierdził Finnen, czując litość dla dziewczyny, która jeszcze niedawno z przekonaniem zapewniała, że „nikomu nic złego się nie stanie”. — Nie da się jej pomóc, możemy tylko skrócić cierpienie.

— I powinniśmy to zrobić?

Finnen zbuntował się w duchu. Dlaczego, u licha, Kaira uparła się, żeby to jego obciążyć odpowiedzialnością?

Odpowiedział po chwili, niechętnie:

— Tak.

Dime z przepaszającym pomrukiem usunął się w cień. Finnen wyciągnął rękę i objął palcami nadgarstek dziewczyny, a Niraj obrzucił Finnena osobliwym, porozumiewawczym i zadowolonym spojrzeniem. Jakby mu dziękował? Finnen zapamiętał to spojrzenie. Nie rozumiał go, nigdy nie miał zrozumieć, ale je zapamiętał.

Niraj pochylił się nad kobietą, po czym szeroką dłonią zatkał jej usta i nos. Finnen nie odwrócił głowy – w pewnym stopniu Niraj miał rację, powinni dzielić z nim winę.

Jednak chłopak nie patrzył na twarz ciemnoskórej kobiety. Wbił wzrok nieco niżej, w ciężki od drogich kamieni naszyjnik, który otaczał jej wychudłą szyję.

Pod palcami czuł bijący puls Kairy, ale nie usłyszał żadnego z dźwięków, których się spodziewał. Żadnego krzyku, odgłosu powietrza wciąganego do płuc, nic.

Gdy było po wszystkim, Kaira zamknęła zmarłej oczy, po czym powiedziała:

— Twoja śmierć nie pójdzie na marne, przysięgam.

Finnen zdążył się już nauczyć, że podobne banały Kaira mówiła z przerażającą powagą. On sam był znacznie mniej wzniosły. Po prostu schylił się i zabrał naszyjnik, zbyt

charakterystyczny, by zostawić go przy zwłokach.

— My zabierzemy jej ciało na dach, a ty zostań tutaj i powiedz ojcu, że twoja siostra wystraszyła się ciebie, spanikowała i pobięła do góry — Finnen instruował Niraja. Mieli coraz mniej czasu i chłopak dziwił się, jakim cudem udaje mu się zachować spokój.

— Kaira nie wpadłaby w panikę — zaprotestował jej brat.

— Więc powiedz, że po prostu zobaczyłeś, jak idzie po schodach. Wszystko jedno, po co tam poszła, może chciała podziwiać z góry widok albo coś w tym stylu. Albo liczyła, że stamtąd dostrzeże ludzi, którym będzie mogła rozdać jedzenie. Co za cholerna różnica? Issa i tak będzie mógł tylko zgadywać, skoro Kaira umrze.

Niraj skinął głową.

— Dasz sobie radę? — zapytał Finnen. Nie wierzył w jego zdolność kłamania. A poza tym nadal istniało zagrożenie, że brat Kairy tak naprawdę jest lojalny wobec ojca, nie siostry. Jednak ani na jedno, ani na drugie Finnen nic nie mógł poradzić.

— Tak. — Niraj niecierpliwie zacisnął usta. — Idźcie już. Oni zaraz tu będą.

„Oni? Jacy oni?”, chciał zapytać Finnen, ale w porę uprzytomnił sobie, że Brin Issa pewnie przyjdzie ze swoimi ludźmi.

Wziął zmarłą na ręce. Była wysoka, ale bardzo wychudzona i lekka. Przemknęło mu przez myśl, czy Dime widział, co się stało. Sądząc po jego pobladłej twarzy, chyba tak.

Metalowe schody leciutko dygotały pod ich stopami. Finnen szczerze żałował, że zepsuł się mechanizm, który je uruchamiał. Zmarła ciążyła mu coraz bardziej.

— Mogę ją wziąć — zaproponował Dime na szóstym piętrze.

— Nie trzeba.

Z dziesiątego piętra na dach prowadziły już nie schody, lecz metalowa drabinka. Finnen położył zwłoki na podłodze i wszedł na górę. Kaira i Dime podali mu bezwładne ciało, a on przeciągnął je przez klapę.

Potem podniósł się i rozejrzał.

Ogień był bliżej, niż sądzili. Płonął uniwersytet i siedziba straży miejskiej; smukła wieża Biblioteki wyglądała jak opasana czerwono-żółtą koroną. W szare niebo były kolumny szarego dymu. Nie tylko blisko, także dalej, tam gdzie ogień już przeszedł, zostawiając za sobą szeroki pas pogorzeliska, w którym purpurowo jarzyły się fragmenty dogasających ruin. Z hukiem zapadł

się dach Wschodniej Stacji Mechanoidów i wtedy na króciutką chwilę włączyły się stojące tam mechanizmy, a Finnen słyszał, jak drepcą, drapiąc bezradnie ściany. Naprawdę to słyszał poprzez trzask płomieni, poprzez odgłosy pękających rur i szyb, które wypadały z okien, by rozbić się na kamieniach.

Ogień cierpliwie pełził w dół, schodami w stronę Archiwum. Już cały plac Solny pokryty był ruchliwym, rudym kobiercem, z którego wystawała głowa i nagi tors kamiennego minotaura. Po chwili i one zniknęły.

— Niech to Skok pochłonie — zaklęła Kaira, stając przy Finnenie. Albo w jej oczach odbijał się blask pożaru, albo rzeczywiście jaśniały gorączkowo.

— Wróc na dół. — Chłopak z trudem odwrócił głowę od szalejącego ognia. Było w tym widoku coś przerażającego i fascynującego jednocześnie.

— Po co?

— Nie na parter, wystarczy ostatnie piętro. Zaczekaj na ojca i dopilnuj, żeby cię zobaczył. Potem biegnij jak najszybciej na dach i zamknij za sobą kłapę. Rozumiesz? Ważne jest, żeby ojciec cię zauważył, bo wtedy nie będzie miał wątpliwości, że naprawdę tu byłaś, i łatwiej uwierzy, że spalone ciało jest twoje.

— Sprytne.

— Nie bardzo... — mruknął. Gdyby pochwalił go ktoś inny, uznałby, że to kpina, bo naprędce wymyślony plan miał sporo dziur. Ale Kaira chyba mówiła szczerze. — Pospiesz się.

Dziewczyna zeszła na dół, a Finnen odnalazł Skrzydła. Leżały na krawędzi dachu, jeszcze jeden ciepły, przesycony dymem podmuch i spadłyby. A wtedy wszystko trafiłby szlag.

Chłopak chwycił je i przyciągnął. Parę lotek było wygiętych, więc wyprostował je zręcznie. Miał ochotę krzyknąć na Dime, ale zrezygnował – rudzielec i tak już kiepsko wyglądał. Błady, poruszał się jak mechaniczna figura, bez własnej inicjatywy, reagując tylko na polecenia przyjaciela. W jego oczach widać było oszołomienie tak ogromne, że stłamsiło całą jego osobowość. Finnen trzymał się lepiej, choć miał wrażenie, że ogarnia go panika i lada moment jego spokój pryśnie jak zgnieciony szklany koralik. Patrzył na siebie z boku niczym na aktora w teatrze i nie potrafił wyjść ze zdumienia, jakim cudem ten aktor nie zaczął jeszcze wrzeszczeć.

Wiatr się wzmagił, silniejsze podmuchy niosły ze sobą więcej dymu i drobinek sadzy. Finnen zakrztusił się, pod powiekami coś go zapiekło. Zgiął się wpół, kaszląc i trąc oczy. Jego spokój pękł i wreszcie zalało go przerażenie. Nie chcę być ślepy, nie chcę być ślepy, jęczał w

myślach.

— Finnen? Finnen!

Najpierw usłyszał głos Dime, a potem... potem chyba Kairy.

— Idą! — wrzasnęła dziewczyna.

Otworzył oczy i zamrugał, podczas gdy po policzkach spływały mu łzy. Widział, choć minęła chwila, zanim obraz nabrał ostrości. Kaira właśnie zamykała zasuwę na klapie.

— Co teraz? — zapytała. — Mam założyć Skrzydła, tak?

Patrzyła na niego z tak absolutną ufnością, że w tej chwili niemal ją znienawidził.

Wiedział, że przez niego prawdopodobnie zginie.

— T... tak — wykrztusił, znowu z pustką w głowie.

Dime stał obok, usta i nos zasłaniał ramieniem, mokre od potu włosy lepiły mu się do czoła. Było gorąco jak w piekarniku i Finnen pomyślał, że ogień musiał już dotrzeć do Archiwum i że pewnie nie wespnie się tak wysoko, nie na dziesiąte piętro, ale co z tego, skoro nie będą mieli czym oddychać.

— Nie wiem jak! — krzyknęła Kaira. — Pomóżcie mi!

Kłapa zadygotała – ktoś uderzał w nią z drugiej strony. I chyba też wrzeszczał, a Finnenowi zdawało się nawet, że poznaje głos Brina Issy.

Ponieważ dziewczyna nie doczekała się żadnej reakcji, rozłożyła na dachu Skrzydła i zabrała się do rozplątywania uprząży mocującej. Ręce jej drżały, usta miała zaciśnięte, w oczach płonęło desperackie zdecydowanie. Nie patrzyła na nich, najwyraźniej uznała, że skoro nie chcą jej pomóc, to poradzi sobie sama. Potem, bez chwili wahania, rozpięła górę sukni i zsunęła ją z ramion, odsłaniając piersi.

Dopiero to otrzeźwiło Finna. Oszłomienie minęło, a jego umysł wskoczył na właściwy tor jak wagonik Kolejki. Znow mógł myśleć.

Podszedł do Kairy, chwycił ją za ramiona i szarpnął.

— Przestań! To nic nie da! Nie wydostaniesz się stąd!

— Przelecę nad ogniem do miejsca, gdzie jest bezpiecznie, a potem wrócę. Czy nie taki był nasz plan?

— Zabraknie ci tlenu, wariatko! Stracisz przytomność i spadniesz w sam środek pożaru! Nie możesz tego zrobić.

Kłapa podskoczyła kolejny raz, zasuwę zabręczała. Finnen zastanawiał się, ile

zamknięcie wytrzyma. Teraz był już pewny, że słyszy głos wołającego córkę Brina Issy.

— Mogłabyś... mogłabyś się schować... — wymamrotał Dime. Patrzył na odsłonięte piersi dziewczyny z tak idiotycznym wyrazem twarzy, że Finnen poczuł ochotę, by nim potrząsnąć.

— Gdzie? — warknął zamiast tego. Były tu co prawda tarcze księżycowe, lecz za podtrzymującymi je wspornikami nie schowałoby się nawet najchudsze dziecko. Przyszło mu do głowy, że gdyby Kaira stanęła przy krawędzi, z dala od klapy, to ojciec mógłby po prostu jej nie zauważyć. Gdyby tylko wyszedł na dach i zaraz zawrócił... Tylko że kłęby dymu napływały falami – raz Finnen wstrzymywał oddech i mrużył oczy, by za chwilę odetchnąć swobodnie i nawet móc rozejrzeć się wokół. Brin Issa – czego chłopak był całkowicie pewien – z pewnością poczekałby na taki właśnie moment. Czekalby tak długo, aż zobaczyłby swoją córkę albo aż oboje straciliby przytomność.

Kaira także musiała zdawać sobie z tego sprawę, bo odepchnęła rękę Finnena. Zrobiła to bez większego trudu, a adrenalina jeszcze dodawała jej sił.

— Nie zostanę tu — powiedziała po prostu. Nagle przestała krzyczeć, mówiła normalnym tonem, co jeszcze bardziej wystraszyło Finnena.

— Kairo, zastanów się... — zaczął, z góry wiedząc, że to bez sensu, że ona i tak zrobi to, co zechce.

— Odsuń się, proszę.

„Proszę” dodała po chwili wahania, jakby nie była pewna, czy warto.

Krzyki za ich plecami umilkły, za to uderzenia o klapę stały się jeszcze mocniejsze. Drewno wokół zamka pękało.

Kaira kucnęła, zarzuciła sobie na ramiona Skrzydła i wstała. Dime pomógł jej pozaciągać paski mocujące. Ręce mu drżały, ale mimo to radził sobie nieźle. W jego oczach wciąż widać było oszołomienie i coś jeszcze, coś, co Finnen uznał za smutek.

Dziewczyna sięgnęła do umieszczonego na biodrze przełącznika i po powierzchni Skrzydeł z trzaskiem przebiegły błękitne iskry. Jednocześnie Kaira krzyknęła, gdy łącza wbiły jej się w skórę, poprzez cienką warstwę tkanki tłuszczowej sięgając aż do mięśni. Usta wykrzywiły się w bólu, po szarych od sadzy ramionach spłynęły strużki krwi.

— Kaira... — szepnął Finnen.

— Nic mi nie będzie. — Oddychała płytko, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. —

Jestem silna, dam sobie radę. Dam sobie radę.

Jej zacięta w wyrazie uporu twarz wyglądała teraz bardzo dziecinnie, jak twarz małej krnąbrnej dziewczynki, która za chwilę wybuchnie płaczem.

Rozsunęła ramiona, rozkładając jednocześnie Skrzydła. Wrażenie dziecinności znikło i Kaira wyglądała teraz pięknie. Chłopak pomyślał, że chciałby ją taką właśnie namalować: na wpół nagą, brudną i zakrwawioną, z przymkniętymi oczami i twarzą naznaczoną bólem.

A potem dziewczyna uniosła się i już wtedy Finnen wiedział, że coś jest nie tak. Jej ciało zwisało pomiędzy Skrzydłami ciężko jak wypełniony kamieniami worek. Musiała wkładać sporo wysiłku, aby utrzymać się w powietrzu, i jeszcze więcej, żeby przefrunąć choć kilka metrów. Mięśnie miała napięte, spod opuszczonych powiek połyskiwały białka oczu, skóra lśniła od potu. Jej ramiona pracowały jak tłoki, lecz kiedy spróbowała skrócić, straciła równowagę i omal nie spadła.

Chłopak nigdy wcześniej nie widział nikogo na Skrzydłach, ale z pewnością nie tak to powinno wyglądać. Może latanie wymagało treningu, a może paski mocujące trzeba było indywidualnie dostosować do figury użytkownika, bo przecież Magrit był niższy od Kairy i potężniejszy? Oba te przypuszczenia przemknęły przez głowę Finnena, po czym zaraz zastąpił je precyzyjny w najdrobniejszym szczególe obraz dziewczyny pożeranej przez ogień.

— Kairo, proszę, przestań! — krzyknął. — Przestań!!

Dziewczyna zbliżała się już do krawędzi, a Finnen z nadzieją zauważył, że leci coraz niżej. Trzy metry, dwa i pół, dwa... Jeśli teraz spadnie, po prostu wyląduje na dachu.

— Kaira! — Biegł do niej, życząc sobie z całego serca, żeby dziewczynie zabrakło sił, żeby spadła, skręciła sobie kostkę, płakała i była wściekła.

Lecz ona w ostatniej chwili uniosła się jeszcze trochę i dopiero potem poleciała w dół. O krawędź dachu zahaczyły tylko lotki i pośród elektrycznych trzasków, w deszczu błękitnych iskier, Kaira zawisała ponad ogniem, zaczepiona na Skrzydłach.

— Kaira!

A potem spadła.

Finnen dopadł krawędzi, położył się na brzuchu i wychylił. W twarz uderzył go dym, chłopak zakrztusił się i dopiero po chwili otworzył oczy.

Zobaczył Kairę na wysokości ósmego piętra. Trzymała się rynny, a stopy opierała o parapet okna. Próbowwała rozbić je kopniakiem, ale to nie mogło się udać, budynek Archiwum był

bardziej wytrzymały niż kasa pancerna. Okna otwierały się tylko od wewnątrz.

Poniżej szalał ogień; dym sunął po ścianie niczym kłęby gęstego, szarego futra.

— Zaraz tu będą! — krzyknął Dime.

Finnen wychylił się jeszcze bardziej, nie dbając o to, że może spaść.

— Kairo, słyszysz mnie?

Skinęła głową. Oczy miała ogromne, przerażone, ale przytomne. Chyba.

— Odepnij jeden z pasków mocujących i zapnij go wokół rynny — powiedział. — A potem oderwij kawałek spódnicy i owiż go sobie wokół twarzy.

Nie miał czasu sprawdzić, czy dziewczyna go zrozumiała. Zerwał się, podbiegł do klapy i z przerażeniem dostrzegł, że zasuwę trzyma się na ostatniej śrubce, która lada moment wyleci w powietrze.

Chwytał martwe ciało ciemnoskórej kobiety, zawlókł je na krawędź dachu i zrzucił w ogień – przytomnie nie z tej strony, gdzie wisiała Kaira.

Po czym odwrócił się, by stawić czoła Brinowi Issie.

— Gdzie moja córka?

Tak jak Finnen sądził, Issa poczekał, aż wiatr rozwieje dym, i rozejrzał się wokoło. To samo zrobiło pięcioro jego ludzi, z których troje tkwiło w mechanicznych ciałach. Szóstym był Niraj, który nie rozglądał się, lecz w napięciu patrzył na twarz Finnena, jakby naprawdę spodziewał się, że w takiej sytuacji chłopak zdoła dać mu jakiś znak.

Finnen milcząco wziął Issę za ramię, podprowadził do krawędzi dachu i pokazał leżące w dole ciało. Z wysoka wyglądało jak porzucona pośród płomieni lalka.

Issa zeszywniał, jego delikatna, wypielęgnowana twarz zastygła w wyrazie niedowierzania.

— Nie rozumiem — powiedział wolno. — Gdzie moja córka?

— To jest pana córka. Wystraszyła się, cofnęła i spadła z dachu.

Chłopak chciał powiedzieć, że skoczyła, bo to brzmiałoby znacznie bardziej dramatycznie, ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Skoro Kaira nie wpadała w panikę, to pewnie nie miała też skłonności samobójczych.

Brin Issa milczał, a Finnen liczył sekundy.

Życie Kairy zależało od kilku czynników. Po pierwsze, czy zrozumiała polecenia Finnena i czy je wykonała. Po drugie od tego, w którą stronę wiatr będzie zwiewał dym. Po trzecie wreszcie, czy sięgną do niej iskry.

Sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt dziewięć...

Ile czasu można przeżyć, wisząc ponad ogniem?

Brin Issa wciąż milczał. Milczeli też jego ludzie, nawet Niraj, który powinien teraz jak najszybciej zabrać stąd ojca. A Finnen był zbyt przerażony i wyczerpany, żeby zdobyć się na jakikolwiek pomysł.

Siedemdziesiąt jeden, siedemdziesiąt dwa...

Pomyślał, że jeśli oni sobie zaraz stąd nie pójda, to rozplącze się, rzuci Issie do kolan i poprosi, żeby ratował Kairę. Zrobi to dla niej, a także dlatego, że nie mógł znieść spojrzenia czarnych, nieruchomych oczu tego człowieka.

Siedemdziesiąt trzy...

Dime, o którym Finnen niemal zupełnie zapomniał, ciężko osunął się na kolana, a potem

usiadł, schował twarz w dłoniach i jęknął.

— To straszne, straszne...

Spojrzeni na niego wszyscy – Issa i jego ludzie pytająco, a Finnen z lękiem.

— Była taka ładna... — wymamrotał Dime. — Taka ładna dziewczyna...

Twierdził później, że udawał, ale Finnen był przekonany, że nie do końca. Przez chwilę rudowłosy chłopak naprawdę wierzył w śmierć Kairy.

Tak czy inaczej jego reakcja przełamała wreszcie ciszę.

— Chodźmy stąd — zwrócił się Niraj do ojca. — Nic tu po nas.

Finnen zamknął oczy. Nie spodziewał się, że Brin Issa tak łatwo zrezygnuje. Prawdę powiedziawszy, oczekiwał wybuchu gniewu, ciosu, mechanicznych rąk wlokących go w dół schodów Archiwum...

— Zejdźcie na dół i wyciągnijcie ciało z ognia — usłyszał zamiast tego. — Muszę je mieć. A my wracamy do domu.

Finnen podszedł do Dime i zaczął go uspokajać. Chciał w ten sposób dać Issie do zrozumienia, że nie wraca z nimi, bo musi jeszcze zająć się przyjacielem.

Mówiąc prościej, chciał zyskać na czasie. Stan kolegi zupełnie go w tej chwili nie obchodził.

Issa odwrócił się w ich stronę, jakby się zastanawiał, czy nie zmusić Finnena, by z nim poszedł. Chłopak bał się tego. Wiedział, że Issa prawdopodobnie zechce go dokładnie wypytać o okoliczności śmierci córki.

Znajdziesz mnie, powiedział w myślach, patrząc mężczyźnie w oczy. Jesteś bogaty, masz mnóstwo wiernych ci ludzi i z pewnością potrafisz mnie odnaleźć. Później. Teraz idź.

Brin Issa, zupełnie jakby usłyszał myśli chłopaka, odwrócił się i odszedł. Za nim podążyli jego ludzie oraz Niraj. Gdy tylko zniknęli wewnątrz budynku, Finnen podszedł do klapy i zaczął nasłuchiwać. Jego uszu dobiegały odgłosy rozmowy (Issa zapytał syna, czy wie, co go teraz czeka, a Niraj odparł, że tak, wie), a także dźwięk kroków.

Kroki były najważniejsze.

— Chodź! — wrzasnął Finnen do Dime, gdy tylko doszedł do wniosku, że tamci minęli ósme piętro.

Skoczył w dół, nie troszcząc się schodzeniem po drabince. Z trudem się opanował. Issa wciąż był blisko, mógł go usłyszeć i zawrócić. Jak najszybciej zatem, ale jednocześnie jak

najciszej, Finnen zbiegł po schodach na ósme piętro, a potem popędził w stronę okna, za którym wisiała Kaira. A przynajmniej w stronę, gdzie zdawało mu się, że to okno jest.

Prosto, potem w prawo. I jeszcze raz w prawo. Trafił za pierwszym razem, co biorąc pod uwagę ilość korytarzy w Archiwum, zakrawało niemal na cud.

Dziewczyna wisiała z zamkniętymi oczami, nieprzytomna i mocno odchylona do tyłu. Skrzydła ciągnęły ją w dół, a jej włosy... Jej włosy płonęły.

Finnen rzucił się do okna. Otworzył je, wskoczył na parapet i przytrzymując się framugi, wyciągnął rękę. Chwytał Kairę za ramię i przyciągnął. To był dopiero początek, musiał jeszcze odpiąć pasek, którym przypięła się do rynny. Jeśli to zrobił, jej ciężar natychmiast pociągnąłby go w dół, w ogień.

Szlag.

Mimo to zamierzał spróbować.

Bez namysłu – bo na namysł nie było czasu – przyciągnął dziewczynę jeszcze bardziej, tak blisko, że rynna zaczęła trzeszczeć, lada moment grożąc oderwaniem się od ściany. Na twarzy czuł żar płonących włosów. Objął Kairę mocniej i dopiero teraz drugą ręką sięgnął do paska. Szarpnął nim, poluźnił trochę, szarpnął raz jeszcze. Wreszcie zapięcie puściło, a Finnen w ostatniej chwili zdążył z powrotem chwycić się framugi. Tylko dziewczyna z przypiętymi Skrzydłami była bardzo ciężka i chłopak zrozumiał, że nie da rady wciągnąć jej do środka.

I nie dałby, gdyby ktoś nie chwycił go za kurtkę i nie szarpnął mocno do tyłu. To wystarczyło. Finnen ciężko runął na podłogę Archiwum, a Kaira razem z nim.

Interludium Tarrin

Tuż po Skoku Tarrin zjeżdża windą czasową w świeżo odrzuconą przeszłość. Ma na sobie siatkę niewidzialności, więc nawet gdyby ktoś był w dolnej sali, i tak by go nie zobaczył.

Na razie sala jest pusta, dopiero po chwili wpada do niej kilkoro ludzi.

Tarrin czuje dreszcz podniecenia. To na nich czekał.

Czterech mężczyzn i trzy kobiety. Wszyscy niewątpliwie zaradni i bardzo zdeterminowani. Musieli podejrzewać, że podczas Skoku zostaną z tyłu, więc czekali nie tam, gdzie większość, na placu Wodnym, lecz przed Archiwum. Bo tutaj właśnie znajdują się rzeczy, które pomogą im dłużej przeżyć.

Schodów nie pilnują strażnicy, więc siódemka desperatów bez przeszkód wbiega na dziewiąte piętro. Brodaty mężczyzna ma przy sobie dozownik nitrogliceryny – używając jej, wysadza zamek drzwi, za którymi znajdują się wynalazki. Potem wraz z kompanami wbiega do sali, a Tarrin niepostrzeżenie wślizguje się za nimi.

Niewidzialny, obserwuje, jak grupa rzuca się na żelazne klatki, jak rozbija zamki i wywleka na środek sali skomplikowane uprząże, mechanizmy i kolorowe butle. Oczywiście wynalazki Archiwum, jak wszystko w przeszłości, wkrótce przestaną działać, ale przynajmniej przez jakiś czas zapewnią swoim właścicielom przewagę. Dzięki wynalazkom będą mogli szybciej znaleźć jedzenie, a także – jeśli zajdzie taka potrzeba – zrabować je.

Brodaty mężczyzna usiłuje rozplątać jedną z uprząży, ale za bardzo trzęsą mu się ręce; problem pogłębia to, że najwyraźniej nawet nie wie, jak ją zapiąć ani do czego urządzenie służy. Rozgląda się po sali podejrzliwie – drugi mężczyzna, który przyszedł tu z kobietą, trzyma ognistą rękawicę, wynalazek chyba najprostszy w obsłudze. Dzięki publikowanym niedawno w gazecie rycinom wszyscy wiedzą, jak to działa.

Brodacz rzuca się na niego, wrywa mu rękawicę z ręki. Kobieta próbuje bronić swego partnera, dostaje w twarz i zalewa się czerwienią. Gdy oddycha, pod jej nosem pojawiają się i pękają szkarłatne bańki.

Pierwsza krew przelana w odrzuconym świetle.

Tarrin zapamiętuje wszystko.

Część III Wynalazki Archiwum

Finnen

Ponieważ Skok zabierał niemal wyłącznie dorosłych, w Lunapolis było mnóstwo sierot. Młodsze trafiały do ochronek, starsze radziły sobie same. Zorganizowane w kilkunastoosobowe bandy, mieszkaly w dzielnicy, która niegdyś nosiła nazwę Szklane Piaski, a którą teraz nazywano po prostu Sierocińcem.

Dzielnica ta wciąż żyła. W oplatających budynki rurach bulgotała woda doprowadzana z gorących, podziemnych źródeł, a wieczorem na pustych placach zapalały się gazowe latarnie. Gigantyczna maszyna, puszczone w ruch w czasach, gdy Lunapolis liczyło sobie ponad pięćdziesiąt milionów dusz, wciąż działała, choć liczba ludzi malała z każdym Skokiem i w moich czasach zamieszkałe było już tylko centrum. Marnotrawstwo energii? Z pewnością, lecz nikt z nas nie użyłby takiego określenia. Byliśmy ostatnim (albo niemal ostatnim) pokoleniem, więc dlaczego miałyby nas martwić wyczerpane zasoby?

Dzięki temu marnotrawstwu sieroty miały ciepłą wodę i gaz, gdyby przyszło im do głowy coś ugotować, a ich mieszkania noc w noc rozjaśniał łagodny blask księżyca, co prawda nieco zamglony, bo tarcze i światłowody trzeba było czyścić, by działały prawidłowo, a do Sierocińca nikt nie wysyłał automatów, ale dzieciom to nie przeszkadzało – wieczorem szły spać albo wychodziły na zewnątrz, gdzie żółtym blaskiem płonęły latarnie.

Słucham? Ach tak, pytacie, dlaczego w mieszkaniach nie było gazowego oświetlenia. Odpowiedź jest prosta: oczywiście dlatego, że nie życzyli sobie tego Przedksiężycowi. Pod tym względem, jak również pod wieloma innymi, okazali się nieubłagani – latarnie gazowe na zewnątrz, na dworze lub w wielkich salach Archiwum i uniwersytetu, a w zwyczajnych mieszkaniach tylko blask księżyca bądź świetlikowe lampy, gdyż ich zdaniem jedynie te dwa źródła światła potrafiły podkreślić piękno wnętrza. Czy już wspominałem, że w Lunapolis sztuka zawsze miała pierwszeństwo przed rozsądkiem?

Wróćmy do dzielnicy zamieszkałej przez sieroty.

W każdym z mieszkań znajdowały się sprzęty porzucone przez poprzednich lokatorów. Były wśród nich łóżka z miękkimi kocami, stoły, krzesła, szafy i szafki, a także małe, przenośne piecyki w kształcie pękających ryb, muszli czy owoców. Teoretycznie powinny służyć jako ozdoba, lecz ponieważ klimat z roku na rok stawał się coraz chłodniejszy, dzieciom służyły one przede

wszystkim jako dodatkowe źródło ciepła.

Ponadto w mieszkaniach znaleźć można ubrania, zabawki, kosmetyki, a nawet klejnoty. Wszystko to sieroty traktowały z typowo dziecięcą niedbałością.

Mali chłopcy bili się o zabawki, by zapomnieć o nich pięć minut po zwycięstwie. Małe, płaskie jak deski dziewczynki malowały usta, wkładały wydekoltowane suknie i wpinały w uszy ciężkie od brylantów kolczyki. Potem, chichocząc, wdzięczyły się przed lustrem, a jeszcze później biegły się bawić w błocie, darły suknie i gubiły biżuterię.

Chodzi o to, iż w Lunapolis było wszystkiego za dużo: za dużo jedzenia, które gniło w Halach, podczas gdy w odrzuconych światach ludzie konali z głodu, za dużo domów, w których nikt nie mieszkał, za dużo rzeczy pozostawionych przez nieszczęśników, których zabrał Skok. Większość tych przedmiotów miała minimalną wartość, tak naprawdę cenne były jedynie dzieła sztuki, dla niewprawnego oka trudne do odróżnienia od zwyczajnych ubrań, sprzętów czy ozdób. Stąd okradanie opuszczonych mieszkań zdarzało się rzadziej, niż można by przypuszczać.

Oczywiście istniały grupy wyspecjalizowane w takich rabunkach, lecz dzieci potrafiły sobie z nimi poradzić. Gdy ktoś wchodził na ich teren, rzucały kamieniami, czasem tylko po to, by złodzieja przepłoszyć, a czasem, by wpędzić go w przemyślnie zastawioną pułapkę. Najczęściej taką pułapką był zamaskowany dół, którego dno pokrywała warstwa tłuczonego szkła. Jeśli rabuś miał szczęście, tylko porządnie się pokaleczył, jeśli miał pecha... cóż, już tam zostawał.

Odstraszenie złodziei, bitwy na kije i kamienie, drobne kradzieże w centrum Lunapolis, a także zjeżdżanie po schodach na srebrnych tacach – tak mniej więcej przedstawiała się lista najpopularniejszych rozrywek. Z czasem, choć to może wydać się dziwne, dochodziła do nich nauka.

Aby pomóc wam zrozumieć fenomen tego zjawiska, muszę najpierw zaznaczyć, że sieroty bynajmniej nie były pozostawione same sobie. W Sierocińcu istniały oznakowane punkty pierwszej pomocy lekarskiej, a także coś, co optymistycznie można nazwać szkołami, a co najczęściej było po prostu jednym z opuszczonych mieszkań, w którym przesiadywał opłacany przez miasto nauczyciel. Bywały dni, gdy nieszczęśnik spędzał kilkanaście godzin, gapiąc się w ścianę albo rozwiązując łamigłówki, lecz prędzej czy później dzieci przychodziły. Młodsze z nudów i ciekawości, starsze powodowane przede wszystkim strachem, bo wiedziały, że dla dorosłych Skok nie ma litości. A jedynym, choć i tak niepewnym sposobem na zrównoważenie

kiepskich genów było zdobycie jak najlepszego wykształcenia.

Pamiętam wyliczenia, według których mniej więcej czterdzieści procent sierot przeżywało swój pierwszy dorosły Skok.

1

Miesiąc i jeden dzień po Skoku w Lunapolis zdrząły teatry. Zatrzęsły się haki mocujące je do podniebnych traktów, zadygotały koła zębate, a potężne wały zaczęły rozwijać łańcuchy. Ze zgrzytem metalu siedem scen zjechało w dół, by zawisnąć w siedmiu najważniejszych punktach miasta: na placu Wodnym, Solnym, Miedzianym, Aylena, Żonglerów, Siepaczy i Haków. Dwudziestu jeden pomocników – po trzech przy jednej scenie – ustawiło na nich mechaniczne figury.

Siedmioro telepatów przekazało przemówienie prezydenta do umysłów siedmiorga animatorów, którzy uruchomili figury. Każda z nich wiernie naśladowała sposób mowy i ruchy przywódcy. Tak przynajmniej plotkowano. Mało kto potrafił to ocenić, gdyż człowiek pełniący tę funkcję od dawna już nie pokazywał się publicznie. Chodziły słuchy, że jakiś czas temu został z tyłu, a Lunapolis w jego imieniu rządzi szefowie Principium i Ekwilibrium.

Niebo zasnuły ciężkie, kłębiaste chmury, po chwili zaczął prószyć śnieg. Finnen pożałował, że nie zabrał z domu cieplejszej kurtki. Już czuł, jak lodowacieją mu uszy, a zimny wiatr przenika go na wskroś. Wokół zapłonęły latarnie, każda z nich chwytająca w żółty snop światła miliony wirujących płatków. Poprzez białą, ruchliwą zasłonę sylwetka prezydenta była ledwo widoczna, ale głos rozlegał się na cały plac Miedziany.

Wczorajszego dnia przy próbie zabójstwa schwytany został osławiony art-morderca Mirka Mirhei. Zgodnie z prawem za trzy dni jego osobowość zostanie przeniesiona do mechanicznego ciała. Zaproszenia na egzekucję można kupić u rzeczoznawcy Omariego. Następnie w kopule na szczycie wieży widowiskowej odbędzie się turniej, w którym o główną nagrodę ubiegać się będą...

Lista imion była długa, a Finnen słuchał jej coraz bardziej zaniepokojony. Prezydent miasta nie wymienił Brin Niraja, choć powinien, brat Kairy wygrał już niejedną turniej i z pewnością w tym także chciałby wziąć udział.

Co takiego powiedział Brin Issa, gdy wraz z synem schodził z dachu Archiwum? Zapytał, czy chłopak wie, co go czeka. A ten odparł, że tak.

Finnen poczuł, jak robi mu się jeszcze zimniej.

Ponieważ Niraj sprawiał wrażenie tak cholernie pewnego siebie, Finnenowi zwyczajnie nie przyszło do głowy, że brat Kairy może zapłacić za fałszywą śmierć dziewczyny. A przecież

to było oczywiste. Brin Issa ukarał syna za to, że nie przypilnował siostry i pozwolił jej zginąć.

Finnen odwrócił się i zjechał Schodami Miedzianymi na plac Siepaczy. W kieszeni ciążyła mu kartka, którą otrzymał tradycyjną metodą, przez posłańca. Treść znał na pamięć, nie była zresztą jakoś szczególnie skomplikowana:

„Artysta malarz, poeta, śpiewak i kompozytor Kes Finnen jest zaproszony do domu Brina Issy. W planie lekka kolacja oraz rozmowa z gospodarzem o tym, co obu panów interesuje. Gość może wybrać dowolny dzień, pod warunkiem że zjawi się wieczorną porą”.

Styl notki był strasznie staroświecki; wcześniej Finnen myślał, że takim językiem posługują się wyłącznie bohaterowie sztuk.

„Rozmowa z gospodarzem o tym, co obu panów interesuje”. Chłopak nie miał wątpliwości, że oznacza to wypytywanie go o okoliczności śmierci Kairy. Sądził, że jest na to przygotowany, ale tak naprawdę nie był. Wiadomość dostał przed dwoma tygodniami i od tego czasu wciąż odwlekał termin wizyty. Przecież Issa nie podał konkretnej daty.

Spodziewał się kolejnej notki, tym razem bardziej naglącej, a może nawet kilku mechanicznych służących, którzy siłą zawloką go do ojca Kairy. Ku jego zdziwieniu nic takiego nie nastąpiło. Miał za to uczucie, że od jakiegoś czasu jest obserwowany. Mógł się mylić, owszem, ale wrażenie pozostawało.

Od placu Siepaczy ruszył biegiem, niezbyt szybkim, bo na mokrych od rozpaćkanego śniegu schodach łatwo się było pośliznąć. Biegł, żeby się rozgrzać, a także dlatego, że potrzebował ruchu. Ostatnio zbyt dużo czasu spędzał w swojej pracowni, gdzie malował i niszczył wiejskie obrazy, pisał jeszcze gorsze wiersze, a przede wszystkim opychał się wysokokalorycznymi przysmakami i rozmyślał o tym, jakie życie jest paskudne.

Prawda wyglądała tak, że Finnen czuł się oszukany, na dobrą sprawę sam nie wiedząc przez kogo. Przez kulawego mężczyznę z innego świata, którego mimo starań nie potrafił odnaleźć? Przez Kairę? Cała ta sprawa z upozorowaniem śmierci dziewczyny była początkiem czegoś większego, jakiejś historii, w której on, Finnen, mógł odegrać jedną z głównych ról.

Ale teraz niespodziewanie został zepchnięty do roli statysty, co bardzo mu się nie podobało. Na pocieszenie zostawał kulawy mężczyzna, którego co prawda jeszcze nie odnalazł, ale wciąż pozostawał on sekretem jego i tylko jego. Inna rzecz, że świadomość posiadania tajemnicy dawała dość dziecienną satysfakcję.

Zdyszany, zatrzymał się przy Halach i już normalnym krokiem wszedł do domu Issy. Na

widok potężnej bryły budynku poczuł niepokój, ale też przypływ adrenaliny, której brakowało mu ostatnimi czasy. Na murach rury wyginały się w kształt wielkich jak sadzawki oczu, rolę źrenic pełniły dyski z wypolerowanego srebra i złota. Sprytny mechanizm sprawiał, że w kilkusekundowych odstępach czasu opadały metalowe powieki, dzięki czemu wyglądało to tak, jakby cały dom mrugał żartobliwie do przechodniów.

Finnen wzdrygnął się i jednocześnie pożałował, że nie przyszedł tu wcześniej. Potrzebował takiego właśnie wstrząsu. Być może w jakimś sensie ta wizyta mogła sprawić, że znów znajdzie się na pierwszym planie.

Stał chwilę w śniegu, smakując własny strach i podniecenie. Rozpierała go chęć działania. Pchnął bramę i znalazł się na terenie posiadłości. Dom był naprawdę wielki, ciągnął się przez niemal ćwierć długości schodów. Finnen obszedł go dookoła, podczas gdy powieki podnosiły się i opadały, a po gigantycznych oczach biegały pająkowate automaty czyszczące. Chłopak usiłował dopasować to, co pamiętał z wnętrza, do tego, co widział teraz na zewnątrz, ale nie bardzo mu wychodziło. Mrugająca budowla, pełna przybudówek, kopuł, wież i wieżyczek, była skomplikowana nawet jak na standardy Lunapolis.

W kilkunastu oknach na parterze płonęły świetlikowe lampki, pierwsze i drugie piętro pozostawało ciemne. Za to jeszcze wyżej, na poddaszu, jaśniało jedno okno. Finnen doszedł do wniosku, że to nie jest blask świetlika, lecz świecy albo lampy naftowej.

Kolejny dowód na staroświeckie upodobania właściciela?

Podszedł bliżej. Jego stopy zostawiały czarne, mokre ślady w białym puchu. Śnieg już nie padał, ale za to zbliżała się noc, więc widoczność tak czy inaczej była kiepska. Jeśli zamierzał coś zrobić, powinien się spieszyć.

Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że to jest właśnie to, czego chce. Sprawdzi, co znajduje się w pokoju na poddaszu, a potem dopiero pójdzie na spotkanie z Issą. Oczywiście istniała spora szansa, że w tym pokoju nic ciekawego nie ma i Finnen świetnie o tym wiedział.

Tuż pod oknem rosło stare, bezlistne drzewo zimnorośli. Chłopak chwycił najniższą gałąź i podciągnął się. Śnieg posypał mu się na oczy i za kołnierz, chłód wstrząsnął całym ciałem. Wzdłuż kręgosłupa spłynęła strużka lodowatej wody.

Zaklął w myślach, ale nie przestał się wspinać.

Na początku szło opornie – chyba naprawdę przytył w ostatnim tygodniu, ale wreszcie złapał właściwy rytm. Wyżej konary były cieńsze, więc posuwał się ostrożniej. Spodnie miał już

przemoczone na kolanach, zimna koszula lepiała się do pleców. Zawiał wiatr, drzewo zadrżało, a Finnen zacisnął zęby i chwycił się mocniej. Raz spojrzął w dół, na biel śniegu przemiętą cieniami poruszających się gałęzi, i więcej nie popełnił tego błędu. Gdyby teraz spadł, mógłby skrócić kark.

Patrzył więc przed siebie, w jasny prostokąt okna.

Na początku widział tylko kawałek gabloty i lustro. Potem zobaczył biurko, na którym stała lampa naftowa, a jeszcze później siedzącego przy nim Brina Issę. Finnen podpełzł jeszcze bliżej; w tym miejscu konar był już tak cienki, że ugiął się pod jego ciężarem.

Nadal nie widział niczego ciekawego. Ojciec Kairy po prostu siedział przy biurku i coś pisał.

Chłopak zachichotał cicho. Nagle jego własna podejrzliwość wydała mu się zabawna. Jednak szybko stracił dobry humor. Teraz, gdy opadło napięcie, poczuł, że jest mu bardzo zimno.

Pora wracać.

Zaczął się powoli wycofywać. Konar nie ugiął się już pod jego ciężarem, a coraz słabsze podmuchy wiatru przestały trząść drzewem.

Właśnie dlatego Finnen stracił czujność. Spróbował zejść niżej i w tym celu chwycił coś, co pod puchatą warstwą śniegu wyglądało na solidną gałąź. Wyglądało, ale nią nie było; gałązka pękła, a Finnen ze zduszonym okrzykiem spadł pół metra i zatrzymał się na niższych konarach. Śnieg znów posypał mu się na twarz i tym razem było go więcej. Zimny, mokry całun przykrył oczy, płatki dostały się do ust. Chłopak prychnął, na oślep macając wokół rękami, lewa ześliznęła się po lodowatej korze i Finnen spadł jeszcze niżej. Zapiekle zdzierana z dłoni skóra, coś wbiło mu się w zębra i usłyszał trzask rozdieranego materiału.

Zdażył zakląć, zsunął się kolejne pół metra i wreszcie chwycił gałąź, która utrzymała jego ciężar. Wisiał tak chwilę, bezradnie machając nogami, a potem wolną ręką otarł oczy i spojrzął w dół. Był na tyle nisko, że właściwie mógł już skoczyć, więc skoczył, przyplacając to tylko lekkim bólem w kostce.

W gorze usłyszał dźwięk otwieranego okna, a od strony głównego wejścia szło już w jego stronę dwóch mechanicznych służących. Jeden z nich – ten wyższy i potężniejszy – miał stopioną połowę srebrnej twarzy. Ocalałe rysy były nieruchome, jedyne oko połyskiwało w świetle księżyców.

Finnen pomyślał o wyciąganym z płomieni ciele nieznajomej kobiety, a potem zdjął

kurtkę, wytrzeptał z niej śnieg, a także z uszu i włosów, i spróbował wyglądać godnie.

— Piwa — zaryzykował Daniel Pantalekis. — Chcę pizzę, sałatkę z kalmarami i kufel piwa.

Nic się nie stało. Nadal samotnie tkwił w hali, którą dawno, dawno temu Ivain nazwał muzeum. Choć oczywiście to już nie była ta sama hala. Teraz wyglądała znacznie porządniej, tylko warstwa kurzu świadczyła o tym, że miejsce to zostało opuszczone jakiś czas temu.

Mężczyzna nie poddał się tak łatwo. Wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się. Czerwone słońce stało w zenicie, lekki mróz ścinał kałuże. Daniel odetchnął.

— Jestem głodny — powtórzył po franespańsku, językiem swojego dzieciństwa, który znał najlepiej. — Chcę pizzę, sałatkę i piwo.

Długimi czarnymi schodami zjechała do niego młoda dziewczyna. Wyglądała prawie dobrze (wszystko tu wyglądało prawie dobrze, a ruchome schody lekko tylko zgrzytały) i gdyby nie jej zapadnięte policzki, uznałby, że nic jej nie dolega. Sięgnęła do kieszeni i podała mu kilka upieczonych w ogniu kasztanów. Powiedziała przy tym coś, czego nie zrozumiał.

— Dzięki — odparł.

Zdjął skorupki. Nieznajoma z napięciem śledziła każdy jego ruch, a gdy wkładał mięsz do ust, przełykała ślinę.

— Milutka jesteś. — Uśmiechnął się do niej, gdy już zjadł ostatni kęs. — I masz świetny tyłek. Chciałabyś się trochę zabawić? Nie? Jak by ci to wytłumaczyć...

Jak większość ludzi ze smyką do handlu, miał talent lingwistyczny. Potrafił targować się w kilku językach, a w kilkunastu znał sporo nieprzyzwoitych słów. Tylko tutaj nie mogły mu się one do niczego przydać.

— Mniejsza z tym. — Dziewczyna właściwie i tak nie była w jego typie. — Raz jeszcze dzięki, choć wolałbym jednak pizzę. A teraz spadaj. Sio.

Ostatnie zdanie poparł energicznym machnięciem. Nieznajoma odeszła powoli, oglądając się za siebie. W jej oczach widział głód i coś jeszcze, jakby... zdziwienie.

To działa, pomyślał Pantalekis. Może niezupełnie tak, jak bym chciał, ale działa.

Już jakiś czas temu zorientował się, że w tym świecie bezustannie towarzyszy mu szczęście. Co prawda na samym początku złamał nogę, ale przecież mógł zginąć. Potem było tylko lepiej. Przypomniawszy sobie, jak leżał w gorączce, prosząc o deszcz, a kiedy ulewa przyszła,

wiatr zwiewał w jego stronę strugi, by mógł się napić. Później zjawiała się Sarimel, która karmiła go, prawdopodobnie sama nie dojadając. Pantalekis był świadom, że gdyby nie opieka nad nim, kobieta mogłaby żyć dłużej. Wtedy jeszcze budziło to w nim zdumienie wymieszane z odrobiną lęku. Przywykł do tego, że ma szczęście – na Nowych Ziemiach też się zdarzało, że ktoś wyciągał go z tarapatów, ot tak, za nic – ale nie aż takie.

Potem zdarzyły się jeszcze dziwniejsze rzeczy. Gdy było mu zimno, znalazł trupa ubranego w ciepły płaszcz. Gdy zgłodniał, ludzie częstowali go jedzeniem i często chyba sami nie wiedzieli, dlaczego to robią. Najpierw Pantalekis myślał, że wszyscy są tu z natury mili i altruistyczni, jednak zmienił zdanie na widok grupy mężczyzn, którzy zakatowali kobietę, by zedrzeć z niej coś w rodzaju srebrzystej kolczugi.

Wreszcie przestał się dziwić i niepokoić. Wyglądało na to, że z jakiegoś osobliwego powodu ten świat stara mu się pomóc. Wszystkich innych niszczył, a jemu starał się ułatwić życie.

W porządku, Pantalekis potrafił to zaakceptować. Jego atutem zawsze była pewnego rodzaju prostota. Wychodził z założenia, że jeśli ktoś daje ci klucz do sejfu, to należy brać, a nie zastanawiać się, dlaczego ów ktoś to robi. Na podobnej zasadzie zaakceptował niezwykłość rzeczywistości, w jakiej się znalazł. Wiedział już, że tak naprawdę tych rzeczywistości jest więcej niż jedna, ale się tym nie przejmował. Ważne było to, co pozwalało mu przeżyć, a w dalszej perspektywie wyciągnąć być może z tego wszystkiego jeszcze jakieś korzyści.

Usiadł na ławce, wydobyl z kieszeni plik częściowo zapisanych kartek i ołówkopodobny rysik. Zaczął notować.

„Wygląda na to, że nie muszę się martwić o podstawowe potrzeby. Dostaję jeść, kiedy potrzebuję, znajduję opuszczony, ale wciąż jeszcze ogrzany dom, gdy chcę spać, a przede wszystkim chyba jestem bezpieczny. Widziałem tu mnóstwo umierających lub już martwych ludzi – giną zabici przez innych, w dziwacznych wypadkach, od drobnych skaleczeń albo chorób, które na Nowych Ziemiach wyleczono by w kilka godzin. Jednak mnie samemu nic się nie stało, odkąd opuściłem dom Sarimel, za co należy dziękować Bogu (jeśli istnieje)”.

Poślinił czubek rysika i zastanowił się.

„Co prawda nie powinienem nastawiać się na to, że jestem nietykalny. Moja wciąż sztywna noga przypomina mi, że muszę zachować minimum ostrożności.

Najważniejsze to znaleźć kogoś, z kim potrafiłbym się porozumieć.

Gdybym chciał, pewnie mógłbym nauczyć się miejscowego języka, ale nie mam do tego cierpliwości, zresztą język ten sprawia wrażenie skomplikowanego, a ja, żeby wytłumaczyć, kim jestem, potrzebuję przecież znacznie więcej niż tylko znajomości kilkunastu podstawowych słów.

Liczę, że mają tu jakieś inne metody uczenia się. Może coś w rodzaju naszych kaset pamięciowych? Ostatecznie ludzie, którzy potrafią podróżować w czasie, nie muszą chyba wkuwać słówek?

Te wnęki, o których Ivain mówił, że nie ma pojęcia, do czego służą, to właśnie coś w rodzaju wehikułów czasu. Na początku trochę ich się bałem, jedna przygniotła mi nogę, ale potem przywykłem i nauczyłem się nimi posługiwać. To proste – wystarczy wejść do środka i pomyśleć o czymś związanym ze światem, do którego człowiek chce się dostać. Trup gnijący przy wejściu, rysa na jednej z kolumn, wspomnienie jasnowłosej dziewczyny z kasztanami – wszystko jest dobre.

Naliczyłem już sześć różnych światów o różnym stopniu zniszczenia, a prawdopodobnie jest ich znacznie więcej. Nowe odkrywam w ten sposób, że myślę o czymś zupełnie przypadkowym, a potem, gdy już raz się w nich znajdę, powrót nie stanowi problemu.

Najczęściej oczywiście myślę o samych pozytywnych rzeczach, takich jak świeże żarcie, młode kobiety i miękkie łóżka, ale jak dotąd nawet najlepszy ze światów, do którego udało mi się dostać, ma jakąś skazę. Coraz częściej łapię się na myśli, że być może w ogóle nie ma tu normalnego świata, takiego, w którym proces gnicia i rozpadu przebiegałby w zwyczajnym tempie.

To cholernie przerażające przypuszczenie.

W niektórych światach już w ogóle nie ma ludzi, ale czasem i tak tam schodzę, żeby szukać kosztowności. Boże (jeśli istnieje), tu jest tyle złota, srebra i drogich kamieni, że można by za nie kupić całą planetę! Wiele mieszkań ma ściany wykładane złotem albo srebrem, w innych zdarzało mi się widzieć mozaiki z drogich kamieni. Na początku chciałem to wszystko zrywać, ale tak naprawdę nie muszę, tutaj jest też mnóstwo zwyczajnych ozdób, ciężkich naszyjników, diademów, łańcuchów i diabli wiedzą czego jeszcze – nie znam się na tym, ale wiem, że kiedy wrócę do domu, dostanę za to kupę kasy.

I wszystko to istnieje w iluś tam wersjach, podobnie jak całe miasto. Znaczący, jeśli znajdziesz naszyjnik w jednym świecie, to w innym możesz znaleźć w tym samym miejscu taki sam (ten sam?) naszyjnik, tylko na przykład bardziej zakurzony. Na szczęście złoto i drogie

kamienie się nie psują, więc mogę ich szukać także w najbardziej zniszczonych światach. W gruncie rzeczy wolę nawet szukać tam, bo przynajmniej mam pewność, że nie przyjdzie właściciel i nie da mi po gębie.

W jednym ze światów (tam, gdzie przy wejściu do „muzeum” leży trup) zrobiłem sobie kryjówkę. Mam już tyle rzeczy, że nie wiem, jak to wszystko ze sobą zabiorę.

Przy okazji szukam też ludzi, z którymi mógłbym się porozumieć. Możliwe, że moja metoda nie jest jakoś szczególnie pomysłowa – po prostu kręcę się tu i ówdzie i zagaduję tych, którzy w ogóle potrafią jeszcze mówić.

No i dobrze. Ivain miał trzy fakultety i nic mu z tego nie przyszło. Ja nie jestem tak mądry, ale za to mam szczęście.

Na kogoś, kto mi pomoże, pewnie przyjdzie czekać dłużej niż na jedzenie, lecz wiem, że prędzej czy później ktoś taki się znajdzie”.

3

— Cieszę się, że w końcu przyjąłeś moje zaproszenie, choć nie spodziewałem się, że zechcesz wejść przez okno. — Brin Issa powitał Finnena w drzwiach domu. — Chodź. Zanim siądziemy do kolacji, pokażę ci to, co tak bardzo pragnąłeś zobaczyć.

Chłopak przemógł chęć wytłumaczenia się, choć nie było to proste. Uśmiechnięty, milczący Issa miał w oczach coś, co skłaniało do podejrzeń, że on o wszystkim już wie i lepiej przyznać się zawczasu.

A może... może naprawdę wiedział. Skoro ojciec Kairy tak często przechodził genozmiany, to przecież mógł zostać telepatą.

Pod chłopakiem ugięły się kolana, zrobiło mu się gorąco i duszno.

Wiedział co prawda, że talent telepatyczny nie komponuje się z żadnym innym – telepaci płacili za swój dar znacznym zmniejszeniem inteligencji, a Issa idiotą z całą pewnością nie był, ale mimo to Finnen na wszelki wypadek postanowił być ostrożny. Ostatecznie od czasu, gdy interesował się tym problemem, coś mogło się zmienić.

Po przejściu kilkunastu krętych korytarzy, z których każdy był węższy i ciemniejszy niż poprzedni, Finnen znowu się zgubił. Przez cały czas starał się myśleć o wszystkim, tylko nie o Kairze (Kaira wisząca na skrzydłach nad ogniem, Kaira z płonącymi włosami, wreszcie Kaira bezpieczna z Dime).

Myślał o na wpół stopionej srebrnej twarzy z jedynym okiem połyskującym w świetle księżyców oraz – nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego – o zamkniętych w klatkach miniaturowych mechanoidach, ożywianych przez osobowości prawdziwych zwierząt.

A potem, po przejściu jeszcze kilku korytarzy, pomyślał, że w tym domu jest tyle różnych sal i pokoi, że ojciec Kairy mógłby zaprowadzić go do jednego z nich i tam zamordować, a służący znaleźliby ciało dopiero podczas generalnych porządków.

To miał być żart na poprawę humoru, ale wcale nie wydał mu się zabawny.

— Tutaj. — Issa rozsunął drzwi, a Finnen z duszą na ramieniu przestąpił próg.

Znalazł się w wąskim, mrocznym pomieszczeniu, ale po chwili Issa klasnął w dłonie i pod sufitem zapłonęły świetlikowe lampki. Ich blask padł na łóżko i na spoczywającą tam postać.

Brin Niraj. Nagi, przypięty pasami, które obejmowały kostki nóg i nadgarstki. Miał założony cewnik, a w jego nosie tkwiła cienka rurka sondy żołądkowej. Sączyły się przez nią

płyny odżywcze, obok cicho pomrukiwała maszyna dozująca. Niraj oddychał płytko i śnił. Mięśnie jego twarzy drgały leciutko, pod zamkniętymi powiekami poruszały się gałki oczne.

— Podejdź bliżej — zachęcił Issa.

Finnen nerwowo przełknął ślinę, dłonie miał śliskie od potu.

Gdy podszedł, lampki podążyły za ruchami jego ciała i sfrunęły z sufitu, oświetlając lepiej to, czemu chciał się przyjrzeć.

Głowę Niraja.

Wcześniej Finnen widział tylko twarz poniżej oczu, teraz zobaczył także ogoloną czaszkę, w którą wbito kilkanaście igieł. Skóra wokół nich posmarowana została czerwonym środkiem antyseptycznym, co wyglądało tak, jakby z ran wciąż sączyła się krew.

— Po co to? — wyszeptał.

Szok otulił go jak miękki koc i na przemian było mu to zimno, to znów gorąco. Jak ja bym wyglądał na jego miejscu? Powtarzał w myślach i nie potrafił przestać, choć słowa zupełnie straciły znaczenie. Wyobrazenie sobie samego siebie w takiej sytuacji to... to było po prostu zbyt dużo. Wszystko w Finnenie cofało się z przerażeniem przed taką wizją.

— W ten sposób mogę drażnić jego mózg — odparł Issa. — Ból, strach, głód czy rozpacz, wszystko potrafię wywołać bez budzenia go. A on...

— Śni — dokończył Finnen.

— Tak, śni. — Ojciec Kairy uśmiechnął się łagodnie. Potem chwycił jedną z igieł i przekręcił ją.

Przez twarz Niraja przebiegł skurcz. Chłopak jęknął i szarpnął się w więzach, z kącika lewego oka pociekły łzy.

— Śni o czymś niezbyt przyjemnym, jak sądzę. — Issa pogłaskał syna po policzku.

Ten gest wstrząsnął Finnenem bardziej niż wcześniejsze okrucieństwo. Brin Issa naprawdę wyglądał na przejętego głębokim smutkiem.

— I to za karę, ponieważ zginęła Kaira? To jest... to jest... — Chłopak na próżno szukał właściwego słowa. Miał wrażenie, że żadne nie odda jego uczuć. — Nieludzkie — powiedział wreszcie. — Śmierć Kairy nie była z jego winy.

Issa potrząsnął głową.

— Ależ tak, była. Wiedział doskonale, że jest za siostrę odpowiedzialny.

— Sam wcześniej próbował ją zabić, wie pan o tym?

— Wiem.

W Finnenie narastała złość na mężczyznę, który co prawda nie powiedział jeszcze „nie rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi”, ale niewątpliwie tak właśnie myślał.

— I co? Nic? To było w porządku?

Issa przytaknął.

— Żeby osiągnąć pewne efekty, potrzebna jest czasem odrobina brutalności. Zresztą — dodał z lekkim uśmiechem — nie sądzę, żeby Niraj bardzo się starał. Kaira miała skłonności do dramatyzowania.

Miała, nie ma. Finnen zauważył, że Issa bardzo swobodnie użył czasu przeszłego. A więc chyba naprawdę uwierzył w śmierć córki. Chłopak poczuł odrobinę ulgi, a wraz z nią przyплыw pewności siebie.

— A gdyby Kaira wtedy zginęła?

Issa milczał, a kiedy świetlikowe lampki zawisły tuż obok jego twarzy, Finnen przyjrzał mu się dokładniej. Mężczyzna z pewnością starał się trzymać fason, ale też niewątpliwie był chudszy niż wtedy, gdy spotkali się ostatnim razem. Policzki miał zapadnięte, pod powiekami rysowały się cienie. To upewniło chłopaka, że Brin Issa uznał córkę za zmarłą.

Teraz powie „Nie rozumiesz”, pomyślał.

— Nie rozumiesz — powiedział, a Finnen omal się nie roześmiał, choć jeszcze przed chwilą oczekiwał tych słów ze złością. Nie miał złudzeń, wiedział, że jego reakcja jest próbą odreagowania strachu, więc nakazał samemu sobie ostrożność. Chudszy czy nie, Issa był wciąż groźnym przeciwnikiem. Jeśli Finnen czymś się zdradzi... No właśnie, to co?

Nie myślał o Kairze (bezpiecznej z Dime). Skupił się na obrazie, który zamierzał namalować, na problemie, jakimi barwami oddać kolor płomieni, a jakimi porzuconą pośród nich sylwetkę, wyglądającą z wysoka jak połamana lalka.

— Zastanawiam się — ojciec spojrział z czułością na śpiącego syna — czy obudzić go z okazji turnieju. Chyba tak zrobię. Dwa tygodnie śnionego bez przerwy koszmaru uważam za wystarczającą karę.

Finnen, Issa oraz córka Issy, Noora, jedli kolację w wielkiej, wysoko sklepionej sali. W trójnogach lampki świetlikowe udawały płomienie; ich światła odbijały się w mozaice ściiennej, na której sylwetki wiotkich dziewcząt prezentowały kolejne kroki jakiegoś dawno zapomnianego tańca.

Blat stołu lśnił chłodnym blaskiem świeżo wypolerowanego drewna zimnorośli i w pierwszej chwili można go było wziąć za wielką bryłę szarego lodu. A dalej, tam gdzie sala rozszerzała się łukowato, stała szklana piramida, rozświetlona blaskiem maleńkiego sztucznego słońca. Rosły w niej kwiaty, prawdziwe, wielkie i aksamitne – róże, storczyki i czerwone jak krew tulipany. Finnen gapił się na nie przez dobrą chwilę, nim usiadł do stołu.

Mechaniczni służący przynieśli pierwsze dania. Posiłek niewątpliwie był znakomity, choć chłopak nie potrafił tego docenić. Kawalki gołębiego mięsa rosły mu w ustach, sałatka z wodorostów smakowała jak przeżuwany sznurek. Nawet malutkie ciasteczka, z których każde było prawdziwym dziełem sztuki, wmuszał w siebie z trudem. Starał się jeść jak najmniej, sprawiając jednocześnie wrażenie, że pałaszuje z wielką przyjemnością. Mięśnie policzków bolały go od uśmiechu i drżał z zimna, bo ciepły blask płonących w trójnogach ogni był złudzeniem.

Noora, ubrana w pelerynę z prawdziwej wełny, zerknęła na Finna kokieteryjnie, mrużyła oczy, przesuwając koniuszkiem języka po wargach. Issa zachwalał potrawy, dolewał gościowi wina, posyłał służących po to czy tamto. Finnen starał się uśmiechać znacząco do Noory i z uznaniem do gospodarza, a tego ostatniego także obserwował.

To było już wystarczająco skomplikowane, więc cieszył się, że Issa wspomniał o Kairze dopiero po deserze. Do tego czasu Finnen zdążył nawiązać milczącą, ale całkiem solidną więź z Noorą, a także zdumiał się, jakim cudem gospodarzowi udaje się wyglądać tak młodo. Chwilami, zwłaszcza w migotliwym świetle trójnogów, Issa wydawał się niemal równolatkiem Finna. W dodatku zdarzało mu się zachowywać dziecinnie, na przykład gdy wyniosły służący oznajmił, że do deseru nie wypada już pić mocnego wina, gospodarz pokazał mu za plecami język, a potem nalał gościowi jeszcze jeden kieliszek i mrugnął, jakby obaj brali udział w psocie.

Mocno to chłopaka dezorientowało. Nie dalej niż półtorej godziny temu był świadkiem, jak ten sam człowiek dręczył swojego syna, i teraz nie potrafił dopasować do siebie tych dwóch

obrazów. Issa ostrożnie przekręcający metalową igłę w czaszce Niraja. Issa pokazujący język służącemu.

Finnen pomyślał, że albo ojciec Kairy rzeczywiście ma dziecinne poczucie humoru, co przecież zdarza się ludziom z natury okrutnym, albo... albo robi to specjalnie, być może właśnie po to, by wyprowadzić rozmówcę z równowagi. Chłopak nie potrafił się zdecydować.

Po deserze Noora podziękowała i odeszła od stołu, a Issa zaprosił gościa do swojego gabinetu. Było to to samo pomieszczenie, które Finnen widział z zewnątrz, gdy siedział na gałęzi. Tym razem pan domu zapalił nie lampę naftową, lecz świetliki, które zawisły nad gablotą, wydobywając z ciemności guzikowate ślepka ptaków. Finnen zareagował pomrukiem podziwu dla artysty, choć nigdy za sztuką wypychania nie przepadał. Rozjarzył się od środka wielki globus: lądy zapłonęły żółcią i czerwienią, oceany błękitem. Blask prześliznął się po srebrnych elementach astrolabium, po zegarze wodnym i na wpół złożonej głowie mechanicznego.

W wielkim lustrze odbijał się drugi pokój, tak samo cichy, mroczny i staroświecki.

Finnen pomyślał o Kairze, która przychodziła tu jako dziecko. O tym, jak bardzo musiała się czuć onieśmielona i zagubiona.

Issa wskazał gościowi jeden fotel, sam zajął drugi.

— Proszę, opowiedz, jak umarła moja córka.

Finnen opowiedział. Starał się trzymać jak najbliżej prawdy i nie kombinować – wiedział, że większość kłamców wpada właśnie z powodu zbyt wybujałej wyobraźni. W jego ustach była to historia prosta i zarazem tragiczna. Chłopak spotyka przypadkowo dziewczynę. Po pewnym czasie ona prosi go o przysługę, a on się zgadza, bo zdążył już ją polubić. Ona zabiera z Hal jedzenie, on czeka na nią w przeszłości, gdzie będą mogli nakarmić głodujących. Najpierw jednak dziewczyna chce spojrzeć na miasto z góry, z dachu Archiwum. Wchodzą tam razem, dziewczyna, chłopak, a także przyjaciel chłopaka, który ma serce miękkie jak wosk i też pragnie pomagać nieszczęśliwym. Lunapolis płonie, wszędzie pełno jest dymu. Dziewczyna chce zejść i wtedy słyszy głos ojca, który krzyczy, każąc jej natychmiast wracać. Oszołomiona i wystraszona, cofa się kilka kroków. Dym gęstnieje. Ojciec krzyczy jeszcze głośniejszym głosem. Dziewczyna robi kolejny krok i spada prosto w płomień. Koniec. Smutne epitafium dla Brin Kairy, która zawiniła tym, że gdy przetrwała Skok, zaczęło ją dręczyć poczucie winy, więc chciała zrobić coś dla tych, którym się nie powiodło.

Czuł się dziwnie, mówiąc o niej w czasie przeszłym. Podobno jeśli aktor odgrywa na

scenie umierającego, to może mu to przynieść pecha.

Finnen zdawał też sobie sprawę, że jego bajka ma parę dziur – nie wyjaśniała na przykład, kto i po co zamknął wiodącą na dach klapę. Przygotował w miarę wiarygodne wytłumaczenie, na razie go jednak nie podał. Uznał, że lepiej nie być zbyt gorliwym, bo to mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Czekał, aż gospodarz zacznie go wypytywać.

— Dałem mojej córce dwieście surimów — powiedział Issa wolno, z namysłem. — Nie wiesz przypadkiem, co się z nimi stało?

Niech to Skok pochłonie! Tego Finnen nie przewidział. Oczywiście Kaira wzięła ze sobą te pieniądze, każdy rozsądny człowiek by tak zrobił. Jeśli nosiła je w zamkniętej kieszeni spódnicy, to nic im się nie stało, co najwyżej płomień osmalił sakiewkę.

Nie mógł tego powiedzieć Issie. Nie powinien nawet o tym myśleć.

— Nie mam pojęcia, może wciąż są w domu?

— Przeszukałem dokładnie jej pokój — odparł Issa — i nie znalazłem ani jednej monety. Wyglądasz mi na młodzieńca z wyobraźnią, powiedz, co Kaira mogłaby zrobić z dwustoma surimami?

Finnen czuł silną pokusę, żeby pozmyślać, to było przecież jawne zaproszenie. Oparł mu się z trudem.

Nie kombinuj, napomniał się w myślach.

— Moim zdaniem zostawiła je w domu, w jakiejś sobie tylko znanej skrytce. — Spojrzał Issie w oczy. — Bo po co miałyby brać je ze sobą w przeszłość? Biedakom, którzy zostali z tyłu, surimy do niczego nie są potrzebne.

Chwilę mierzyli się wzrokiem i to Issa pierwszy odwrócił głowę. Chłopak chciał wierzyć, że to świadczy o jego zwycięstwie. Chciał, ale nie wierzył. Teraz był już pewien, że mężczyzna coś podejrzewa.

Tak samo, jak jeszcze niedawno był pewien, że Issa pogodził się ze śmiercią córki.

Gdy Finnen uświadomił to sobie, zaklął w duchu i postanowił solennie już nic z góry nie zakładać. Widać talent Issy do dezorientowania rozmówców objawiał się także tym, że owi rozmówcy co chwila zmieniali zdanie. A przecież ojciec Kairy nic szczególnego nie robił, po prostu od czasu do czasu patrzył uważnie na Finna, ale to wystarczyło.

— Dlaczego zdecydowałeś się pomóc mojej córce?

Odetchnął z ulgą. Przynajmniej tego pytania się spodziewał.

— A dlaczego nie? Kaira była miła i poprosiła mnie o pomoc w czymś, co wydawało mi się szlachetnym uczynkiem, a ja nie miałem akurat nic lepszego do roboty.

To była dobra odpowiedź, taka, która nie robiła z niego ani świętobliwego altruisty, ani zatwardziałego cynika. Żadna z tych ról nie pasowałaby do Finnena.

— Sądysz więc, że moja córka postąpiła słusznie?

— Chcąc rozdać głodującym jedzenie? Tak, jasne, że tak.

— A przecież — Issa uśmiechnęła się lekko — większość ludzi uważa, że nie należy pomagać tym, którzy zostali z tyłu. Twierdzą, że oni tak naprawdę umierają już w chwili Skoku i że tak właśnie – jak martwych – należy ich traktować. Jeśli ktoś daje im jeść albo próbuje leczyć, to tylko przedłuża ich agonię. Bo przecież im nie można pomóc, prawda? Niezależnie od tego, co byśmy robili, oni tak czy inaczej są skazani na śmierć.

Finnen skinął głową. Ta rozmowa zmierzała w dziwnym kierunku.

— Więc dlaczego chciałeś ich nakarmić?

— Ponieważ... — chłopak zawahał się. Być może była to pułapka, ale przecież musiał coś odpowiedzieć, więc zdecydował się na uczciwość. — Ponieważ czasami nie ma dobrego wyjścia, tylko złe, a właściwie tak samo dobre jak i złe. I wtedy niezależnie od tego, co człowiek wybierze, i tak będzie miał poczucie winy.

Przypomniał sobie, jak klęczy obok umierającej kobiety i myśli o tym, żeby jej pomóc. Czuł się jak świnia, ponieważ tego nie zrobił. Z drugiej strony, gdyby wtedy pozbawił ją łaski szybkiej śmierci z rąk Niraja i skazał na dalsze cierpienie, też czułby się źle.

— Relatywista, co? — Issa zachichotał i pochylił się do przodu. Znowy wyglądał jak rozbawione dziecko. — Tak właśnie sądziłem. A myślałeś kiedyś o Przebudzeniu?

— O Przebudzeniu? — powtórzył coraz bardziej zdziwiony Finnen. Jeśli ta rozmowa miała doprowadzić do zweryfikowania jego bajki o śmierci Kairy, to nie miał pojęcia w jaki sposób.

— Aha. Jak myślisz, czym będzie Przebudzenie?

— Nikt poza Przedksiężycowymi tego nie wie. Podobno to coś tak cudownego, że nie potrafimy sobie tego nawet wyobrazić.

— I ty chciałbyś je osiągnąć?

Odruchowo chciał potwierdzić, przecież wszyscy tego pragnęli. To był cel, do którego

dążyło całe społeczeństwo. A jednak zawahał się w ostatniej chwili.

— Ja... nie jestem pewien. Przedksiężycowi twierdzą, że gdy ci, którzy zostaną wybrani, zobaczą, co ich czeka, nie będą pragnęli niczego innego, że wtedy wszystkie ich marzenia stracą znaczenie, będą się wydawały zupełnie nieważne. A ja myślę, że coś takiego zakłada... nie wiem, jak to określić? Kasację osobowości wybranego człowieka? Bo przecież ja, Finnen, marzę o rzeczach prostych, może małych w porównaniu z potęgą Przebudzenia, ale to są moje marzenia. Gdy ich nie będę miał, to w jakimś stopniu nie będę już sobą... Nie wiem, czy jestem na to gotów.

Issa radośnie wyszczerzył zęby.

— No proszę, oto człowiek, który podważa sens istnienia naszego społeczeństwa. Zaimponowałeś mi, chłopcze.

— Nic takiego nie powiedziałem — zaprotestował Finnen.

— Jak to nie? Podczas każdego Skoku zostaje z tyłu mnóstwo obywateli, którzy umierają w przeszłości, a my godzimy się na to, ponieważ wiemy, że tylko drogą morderczej selekcji garstka wybrańców może osiągnąć niewiarygodne szczęście. Lecz jeśli istnieją ludzie, którzy wcale tego szczęścia nie pragną, to przecież wszystko to nie ma sensu. Powiedz mi, czy uważasz, że Przedksiężycowi, zmuszając nas do nieustannego doskonalenia się, postępują niesprawiedliwie?

To nie ma znaczenia, chciał odpowiedzieć Finnen. Tak już jest i nic nie możemy na to poradzić. Czy jest niesprawiedliwe to, że w Lunapolis często pada śnieg, a temperatura spada poniżej zera?

To byłaby dobra odpowiedź, choć może zbyt górnolotna.

A potem pomyślał o swojej matce, która umarła tak młodo, że nawet nie pamiętał jej twarzy, i o bracie, z którym mieszkał w dzielnicy sierot. On też umarł młodo, podobnie jak Alike, czworo jego przyjaciół i mnóstwo innych ludzi.

— Tak — powiedział. — Myślę, że Przedksiężycowi to niesprawiedliwe, wredne i okrutne sukinsyny.

Nadciągnęła mgła. Gęste kłęby wpełzały na schody, obejmowały w posiadanie place, dławily światła latarni. Gdy Finnen wyciągnął przed siebie rękę, jego palce utonęły w srebrzystej bieli. Włosy miał wilgotne, policzki i czoło oblepiał lepki chłód. Szedł ostrożnie, ufając swojej znajomości miasta. Tuż przed jego twarzą wynurzyła się brama Zimowego Ogrodu, więc teraz powinien skręcić w lewo.

Skręcił.

Miasto było ciche, jakby pogrążone w głębokim śnie. Finnen słyszał dźwięk własnych kroków, który rozlegał się donośnie, i coś jeszcze, co mogło być echem.

Mogło, ale nie musiało. Prawdę powiedziawszy, odgłos ten brzmiał nieco zbyt metalicznie jak na echo, zupełnie jakby o schody uderzały stopy z żelaza.

Zatrzymał się.

Metaliczny dźwięk powtórzył się jeszcze dwa razy, po czym umilkł. Ktokolwiek za nim szedł, właśnie zorientował się, że chłopak przystanął.

Finnen stawiał na któregoś z mechanicznych służących Brina Issy.

Ruszył naprzód i przyspieszył kroku. Nie bał się, że zmyli drogę, co najwyżej groziło mu poślizgnięcie się w lekko zmrożonej brei, która zalegała na schodach.

Mechaniczni byli kolejnym paradoksem Lunapolis. Duszoinżynierowie w wieży art-zbrodniarzy działali najzupełniej oficjalnie, tworząc ludzi o talentach włamywaczy, skrytobójców czy oszustów. I dopóki ludzie ci byli dziećmi, nikt nie robił im krzywdy. Lecz gdy dorosli na tyle, by po raz pierwszy wykorzystać swoje zdolności, straż miejska zaczynała ich ścigać. Schwytanych, skazywano na przeniesienie osobowości do mechanicznego ciała. Nieudolny złodziej lub morderca i tak zostałby z tyłu, lepiej więc, by służył społeczeństwu.

Rzecz jasna największym problemem byli nie zbrodniarze nieudolni, lecz ci najbardziej uzdolnieni, którzy terroryzowali miasto. W Lunapolis większość wpływowych osób żyła w nieustannym strachu, bogacze zaś wydający połowę swego majątku na ochronę wcale nie należeli do rzadkości. Mimo to Finnen nigdy jeszcze nie słyszał opinii, że wieżę art-zbrodniarzy należy po prostu zlikwidować. Wystarczyło, że Przedksiężycowi akceptowali zbrodnię jako jedną ze sztuk, dzięki której osiągnąć można Przebudzenie.

Finnen zastanowił się przelotnie, czym wcześniej trudnił się mechaniczny, który za nim

szedł. Myśl, że mógłby mieć za plecami skrytobójcę, nawet niezbyt utalentowanego, sprawiła, że zadrżał.

Przy schodach uniwersyteckich stały wieże trzech różnych korporacji. Gdy mijał siedzibę okaleczonych, mleczna cisza szeptem namawiała go, by pozwolił wyłupić sobie oczy. Nie czekał, aż usłyszy, co zyska w zamian.

Wzrok sokoła? – rozległ się kolejny nęcący głos. – Węch psa? Uszy czujne jak u kota? U nas za niewielką cenę możesz rozszerzyć swoją osobowość o cechy zwierzęce. Czerp inspirację ze świata natury! Przedksiężycowi...

I dalej, nadal w mlecznej ciszy:

Dynamicznie zmienna, schizofreniczna osobowość daje największą szansę podczas Skoku. Oszalej wraz z nami na tę jedną chwilę...

Finnen przyspieszył. Gdzieś z boku, od lewej, dobiegł zgrzytliwy dźwięk kroków. Mechanoid zbliżał się zbyt szybko jak na tak kiepską widoczność. Finnen rozsądnie szedł mu z drogi i rozpląszczył się na ścianie uniwersytetu.

Z mgły wyłonił się pysk gigantycznego psa. Ślepiea rozbłysły niebieskawo, jedna z potężnych łap uderzyła w stopień. Mechanoid zachwiał się i zwolnił. Szedł teraz dziwnie, zakosami przez całą szerokość schodów, od czasu do czasu przystając i drobiąc w miejscu. W przezroczystej bańce kabiny kiwał się sennie animator.

Finnen zaklął w myślach. Schylił się, namacał niewielki kamyczek i cisnął nim w szybę, żeby obudzić rozspanego animatora. Mężczyzna uniósł głowę, rozejrzał się niezbyt przytomnie i przetarł oczy. Srebrzysty pies zaczął iść prosto.

Korzystając z tego, że zagłuszały go zgrzytliwe kroki mechanizmu, chłopak wskoczył na schody, które wiły się wokół uniwersyteckiej wieży. Były wąskie, zbudowane z metalowych płyt. Mógłby je uruchomić, ale wtedy zdradziłby się swoją obecnością. Szedł więc cicho, schylony, tak żeby ponad poręczą nie było widać jego sylwetki. Nie miał pojęcia, jak bardzo wyostrzony wzrok ma ten, kto za nim idzie.

Na wysokości drugiego piętra uznał, że może się wyprostować. Trzecie piętro, czwarte. Od chodzenia w kółko zaczynało mu się kręcić w głowie. Na piątym przystanął i poczekał chwilę, by sprawdzić, czy mechaniczny wciąż go śledzi.

W ciszy słyszał tylko własny niespokojny oddech.

Wreszcie wyszedł ponad poziom mgły. W dole leżało miasto, uśpione pod warstwami

zimnej bieli. Finnen przecesał palcami mokre od potu włosy; w twarz uderzył go ostrzejszy na tej wysokości podmuch wiatru. Zapiął kurtkę aż pod szyję i włożył ręce do kieszeni. Ponad nim płonęły gwiazdy, dwa księżycy świeciły jasno, trzeci przesłaniała czarna chmura o postrzępionych, różowo podświetlonych brzegach.

W dole pozostał człowiek obdarzony niehumanitarną odpornością maszyny, sługa zamknięty w metalowym ciele wraz z kilkoma innymi osobowościami. Za karę pozbawiono go szansy osiągnięcia Przebudzenia. W zamian jednak wyłączony został z morderczego wyścigu do doskonałości: nie musiał się już bać Skoków, bo wiedział, że przetrwa każdy, z wyjątkiem ostatniego.

Biorąc pod uwagę, jak wielu obywateli Lunapolis odpadnie przed tym etapem, nie było to takie złe.

Myśl ta uderzyła Finna niespodziewanie mocno. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że w losie mechanicznych może być coś godnego zazdrości. Z łatwością mógł sobie wyobrazić kogoś, kto celowo daje się przyłapać na zbrodni po to tylko, by zamienić nikłą szansę Przebudzenia na długie, w miarę spokojne życie metalowego sługi. Dziwne, że nigdy o kimś takim nie słyszał.

A może ludzie tacy istnieli, tylko oficjalnie o nich nie wspomiano? Pod wpływem dzisiejszej rozmowy z Issą Finnen zaczął dostrzegać różne rzeczy.

„Oto człowiek, który podważa sens istnienia naszego społeczeństwa”, powiedział ojciec Kairy, a chłopak nie wiedział, czy mówi to z ironią, czy też podziwem. Wołał wierzyć w to drugie. Zawsze chciał uchodzić za niepokorną duszę, ale jak dotąd nieszczególnie mu to wychodziło.

Niebezpieczna myśl. Słowa Issy nie powinny sprawiać Finnenowi przyjemności.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk tarcz obracających się na dachach niższych budynków. Długi, wibrujący niczym buczenie ogromnych owadów, które uwięziła mgła. Tarcze wariowały, gdy nie mogły skierować się w stronę księżyców.

Finnen wspiął się na szczyt, a stamtąd przeszedł na most, który łączył uniwersytecką wieżę z innymi. Trakt był szeroki, dwie idące z naprzeciwka osoby z łatwością mogły się na nim minąć. Po jednej i drugiej stronie ciągnęły się poręcze, które pozwalały wygodnie oprzeć łokcie i podziwiać widok z lotu ptaka.

Chłopak nie miał zamiaru niczego podziwiać. Minął rozgałęzienie nad placem Siepaczy i

skręcił w stronę Kopuły. Podniebnymi traktami często podróżowali w lektykach bogacze, którzy w ten sposób skracali sobie drogę, ale o tej porze było tu pusto. Finnen przyspieszył, zimny wiatr gwizdał mu w uszach, policzki miał zlodowaciałe. Już był spóźniony.

Z naprzeciwka nadchodziła jakaś postać, smukła i wysoka.

Nie szła traktem. Stąpała po poręczy. Niezbyt szybko, ale też nie wolno, z rozłożonymi szeroko ramionami. Jej włosy miały kolor zmieszanego z mlekiem srebra i wyglądały jak zabłąkany na tej wysokości kłębek mgły.

— Kaira — szepnął Finnen, czując, jak zamiera w nim serce. Bał się, że jeśli odetchnie głośniej, ona spadnie.

Zeskoczyła.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał z irytacją. Był zły na nią, że go wystraszyła, i na samego siebie, że na to pozwolił.

— Ta poręcz jest wystarczająco szeroka — odparła spokojnie. — Gdyby wisiała dwa łokcie nad ziemią, każdy bez trudu by po niej przeszedł.

— Ale nie wisi na wysokości dwóch łokci. Mogłaś spaść.

Potrząsnęła głową. Powierzchnowa genozmiana, którą przeszła, zmieniła kolor jej włosów na biały, a skóry na niemal czarny, tak że dziewczyna wyglądała jak negatyw zdjęcia. Zeszczuplała (skutek kilkunastodniowego leżenia w gorączce), a jej twarz straciła okrągły kształt. Gdy Finnen przyjrzał się uważniej, dostrzegł na policzkach Kairy świeże blizny po zabiegu spiłowania kości policzkowych. Nawet ubrała się inaczej – w długą, wściekle kolorową suknię i krótki płaszcz, który zmieniał barwę w zależności od oświetlenia. To był strój ubogich dziewcząt, zdeterminowanych, by zwrócić na siebie uwagę. One potrafiły go nosić, Kaira nie. Ze swoją poważną miną, bez śladu kokieterii czy ekstrawagancji w zachowaniu, sprawiała wrażenie wyrośniętego dziecka, które ktoś ubrał w suknię matki.

Poważny wyraz twarzy nie pasował też do kogoś, kto właśnie przed chwilą spacerował po poręczy na wysokości kilkunastu pięter. Po co? Dla zabawy?

Przez głowę Finnena przemknął obraz Issy, który najpierw dręczył syna, a potem, już przy stole, pokazał język służącemu. Nie spodobało mu się to skojarzenie.

— Mam dobry zmysł równowagi — powiedziała Kaira. — I musiałam to zrobić.

— Dlaczego?

— Po pożarze zaczęłam się bać wysokości i pomyślałam sobie, że jeśli teraz się nie

przełamie, to nie zrobię tego nigdy. Chcesz spróbować? To łatwe, wystarczy tylko zapomnieć, jak wysoko znajduje się poręcz.

— Nie, dziękuję. — Skrzywił się. — Wiem, jak to powinno działać. Ty jesteś ładną dziewczyną i się przede mną popisujesz, więc ja powinienem zacząć się popisywać przed tobą i spróbować cię przebić. Tyle że aby to zrobić, musiałbym chyba skoczyć z tej poręczy na główkę, a na to nie mam najmniejszej ochoty. Niniejszym więc oznajmiam, że przestaję się wstydzić swojego tchórzostwa.

Kaira zachichotała, a Finnen pomyślał, że jednak ma poczucie humoru.

Oczywiście to, co powiedział, niezupełnie było prawdą. Miał wielką ochotę wejść na tę poręcz, poczuć zawrót głowy, miękkość kolan i ucisk w żołądku, a potem to wszystko pokonać i przespacerować się wzdłuż traktu. Wstydził się, że stchórzył, ale teraz było już za późno.

— Ktoś za tobą szedł?

— Próbował, ale go zgubiłem — odparł, odzyskując odrobinę dumy. — Myślę, że to był człowiek twojego ojca.

— Nie wierzy w moją śmierć?

— Nie wiem. — Po spotkaniu z Issą wciąż miał mętlik w głowie.

— To znaczy, że nie wierzy. — Zaciśnęła na poręczy palce.

— Nawet jeśli ma jakieś podejrzenia, to jesteś bezpieczna. Dime się przeprowadził, a jeśli Issa mnie o niego zapyta, powiem, że od czasu pożaru zupełnie urwał się nam kontakt.

— Jak dotąd nie zapytał?

— Nie.

Co może równie dobrze oznaczać, dodał w myślach, że Issa jest zwyczajnym, pogrążonym w bólu ojcem, jak i to, że próbuje uspić moją czujność.

Potrząsnął głową. Samo to, iż w ogóle rozważał tę drugą możliwość, świadczył, że Issa z pewnością zwyczajny nie jest.

— Zaprosił mnie na turniej — dodał niezbyt zręcznie. — Wykupił najlepsze miejsca i chce, żebym mu towarzyszył...

Kaira spojrzała na niego. Nie wydawała się zdziwiona ani nawet wystraszona, tylko bardzo, bardzo skupiona, niczym ktoś, kto patrzy na płomień, zastanawiając się, jak wyjąć z niego szpilkę.

— Oczarował cię? — zapytała cicho, ostrożnie.

— Czy mnie...? O czym ty mówisz?

— Mój ojciec potrafi być miły, jeśli chce. A jego bogactwo i pozycja mają swój urok. Poczzerwieniał.

— O co mnie podejrzewasz? Musiałem się zgodzić, bo tak zrobiłby na moim miejscu każdy, a zwłaszcza ktoś, kogo nie stać na takie rozrywki.

Umilkł, uświadamiając sobie, że znowu nie mówi całej prawdy. I teraz było to już coś poważniejszego. Bał się, że Kaira coś zauważy, ale ona tylko powoli skinęła głową. Oczy wciąż miała czujne.

— Kiedy zaczniesz pracę w Archiwum? — zmienił temat.

— Pojutrze. Mam już fałszywe papiery. Imię zostawiłam sobie to samo – jest dość popularne, a poza tym głupio byłoby, gdyby ktoś mnie wołał, a ja bym nie reagowała.

— Słusznie. Te fałszywe papiery załatwił ci Dime?

— Aha. On ma mnóstwo różnych znajomości.

Dime.

Gdy tylko wyciągnęli dziewczynę z ognia, zaraz zanieśli ją do lekarza, który za pięć surimów zgodził się później zapomnieć o ich wizycie. Wcześniej naszpikował Kairę środkami przeciwbólowymi, a na paskudnie poparzone plecy i kark zalecił zmieniane co trzy godziny okłady. Obaj, zarówno Finnen, jak i Dime, zaproponowali wtedy, że się nią zaopiekują, a ona – pod wpływem tych środków całkowicie przytomna i nawet jakby wesoła – zdecydowała, że najlepiej będzie, jeśli zamieszka z Dime.

Finnen uważał, że to dobry wybór. Po pierwsze, on sam zdążył już zapaść Issie w pamięć, podczas gdy jego przyjaciela ojciec Kairy widział tylko raz, na dachu, gdy chłopak miał umorusaną, wykrzywioną strachem twarz; być może teraz w ogóle by go nie poznał. Po drugie, dziewczyna wymagała stałej opieki, a Finnen chyba nie potrafiłby poświęcić się temu całkowicie. Dime zmieniał jej okłady, karmił, czytał i opowiadał dowcipy, nawet w nocy, gdy ból nie pozwalał Kairze spać.

Finna to niespecjalnie dziwiło: córka Issy nie była ani pierwszą, ani zapewne ostatnią dziewczyną, na której punkcie Dime zgłupiał. Rozumiał też, że Kaira w czasie rekonwalescencji potrzebowała takiej właśnie całkowitej, bezwarunkowej akceptacji. Mimo to nie potrafił się pozbyć żalu i złości.

Zepchnięty na trzeci plan, przypomniał sobie. To właśnie ja.

— Jak ci się mieszka z Dime? Nie masz go jeszcze dość?

— Nie.

Nie potrafiła kłamać. Finnen pozwolił sobie na pobłażliwy uśmiech. Prawda, że Dime łatwo było wykorzystywać, rudzielec sam się o to prosił, jednak Kaira wydawała się Finnenowi ostatnią osobą, która by się zdecydowała na coś takiego. Niemniej najwyraźniej to właśnie robiła, bo przecież musiała zdawać sobie sprawę, jak bardzo chłopakowi na niej zależy.

— Dime jest miły, ale na dłuższą metę męczący — powiedział niedbale. — Gdybyś chciała zamienić go na kogoś trochę bardziej sensownego, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Egzekucja art-zbrodniarza Mirki Mirheia odbyła się w wieży uniwersytetu na oczach pięciuset zaproszonych gości. Sala przypominała okrągłą studnię: najniżej, a jednocześnie najbliżej sceny siedzieli ci, którym morderca wyrządził najwięcej szkód. Wśród nich był rzeczoznawca Omari. Finnen, wychylając się z łoży na piątym piętrze, widział jego lśniąca łysinę, a także całą nalaną sadłem sylwetkę.

Dwaj ubrani na czarno pomocnicy wprowadzili skazanego i sala wybuchła gwarem. Ktoś bił brawo, ktoś się śmiał, na scenę spadały skórki pomarańczy, kwiaty i zmięte w kulkę wiersze sławiące wyczyny art-zbrodniarza.

Za plecami Finnen usłyszał oklaski bite od niechcenia przez Brina Issę. Nie wiedział, czy Issa wyraża w ten sposób aprobatę dla mordercy, czy może dla tych, którzy go złapali. Doszedł do wniosku, że pewnie jedno i drugie.

Wychylił się jeszcze bardziej. Szkoda, pomyślał, że Mirhei wygląda tak mało imponująco. Był to chudy, trzęsący się staruszek, najwyraźniej wystraszony i nie bardzo pojmował, co się wokół niego dzieje. Bez protestów pozwolił, by go przywiązano do żelaznej ramy, i nie krzyczał, kiedy jeden z pomocników zaczął golić mu głowę.

Naszpikowany narkotykami, zdecydował Finnen.

Gdy na scenie zjawił się kat, gwar przycichł. Niemal namacalnie można było wyczuć, jak napięcie w sali rośnie.

Kat narysował na ogolonej głowie skazańca kilka linii, po czym chwycił nóż i ciął. Skóra zesłała gładko, odsłaniając kość czaszki. Jeden z pomocników ścierał krew spływającą po twarzy Mirheia, drugi tylko trzymał tacę z narzędziami.

Kat zmienił nóż na dłuto i młoteczek, którymi ostrożnie podważył, a potem zdjął fragment czaszki o szerokości dłoni. Przez cały czas Mirhei był przytomny, choć wyglądało na to, że trepanacja uszkodziła mu nerwy, bo rysy miał obwisłe jak u idioty, a z kącika otwartych ust ciekła ślina. W sali rozległo się pełne niechęci buczenie, ktoś rzucił w kata ogryzkiem jabłka.

Mężczyzna pracował dalej, jakby niczego nie dostrzegł.

Drugi pomocnik odłożył tacę i pomógł wejść na scenę metalowej kobiecie. Mechaniczni zazwyczaj nie mieli wyraźnie zaznaczonej płci, ta jednak była wyjątkiem. Naga i złota, miała potężny biust, cienką talię i nawet wyrzeźbione loczki.

Umieszczenie Mirheia w takim ciele musiało być przejawem osobliwego poczucia humoru sędziów.

Pomocnik powiedział do kobiety coś, czego Finnen nie usłyszał, a ona pochyliła się, wypinając w stronę publiki połyskujące pośladki. Ktoś zagwizdał, ktoś inny wychylił się z łoży i zaczął wykonywać obsceniczne gesty.

Pomocnik manipulował w okolicach karku kobiety, by po chwili zdjąć jej z ramion złotą głowę. Włożył dłoń w szyję, wyjął i rozwinął przewody. Drugi pomocnik umieścił na ich końcach długie, ostro zakończone igły, które błyszczały w świetle gazowych lamp jak cieniutkie sople lodu.

Gdy kat wbił pierwszą z nich w gąbczastą masę odsłoniętego mózgu, przez salę przebiegło głośnie „ach”. Widzowie sięgali po lornetki i wychylali się z łoż tak bardzo, że niektórym groziło wypadnięcie. Mirhei wciąż krwawił i ślinił się obficie, złota głowa przewracała oczami i otwierała usta, ale chwilowo pozbawiona strun głosowych, nie mogła nic powiedzieć. Kat pracował z precyzją, umieszczając igły w odpowiednich miejscach.

Finnen z całych sił ścisnął w palcach lornetkę, którą pożyczył mu Issa. Nie użył jej ani razu, wystarczyło mu to, co widział bez niej. Chciał się odwrócić, chciał wyjść, ale nie potrafił oderwać oczu od egzekucji.

Transfer osobowości z ciała ludzkiego do mechanicznego powoli dobiegał końca.

A Finnenowi czasem zdawało się, że tam, na dole, kat za pomocą igieł znęca się nad Nirajem, który śni swój niekończący się koszmar.

— Co sądzisz o egzekucji? — zapytał Issa, zaciągając mocniej zasłony lektyki. Na zewnątrz hulał wiatr, wewnątrz świetlikowe lampki stwarzały przynajmniej złudzenie ciepła. Finnen zauważył, że służący niosą ich teraz tym samym podniebnym traktem, którym szedł na spotkanie z Kairą. Przypadek albo ironia losu, zależy jak na to patrzeć.

— Nie powinno się robić z tego widowiska — odpowiedział.

— Nie powinno — zgodził się Issa, a chłopak próżno szukał w jego słowach śladu kpiny. Nie chciał, by ojciec Kairy się z nim zgadzał. To mogłoby znaczyć, że istnieje między nimi rodzaj wspólnoty poglądów, a tego sobie nie życzył. Przywołał w pamięci obraz rozciągniętego na łożku Niraja. To właśnie był prawdziwy Issa. Człowiek, który nie miał litości dla własnego dziecka.

Służący zatrzymali się, a Finnen wysiadł z lektyki. Słoneczne światło zakłuło go pod powiekami, zamrugał i skulił się, gdy poczuł uderzenie zimnego wiatru.

Stali tuż przy wejściu do Kopuły, która obracała się leniwie na szczycie wieży widowiskowej. Za nimi już zaczęli się gromadzić ludzie, czekający, aż półokrągła brama zrówna się z podniebnym traktem.

— Trzymaj się blisko Dziewiątki — powiedział Issa. — Przy wejściu będzie ścisk.

Miał rację. Ledwo Kopuła ze zgrzytem wyhamowała, tłum popchnął ich do przodu. Niebieska Dziewiątka, potężny mechaniczny o nadtopionej twarzy, parł naprzód jak lodołamacz. Wymachiwał tępo zakończoną piką i wrzeszczał „Przejdźcie dla szlachetnego Brina Issy i jego gościa! Przejdźcie!”.

Tym sposobem znaleźli się w Kopule, do której podniebnymi traktami z czterech stron świata wlewała się rzeka ludzi. Finnen odetchnął. Wewnątrz było o wiele luźniej, bo tłum się rozprasał, gdy widzowie zajmowali swoje miejsca wokół okrągłej areny.

Chłopak uniósł głowę. Przezroczysta pokrywa przepuszczała ciepłe, złote promienie, jakby cała hala była gigantyczną szklarnią. Patrząc pod światło, mógł zobaczyć zarys mechanizmu sztucznego słońca, które wisiało pod dachem.

Issa ujął go za łokieć i zaprowadził do łoży. Gdy usiedli, cztery bramy zostały zamknięte, a Kopuła ruszyła. Wirowała tak wolno, że Finnen ledwo mógł wyczuć ruch. Skąpo ubrane dziewczęta zaczęły roznosić słodycze, wino i pastylki narkotyku synestetycznego. Issa połknął

jedną, Finnen odmówił. W towarzystwie ojca Kairy nie mógł sobie pozwolić na osłabienie koncentracji.

Rozejrzał się. Wokół panowała atmosfera radosnego flirtu, mężczyźni krążyli wokół kobiet, prężąc ramiona i wciągając brzuchy, kobiety posyłały im pełne obietnicy spojrzenia. Z rąk do rąk przechodziły kwiaty i wiersze, które za odpowiednią – i dyskretnie przekazaną – opłatą naprędce tworzyli stojący pod ścianami poeci. Szeleściły wachlarze, z włosów sypał się złoty i srebrny puder, a w powietrzu wyczuwało się zapowiedź potu i krwi.

Finnen zdjął płaszcz, odsłaniając koszulę najprostszego kroju, spraną tak bardzo, że z niebieskiej stała się bladobłękitna. Issa powitał tę demonstrację pełnym aprobaty chichotem. On sam ubrany był w rzeczy szyte przez krawców-artystów, miał nawet skórzaną kamizelę, którą rzeczoznawca Omari z pewnością zaliczyłby do dzieł sztuki pierwszej klasy.

— Spójrz na kobietę, która siedzi po lewej — szepnął.

Chłopak spojrział. Ich sąsiadka miała olśniewającą urodę alabastrowej rzeźby i włosy barwy płomieni.

— To Mayumi, jedna z najsłynniejszych kurtyzan w Lunapolis. Cholernie droga, ale warta swej ceny. Jeśli ją chcesz, mogę podrzucić ci trochę pieniędzy.

— Dlaczego?

— Podejrzewasz, że mam jakieś mroczne motywy? — Issa roześmiał się, oczy błyszczały mu od narkotyku. — Nie, chłopcze, po prostu uważam, że z życia należy korzystać, póki jest się młodym. Ja w twoim wieku nie miałem takich możliwości.

— Ile Skoków pan ma za sobą?

Oczy mężczyzny pociemniały, na chwilę znikł narkotykowy błysk.

— Za dużo, chłopcze. Za dużo. To jak, chcesz ją czy nie? Myślę, że spodobałbyś jej się w tej skromnej koszulinie, wiesz, taki styl na ubogiego artystę. Pewnie właśnie dlatego ją założyłeś, nie myślę się? Idę o zakład, że masz w szafie coś lepszego...

— Nie, dziękuję. — Finnen odwrócił wzrok. Kobieta za bardzo przypominała mu Alikę, o której wolał nie pamiętać.

Odmówił, lecz propozycja wzbudziła w nim niechętny podziw dla Brina Issy. Musiał przyznać, że podoba mu się taki właśnie nonszalancki stosunek do majątku. Gdyby Finnen kiedykolwiek stał się bogaty, chciałby wydawać surimy równie beztrudnie jak ojciec Kairy.

Była to kolejna niebezpieczna myśl.

Brin Issa pomachał komuś i po chwili do ich łoży wszedł mężczyzna trzymający za rękę dziewczynkę, która właśnie zaczynała wyrastać z dzieciństwa. Miała skórę koloru mlecznej czekolady i wielkie, zdziwione oczy. W sztywnym gorsecie, który obejmował jej nieuformowaną figurę od bioder aż po szyję, poruszała się jak manekin. Jej ojciec, jeśli był to ojciec, nosił staroświecką kamizelę z wysokim kołnierzem, a jasne włosy miał lekko przyprószone srebrnym pudrem.

Issa przedstawił ich jako Maroutiego oraz Ellonę, co najwyraźniej miało Finnenowi wystarczyć. Potem wziął na kolana dziewczynkę i pogłaskał ją, po czym z czułością w głosie zapewnił, że wkrótce wyrośnie na wspaniałą kobietę, z której on, Issa, będzie dumny.

Finnen obiecał sobie solennie, że niczemu już się nie będzie dziwił. Widać ojciec Kairy oprócz osobliwego poczucia humoru miał także słabość do podrastających pańienek.

Zabrział gong i rozpoczął się turniej.

Z sufitu z cichym szumem spłynęły ekrany powiększające, a mechaniczny o wzmocnionym głosie zapowiadał kolejne pary. Finnen znał zasady – przeciwnicy walczyli, w jednej ręce trzymając nóż zwany darakką, a w drugiej aktywator tarczy deflekcyjnej. Błękitne, otaczające całą sylwetkę pole było złudzeniem, w rzeczywistości energii wystarczało tylko na to, by chronić prostokątny obszar wielkości dłoni. Aktywator służył właśnie do manipulowania owym prostokątem, przesuwania go w miejsca, gdzie przeciwnik mógł zaatakować. Z kolei darakka miała ostrze regulowanej długości – w wersji najkrótszej wyglądała jak zwyczajny nóż, w najdłuższej przypominała rapier. Wszystko to sprawiało, że sztuka walki była bardzo skomplikowana. Dla oceniających pojedynki sędziów liczyło się nie tylko zwycięstwo, równie ważna była pomysłowość i styl szermierzy.

Finna niewiele to obchodziło i dość szybko zaczął się nudzić. Mimo to nie odwrócił wzroku od areny, by rozejrzeć się po hali, jak robiło wielu innych widzów. Obserwował powiększone przez ekrany sylwetki zawodników, analizował ich ruchy, przewidywał wynik starcia. Przynajmniej starał się to robić, bo dla niewyszkolonego oka każda walka wyglądała bardzo podobnie, zwłaszcza jeśli przeciwnicy mieli wyrównane szanse – a tutaj dobrano ich w pary tak, by mieli. Mistrzowie klasy pierwszej z mistrzami pierwszej, drudzy z drugiej, a czteroręcy (zupełnie inna kategoria) z czteroręczkami.

Ożywił się, gdy na scenę wszedł Niraj.

Brat Kairy walczył w pięknym, klasycznym stylu. Na początku po prostu stał nieruchomo

i manipulował aktywatorem tarczy, tak by ciosy atakującego trafiały w chroniony obszar. Przeciwnik skakał wokół niego jak królik na rozgrzanej blasze, tańczył, pocił się i wściekał, próbując najbardziej zdradliwych wypadów, a Niraj ze stoickim spokojem naciskał guziczki. Na widowni podniósł się szmer stłumionych chichotów, ktoś w sąsiedniej loży szepnął, że syn Issy chyba urodził się jasnowidzem, bo przecież nikt nie może z taką dokładnością wyprzedzać ruchów przeciwnika. Trwało to kilkanaście minut, a potem, gdy atakujący zmęczył się i zwolnił, Niraj wyprowadził jeden szybki cios, który powalił przeciwnika. Widzowie bili brawo, wstawali z miejsc i krzyczeli, na arenę posypały się świeże kwiaty.

Zanim opadły ekrany, Finnen zobaczył powiększoną do gigantycznych rozmiarów twarz zwycięzcy, oszołomioną i ponurą.

Chłopakowi również zrobiło się smutno. Pomyślał, że z dwóch dzisiejszych widowisk egzekucja okazała się znacznie ciekawsza. Była to jedna z tych paskudnych myśli, które wywoływały w nim poczucie winy – i zarazem coś w rodzaju cichutkiego zadowolenia z własnego cynizmu.

W egzekucji były prawdziwe emocje, niechęć do tego widowiska i zarazem fascynacja, strach i krew. To był dramat dwojga osób: Mirheia, który cierpiał, i Finnena, który na to cierpienie patrzył. Skomplikowany oraz interesujący dzięki konfliktowi pomiędzy moralnością i współczuciem a prymitywnymi instynktami. W porównaniu z nim zabawa w walkę wydawała się, cóż, tylko zabawą.

Mechaniczny zapowiedział kolejnego zawodnika, niejakiego Pava Betrisa. Wezwany pewnym krokiem wyszedł na środek areny i zaczął czekać na swego przeciwnika. Potem uniósł rękę, prosząc widzów o ciszę.

— Panie i panowie! — rozpoczął przemowę. — Być może nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale darakka nigdy nie została przez Przedsiębiorczych zaakceptowana. To oszustwo, spisek inspirowany przez ludzi, którzy czerpią korzyści materialne z produkcji tych noży i tarcz deflecyjnych. A wy wszyscy daliście się omamić. Nie dziwię się wam, szlachetni państwo, gdyż przyznaję, że sprawne posługiwanie się darakką wymaga wielkiej zręczności i talentu. Jednak prawdą jest, że Przedsiębiorcy nigdy nie chcieli, żebyśmy tak walczyli. Oni życzą sobie, żebyśmy walczyli tym!

Uniósł broń, która okazała się prostym rapierem.

Przez salę przebiegł szmer, widzowie z pierwszych rzędów powtarzali jego słowa tym,

którzy siedzieli dalej.

— Fanatyk — wymruczał Marouti. — Co on za bzdury wygaduje?

— Przedksiężycowi chcą, żebyśmy bili się jak nasi dziadowie, żelazo przeciwko żelazu!
— wrzeszczał Betris, coraz bardziej czerwony na twarzy. — Zwyczajne żelazo, nie nóż darakka. Rapier, szpada, miecz, to jest broń prawdziwego mężczyzny! Odrzućmy niegodne nas zabawki, nie narażajmy się na gniew Przedksiężycowych! Aby udowodnić, że mam rację, stanę dziś z tą oto bronią przeciwko darakce. I zwyciężę!

Gwar w sali wzmógł się, niektórzy wstawali z miejsc, inni klaskali. Finnenowi zdawało się, że w tych oklaskach słychać sporo ironii.

Issa jako jeden z nielicznych zachował całkowity spokój.

— Widziałem to już kilka razy. Pavo Betris przychodzi na turniej, rzuca wyzwanie i przegrywa. Zawsze przegrywa.

— W takim razie jest nie tylko fanatykiem, ale też idiotą — podsumował Marouti.

— Niekoniecznie. Ten fanatyk oraz idiota przetrwał już ładnych kilkanaście Skoków i nie zdziwiłbym się, gdyby udało mu się dotrzeć do Przebudzenia.

— Może Przedksiężycowych bawi jego głupota.

— Może. A może nie.

Betris walczył znakomicie, lecz z darakką i tarczą deflekcyjną nie miał szans. Po dwudziestu minutach (Finnen był pełen podziwu, że mężczyzna wytrzymał tak długo) klęknął na piasek i poprosił o łaskę. W hali rozległy się brawa i tym razem nie było już w nich ironii.

Przeciwnicy zeszli z areny, a mechaniczny zapowiedział koniec turnieju. Na szkle kopuły pojawiły się wysokie na kilka łokci błękitne cyfry.

— Technologia Przedksiężycowych! — krzyknął ktoś z podziwem.

— Akurat — wymruczał Marouti. — Zwyczajne lampy świetlikowe, tylko zabarwione.

Finnen zrozumiał z liczb tyle, że Niraj zdobył najwięcej punktów, a więc należy mu się główna nagroda.

Widzowie powoli opuszczali kopułę. Wkrótce pozostali w niej tylko Brin Issa, Finnen, Marouti wraz z Elloną oraz jeszcze dwóch mężczyzn, którzy weszli do ich łoży po zakończeniu turnieju.

Pierwszy, niski i okrągły, chichotał bezustannie, choć nikt nie powiedział nic zabawnego.

Drugi miał dwie twarze.

Finnen drgnął, bo rzadko widywał takie mutacje. Jedno oblicze było poważne, drugie uśmiechało się łagodnie niczym bujające w obłokach dziecko.

Zgodnie ze słowami Issy odmieniec nazywał się Janadra, a wesolek Ankis. Cała czwórka – wliczając w to jeszcze Maroutiego – wydawała się bardzo ze sobą zaprzyjaźniona.

— To jak, Issa — Ankis skinął na służącego, który podał mu pojedynkowe pudło z dwoma nożami i dwoma aktywatorami tarczy — przypomnimy sobie dawne czasy?

Ku zdziwieniu Finna, który przecież obiecał sobie, że już nie będzie się dziwił, Issa skinął głową. Obaj przeskoczyli barierkę i znaleźli się na pustej arenie.

Finnen znów skupił się na walce. Dzięki kilku odpowiednio rozdany łapówkom wiedział już, że ostatnia genozmiana Issy nie obejmowała telepatycznych zdolności, lecz któryś z jego przyjaciół być może potrafił czytać myśli. Finnenowi podejrzana wydawała się zwłaszcza podrzędna osobowość Janadry, ta rozmarzona i sądząc z wyrazu twarzy, nieszczególnie inteligentna. Na wszelki wypadek wolał więc zachować ostrożność.

Walka nie trwała długo. Po kilkunastu minutach nóż Ankisa rozciął skórzaną kamizelkę Issy, a chwilę później sięgnął ramienia. Wtedy ojciec Kairy wyłączył pole deflekcyjne na znak, że się poddaje.

Ankis przyjął tę kapitulację głębokim, klasycznym ukłonem, niczym bohater sztuki napisanej przed kilkadziesiątoma Skokami.

Issa zdjął kamizelkę i krzywiąc się z bólu, rzucił ją na barierkę.

— Koszulę też masz zniszczoną — zaśmiał się Ankis. — Co zrobisz z tą krwawą plamą? Pójdiesz tak na tańce?

— Czemu nie? — Issa wyszczerzył zęby w uśmiechu, choć musiało go to kosztować sporo wysiłku. — Nic tak nie dodaje mężczyźnie uroku, jak odrobina krwi na koszuli. Szkoda tylko, że pewnie i tak większość pięknych kobiet weźmie ją za czerwone wino.

Nie była to szczególnie dowcipna odpowiedź, ale biorąc pod uwagę, że Issa ledwo trzymał się na nogach, robiła wrażenie. Finnen po raz kolejny poczuł coś w rodzaju niechętnego podziwu dla tego człowieka.

— Odpocznijmy chwilę, proszę. — Issa opadł na siedzenie w łoży. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł z twarzy pot. Potem podwinął rękaw i tą samą chusteczką obwiązał sobie ramię. Rana była płytka, ale mocno krwawiła. — Obawiam się, że niewiele będzie ze mnie pożytku na tańcach. Wykończyłeś mnie, Ankis, kto by pomyślał. Jak ty to robisz? Wygląda na to,

że z każdym Skokiem stajesz się jednocześnie bardziej tłusty i zręczniejszy.

Gdy Ankis chichotał, najwyraźniej mile połączony, Finnen zastanawiał się, czy Issa aby przypadkiem nie pozwolił mu wygrać.

Pozostali mężczyźni również usiedli. Ellona spróbowała się uśmiechnąć do ojca, ale jej wargi niespodziewanie wykrzywił grymas bólu. Sięgnęła po chusteczkę, ruchem małej damy wytarła z czoła pot, a potem przyłożyła płótno do ust i kiedy sądziła, że nikt nie patrzy, zagryzła, podczas gdy w jej oczach zbierały się łzy. Finnen ją obserwował. Chora – bo najwidoczniej była chora – dziewczynka wydała mu się do kogoś podobna, ale nie miał pojęcia do kogo, zresztą w przypadku kogoś tak młodego podobieństwo mogło być zwodnicze.

Mniejsza z tym, miał na głowie ważniejsze problemy.

Odwrócił się w stronę pustej areny i myślał. Wciąż nie mógł przeniknąć intencji Brina Issy. Niedbała łatwość, z jaką pozbył się zniszczonej kamizelki z prawdziwej skóry. Fakt, że porażkę w walce przyjął z humorem i najwyraźniej nie miał pretensji do zwycięzcy. Inteligencja Issy, a także jego oryginalne poglądy, i urok, nie zapominajmy o uroku, który musiał mocno działać na kobiety. Oraz oczywiście dystans do samego siebie, co także się chłopakowi podobało. Finnen nie umiał tego złożyć w całość.

W gruncie rzeczy, pomijając okrucieństwo, z jakim znęcał się nad własnymi dziećmi, Issa był niebezpiecznie bliski ideału, do jakiego Finnen dążył.

Chłopak nerwowo potarł policzek i przywołał obraz dręczonego Niraja. Pamiętaj, do czego ten człowiek jest zdolny, upomniął samego siebie.

Obserwował arenę i jednocześnie słuchał toczącej się za jego plecami rozmowy. Mężczyźni najpierw przerzucali się anegdotami na temat zupełnie nieznanymi Finnenowi osób, a potem Janadra powiedział coś, co wreszcie chłopaka zainteresowało.

— Słyszeliście, że podobno w najniższym ze światów znaleziono wrak gwiazdowego pojazdu? Który to już za naszego życia? Szósty, siódmy?

— I oczywiście wszyscy, którzy w nim byli, nie żyją? — Usłyszał głos Maroutiego.

— Oczywiście.

— Nieprawda. — Finnen odwrócił się. — Jeden człowiek przeżył. I co więcej, potrafi używać windy czasowej.

Powiedział to po to, by zrobić na Issie oraz jego przyjaciółach wrażenie. Czuł się wyłączone z rozmowy, ignorowany, dlatego że był od nich sporo młodszy i nie należał do

towarzystwa.

— Jestem tego pewien — dodał. — Sam widziałem.

— Brin Niraj!

Brak odpowiedzi.

— Niraj!

Zwycięzca turnieju wpatrywał się w lustro, zaciskając palce na krawędzi umywalni, która ciągnęła się przez całą długość męskiej szatni. Wokół unosiły się kłęby pary, nagi tors chłopaka lśnił od potu.

— Niraj? — Pytający powoli tracił pewność siebie, bo syn Issy gapił się w lustro tak intensywnie, jakby chciał przepalić je spojrzeniem. — Wszystko w porządku? Chciałem pogratulować...

Niraj zamrugał, jakby właśnie się obudził. Przez chwilę wyglądało na to, że dziwi go widok własnej twarzy. Ostrożnie dotknął brwi, potem przesunął dłoń na czoło. Przeczesał palcami wilgotne włosy i uśmiechnął się z wyższością.

— Dzięki — powiedział.

Syrena pływała w baniastym akwarium, zanurzona w różowawej cieczy, która przypominała musujące wino. Miała srebrzysty ogon, bladą skórę i błony pomiędzy palcami. Na jej szyi, w rytm oddechu, pulsowały skrzela.

Kaira ostrożnie wyciągnęła dłoń i położyła ją na szkłe. Kobieta-ryba podплыnęła bliżej, długie czarne włosy ciągnęły się za nią niczym smuga atramentu wyrzucona przez kałamarnicę. Szkło zniekształcało rysy, a mimo to Kaira widziała, że syrena jest piękna.

— Kto to? — zapytała, ocierając spocone czoło. W sali było gorąco, bo maszyny pracowały, produkując niesamowite ilości ciepła.

Stojąca obok Jaina Naroomi wzruszyła ramionami.

— Nikt. Nie ma nawet imienia. To kretynka, umyślowo na poziomie dwu-trzyletniego dziecka. Ciecz, w której pływa, wzmacnia jej zdolności telepatyczne, dzięki którym może kontaktować się z Przedksiężycowymi. Jest ich głosem, przekazuje nam ich decyzje, i to wszystko, co musi umieć. Gdyby dano jej większą inteligencję, pewnie byłaby nieszczęśliwa.

Kaira spojrzała na starszą kobietę, wytrzymała kilka sekund i odwróciła wzrok. Zbyt szybko, zbyt gwałtownie, by było to naturalne.

Jaina kiedyś dorównywała pięknością syrenie i ślady jej urody dało się jeszcze dostrzec w twarzy przeciętej dwiema bliznami, które krzyżowały się na grzbiecie nosa, tworząc znak X. Obie były purpurowoczerwone, szerokie na pół palca. W dodatku skóra zrosła się nierówno i wyglądało to tak, jakby ktoś rozbił twarz animatorki na cztery części, a potem skleił je, nie dbając, by je dokładnie do siebie dopasować. W rezultacie prawe oko było wiecznie zmrużone i łzawiło, a oba kąci pociętych ust znajdowały się wyżej niż reszta warg, co sprawiało wrażenie upiornego uśmiechu.

— Żal mi jej — wymruczała Kaira, patrząc na syrenę. — Myślę, że i tak jest nieszczęśliwa.

Wiedziała, że za jej plecami Jaina prostuje się i zaciska usta w wąską kreskę.

— Litość jest dobra dla dzieci — powiedziała. — A teraz chodź, pokażę ci dziewiąte piętro.

— Co tam jest?

— Wynalazki, oczywiście. A czego się spodziewałaś?

— Wynalazki Archiwum dzielą się na dwie kategorie — tłumaczyła Jaina, gdy ruchome schody wiozły je w górę. Było tu zimniej i Kaira zadrżała, kiedy chłodny podmuch przylepił jej do ciała przeproconą bluzkę. — Drugie piętro i trzecie pracują nad wynalazkami takimi jak Kolejka, ptaki przenoszące wiadomości czy tarcze deflekcyjne. To urządzenia, które służą wszystkim, bo Przedksiężycowi na to pozwolili. Ale oni rzadko akceptują projekt, najczęściej go odrzucają, czasem nawet od razu, bez pytania o szczegóły, jak było na przykład wtedy, gdy zabronili nam używać broni palnej. Wyżej, na czwartym i piątym, są sale jadalne, bufety i pokoje wypoczynku dla wynalazców. A jeszcze wyżej, na szóstym, siódmym i ósmym projektuje się wynalazki, których nikt nie używa – no, przynajmniej oficjalnie. Zazwyczaj robimy dwa albo trzy egzemplarze takiego urządzenia, w zależności od tego, jak życzą sobie Przedksiężycowi. A potem wieszamy je na dziewiątym piętrze i niech czekają sobie na Przebudzenie. Wtedy podobno wreszcie się przydadzą, choć nie mam pojęcia do czego. Nikt nie ma.

Kaira wszystko to wiedziała, ale nie przerwała ani słowem. Jaina wyglądała na kogoś, kto lubi popisywać się wiedzą, a dziewczyna chciała sprawić jej przyjemność. Ponadto uznała też, że lepiej będzie udawać prostą, niezbyt rozgarniętą dziewczynę. To mogło jej oszczędzić wielu niewygodnych pytań.

— Wszystkie wynalazki powodują Skok?

— Jeśli zostaną zaakceptowane przez Przedksiężycowych, to tak. Każde z zaprojektowanych tu urządzeń, niezależnie od tego, czy ma służyć wszystkim teraz, czy potrzebne będzie dopiero przy Przebudzeniu, zbliża nas do końca czasu.

Koniec czasu. Kaira słyszała już to określenie i uznała, że brzmi wyjątkowo ponuro. A przecież dla tych, którzy przetrwają, ma to być okres szczęścia, jakiego nie da się sobie nawet wyobrazić.

Całe dziewiąte piętro zajmowała wielka hala. Z sufitu na grubych łańcuchach zwisały zabezpieczone szyfrowymi zamkami klatki, niektóre malutkie, inne tak duże, że swobodnie zmieściłoby się w nich kilkoro ludzi. Znajdowały się w nich wynalazki, rozpięte na wieszakach uprząże, mechanizmy i butle z lekami, wszystkie podświetlone jak na wystawie.

„Oficjalnie nikt ich nie używa” – dziewczyna zastanowiła się nad słowami Jainy. Potem zobaczyła pierwszą pustą klatkę. I drugą, a po chwili trzecią. Część zamków była rozbita, a po

jednej czwartej wynalazków zostały tylko kartki z opisem.

Kaira spojrzała pytająco na przewodniczkę.

— Mamy tu mnóstwo włamań — mruknęła animatorka. — Czasem nawet zjawiają się art-mordercy, jeden z nich tuż przed ostatnim Skokiem wysadził w powietrze dwóch mechanicznych strażników i poderżnął gardło prawdziwemu, a potem rozbił zamek i zabrał jeden z wynalazków. Staramy się trzymać prasę z daleka od takich rzeczy, ale rzadko się udaje. Art-zbrodniarze przychodzą tu albo dlatego, że ktoś im zapłacił, albo po prostu chcą się popisać, a wtedy sami powiadamiają gazety.

— Jak Mirka Mirhei?

— Jak Mirka Mirhei — potwierdziła Jaina z uśmiechem. Przynajmniej Kaira zgadywała, że to uśmiech. Fakt, że słynnego art-zbrodniarza złapano właśnie w Archiwum, musiał być źródłem satysfakcji dla wszystkich pracowników. — Poza tym nie chodzi tylko o włamania. Jeśli ktoś ma naprawdę dużo pieniędzy, może sobie taki wynalazek zwyczajnie od nas wypożyczyć, ale o tym nie wolno głośno mówić.

— To nielegalne?

— Oczywiście. — Jaina zachichotała cicho i mimo oszpeconej twarzy nagle wydała się całkiem sympatyczna. Tym razem Kaira nie odwróciła wzroku i pomiędzy kobietami przeskoczyła iskierka porozumienia. — Ludzie są tylko ludźmi, nie? Poza tym zdarzają się jeszcze dziwniejsze przypadki. Kiedyś pewien art-złodziej ukradł Skrzydła, a w zamian za zwrot zażądał, aby jego syn, a potem wnuk mogli je wypo... Uważaj!

Kaira trąciła łokciem jedną z mniejszych klatek, cofnęła się, wystraszona i wpadła na inną, która zachybotała się i uderzyła ją w głowę.

Jęknęła.

— Nic ci nie jest? Pokaż... — Jaina łagodnie odsunęła jej dłoń. — Będziesz tylko miała siniaka, skóra nawet nie jest przecięta. Nie musisz się martwić, nie zostanie blizna. Bardzo boli?

— Już wszystko w porządku — wymamrotała Kaira. — Naprawdę.

— Wiem. — Jaina przesunęła palce, suche i ciepłe, na policzki dziewczyny, a potem niżej, na usta. — Masz ciekawą twarz, wiesz o tym? Powinnaś podkreślać jej urodę makijażem. Czemu tego nie robisz?

Kaira nie miała pojęcia, co powinna odpowiedzieć, więc tylko stała sztywno, unikając spojrzenia drugiej kobiety.

Jaina odsunęła się po chwili.

— Mówiłam o art-złodzieju, prawda? — podjęła, jakby nic się nie stało. — No więc wyobraź sobie, że wnuk tego człowieka niedawno zjawił się u nas i powiedział, że Skrzydła zostały zniszczone, podobno w jakichś dziwaczkich i niejasnych okolicznościach.

Kaira nerwowo przełknęła ślinę. Zniszczenie Skrzydeł było jej winą, ale to Dime wziął na siebie ciężar powiedzenia o tym Magritowi, a Magrit z kolei musiał tłumaczyć się przed Archiwum. Dwie osoby już ucierpiały na skutek jej pomysłów.

— Co mu grozi?

— Nałożymy na niego wysoką karę pieniężną, a jeśli nie będzie mógł jej zapłacić, a pewnie nie będzie, to sprawę rozstrzygnie sędzia. Być może odbierzemy mu jego fotografie i zlicytujemy je. On jest artystą-wiروفotografem, i to podobno całkiem niezłym. Na pewno dobrze się czujesz, Kairo?

Nie, nie czuję się dobrze, pomyślała dziewczyna, ale nie powiedziała tego głośno. Dime nie wspominał nic o licytowaniu zdjęć, mówił tylko, że jeśli Magrit nie będzie w stanie zapłacić kary, to sąd umorzy sprawę. Kairę ogarnęła złość. Dime chciał ją chronić, ale ona wcale nie pragnęła takiej ochrony.

Zastanowiła się, ile właściwie Dime powiedział Magritowi i czy Magrit mógł w złości zdemaskować jej fałszywą śmierć. To był kolejny problem, oprócz tego, że czuła się wobec wiروفotografa winna.

Wszystko to wymagało przemyślenia, ale nie teraz; w tej chwili powinna się skupić na tym, aby Jaina niczego się nie domyśliła.

— Nic mi nie jest — skłamała niezręcznie, bez wprawy. Przewodniczka patrzyła na nią podejrzliwie, a Kaira uświadomiła sobie nagle, że tak już zostanie, że ona będzie kłamała i udawała kogoś, kim naprawdę nie jest, a ludzie będą patrzeć na nią z podejrzliwością, aż w końcu, prędzej czy później, ktoś odgadnie prawdę.

Zdusiła strach. Poradzi sobie. Musi sobie poradzić. Nie po to przeszła przez ogień, żeby teraz wpaść na głupim kłamstwie.

— A co jest na ostatnim piętrze Archiwum? — zadała kolejne pytanie, na które znała odpowiedź. Chciała zmienić temat, a także uspokoić w ten sposób Jainę, przekonać ją, że Kaira jest głupia, nieszkodliwa.

Popęlniła błąd.

— Projekty wynalazków, które zostały odrzucone przez Przedksiężycowych — odpowiedziała animatorka wolno; podejrzliwość nie znikła jej z oczu. — Tylko kilku osobom wolno tam wchodzić, w tym mnie, a przy Skoku projekty niszczą się samoistnie, żeby ludzie nie mogli zejść w przeszłość i tam przeczytać kopii. To w większości nic ciekawego, ale jest parę niebezpiecznych rzeczy...

— Na przykład projekt broni palnej?

— Na przykład. — Kobieta zacisnęła okaleczone usta. — Zaaprobowane przez Przedksiężycowych wynalazki chronimy podobną metodą. Co prawda nie ulegają zniszczeniu w czasie Skoku, ale gdyby ktoś próbował przenieść ich kopie z przeszłości do naszego świata, rozpadłyby się w pył.

— Po co właściwie trzymać projekty odrzuconych wynalazków? Mówiłaś wcześniej, że one trafiają do kosza...

— To metafora. A Przedksiężycowi czasem zmieniają zdanie, wprowadzie rzadko, ale zmieniają, więc nie niszczymy żadnych projektów. Kairo, dlaczego mnie o to wszystko pytasz? Mam wrażenie, że doskonale znasz odpowiedzi.

To było tak niespodziewane, że Kaira straciła głowę.

— Ja... nie... — wybąkała i umilkła. Finnen by sobie poradził, pomyślała niespodziewanie, wymyśliłby coś i potrafił z tego wybrnąć. Ale ona nie była Finnenem.

— Nie kłam, proszę. — Rysy Jainy wykrzywiły się w wyrazie niechęci. Kobieta wyglądała teraz odpychająco, nie było w niej nic sympatycznego. — Nie znoszę ludzi, którzy kłamią. Ani takich, którzy udają głupszych, niż są. Czego ode mnie chcesz? Tego?

Sięgnęła pod bluzkę i wyciągnęła zawieszony na srebrnym łańcuszku klucz.

— Nawet gdybyś zdołała mi go ukraść, to i tak nie dostaniesz się na ostatnie piętro. Trzeba jeszcze znać hasło.

Kaira miała pustkę w głowie; potrafiła tylko gapić się na Jainę z otwartymi ustami jak kompletna idiotka. Wiedziała, że wygląda na winną. Była winna.

— Odpowiedz, Kairo.

— To nie tak — z trudem wydobyła z siebie tych kilka słów, ale z następnymi poszło już lepiej. — Po prostu pytałam o różne rzeczy po to, żeby zrobić ci przyjemność.

Częściowo była to prawda, i co więcej, była to też chyba jedyna odpowiedź, która mogła odciągnąć uwagę przewodniczki od klucza.

Jaina Naroomi poczerwieniała, blizny na jej twarzy przybrały jeszcze ciemniejszą barwę. Pogarda zmieniła się we wściekłość.

— Nie cierpię współczucia — syknęła. — Wiem, że trudno ci na mnie patrzeć, widzę, jak odwracasz wzrok. Ale ja to zrobiłam świadomie, celowo oddałam swoją urodę w zamian za talent animatorki, i nie żałuję, więc, do cholery, przestań się nade mną litować. Słyszysz? Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Że potrzebuję twojej przyjaźni? Że poprawisz sobie samopoczucie, jak będziesz dla mnie miła?

Kaira nie odpowiedziała. Kobieta cofnęła się kilka kroków, jej twarz zaczynała blednąć.

— A teraz idź na siódme piętro i zgłoś się do Tawiego Essama. To kierownik twojej sali. Ja miałam ci pokazać Archiwum i zrobiłam to. Niczego więcej nie oczekuj.

Przed wejściem do Archiwum jak zawsze leżał trup.

— Wyglądasz coraz gorzej. — Daniel trącił go czubkiem buta. — I paskudnie cuchniesz.

Kopnął zwłoki raz jeszcze, czując przy tym dziwną mieszaninę wstrętu i fascynacji. Z lepkiem mlaśnięciem martwy mężczyzna obrócił się na plecy.

— Uch... — Pantalekis zasłonił usta i nos rękawem. — Stary, jesteś naprawdę obrzydliwy.

Odsuwał się powoli, idąc tyłem. Dlatego zdążył jeszcze zobaczyć, jak z prawego oka trupa wypelza czerw.

Odwrócił się, oparł głowę o ścianę. Chwilę walczył z mdłościami, które podeszły mu do gardła. Słodkawy smród rozkładającego się ciała oblepił wnętrze ust i język. Daniel odchrząknął, splunął raz, a potem drugi.

Poczuł się odrobinę lepiej.

Robale, myślał, idąc przez miasto ciche jak cmentarz w grudniowy poranek. Czerwone słońce grzało, lód na kałużach puścił i woda chlupotała pod butami.

Ciekawe, dlaczego są tu robale, a nie ma na przykład ptaków ścierwojadów? Ani w ogóle żadnych zwierząt?

Ostatnio Pantalekis miał mnóstwo czasu, więc zastanawiał się nad różnymi kwestiami. Robale. Albo pogoda. We wszystkich światach, nieważne, mniej czy bardziej zniszczonych, panowała zima. Taka trochę nijaka, pluchowata i wietrzna, z temperaturą od minus do plus kilku stopni. Czasem padał śnieg, ale nigdy nie utrzymywał się dłużej niż dwa–trzy dni. Jednak nie znaczyło to bynajmniej, że wszędzie pogoda jest identyczna. Na przykład przed chwilą przebywał w miejscu, gdzie zaczynał lodowaty deszcz, a niebo było zaciągnięte chmurami.

We wszystkich światach istniało to samo miasto z tymi samymi budynkami. Zgadzały się nawet poszczególne przedmioty, a także pora roku. Różniła się za to pogoda oraz ludzie, którzy w każdej wersji rzeczywistości byli inni, choć tego ostatniego Pantalekis wcale nie był pewien.

Nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

Był jeszcze problem ognia.

Ostatnio Pantalekisowi zdawało się, że gdziekolwiek by poszedł, tam trafiał na ślady niedawnych pożarów. Osmalone i popękane ściany, zawalone dachy, zwęglone trupy. Popiół

unoszący się w podmuchach wiatru i osiadający na kamiennych schodach. Raz nawet widział, jak rodzi się płomień, jak wypęłza, czerwony i gorący, z ciemnego kąta, gdzie nie było nic, absolutnie nic łatwopalnego. Daniel pamiętał, że gapił się wtedy z otwartymi ustami, a gdy ogień zaczął pełgać po wilgotnej od deszczu ścianie, pożerając mech i z sykiem wyparowując krople wody, po prostu odwrócił się i uciekł.

Uznał wtedy, że ostrożności nigdy za wiele. Szczęście szczęściem, ale nie zamierzał głupio ryzykować.

Zszedł po kolejnych schodach i dotarł do budynku, w którym urządził kryjówkę dla zgromadzonych kosztowności. Była kryjówkę. Teraz z domu pozostały ruiny, w niebo była smuga ciemnego dymu.

Daniel zaklął, a potem zachichotał. Włożył ręce w kieszenie i kołysząc się na piętach, śmiał się, jakby opętał go diabeł. Gdy się uspokoił, otarł załzawione oczy i odszedł. Przystanął dopiero na placu przed „muzeum”, w odpowiedniej odległości od wzdymającego się trupa. Znalazł ławkę, ręką starł z niej krople wody, po czym usiadł.

Z kieszeni wyjął kartkę papieru oraz rysik. Zanotował:

„Naprawdę mam cholerne szczęście. Dzień po tym, jak zdecydowałem się przenieść kosztowności, moja kryjówka spłonęła. Teraz skarby są bezpieczne. Zabrałem je do innego świata, tam gdzie wszystko wygląda jeszcze w miarę porządku. Zrobiłem to, bo bałem się, że na moje skarby w końcu zawali się dach.

Nie wiem, co zrobię, kiedy tamten inny świat zacznie się coraz szybciej starzeć (bo że zacznie, to jest pewne, już teraz trochę to widać). Chyba będę musiał znaleźć kolejny, w lepszym stanie, a nie mam pojęcia, czy mi się uda. Nie wiem, ile tych światów jest i czy przypadkiem nie wygląda to tak, że wszystkie zmierzają w stronę jednego wielkiego bajzlu i wkrótce w żadnym nie będzie nic, tylko spalone ruiny i pełno popiołu. Wtedy moje szczęście na nic mi się nie przyda, bo i tak zdechnę z głodu.

Ta myśl naprawdę mnie przeraża”.

Uniósł rysik do ust i polizał końcówkę. Smakowała trochę metalicznie, a trochę słodkawo.

Zawahał się, po czym dodał:

„Dla mnie samego też chyba lepiej jest, jeśli nie przebywam zbyt długo w bardziej zniszczonych światach. Co prawda na mnie to starzenie się nie działa (czuję się dobrze i

wyglądam normalnie, wiem na pewno, bo czasem znajduję tu lustra), ale za to moje ubrania szybko się niszczą. O płaszcz, koszulę czy spodnie się nie martwię, zawsze zdobędę następne, ale jak rozpadną się buty, które dostałem od Sarimel, to będę miał kłopot.

Nadal nie spotkałem nikogo, z kim mógłbym się dogadać”.

Wstał i schował kartki wraz z rysikiem do kieszeni. Istniało całe mnóstwo rzeczy, o których nie napisał, bo nie wiedział, jak ująć w słowa to, co widział.

Na przykład strasząca w jednym ze światów wieża, czarna i na wpół spalona, z oczami pustych okien i wyrwą na wysokości dziesiątego piętra, która wyglądała jak szczerbaty uśmiech.

Albo wiszące nad miastem – innym, choć wciąż tym samym – kule z metalu, niczym osobliwe, krągłe i przejrzale strąki. Przy silniejszym wietrze chwiały się na linie – zgrzyt, zgrzyt – a potem przez otwory, które wyżarła rdza, wypadały z nich cuchnące truchła gołębi i zgniłe owoce.

I wreszcie resztki ciał, które widział w jednym ze spalonych budynków. Nie był pewien – nie mógł być – lecz wydawało mu się, że niektórzy ze zmarłych tu ludzi mieli stanowczo za dużo kończyn.

Pominał to wszystko, a jednak i tak był zadowolony ze swoich zapisków. Ciekawe, czy komuś się kiedyś przydadzą? Pewnie tak. Kiedy wróci wreszcie do domu, naukowcy będą je z powagą studiować, a on sam zyska sławę. Może nawet pokażą go w programie Martina Mercadera?

Oczywiście najpierw będą musieli mu zapłacić. Zapiski dostanie ten, kto zaoferuje najwyższą stawkę.

Pogwizdując, przeskoczył trupa, tym razem rozsądnie nie przyglądając się twarzy, po czym wszedł do budynku. Tuż za progiem zatrzymał się gwałtownie. Tak bardzo przywykł do widoku pustej sali, że w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył.

W okrągłej wnęcie stała dziewczyna, ta sama, która niedawno, w innym świecie, dała mu pieczone kasztany. Była teraz chudsza, ubranie wisiało na niej jak na pogrzebaczku, niemyte włosy sterczały w różne strony, a oczy płonęły gorączkowym blaskiem. Mimo to Daniel poznał ją bez trudu.

— Co tu robisz? — zapytał, nie przejmując się, że ona go nie rozumie. Ważne, że wreszcie miał do kogo otworzyć usta. — I jak ci się udało...?

Wskazał wnękę i nagle uświadomił sobie, że skoro te wnęki istniały, to ktoś musiał z nich

korzystać, przecież nie skonstruowano ich specjalnie dla Daniela Pantalekisa. Rzecz oczywista, a jednak, cholera, wcześniej nie przyszło mu to do głowy, pewnie dlatego, że w „muzeum” nigdy nie spotkał żadnego tubylca. No i jeśli potrafili podróżować w czasie, to dlaczego nie przenosili się masowo do najmniej zniszczonego ze światów?

Odsunął się, wciąż patrząc na jasnowęsą ze zdumieniem, podczas gdy ona wyciągnęła do niego rękę.

— Proszę — powiedziała. — Pomóż.

Te dwa słowa akurat znał, często sam ich używał, gdy jeszcze opiekowała się nim Sarimel.

Nie miał pojęcia, o co dziewczynie chodzi, ale na wszelki wypadek cofnął się jeszcze dwa kroki.

— Pomóż — powtórzyła z uporem.

Coś zaczęło mu świtać. Jasnowęsą mogła zostać w swoim świecie, gdzie jeszcze nie było tak źle, lecz zamiast tego znalazła się tutaj, w towarzystwie trupów i posępnej ciszy. A Pantalekis miał tylko jedno wytłumaczenie.

— O nie. — Odsuwał się, w miarę jak dziewczyna do niego podchodziła. — Nie zabiję cię. Nie ma mowy. Nie lubię tego i nie zamierzam się zmuszać. Chcesz, to zostań tu sobie, na pewno szybko umrzesz. Ale na mnie nie licz.

Zatrzymała się, zdezorientowana. Daniel nie wiedział, czy to dlatego, że domyśliła się, co powiedział, czy może po prostu dziwiła ją obcość jego mowy.

— Chcesz, to skocz z dachu albo zrób pętlę z paska i się powieś — poradził. — To wcale nie jest trudne. Ale mnie w to nie mieszaj. To nieładnie tak robić. Potem miałbym wyrzuty sumienia...

Nie patrzył na dziewczynę. Jej skrzywione do płaczu wargi i wilgotne oczy budziły w nim złość. Czemu przyczepiła się akurat do niego? Jeśli już musiała prosić o śmierć, to nie mogła pójść do ojca, brata czy kochanka? Przecież Daniela widziała tylko raz, a to, że wpadli na siebie w tym świecie, było czystym przypadkiem.

— Mam swoje problemy, rozumiesz? — wymamrotał, zręcznie wymijając jasnowęsą i wchodząc do wnęki, z której przed chwilą wyszła. — Nie mogę jeszcze zajmować się tobą.

Zdeterminowana, ruszyła w jego stronę. Daniel pospiesznie zamknął oczy, starając się przywołać wspomnienie znanego, bezpiecznego świata.

Żadnych trupów przy wejściu. Porządne, solidne mury domów bez śladu po ogniu. Oplatające je rury nieco tylko zardzewiały.

Szybko, szybciej.

Obrazy się rwały, rozmywały w pamięci. Oczywiście nie zdążył. Dopadła go, złapała za koszulę i wczepiła się w nią, bełkocząc swoje „Pomóż, pomóż”.

Krótki, nagły przyptyw wściekłości jak wstrząs elektryczny i Daniel odepchnął dziewczynę, nawet nie myśląc o tym, co robi. Dłonie same skoczyły do jej ramion, palce się zacisnęły. Była lekka, bardzo wiotka, a on ją odepchnął. Mocno.

Poleciała w tył, ale nie upadła na posadzkę. Zatrzymała się w połowie, zdumiona, z szeroko otwartymi oczami. Z jej piersi sterczały końce metalowych pazurów, a za nią, podtrzymując ciało, stało na dwóch łapach sztywno wyprostowane zwierzę.

— O kurwa — wymamrotał Pantalekis, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy. — Co to, kurwa, jest?

Mechaniczne zwierzę – to chyba był lew – obróciło łeb, wokół posypały się drobinki rdzy. Ślepa rozblęły zielenią, po czym zgasły.

Dziewczyna otworzyła usta i czerwony strumyczek pociekł jej na brodę. Zamrugła, spróbowała coś powiedzieć. Krew połała się szerszą strugą.

Pantalekis zrobił krok w tył, wpadł na ścianę i przylgnął do niej. Zamknął oczy, desperacko próbując przywołać w pamięci jakikolwiek obraz. Chciał przenieść się w czasie, zaraz, natychmiast. Każdy świat będzie lepszy od tego, uznał.

Słyszał, jak dziewczyna wydaje z siebie chrapliwe, bulgoczące i mokre dźwięki, które brzmiały, jakby ktoś próbował mówić z ustami pełnymi błota. Tyle że to nie było błoto, lecz krew; cała suknia już pewnie była czerwona i sztywniejąca.

Nie otworzył oczu. Nie chciał tego widzieć.

Spotkali się wieczorem w tym samym miejscu co wcześniej. Na podniebnym trakcie biegnącym od rozgałęzienia nad placem Siepaczy do Kopuły. Mogli stąd widzieć każdego, kto się zbliżał i co więcej, zdążyliby uciec, nim nadchodzący rozpoznaliby ich sylwetki. Kaira uważała to za przesadną ostrożność, ale Finnen nalegał. Dziewczyna podejrzewała, że zabawa w konspiratora po prostu sprawia mu frajdę.

Roztarła zmarznięte policzki. Na tej wysokości zawsze wiał zimny, przenikliwy wiatr.

Potem zachichotała.

— Mógłby podejść do nas ktoś ubrany w siatkę niewidzialności, pomyślałeś o tym?

— Pomyślałem. Na śniegu — wskazał warstwę zmrożonego puchu, który połyskiwał w świetle księżyców — byłoby widać ślady.

— A gdyby ktoś niewidzialny przyfrunął na Skrzydłach?

— Wątpię, czy udałoby mu się do nas podlecieć. Za duży wiatr.

— Pomyślałeś o wszystkim, co? — Wbiła zmarznięte dłonie w kieszenie płaszcza. Już się nie uśmiechała; była teraz roztargniona, jakby myślami przebywała gdzieś indziej, a odpowiedź na zadane pytanie wcale jej nie obchodziła.

Mimo to Finnen odpowiedział.

— Staram się.

Skinęła głową, skupiona na jakimś punkcie w przestrzeni. Kołysała się lekko na piętach, wciąż z rękami w kieszeniach.

— Jak ci się pracuje w Archiwum? — zapytał.

— Tak sobie. Przede wszystkim przydzielili mnie na siódme piętro, a ja powinnam być niżej, tam gdzie pracują nad wynalazkami, które pomagają ludziom. Urządzenia potrzebne do Przebudzenia nic mnie nie obchodzą.

— Możesz poprosić o przeniesienie.

— Już poprosiłam, ale to potrwa. Jeżeli w ogóle się zgodzą.

Kaira odgarnęła włosy z czoła, w jej oczach zobaczył przygnębienie. To go zdziwiło. Sądził dotąd, że dziewczyna tak naprawdę chce tylko uwolnić się od despotycznego ojca i zacząć żyć na własny rachunek. Jej chęć pomocy ludziom z przeszłości uważał za kaprys, coś, o czym szybko zapomni.

Jak widać, mylił się.

— Poza tym — powiedziała — przecież ja nic nie mogę zrobić. Jestem tylko niższą urzędniczką. Nie patrz tak na mnie. Od początku zdawałam sobie sprawę, że nie dostanę wyższego stanowiska, nie jestem idiotką. A żeby mieć wpływ na to, co się dzieje w Archiwum, musiałabym być co najmniej asystentką jednego z opiekunów. Oni selekcionują pomysły wynalazców.

— Selekcionują?

— Aha. Najpierw podaje się wynalazcom narkotyki, dzięki którym mają całe mnóstwo pomysłów. Nic konkretnego, żadnych szczegółowych planów, tylko natłok wizji. Z tego bełkotu trzeba wyłowić wartościowe pomysły. Potem zmienia się wynalazcom narkotyki, oni się uspokajają, a opiekunowie namawiają ich, żeby skupili się na jednym projekcie, właśnie tym wybranym, i go dopracowali. To wymaga odpowiedniego podejścia do ludzi, znajomości psychologii i subtelności. Nie mam tych cech, wiem, ale gdybym wykorzystwała resztę moich surimów i przeszła genozmianę... Rozumiesz?

— Moment. Nawet gdybyś zdołała namówić wynalazców, by dopracowali projekt, na którym ci zależy, to i tak nie miałabyś pewności, że Przedksiężycowi go zaakceptują.

— Pewnie, że nie miałabym, ale przynajmniej byłaby na to jakaś szansa. Teraz opiekunowie z góry odrzucają projekty wynalazków, które mogłyby pomóc ludziom z przeszłości, bo uważają, że nie warto dla nich nic robić.

Przygryzła wargę w zamyśleniu. Kiedyś było inaczej, tak przynajmniej słyszała, opiekunowie przejmowali się ludźmi z przeszłości i od czasu do czasu pozwalali, by któryś ze służących im projektów został dopracowany i przedstawiony Przedksiężycowym. Systemy wczesnego ostrzegania przed pożarami, leki podnoszące odporność, sposoby konserwowania żywności. Tylko Przedksiężycowi wszystko to odrzucali, a niewykorzystane plany wylądowały na dziesiątym piętrze.

Kaira rozważyła wszystkie możliwości. Mogłaby wystarać się o posadę asystentki, a potem spróbować przepchnąć wynalazek, który pomógłby ludziom z przeszłości. Jednak było mało prawdopodobne, że ktokolwiek zatrudni ją na takim stanowisku, a nawet gdyby jakimś cudem jej się udało, losy wynalazków i tak zależały głównie od decyzji Przedksiężycowych, ci zaś niezbyt chętnie akceptowali podobne projekty. Nie, tak naprawdę jedyną szansą było znalezienie na dziesiątym piętrze, wśród odrzuconych wynalazków, czegoś, co mogłoby ocalić

wszystkich tych nieszczęśników albo przynajmniej uczynić ich los łżejszym.

— Więc co teraz? Genozmiana? — zapytał Finnen.

Zaprzeczyła. Z wielu powodów genozmiana nie wydawała się jednak dobrym pomysłem.

— Boję się — mruknęła. — Wiem, że jestem tchórzem, i nic nie mogę na to poradzić.

Potrafię przejść po poręczy na wysokości kilkudziesięciu pięter, ale brakuje mi odwagi, żeby dodać sobie parę nowych zdolności. Głupie, prawda? Biorąc pod uwagę, że nie jestem ani specjalnie ładna, ani utalentowana, pewnie nawet nie musiałabym niczego oddawać w zamian. Co najwyżej zabraliby mi umiejętność posługiwania się darakką, na czym i tak jakoś specjalnie mi nie zależy.

— Genozmiana podobno nie boli.

— Nie chodzi o ból. — Gwałtownie potrząsnęła głową, ale nie wydawała się rozgniewana. A Finnen zdecydowanie wolałby widzieć jej złość niż to roztargnione i jednocześnie przygnębione spojrzenie.

— To o co?

— Obiecuj, że nie będziesz się śmiał.

— Obiecuję.

— Kiedy przetrwałam ostatni Skok, pomyślałam sobie, że jednak coś może we mnie być, nie wiem, jakaś cecha charakteru, jakaś zdolność, która z takiego czy innego powodu podoba się Przedksiężycowym, i że dzięki niej dotrzmam do Przebudzenia. A ponieważ nie mam pojęcia, co by to mogło być, podczas genozmiany ktoś mógłby to ze mnie usunąć zupełnie przypadkiem. Zwłaszcza że to może być jakiś drobiazg, coś, co duszoinżynierom wydawałoby się zbyt błahe, by zwracać na to uwagę.

— Jak umiejętność dotknięcia językiem czubka nosa? — Finnen zademonstrował.

— Coś w tym stylu. — Uśmiechnęła się wreszcie. — Chociaż na twoim miejscu jednak nie liczyłabym, że to cię ocali.

— Zawsze można mieć nadzieję, nie?

Finnen patrzył, jak Kaira odchodzi. Najdłużej widział jej białą czuprynę, ostro odcinającą się od mroku. Potem i ona znikła w ciemności.

Stojąc na wietrze, zastanawiał się nad tym, co dziewczyna powiedziała.

Właśnie przyszło mu na myśl, że Brin Issa mógł córkę oszukać. Być może Kaira wcale nie była dzieckiem Chaosu – może tak naprawdę stworzyli ją za wysoką cenę duszoinżynierowie Principium lub Ekwilibrium, specjalnie obdarzając jakimiś rzadkimi talentami, które ujawniają się dopiero po osiągnięciu dojrzałości. W takim przypadku zrozumiałe stawało się to, że Kaira przetrwała Skok. Mniej zrozumiałe natomiast było, po co Issa okłamywał córkę przez całe jej życie.

Ot, taka luźna hipoteza. Finnen trochę żałował, że nie zdążył się nią podzielić; przez chwilę chciał nawet krzyknąć za dziewczyną i ją zatrzymać.

Potem przyszło mu do głowy coś jeszcze – możliwość, że Kaira jest dzieckiem art-zbrodniarzy. To mógł być ów talent, którego jeszcze w sobie nie odkryła. Zmroziła go ta myśl; zeszywniał, zziębnięty i nieszczęśliwy, czując jednocześnie lęk i złość na Brina Issę, jakby miał pewność, że mężczyzna tak właśnie potraktował córkę.

Zacisnął dłonie w pięści, tłumacząc sam sobie, że Kaira jest zbyt łagodna. Owszem, również bardzo uparta, ale w jej uporze nie było cienia agresywności. Inna rzecz – przypomniał sobie dziewczynę chodzącą po poręczy – że najwyraźniej miała też niski próg lęku, co mogłoby pasować do art-zbrodniarza.

Zaklął szeptem.

Pantalekisowi śniła się jasnowłosa dziewczyna, która kona, nabita na pazury mechanicznego lwa.

Obudził się spocony i rozdygotany. W przenośnym piecyku o kształcie jabłka wciąż płonął nikły ogień, więc Daniel wstał, rozdmuchał go i dorzucił kilka szczap, które pochodziły z porąbanej tasakiem szafki. Drewno było twarde jak bryła lodu, ale paliło się niezłe. Pantalekis nie miał pojęcia, gdzie są właściciele piecyka, tasaka oraz szafki, i niewiele go to obchodziło. Pewnie zresztą nie żyli.

Płomień wystrzelił w górę, oświetlając ciężkie od kurzu ścienne obicia i wielkie łóżko z brudną, skotłowaną pościelą. Pantalekis zdjął koc (był najczystszy), owinął się nim i usiadł przy piecyku.

Było mu zimno i wstrząsały nim dreszcze. Zaklął w myślach. Jeśli się teraz rozchoruje, to... to właściwie co?

To będzie mógł pożegnać się z życiem, podpowiedział głosik w jego głowie.

Na zewnątrz wiatr wył i łomotał w szybę. Lodowaty podmuch wcisnął się przez szparę i musnął odsłoniętą szyję mężczyzny, który wzdygnął się i pomyślał, że mógłby uszczelnić okno. Tylko właściwie po co? I tak niedługo ten dom zmieni się w ruinę albo spłonie, a on będzie musiał szukać kolejnego.

W ciemnych, nocnych godzinach, gdy miał dużo czasu na myślenie, Pantalekisa ogarniało zniechęcenie. Dopiero wtedy naprawdę docierało do niego, w jakiej sytuacji się znalazł.

Przebywał w obcym świecie, gdzie wszystko umierało, gniło, zmierzało do pierwotnego rozkładu i chaosu. I przebywał tu sam. Zupełnie sam. Kluczowe słowo.

Samotność.

Oparł czoło o kolana i kołysał się miarowo jak osierocone dziecko. Zdarzało mu się czasem płakać ze złości czy bólu, ale odkąd dorósł i przestał być dzieckiem, nigdy nie płakał z powodu smutku. Dziś był tego bliski.

Spróbował przywołać twarze Kateriny oraz Ivaina i ze zgrozą uświadomił sobie, że nie potrafi. To było tak dawno, w innym świecie, że ich rysy, słowa i gesty zatarły się w pamięci. Pękła ostatnia nić łącząca go z poprzednim życiem. Daniel poczuł strach i zarazem rozpacz. Oba uczucia dotarły o wiele głębiej niż jakiegokolwiek emocje, których doznawał w ciągu ostatnich lat.

Pantalekis jęknął głucho.

Zamiast Kateriny miał przed oczami twarz dziewczyny, która dała mu kasztany. Pantalekis nie brzydził się widoku krwi ani trupów, ale nie lubił patrzeć na śmierć. W procesie konania było coś, co budziło w nim gniew, prawie nienawiść do umierającego. Irytujący element niepewności, strach, że pomoże komuś zupełnie niepotrzebnie, z własną stratą, albo wręcz przeciwnie, że nie pomoże i tym samym zaszkodzi sobie jeszcze bardziej.

Nie znosił tego krótkiego momentu, gdy podejmował decyzję, nie cierpiał widoku oczu ludzi, których zostawiał za plecami.

Jak Ivain, jak jasnowłosa dziewczyna z kasztanami. A było ich jeszcze więcej.

Zawsze twierdził, że chory albo ranny człowiek powinien szybko zdecydować, czy wraca do zdrowia, czy też nie, i nie zawracać innym głowy.

Pantalekis uważał się za człowieka z natury łagodnego. Nawet w szkole klasztornej, do której chodził jako dziecko, nigdy nie brał udziału w bójkach, choć użycie pięści było tam zwyczajowym sposobem rozstrzygnięcia sporów. Nie bał się bijatyk, walka budziła w nim strach nie większy niż przejażdżka górską kolejką, do której od czasu do czasu się zmuszał, choć nie przepadał za wysokością. To po prostu wydawało się głupie, niepotrzebne.

W całym swoim życiu zabił tylko raz. Pamiętał imię tamtego człowieka: Miguel, ale nie pamiętał twarzy, zresztą to chyba nie miało znaczenia. Tamten był nikim, zwyczajne dziecko slumsów, mały, pazerny i wredny szantażysta. Pantalekis zaczekał w zaułku, tam gdzie nie sięgały czujne oczy kamer, po czym wepchnął mu nóż między żebra. Pamiętał, jak bardzo wystraszony był tamtej nocy, tak wystraszony, że każdy szmer brzmiał jak odgłos kroków zbliżającego się patrolu. Lecz był także zdecydowany i nie żałował tego, co zrobił.

Czasem wspominał moment zabójstwa, tę chwilę, gdy ostrze miękko weszło w ciało, a potem zatrzymało się na kości. Czasem też śnił dziwaczne, pełne grozy sny, w których ścigały go kobiety o wężowych włosach, a on sam uciekał przez ciemne zaułki.

Gdy nie miał nic lepszego do roboty, zastanawiał się, czy sny te świadczą o wyrzutach sumienia, czy też nie. Wolałby, żeby tak było. Na wszelki wypadek, gdyby Bóg jednak istniał, lepiej zawczasu wykazać się odrobiną poczucia winy.

Coś zaniepokoiło Pantalekisa. Podniósł głowę i chwilę nasłuchiwał. Koc opadł mu z ramion, płomień w piecyku przygasł.

Wiatr umilkł. Za oknem panowała całkowita, niczym niezmacona cisza.

Daniel wstał i podszedł do szyby. Miasto na zewnątrz wyglądało jak namalowane. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku. Jakby ktoś zatrzymał czas.

Pantalekis poczuł wpełzający w gardło strach. Próbował sobie tłumaczyć, że to nic niezwykłego, przecież miasto zawsze jest ciche, bo żyje tu może z kilkuset schorowanych, słabych ludzi.

Ciche, ale nie aż tak.

Wstrzymał oddech i pojął, że świat, który pomagał mu od początku, teraz próbuje go ostrzec. Niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu jak ciężki, napęczniony wodą balon, który lada moment pęknie.

W chwili, gdy to zrozumiał, szyba rozprysnęła się, a Pantalekis ujrzał w odłamkach twarz młodego mężczyzny. Tylko w odłamkach, nigdzie więcej. Pokój wciąż był pusty.

Daniel odwrócił się i kuśtykając, rzucił do ucieczki.

Finnen malował delikatnymi pociągnięciami pędzla. Biel, szarość, sporo czerni. I odrobina czerwieni. Znał ten obraz, jeszcze zanim ustawił sztalugi i wziął do ręki paletę. Nie tyle go widział, ile raczej wyczuwał jego sedno, jego duszę.

Wiersze Finnena były co najwyżej dobre i chłopak wiedział o tym, podobnie jak zdawał sobie sprawę, że nie jest mistrzem tańca ani gry na fletni. Lecz malowanie to co innego. Niektóre jego obrazy zbliżały się do jakiejś ledwo uchwytniej prawdy, którą dostrzegał tak, jak dostrzega się ruch kątem oka. Jednym z jego najwcześniejszych wspomnień był widok pewnej dziewczynki, która stała w bramie Zimowego Ogrodu. Światło słońca padało na skos, otulając całą jej sylwetkę miękką, czerwoną łuną. Dziewczynka wyglądała na wpół realnie, trochę jak sen, trochę jak baśniowa istota, które widywał na ilustracjach książek. Pamiętał tę pałacą, silniejszą niż wszystko potrzebę, by ją namalować, schwytać ten obraz i zatrzymać w czasie, a zarazem dotrzeć głębiej, poza to, co dostrzegalne, do samej istoty cudzego życia.

Oczywiście wtedy nie myślał w takich kategoriach, to przyszło z czasem, ta świadomość, czego właściwie poszukuje. Chociaż i teraz z trudnością ubierał niejasne wrażenia w słowa.

Nabrał na pędzel odrobinę różu i musnął obrys policzka. Lubił malować portrety, bo każda twarz oznaczała inną historię, inną tajemnicę.

W końcu odsunął się, spojrzął na prawie ukończone dzieło. Był z niego zadowolony; po raz pierwszy od dłuższego czasu udało mu się stworzyć coś dobrego.

Kiedy wycierał ubrudzone farbą dłonie, usłyszał na schodach odgłos kroków. Lekkie, delikatne stąpnięcia, które świadczyły, że idzie do niego kobieta. Zatrzymała się tuż przy drzwiach, do uszu Finnena dobiegał jej niespokojny oddech.

Czekał. Nieznajoma pociągnęła za sznurek i rozdzwonił się dzwonek. Chłopak rozsunął drzwi. Noora cofnęła się pół kroku. Miała zaczerwienione policzki, jakby biegła przez całą drogę, rozpięty pod szyją płaszcz i płatki śniegu na ciemnych włosach. Wyglądała bardzo ładnie.

— Cześć — powiedziała niepewnie. — Nie masz nic przeciwko, że wejdem? Mam ci do powiedzenia coś ważnego.

W pierwszej chwili Finnen pomyślał, że Noora chce mu powiedzieć, iż Brin Issa wie już o Kairze. Była to najprostsza, najbardziej prawdopodobna możliwość. Wystraszył się wtedy niełicho i przez chwilę jego umysł pracował gorączkowo, rozważając, co powinien w tej sytuacji zrobić.

Noora kręciła się po jego mieszkaniu, oglądała obrazy, dotykała ram i uśmiechała się na widok bałaganu.

— Nigdy wcześniej nie byłam w domu malarza, wiesz? — zachichotała cichutko. — To znaczy, mój ojciec też kiedyś miał artystyczny talent, ale to było dawno, niewiele z tego okresu pamiętam. No i w pracowni taty zawsze panował porządek.

— Miałaś mi powiedzieć coś ważnego. — Finnen doszedł do wniosku, że jednak nie chodzi jej o Kairę.

— Och tak.

Zatrzymała się wreszcie i odgarnęła z czoła niesforny kosmyk. Na jej twarzy kokieterjny uśmiech walczył z zakłopotaniem, jakie odczuwają ludzie, gdy muszą przekazać komuś złą wiadomość. Uśmiech wygrał.

— Wspomniałaś mojemu ojcu o pewnym mężczyźnie, który przybył do nas z gwiazd i przeżył, a nawet nauczył się posługiwać windami czasowymi.

Finnen skinął głową.

— Czy on... — Noora znów wyglądała na zakłopotaną. — Czy on jest ci bliski? To twój przyjaciel?

— Nie, widziałem go tylko raz i krótko.

— To dobrze.

Odetchnęła z ulgą, a jednocześnie wyglądała na trochę – tylko troszkę – rozczarowaną. W tym ostatnim Finnen doskonale ją rozumiał, bo odrobina tragedii dodałaby ich spotkaniu pikanterii. Wiedział już, po co Noora tak naprawdę tu przyszła.

— Czemu dobrze?

— Bo mój ojciec chce tego człowieka zabić. Podśledzałam pod drzwiami, jak rozmawiał ze swoimi przyjaciółmi.

— Maroutim, Ankisem i Janadrą?

— Tak, i byli jeszcze Tarkesh i Darika.

Dwojga ostatnich Finnen nie znał. Mniejsza z tym. Potarł czoło.

— Co dokładnie mówili?

— Że ten człowiek stanowi zagrożenie i dlatego musi umrzeć. Tata wspomniał jeszcze, że tak naprawdę szansa na to, że ktoś tam go spotka, jest niewielka, ale nie powinni ryzykować.

— Czekaj, moment. — Finnen tarł czoło tak mocno, jakby chciał wydrzeć w skórze dziurę. Szlag. Wszystko się komplikowało. Życie było prostsze, gdy Brina Issę rozważał tylko jako ewentualne zagrożenie dla Kairy. — Kto mógłby spotkać tego człowieka?

— Nie wiem, nie usłyszałam imienia, poza tym, że było jakieś takie krótkie.

Kaira, czy Issa nie wspomniał o Kairze? Była to zwariowana myśl, ale Finnen nie potrafił się jej pozbyć. Ponadto to tłumaczyłoby, dlaczego Noorze umknęło akurat to słowo. Dziewczyna była przekonana, że siostra nie żyje, więc ojciec nie mógł mówić o niej. Nawet jeśli usłyszała imię, to wyparła je, uznając, że musiała źle zrozumieć.

Od konsekwencji czegoś takiego Finnenowi zakręciło się w głowie.

— Marouti mówił, że trzeba wynająć zabójcę, takiego, który ma siatkę niewidzialności. To dziwne, bo przecież siatka jest chyba tylko w Archiwum? Znaczący, nikt nie może jej używać?

Niekoniecznie, pomyślał Finnen. Zanim Kaira zaczęła pracę w Archiwum, zebrał dla niej parę informacji i wiedział, że istnieje kilka sposobów, by zdobyć któryś z wynalazków.

— I co teraz zrobimy? — zapytała Noora.

— My? Nic. Dlaczego miałbym cokolwiek robić w sprawie człowieka, którego widziałem raz w życiu?

— Ale... — dziewczyna umilkła. Finnen uznał, że do twarzy jej z wyrazem zakłopotania.

— Poza tym — dodał cierpliwie — nawet gdybym chciał, to niewiele mogę. Nie mam pojęcia, gdzie ten człowiek teraz jest, więc nie dam rady go ostrzec. Powstrzymać zabójcy też nie potrafię, bo niby jak? Nie wiem nawet, kim on jest.

To ostatnie niezupełnie było prawdą. Istniały najwyżej trzy siatki niewidzialności i dotarcie do osób, które mogłyby ich używać, nie powinno być takie znów skomplikowane. W każdym razie nie, jeśli Finnen uruchomi swoje kontakty z czasów, gdy włączył się z bandą sierot.

— To znaczy, że mam sobie pójść? — Noora zamrugnęła, a Finnen, mimo całego lęku, który czuł, omal się nie roześmiał. — Na zewnątrz pada śnieg i jest zimno — wybąkała, nadal wzrokiem prosząc go o pomoc.

Milczał, bo nie zamierzał jej niczego ułatwiać. Tak było znacznie zabawniej.

— Pójdę już.

Pozwolił dziewczynie dojść do drzwi, potem zatrzymał ją, chwytając za ramię.

— Zaczekaj.

— Chcesz, żebym została?

— Chcę.

— Dlaczego?

— Jesteś miła i ładna, a ja od dawna nie miałem kobiety. No i jak sama powiedziałaś, jest zimno, więc nie chce mi się wychodzić na zewnątrz, żeby jakiejś poszukać.

Szarpnęła się, wyrwała, jej oczy zapłonęły bólem i wściekłością. Finnen złapał ją za przeguby i zręcznie unieruchomił ramiona dziewczyny za jej plecami.

— Już dobrze. — Pogłaskał ją wolną dłonią. — Nie gniewaj się. Już dobrze.

Walczyła jeszcze chwilę, a potem skapitulowała, jej ciało zmiękło, usta otworzyły się, by wpuścić język Finnena.

— Na pewno myślisz, że jestem bardzo zepsuta — wymruczała w przerwach między pocałunkami.

— Jesteś — zapewnił Finnen, który zawsze był zdania, że kobietom należy mówić to, co chcą usłyszeć.

To był bunt dziewczynki z dobrego domu – żadnego wstępnego flirtu, żadnych liścików i drobnych prezentów. I jak wszystko w Lunapolis, także i ten protest przeciwko konwencjiom miał swoją skonwencjonalizowaną formę, którą Noora z omdlewającym spojrzeniem ogarniętej namiętnością dziewicy wypełniała punkt po punkcie.

Finnen leżał, obejmując Noorę i gapiąc się w mrok. Włosy dziewczyny rozsypały się na jego piersi; w ciemności czuł ich delikatny, jaśminowy zapach.

— Finnen, śpisz? — Poruszyła się lekko.

— Nie.

— O czym myślisz?

— O niczym szczególnym — odparł, choć właśnie zastanawiał się, czy nie mógłby jej jeszcze jakoś wykorzystać.

Chętnie zrobiłby z niej swojego informatora w domu Brina Issy, ale zdawał sobie sprawę, że to niebezpieczny pomysł. Nie powinien Noorze ufać. Była lekkomyślną poszukiwaczką wrażeń; przywykła do wykorzystywania swojego dziewczęcego uroku, a w razie kłopotów pewnie robiła wielkie oczy i odwoływała się do opiekuńczości najbliższego mężczyzny. Już to dyskwalifikowało ją jako potencjalnego szpiega, a ponadto Finnen był przekonany, że pierwszym i najważniejszym mężczyzną w życiu Noory wciąż jest jej ojciec. Nawet jeśli od czasu do czasu lubiła się bawić tym, że mu się sprzeciwia, że robi coś za plecami Issy i bez jego zgody.

Szkoda, pomyślał.

— Finnen? — mruknęła dziewczyna, obejmując go mocniej.

— Tak?

— Jeden z tych szkiców, tam, przy ścianie, to Kaira, prawda?

— Owszem. Ale mi nie wyszedł.

— Mnie tam się podoba. — Przekręciła głowę tak, że jej usta dotykały teraz jego ramienia, i Finnen ledwo zrozumiał ostatnie zdanie. — Moja siostra wygląda na nim zupełnie jak żywa.

Kaira pracowała w sali 9C na siódmym piętrze. Zajęcie miała proste – co godzinę przynoszono jej w metalowych tulejach zapisane projekty wynalazków, a ona rozwijała kartki, umieszczała je w specjalnych zaczepach i tłumaczyła na język zrozumiały dla maszyn. Lewą ręką przewracała stronicę książki kodów, prawą za pomocą translatora dziurkowała karty. Gdy ponownie przychodził wyższy urzędnik, następowała wymiana – karty i stare tuleje w zamian za tuleje nowe, z nieprzetłumaczonym tekstem w środku.

Z początku dziwiło ją, dlaczego teksty są tak bełkotliwym zbiorem zupełnie do siebie niepasujących zdań. Dopiero później dowiedziała się, że niższym urzędnikom dawano do tłumaczenia fragmenty wielu różnych projektów, które – oznaczone specjalnym szyfrem – wyżsi urzędnicy składali potem w całość. Całość tę, już w formie kart perforowanych, wsuwno w maszyny, które po kilku godzinach buczenia wypływały z siebie precyzyjnie rozrysowane plany. Przy nich pracowali już tylko najwyżsi rangą urzędnicy, ci, którzy nosili na ramieniu złoty znaczek Przebudzenia.

Gotowe projekty umieszczano w jednej ze ściśle strzeżonych sal. Jakim cudem Przedksiężycowi dostrzegali, co w niej jest, tego nikt nie wiedział, ale pozostawało faktem, że najdalej w ciągu kilkunastu godzin syrena dawała znać, czy projekt został zaakceptowany, czy też nie. Te niezaakceptowane, opatrzone odpowiednimi pieczęciami, wędrowały na dziesiąte piętro, a zaakceptowane – z innymi pieczęciami – do mniejszych lub większych manufaktur.

Tego wszystkiego Kaira dowiedziała się, ostrożnie zadając pytania, najczęściej podczas półgodzinnej przerwy, gdy urzędnicy w bufecie popijali herbatę albo gorącą czekoladę. Podczas pracy nie miała odwagi rozmawiać. Jej zajęcie, choć proste, wymagało sporej dozy uwagi i cierpliwości, a Kaira była zbyt niedoświadczona, by pozwolić sobie na odrobinę luzu. Pracowała z gorliwością nowicjusza, który za wszelką cenę chce pokazać, że sobie radzi. Oczy bolały ją od wyszukiwania wypisanych drobnym maczkiem kodów, prawa ręka od dziurkowania kart. Z początku operowanie translatorem szło jej opornie, mechanizm zacinał się, a igła nie zawsze trafiała tam, gdzie powinna. Potem dziewczyna przywykła, ale i tak co kilkadziesiąt minut musiała robić przerwę, by rozmasować nadgarstek.

Gdy unosiła głowę, widziała rzędy biurerek, które wypełniały salę 9C. Rzędów było piętnaście; biurka Kaira też próbowała kiedyś policzyć, ale w pewnym momencie straciła

rachubę i dała sobie spokój. Miała szczęście, że jej rząd z numerem jeden znajdował się najbliżej okien. Pracujący w piętnastym mieli znacznie gorzej, bo tam ścianę zastępowała krata, za którą poruszały się cuchnące trzewia jednej z maszyn. Urzędnicy z piętnastki przychodzili na przerwę z wilgotnymi włosami przyklejonymi do czół i z koszulami, na których rozlewały się wielkie plamy potu, a wychodzili, unosząc butle zimnej wody. Kaira ledwo sobie wyobrażała, jak w piętnastce musi być duszno; ona cierpiała nawet wtedy, gdy okna były uchylone. Wielkie, wiszące pod sufitem wiatraki niewiele pomagały, bo czerpiąc energię z resztek niewykorzystanej mocy maszyn, poruszały się bardzo wolno. Kaira nie lubiła tych wiatraków i kuliła się odruchowo za każdym razem, gdy nad jej głowę ospale nadciągało ramię długie jak stopień Schodów Solnych; miała wrażenie, jakby zbierały się nad nią burzowe chmury. Co prawda trwało to krótko, ledwo parę sekund, ale te sekundy, gdy na jej biurko padał głęboki cień, zazwyczaj wystarczyły, by straciła z oczu kod w księdze albo by pomyliła się w przekładzie. Klęła potem i przyspieszała pracę, by zdążyć, nim nadciągnie kolejne ramię.

Co dziwniejsze, pozostałym pracownikom chyba to nie przeszkadzało, podobnie zresztą jak nie przeszkadzał im upał. Kwestia przyzwyczajenia, myślała Kaira z odrobiną zazdrości, ale też i lekceważenia, ponieważ ona nie pracowała, by zarabiać na rozrywki i błyskotki. Kaira wciąż jeszcze miała sporo pieniędzy i, co więcej, miała wykształcenie. Co do genów nie była pewna – możliwe, że jej były równie złe jak większości niższych urzędników – ale wykształcenie wystarczało, by ich rozmowy i problemy wydawały się dziewczynie błahe. Niżsi urzędnicy przychodzili i odchodzili; zjawiali się w Archiwum, by zarobić na ubrania ze skóry, narkotyki synestetyczne, świetlikowe lampki albo bilety na bal, a potem znikali, z własnej woli lub wyrzuceni, i zatrudniali się gdzie indziej, albo i nie pracowali w ogóle, tylko bawili się, wydając uzbierane pieniądze. Czasem przychodził ktoś, kto chciał zarobić na poważną genozmianę, nie powierzchowną jak zmiana koloru włosów czy skóry, ale to zdarzało się rzadko, bo mieszkańcy Lunapolis, czując depczącą im po piętach śmierć, woleli korzystać z życia.

Sala 9C żyła zabawą, flirtem i przelotnymi romansami. W powietrzu unosił się zapach feromonów, spocone twarze błyskały w uśmiechach bielą zębów, a nad biurkami fruwały karteczki zawierające mniej lub bardziej (zazwyczaj bardziej) nieprzyzwoite propozycje.

Kaira starała się trzymać od tego z dala. Z dwóch powodów: po pierwsze, ponieważ bała się, że przy bliższej znajomości ktoś rozpozna w niej wykształconą dziewczynę z dobrego domu, a po drugie dlatego, że nie potrafiła w ogóle flirtować. Komplementy sprawiały jej tyleż samo

przyjemności, ile kłopotu związanego ze skrępowaniem. Nie potrafiła odwzajemnić się dowcipem, zazwyczaj stała tylko i się uśmiechała, w głębi ducha przekonana, że rozmówca uważa ją za idiotkę. W Lunapolis romansowanie było formą sztuki i istniało całkiem sporo ludzi, którzy wstępną wymianę uśmiechów, liścików i wierszy uważali za bardziej fascynującą niż sam seks. Kaira o tym wiedziała, ale cały ten skomplikowany rytuał wydawał jej się męczący i w dodatku zupełnie niedorzeczny.

Swoje barwne suknie zmieniała na nieco bardziej stonowane, takie, w których nie przyciągała już tak wielu spojrzeń – i zrobiła to bez żalu, bo Kairze właściwie było wszystko jedno, co nosi. Wtopienie się w tłum ułatwiło jej to, że w Archiwum krój strojów był ściśle określony. Na drzwiach każdej z sal wisiały plansze pokazujące, jak należy się ubierać. A więc żadnych koronek, wstążek i szerokich rękawów, tylko rzeczy przylegające do ciała, a włosy krótkie bądź ciasno związane. Wszystko to zapobiec miało wciągnięciu w tryby którejs z maszyn. Ostrożność swoją drogą niezbyt potrzebna, bo niżsi urzędnicy rzadko się do nich zbliżali.

Spośród wszystkich pracowników sali to Kaira najczęściej opuszczała swoje biurko. Od początku starała się sprawiać wrażenie osoby co prawda niedoświadczonej, ale za to godnej zaufania i bardzo gorliwej. W rezultacie wyżsi urzędnicy szybko zaczęli jej powierzać różne zadania. Czasem biegła dla nich po gorącą czekoladę czy herbatę, czasem przenosiła między salami romantyczne liściki. Nie zdarzało się to często, ale każdą z takich chwil witała z prawdziwą radością. I każdą wykorzystywała, żeby choć trochę po Archiwum pomyszkować.

Dzięki temu znalazła salę, w której pracowali wynalazcy.

Siedzieli w czymś, co przypominało ni to hamaki, ni ciasne kosze, w których obok ich zdeformowanych sylwetek ledwo mieściły się podpórki do pisania. Musieli mieć ręce, by zapisywać swoje pomysły, oczy, by widzieć litery, a także uszy i języki, by porozumiewać się z opiekunami, lecz na tym kończyły się ich zwyczajne, ludzkie cechy. Niektórym brakowało nóg, inni cierpieli na chorobę łuszczącej się skóry, ciała jeszcze innych szpeciły jęczące się rany. Zdeformowane kręgosłupy, twarze uderzająco brzydkie, o nieproporcjonalnych rysach – oto cena za wielki talent, myślała Kaira, zaglądając do sali. Z drugiej strony wynalazcy bardzo rzadko opuszczali swe kosze i prawie nigdy nie wychodzili na zewnątrz Archiwum, a tutaj przynajmniej mieli zapewnioną całodobową opiekę. I chyba nie cierpieli aż tak bardzo, jak można by sądzić. Narkotyki tłumili ból, a także sprawiały, że ciała potrzebowały niewiele jedzenia i jeszcze mniej snu, dzięki czemu umysły wynalazców mogły bezustannie zajmować się zawiłościami nowych

projektów.

Innym razem Kaira zawędrowała do sali 13B, gdzie pracowała jedna z maszyn. Właściwie dziewczyna powinna już wracać, bo herbata, którą niosła dla wyższej urzędniczki, zaczynała stygnąć, lecz ciekawość okazała się silniejsza.

Maszyna. Czarny potwór przypominający zatopiony statek, wrak opleciony pękami metalowych wodorostów, po których od czasu do czasu z trzaskiem przebiegają iskry. Szkielet z ulferrum, niegdyś błękitnego, teraz pociemniałego od smarów, kolonie przycisków przyrośnięte do burt niczym muszle. A wewnątrz tryby, przełączniki i elementy, których Kaira nie potrafiła nawet nazwać.

Nagle mechanizm zakrztusił się i zazgrzytał, po czym podjął pracę, ale jego buczenie brzmiało teraz inaczej – to cichło, to znów wzmagalo się z jęklwym zaśpiewem.

Kaira odsunęła się, spoglądając na niego podejrzliwie.

W korytarzu rozległy się śmiechy i odgłosy rozmowy, a po chwili do sali weszły trzy identyczne, ciemnowłose dziewczyny, ubrane w szare spodnie i szare bluzki, czyli standardowy strój animatorów. Dia Kamai, Dia Irla i Dia Jaheel – Kaira знаła imiona, ale nie potrafiła dopasować ich do właściwych osób. Trojaczki trzymały się razem i były do siebie zdumiewająco podobne nie tylko pod względem wyglądu, ale też charakteru.

— Coś się popsulo — powiedziała (chyba) Dia Jaheel.

— Pewnie zasilacz — sprecyzowała (chyba) Dia Irla.

— Może zasilacz — uśmiechnęła się (chyba) Dia Kamai.

Irla wyłączyła maszynę, nawet jej nie dotykając, co Kaira uznała za popisywanie się. Telekineza znakomicie nadawała się do naprawiania drobniutkich części wewnątrz maszyny, ale po co tą metodą wciskać wielki jak cytryna przycisk?

Jaheel przymknęła oczy. Kaira wiedziała, że w jej umyśle wewnątrz mechanizmu rozpostarło się właśnie jak trójwymiarowa mapa. Mogła je teraz dowolnie obracać, powiększać i zmniejszać wybrane obszary. Mogła też znaleźć uszkodzony element.

— Będzie trudno — mruknęła.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się z hukiem i wpadła przez nie Jaina Naroomi.

— Uciekajcie stąd — warknęła. — To zbyt skomplikowane dla was. No już, wynoście się, zanim na dobre coś zepsujecie. Irla, nie powinnaś przypadkiem pilnować maszyny

sortującej? A ty, Jaheel? To nawet nie jest twoje piętro! Ile razy mam wam powtarzać, żebyście nie łążyły wszędzie razem? W ten sposób trzy osoby wykonują pracę jednej, chcecie też dostać jedną pensję?

— My lubimy razem chodzić — urażona Jaheel wydeła wargi. — A ty jesteś zazdrosna, bo masz tak paskudną gębę, że każdy od ciebie ucieka.

Jaina zacisnęła usta, blizny na jej twarzy nabrzmiały.

— Wynoście się, zanim stracę cierpliwość i was wyrzucę. Nie z tej sali. Z pracy.

Groźba niezbyt realna, bo trojaczki były wnuczkami głównego administratora.

Odeszły od maszyny, ale zatrzymały się przy drzwiach, bynajmniej nie mając zamiaru wyjść. Jaina Naroomi spojrzała na nie i czym prędzej odwróciła wzrok. Woląла udawać, że nie zauważa jawnego nieposłuszeństwa, niż po raz drugi narazić się na złośliwe uwagi. Kairze zrobiło się jej żal.

Niepotrzebnie. Jaina zignorowała trojaczki, ale za to napadła na Kairę.

— A ty co tu robisz? Dlaczego nie pracujesz?

— Wpadłam tylko na chwilę, żeby popatrzeć... — Dziewczyna cofnęła się odruchowo w stronę drzwi.

— Popatrzeć? Ty masz siedzieć na dupie i pracować, a nie patrzeć. Jeśli natychmiast stąd nie wyjdiesz, zawołam kierownika twojej sali.

Niespodziewanie Kaira poczuła złość i zarazem przyływ pewności siebie. Uniosła głowę i spojrzała Jainie prosto w oczy.

— Proszę bardzo — powiedziała, wiedząc doskonale, że nikt o zdrowych zmysłach nie oderwie kierownika od jego obowiązków z powodu tak drobnego wykroczenia. — Muszę czekać na stojąco, czy mogę usiąść i napić się herbaty? Bo przecież chwilę potrwa, zanim kierownik znajdzie czas, aby przyjść tu i osobiście mi oznajmić, że mam siedzieć na dupie i pracować.

Trojaczki pod drzwiami zachichotały jeszcze głośniejsze i teraz w ich śmiechu dało się wyróżnić nutki uznania dla Kairy.

Blizny na twarzy animatorki przypominały grube, skręcone sznury w kolorze sinofioletowym, jej usta wykrzywiła wściekłość, a w oczach widać było cień niemego, bolesnego zdziwienia.

Wbrew wcześniejszej złości Kairze znów zrobiło się jej żal. Jeszcze przez chwilę mierzyły się spojrzeniem, a potem dziewczyna wyszła – w milczeniu, bo nie przyszły jej do

głowy żadne odpowiednie słowa.

Pod koniec zmiany Kaira postanowiła przeprosić. Nie dlatego, że czuła się winna, bo tak nie było, ale ponieważ uznała, że to mogłoby jej pomóc. Dziewczyna żałowała, że nie przyjęła reprimendy z pokorą. Gdyby zdołała w ten sposób udobruchać Jainę, wszystko byłoby znacznie prostsze.

Być może nie jest jeszcze za późno, myślała Kaira. Mogę pójść do niej i powiedzieć, że nasza znajomość źle się zaczęła, że jest mi przykro i tak dalej. Nawet jeśli na mnie nawrzeszczy, to co z tego?

Wzruszyła ramionami. Miała dziesięć starszych sióstr, z których większość od czasu do czasu na nią wrzeszczała, a po Kairze ich wyzwiska spływały jak deszczowa woda. Bała się jedynie słów Brina Issy, bo tylko on potrafił dotrzeć wystarczająco głęboko, by córkę zranić.

Teraz przejmowała się raczej tym, że znów coś zepsuje. W kontaktach z ludźmi brakowało jej wyczucia, a chyba także odpowiedniej dozy uroku osobistego, który mógłby pokryć choć część niezręczności. Ponadto wciąż żałowała Jainy i wiedziała, że jeśli chce zyskać jej sympatię, nie może pozwolić, by animatorka się tego domyśliła.

Wszystko to Kaira rozważała, siedząc przy biurku i tłumacząc ostatnie słowa, bardzo starannie i powoli. Ślimaczyła się celowo, bo Jaina zazwyczaj wychodziła z Archiwum ostatnia.

Wyższy urzędnik postął chwilę przy niej, a potem, lekko zirytowany, polecił, by przekazała tłumaczenie trzeciej zmianie. Archiwum powoli pustoszało, maszyny przełączano na nocny tryb.

Kaira położyła na brzegu blatu tłumaczenie i opatrzyła je kartką adresowaną do urzędnika nocnej zmiany. Potem ruszyła w stronę drzwi. W sali głośno rozlegał się stukot jej obcasów. Przy kilku biurkach pracownicy unieśli głowy, jakiś mężczyzna uśmiechnął się i pozdrowił dziewczynę. Jedno ze skrzydeł wiatraka właśnie rzuciło na jego sylwetkę cień i Kaira nie widziała dobrze twarzy. Zresztą możliwe, że i tak by go nie rozpoznała, w sali pracowało zbyt dużo ludzi, by wszystkich kojarzyć.

Z szatni wzięła płaszcz. Teraz dla odmiany zaczęła się spieszyć. Możliwe, że Jaina zdążyła już wyjść.

Zjechała schodami na parter. Jeszcze zanim zeskoczyła z ostatniego stopnia, dostrzegła tę, której szukała. Kobieta stała w otwartych drzwiach pustej i mrocznej sali, jej sylwetka ostro

odcinała się od jasnego prostokąta. Na zewnątrz padał śnieg, białe płatki wirowały w żółtawym świetle latarni.

Kaira chciała przyspieszyć, by ją zatrzymać, i dopiero po chwili zorientowała się, że animatorka rozmawia z kimś, kto stoi za progiem. Podeszła cicho, trochę zaintrygowana, a trochę niepewna, czy wypada przerwać tę dyskusję.

Słyszała już słowa wypowiedane szeptem i zarazem pełne napięcia, emocji. Na przemian – rozpaczliwe błagania i złość. Chyba, bo Kaira nie rozróżniała treści. Mówiła głównie Jaina, jej rozmówca jeśli odpowiadał, to tylko krótkimi pomrukami. Sądząc po głosie, Kaira doszła do wniosku, że to mężczyzna, ale głowy by nie dała.

Zatrzymała się i skryła za jedną z kolumn. Czasem wpadało jej w ucho jakieś głośniejsze wypowiedziane słowo. „Moje dziecko... proszę... już nie mogę, musicie mnie zrozumieć... dzisiaj w nocy musi być ostatni raz..”. I znowu owo „proszę”, które animatorka wypowiadała z obrzydzeniem, jakby się nim dławiała.

Coraz bardziej zdziwiona Kaira wstrzymała oddech. Nie sądziła, że Jaina Naroomi może kogokolwiek o cokolwiek prosić.

Potem usłyszała odgłos wymierzanego policzka. Krótki, mocny, szokująco głośny w ciszy. Animatorka zatoczyła się do tyłu i złapała framugi. Ponad jej ramieniem Kaira ujrzała twarz młodego mężczyzny o złych, zaciśniętych ustach i zmrużonych oczach.

Nic z tego nie rozumiała, ale wiedziała jedno – jeśli teraz zdradzi się swoją obecnością, Jaina nie wybaczy jej, że była świadkiem tego upokorzenia.

— Kaira! — W tej samej chwili u szczytu schodów rozległ się głos jednej z trojaczek. — Kaira, jesteś tu?

Animatorka odwróciła się. Jeden policzek miała blady, drugi mocno czerwony i już trochę napuchły.

— Kaira?

Przyklejona do kolumny dziewczyna przeklęła wołającą, którąkolwiek z sióstr była, a także jej dwie bliźniaczki. Głupie dziewczuchy. Powinny już dawno być w domu albo włóczyć się po mieście, czy co tam robią po pracy.

Jaina omiotła salę podejrzliwym spojrzeniem i wyszła. Kaira odetchnęła z ulgą, odczekała jeszcze chwilkę, po czym pobiegła w górę ruchomymi schodami, które jechały w dół.

Przeskakiwała po trzy stopnie na raz i musiała mocno się namęczyć, żeby je pokonać.

Irla (chyba) patrzyła na nią, zdziwiona.

— Hej, szukamy cię od kwadransa, bo chcemy pogadać. Gdzie byłaś?

— Rozmawiałam z Jainą.

— Stara krowa znowu chciała cię opieprzyć?

— Wcale nie jest stara. — Kaira poczuła gwałtowny przypływ niechęci do tej dziewczyny. — Tak naprawdę chyba jest niewiele starsza ode mnie.

— No to co? — Irla wzruszyła ramionami. — Ale zachowuje się, jakby była stara. I jakby od dawna żaden facet jej nie przeleciał, co zresztą pewnie jest prawdą. Słuchaj, Kaira, idziemy się dziś zabawić, chcesz iść z nami?

— Dokąd?

Dziewczyna zachichotała.

— Zobaczysz. Zaręczam, że ci się spodoba. To jak?

Kaira wcale nie była pewna, czy jej się spodoba. Właściwie była prawie pewna, że nie.

Ironia losu. Tak naprawdę w konflikcie Jaina Naroomi i trojaczków stała po stronie starszej kobiety. Jaina niewątpliwie była przewrażliwiona na punkcie swojej twarzy, a przez to złośliwa i nieprzystępna, lecz dziecinne okrucieństwo sióstr robiło jeszcze gorsze wrażenie.

Z drugiej strony, wnuczki głównego administratora mają zapewne dostęp do wielu sekretów Archiwum. Może i do ostatniego piętra.

— Chętnie.

Irla rozpromieniła się.

— Przyjdź o północy pod boczne wejście Archiwum. Musimy dostać się na dziewiąte piętro. O tej porze tam nikogo nie będzie.

Kaira z wahaniem skinęła głową. Dziewiąte piętro? Co one chcą tam robić?

Miała nadzieję, że nie zamierzały niczego kraść.

Gdy Irla odwróciła się, by odejść, Kaira zatrzymała ją.

— Jaina Naroomi ma dziecko?

— Aha, ma. A co?

— Nic, tak pytam.

— Nie pasuje na mamusię, nie? — Irla znowu zaśmiała się tym cienkim, głupiutkim chichocikiem, który bardzo Kairę irytował. — Też się zdziwiłam, jak po raz pierwszy o tym usłyszałam. Dziecko podarowała jej kochanka, na pożegnanie, jeszcze w czasach, kiedy Jaina nie

miała tak paskudnie poharatanej gęby. Ona taka jest, znaczy, lubi i facetów, i dziewczyny. Albo raczej lubiłaby, gdyby miała w ogóle jakieś szanse, bo teraz już nie ma. A wiesz, że ta jej dawna kochanka była trochę do ciebie podobna?

Wracając do domu, Kaira bawiła się myślą, czy naprawdę jest w typie Jainy. Z jednej strony czuła się zakłopotana takim przypuszczeniem, z drugiej trochę jej to pochlebiało. Animatorka rzeczywiście wyglądała paskudnie, czasem Kaira musiała się bardzo starać, żeby nie odwracać od niej wzroku. Lecz była także inteligentna, dumna i znacznie bardziej wrażliwa, niż chciałaby przyznać, a wszystko to budziło w Kairze skomplikowane emocje. Szacunek, współczucie, ostrożne zaciekawienie.

Jaina z szerokimi bliznami na twarzy, zamknięta w ciasnej klatce własnego bólu. Jaina, której ten ból na swój sposób dawał siłę, choć jednocześnie oddzielał ją od innych ludzi.

I wreszcie – to chyba było najbardziej interesujące – Jaina skrywająca jakiś sekret.

Po nieprawdopodobnym przerażeniu, po zupełnej panice i ucieczce na oślep, Daniel Pantalekis wreszcie skupił się na myśleniu.

Zaczął od pretensji do losu. To było niesprawiedliwe, że taki szczęściarz jak on nagle stał się celem niewidzialnego mordercy. Dlaczego? Przecież nie zrobił nic złego, nikomu się nie naraził, nikogo nie skrzywdził.

Przyszło mu do głowy, że może przyczyną była jasnowłosa dziewczyna, która umierała na jego oczach, podczas gdy z jej piersi wystawały ostro zakończone pazury lwa. Ale co niby miałby dla niej zrobić? Dobić, czy może wręcz przeciwnie, próbować ratować? Jedno i drugie byłoby równie bezsensowne: w pierwszym przypadku skróciłby jej cierpienie może o kilka minut, w drugim tylko by je przedłużył. Czym więc zawinił? Miał zostać przy niej, trzymać za rękę i pieprzyć jakieś pocieszające głupoty, że za chwilę przestanie ją boleć i znajdzie się między aniołkami?

Po pierwsze, wątpił, czy tutaj ludzie wierzyli w anioły. Po drugie, przecież i tak by nie zrozumiała.

Nie, Pantalekis zrobił to, co zrobiłby na jego miejscu każdy rozsądny człowiek. Po prostu zostawił dziewczynę jej losowi i odszedł.

Myśl, że ktoś mógł widzieć w tym jego winę i teraz usiłował go za to skrzywdzić (zabić, wypowiedział głos w jego głowie, nie oszukuj się, niewidzialny nie biega za tobą, żeby dać ci po mordzie), obudziła w nim wściekłość. Uczucie, które przebiło się przez grube warstwy strachu i coraz większego zmęczenia.

— Jeśli myślicie, że się mnie tak prosto pozbędziecie, to się, kurwa, grubo mylicie! — wrzasnął.

Oszronione strąki włosów zwisały mu wokół twarzy, zimny wiatr próbował wtłoczyć słowa z powrotem do ust. Daniel dygotał z napięcia jak zapędzone w pułapkę zwierzę.

— Nie pozwolę się zabić, słyszycie? Nie pozwolę!

Wokół rozciągała się biała, omiatana wiatrem płaszczyna czegoś, co niegdyś musiało być miejskim parkiem. Teraz uschłe drzewa sterczały ze śniegu jak czarne, pokrzywione, dziwaczne konstrukcje z ciemnego drutu. Przysiadaly na nich ptaki, nie prawdziwe, tylko mechaniczne. Pantalekis wiedział o tym, bo kiedyś strącił kamieniem jednego, a kiedy ten upadł,

rozsywał się na ziemi, prezentując zardzewiałe wnętrzości.

Pieprzony świat cudaków.

Daniel obracał się wolno wokół własnej osi. Palce bolały go od ściskania noża, oczy od wpatrywania się w białą powierzchnię, z której wiatr podnosił lekkie, lodowato zimne płatki. Nisko nad nim wisiało sine niebo, z północy nadciągały nabrzmiące śniegiem chmury. Zbliżał się wieczór i Pantalekis wiedział, że najwyższa pora poszukać schronienia. Ile już uciekał? Dzień, więcej? Z pewnością trwało to zbyt długo. Czasem ożywiająca go wściekłość słabła, a on pozwalał sobie na chwilę zapomnienia. Wtedy nieuchronnie przychodziło znużenie, powieki opadały, jakby zrobiono je z ołowiu, nogi miękły w kolanach, a on sam czuł, że zsuwa się gładko w głęboką i ciemną studnię snu. Dotąd w takich momentach trzeźwił go strach, ale Pantalekis wiedział, że wkrótce zmęczenie weźmie górę.

Kiedy ostatni raz spał? Kiedy ostatni raz coś zjadł? Ze zdenerwowania nie czuł głodu, ale pusty żołądek niemal przykleił mu się do kręgosłupa.

Podskoczył, słysząc jakiś szelest. Niewidzialny? Nie, to nie mógł być on, na śniegu nie było widać żadnych śladów. Właśnie dlatego Pantalekis tak bezpiecznie czuł się na otwartej przestrzeni. Problem polegał na tym, że robiło się coraz zimniej i ciemniej.

Pora znaleźć schronienie, powtórzył w myślach. Najlepiej tam, gdzie będą lustra. Dużo luster. Jak już zdążył się zorientować, postać niewidzialnego odbijała się nie tylko w odłamkach szyb, ale też w kałużach wody i w zwierciadłach.

Kryjówka z zeszłej nocy była już spalona. Niewidzialny zawsze go znajdował, najdalej po dwóch–trzech godzinach, i Pantalekis znów musiał uciekać. Kulawy, z wciąż sztywną nogą, radził sobie tylko dlatego, że świat pomagał mu, ostrzegając zawczasu o niebezpieczeństwie. Daniel coraz lepiej rozumiał te subtelne znaki. Nagła cisza. Jaskrawoczerwona wstążka unosząca się na wietrze u wylotu uliczki, skąd nadchodził niewidzialny. Pajęczyna kabli, których sploty układały się w obraz tysiąca śledzących go oczu. Nagły rozbłysk słońca na ostrej jak brzytwa krawędzi rury grzewczej.

Lecz odczytywanie znaków wymagało napiętej uwagi, a Pantalekis był już bardzo zmęczony.

Znów poczuł, jak ogarnia go senność. Odepchnął ją z trudem, sięgnął w głąb siebie i znalazł tam resztki złości, teraz już mocno wymieszane z rozpaczą.

— Pora przestać uciekać — wymamrotał, świadom, że wszystkie znaki tego świata nie

uchronią go przed śmiercią, jeśli zaśnie. — Trzeba zastawić pułapkę.

— Wychodzisz?

Noora wzdrygnęła się i zatrzymała. W pierwszej chwili pomyślała, że mówi do niej ojciec, ale to nie był on, tylko Niraj. Dziwne, nigdy wcześniej nie sądziła, że można pomylić ich głosy.

Brat szedł do niej korytarzem, lampa świetlikowa wisiała nad jego ramieniem, oświetlając zmizerniałą, ponurą twarz.

Noora przymknęła już otwarte drzwi.

— Tak, wychodzę — odpowiedziała zaczepnie. — Co ci do tego?

— Wiesz, że ci nie wolno. Ojciec zabronił. Musisz chodzić albo ze mną, albo ze służącym. Nigdy sama. Wracaj do swojego pokoju.

Zmarszczyła brwi.

— O czym ty mówisz? Kiedy ojciec zabronił mi wychodzić?

— Dawno temu, kiedy byłaś jeszcze dzieckiem. Przecież musisz o tym wiedzieć.

Przez chwilę myślała, że to jakiś dziwacznym żart, ale przecież Niraj nie miał poczucia humoru. Poza tym wystarczyło spojrzeć na jego twarz, by wiedzieć, że mówi śmiertelnie poważnie.

— Chyba coś ci się pomyliło — powiedziała delikatnie, ze śladem niepokoju w głosie. — To Kairze ojciec zabronił wychodzić, nie mnie. Kaira nie żyje, pamiętasz?

Jego nieruchome dotąd rysy zadrżały i Noora miała wrażenie, że widzi nie jedną twarz, ale dwie, jedną pod drugą, jakby z głębin umysłu Niraja ktoś próbował przebić się na powierzchnię. Potem wszystko znikło.

— Kaira nie żyje — powtórzył posłusznie. — Jasne, że o tym wiem.

— Niraj, co się z tobą dzieje? Od turnieju — omal nie powiedziała „odkąd ojciec cię obudził” — jesteś jakiś dziwny...

— Dużo ćwiczę i jestem trochę zmęczony, to wszystko.

To nie było dobre wyjaśnienie, lecz Noora pochwyciła je z ochotą, uwalniając się w ten sposób od poczucia winy z powodu niedostatecznej troski o stan brata.

Zdawkowo poklepała go po ramieniu.

— Wyjdź z domu i trochę się zabaw — poradziła. — Napij się, poderwij sobie jakąś

panienkę. Zobaczysz, że od razu będzie ci lepiej.

Kaira pomyślała, że mogłaby dodać Dime do listy osób, wobec których czuła się winna.

Pierwszą i najważniejszą osobą był niewątpliwie Niraj. Od Finnena Kaira usłyszała, w jaki sposób Issa ukarał syna. Zresztą już wcześniej wiedziała, że coś takiego prawdopodobnie się stanie. Wiedziała, ale wołała o tym nie myśleć.

Drugą był Magrit. Człowiek, którego nawet nie znała, a który zawinił jedynie tym, że pożyczył Dime Skrzydła. Kairę kusiło, by oddać wirofotografowi sto siedemdziesiąt surimów, czyli tyle, ile jej zostało, i w ten sposób uspokoić sumienie. Nie zrobiła tego tylko dlatego, że Dime tłumaczył jej, iż Magrit będzie miał większą szansę na umorzenie długu, gdy nie zapłaci nic, w ten sposób udowadniając, że go nie stać, niż gdy wpłaci część wymaganej przez Archiwum sumy.

Trzecią wreszcie był sam Dime. Kaira mogłaby naprawdę polubić tego chłopaka, gdyby tylko spotykała go od czasu do czasu, a nie z nim mieszkała. Był miły. Był zabawny (przynajmniej jeśli słyszało się jego dowcipy po raz pierwszy) i opiekuńczy, zawsze z głową pełną uroczą nierealnych pomysłów. Właściwie na samym początku chyba rzeczywiście go lubiła. Ale wtedy była słaba, chora i pewnie czułaby sympatię do każdego, kto by się nią zajął. Potem troskliwość Dime zaczęła ją męczyć. Jego wierne oczy śledzące każdy jej ruch. Gotowość do zgadywania najdrobniejszych życzeń. Gdyby mogła się z nim pokłócić, odepchnąć go choć na chwilę... Ale nawet na to nie dawał jej szansy. Kaira nie potrafiła się kłócić, a gdy czasem próbowała, chłopak zawsze przyznawał jej rację.

Irytacja, zmęczenie, wyrzuty sumienia – te właśnie uczucia kojarzyły jej się z Dime. Szkoda, zwłaszcza że był pierwszym mężczyzną, z którym się przespała. Miała wrażenie, że ominęło ją coś ważnego i świadomość ta czasem napełniała ją smutkiem. Nie chodziło o miłość, która dla Kairy była pojęciem mocno abstrakcyjnym. Raczej o miłe wspomnienia, które mogłaby mieć, gdyby poszła z Dime do łóżka z sympatii, a nie dlatego, że uznała, iż jest mu to winna.

Cóż, wygląda na to, że będę musiała się obyć bez miłych wspomnień, pomyślała, idąc w stronę Archiwum. Gdy zobaczyła czarny gmach na tle jeszcze czarniejszego nieba, Dime wyleciał jej z głowy. Tak było zawsze.

Ostatecznie istniały sprawy ważne i ważniejsze.

Zgodnie z umową trojaczki czekały na nią przy bocznym wejściu. Irla wyciągnęła z

kieszoni klucz, otworzyła drzwi i wprowadziła całą czwórkę do środka. Kamai zapaliła latarnię.

— Bądźcie cicho, żeby nie zbudzić świetlików — powiedziała. A może to była Jaheel? Wszystko jedno. Kaira była przekonana, że nigdy w życiu nie uda jej się rozróżnić trojaczków ze stuprocentową pewnością.

Szły teraz tylnymi wąskimi schodami dla dostawców. Pachniało tu rdzą, zbutwiałymi dywanami i wilgocią. Woń przeszłości, pomyślała Kaira w nagłym przypiływie lęku. Brakuje tylko smrodu pogorzelniska. Zza ścian dobiegały stłumione głosy maszyn, a kiedy dziewczyny miały kolejne piętra, w ich twarze biło ciepło.

— Tutaj — oznajmiła Irla.

Kaira poznała dziewiąte piętro. O tej porze rzeczywiście było tu pusto i ciemno.

Irla podeszła do drzwi, za którymi znajdowały się wynalazki. Sięgnęła do kieszeni po wąski, rurkowy klucz i wsunęła go do zamka. Drugą ręką sprawnie zakręciła gałką, układając strzałkę na kolejnych znakach szyfru. Czapa, księżyc, gałąź zimmorośli, oko...

— Chcecie ukraść jakiś wynalazek? — zapytała Kaira z niepokojem. — Jaki? I po co?

— Zobaczysz. — Irla pchnęła drzwi, które otworzyły się gładko, bez żadnego zgrzytu. — I nie ukraść, tylko wypożyczyć na parę godzin. Spodoba ci się.

Kaira żałowała, że tu przyszła. Trojaczki mogły sobie pozwolić na takie eskapady, bo w razie wpadki ocaliłaby je interwencja dziadka. Ona nie miała nikogo, kto by się za nią wstawił.

Przeszły do końca sali. Blask latarni wyławiał z ciemności kolejne wynalazki, a także puste klatki. Jaheel i Kamai chichotały cicho, popychając się i strasząc.

— Patrz, patrz, to coś ma oczy... Śledzi nas...

— Nie nas, tylko ciebie, gapi się, jakby chciało ugryźć cię w tyłek...

— Zamknijcie się — odezwała się Irla bez większego przekonania.

Otworzyła trzecie drzwi, dotąd tak sprytnie ukryte, że niemal nie odróżniały się od ściany. Za nimi znajdowało się pomieszczenie, które w całości zajmował gigantyczny ptak. Rozłożone skrzydła połyskiwały metalicznie, w przeszklonej kabinie – tam, gdzie u żywego ptaka byłyby serce i płuca – śmiało zmieściłby się średniej wielkości pokój. W porównaniu z tym olbrzymem zwyczajne dwu- czy trzyosobowe mechanoidy wyglądały jak zabawki.

— Czy to... lata? — zapytała niepewnie Kaira. Sądziła dotąd, że jedynym sposobem, by człowiek uniósł się w powietrze, jest założenie Skrzydeł.

— Owszem — przytaknęła Irla. — I może zabrać ze sobą nawet dwudziestu ludzi —

dodała z dumą, jakby sama ptaka zaprojektowała.

— Jest tak wielki, że potrzebuje co najmniej trzech animatorów, którzy będą nim sterować — uzupełniła Jaheel.

— Nas jest akurat trzy — Kamai dołączyła się jak chórek.

Kaira podeszła i ostrożnie dotknęła skrzydła. Metal był lodowato zimny. Spojrzała na łeb ptaka i przez chwilę wydawało jej się, że w jego sztucznych ślepiach błyszczy inteligencja. Czym prędzej odwróciła wzrok.

— Czemu nie pisali o nim w gazetach? — zapytała ze skrywaną urazą. Nic o tym nie wiedziała, a przecież pracowała w Archiwum.

— Nie jest jeszcze całkiem gotowy. To znaczy, był już testowany, spokojnie, na pewno nic nam się nie stanie. Po prostu wymaga jeszcze paru poprawek, zanim się go pokaże publicznie.

— A potem i tak się go tutaj zamknie — dodała Jaheel, chichocząc.

— Czemu?

— Bo Przedsięwzięcowi nie zgodzą się, żeby go ktoś używał. Taka jest umowa – jeden pokaz publiczny i nic więcej. To jeden z tych wynalazków, które mają czekać na Przebudzenie.

— Bez sensu... — mruknęła Kaira.

— A czy Przedsięwzięcowi kiedykolwiek zrobili coś z sensem? — W świetle latarni Jaheel wzruszyła ramionami.

— Nie ma jeszcze schodków, więc będziemy musiały wejść po skrzydło — powiedziała Irla. — Kamai, ty odsuń dach. Zaczekamy na ciebie.

— A jeśli nas ktoś zobaczy? — zapytała Kaira, gdy spadzisty dach złożył się jak wachlarz, odsłaniając rozgwieżdżone niebo. Musiały się znajdować nie w głównym budynku, lecz w jednej z przybudówek, bo przecież nad nimi powinno być jeszcze jedno piętro.

— No to co? — Irla wskoczyła na skrzydło i pomogła wejść Jaheel. Razem otworzyły kabinę. Znowu za pomocą telekinezy, choć Kaira założyłaby się, że jest tam normalny zamek.

Dziewczyna zawahała się, po czym poszła w ślady siostr. Prawdę powiedziawszy, cały ten pomysł zaczynał jej się coraz bardziej podobać.

Kaira zapięła pasy i przylepiła nos do szyby.

Ptak szybował ponad Lunapolis. W dole widziała pajęczą sieć podniebnych dróg, a jeszcze niżej oświetlone bryły budynków. Najjaśniej było wokół Wodnego Placu – tam światła tworzyły centrum wiru, którego ramiona, długie i coraz bledsze, sięgały aż na obrzeża miasta. Zupełnie jakby w środku Lunapolis rozsiadła się wielka, promieniująca blaskiem ośmiornica.

Ptak zszedł niżej, żołądek Kairy fiknął koziołka i dziewczyna lekko poszarzała, ale nie przestała patrzeć. Dostrzegła okrągłą Kopułę i nawet szron na jednej z podniebnych dróg. W świetle największego księżycy lodowy osad połyskiwał, jakby zrobiono go z czystego srebra. Dalej dwie sylwetki, jedna męska, druga kobieca. Chłopak i dziewczyna spacerowali, trzymając się za ręce. Ptak przeleciał tuż nad nimi, a kiedy podnieśli głowy, Kaira poczuła ochotę, by im pomachać, choć przecież mechanoid mknął zbyt szybko, by tamci zdążyli zauważyć jej gest.

Całe miasto nas zobaczy, pomyślała jednak i z jakiegoś powodu ta myśl nappełniła ją dziką radością. Czuła się jak w dzień, gdy wyszła z domu, by upozorować własną śmierć. Lekka, pijana szczęściem i zdolna zrobić wszystko.

Spojrzała na trojaczki, szukając w ich twarzach zrozumienia. Irla milczała z zamkniętymi oczami, odizolowana od tego, co działo się w kabinie. Kaira zgadywała, że to ona odpowiada za główny mechanizm sterujący. Jej ciało było teraz ciałem wielkiego mechanicznego ptaka, jej oczy jego oczami. Widziała i czuła to, co on widział i czuł. Kaira niemal jej zazdrościła. Niemal, bo nie potrafiła naprawdę być zazdrosna o coś, co było tak... niezrozumiałe, obce jej naturze. Związek umysłu z maszyną. W tej chwili ptak żył, a mózgiem, który wydawał polecenia jego mechanicznym mięśniom, była Irla.

Jaheel i Kamai pomagały siostrze, lecz ich rola polegała tylko na sterowaniu lotkami. To wymagało mniej skupienia, więc dziewczyny, jakkolwiek trochę roztargnione, mogły rozmawiać.

Wróciły do poprzedniego tematu, zastanawiając się, dlaczego decyzje Przedksiężycowych są tak nielogiczne. Najpierw mówiły o wynalazkach, potem rozmowa zeszała na ludzi i siostry zaczęły przerzucać się przykładami. Pewien przyjaciel przyjaciela wiedział wszystko o nawadnianiu gruntów, ktoś inny był doskonałym – choć wyłącznie teoretycznym – żeglarzem, jakaś kobieta знаła pięćdziesiąt trzy roślinne barwniki do tkanin, mimo iż jedyną żywą rośliną, jaką w życiu widziała, było drzewo zimmorośli za oknem.

Wszyscy ci ludzie mieli nikomu niepotrzebną wiedzę czy umiejętności, odnalezione w starych księgach bądź przekazywane z pokolenia na pokolenie, i wszyscy dzięki nim przeżywali kolejne Skoki. Specjalistami w tak niezwykłych dziedzinach mogło być jednak tylko kilku, góra kilkunastu ludzi. Resztę Przedksiężycowi bezlitośnie odsiewali.

Kaira pomyślała o znajomym z sali 9C, który znalazł swoją własną niszę. Znał się na hodowli bydła, dzięki czemu mógł pracowicie przystrzygać pierwsze siwe włosy, patrząc jednocześnie, jak rosą jego wnuki. A ponieważ w Lunapolis żadnego bydła nie było, więc na przyjemności swoje i wnuków zarabiał, pracując przy biurku, jako chyba jedyny tak wiekowy mężczyzna wśród niższych urzędników Archiwum.

Potem niespodziewanie pomyślała o samej sobie.

W dzieciństwie uczyła się z wielkich atlasów o pożółkłych kartkach z rysunkami w kolorze sepia. Atlasy roślin lądowych i morskich. Atlasy zwierząt: osobne dla ssaków, ptaków, gadów i ryb. Gołębie widywała też na stole, w potrawce lub upieczone, a mechanoidy Issy miały osobowości ssaków, lecz prawdziwe, żywe zwierzę, takie, które miałyby skórę i futro, widziała tylko raz, gdy znajomy jej ojca przyprowadził do domu psa.

Zwierząt w Lunapolis było bardzo mało, niektóre gatunki zupełnie już wymarły, Kaira też nigdy nie spodziewała się zobaczyć morza. Mimo to uczyła się o rybach, gigantycznych żółwiach i mewach. A później, widząc maszynę, odruchowo używała porównań jak jej dawni zmarli przodkowie.

„Czarny potwór przypominający zatopiony statek, wrak opleciony pękami metalowych wodorostów”.

„Kolonie przycisków przyrośnięte do burt niczym muszle”.

Mechaniczny ptak zakołysał się lekko, dwie siostry Dia pisnęły, a Kaira wyrzuciła z głowy wszystkie pytania i skupiła się na czystej przyjemności lotu.

— Jaheel — mruknęła Irla. Jej głos brzmiał niewyraźnie, jakby dziewczyna mówiła przez sen. — Możesz?

— Jasne. — Druga siostra przymknęła oczy. Przejęcie głównych sterów odbyło się tak gładko, że Kaira poczuła tylko lekkie szarpnięcie. Po raz drugi omal nie pozazdrościła trojaczkom talentu. Żeby wspólnie panować nad taką maszyną, musiały mieć głęboki kontakt nie tylko z nią, lecz także ze sobą nawzajem.

— Hej — Kamai wyszczerzyła zęby — przestańmy gadać i zróbmy coś szalonego, co?

Jaheel, przyspiesz trochę!

Ptak wyrwał naprzód, zanurkował pod jedną z podniebnych dróg i wychynął z drugiej strony. Kaira krzyknęła, gdy wąski pas ścisnął ją tak mocno, że na chwilę straciła oddech. Ciekawe, czy brak lepszych zabezpieczeń był efektem niedopracowania, czy też nikomu nie przyszło do głowy, że mechanoid może być wykorzystywany do podniebnych akrobacji.

Przelotna myśl, nad którą wcale nie miała ochoty się zastanawiać. Na przemian śmiała się i wrzeszczała, a Irla i Kamai wtórowały jej zgodnym chórem. Gdyby to od Kairy zależało, leciałyby jeszcze szybciej, tak szybko, jak tylko by się dało. Nie bała się ani przez chwilę i ten brak strachu, ta wypełniająca ją dzika radość, gdzieś w tle pozostawiały ślad niepokoju.

Powinnam bać się tego, że się nie boję, pomyślała i zachichotała, bo wszystko teraz wydawało jej się zabawne.

— Może wylądujemy w Ogrodzie Zimowym? — rzuciła Kamai, jej oczy błyszczały, policzki były zaczerwienione. W tej chwili Kaira lubiła ją tylko za to, że dziewczyna czuła dokładnie to samo, co ona. — Sprawdźmy, czy potrafimy posadzić tego ptaszka na ziemi.

— Czemu nie. — Usta Irli rozciągnęły się w jeszcze szerszym uśmiechu. — Jaheel, słyszałaś?

— Uhm.

Mechanoid przechylił się, kierując dziób w dół. Kaira przytomnie oparła stopy o ścianę kabiny. Schodzili do lądowania. Żołądek jej ciążył, jakby ktoś nasypał tam kamieni, w głowie trochę się kręciło, oddech pozostawiał na szybie mgiełkę pary, gdy gapiła się na powiększające się gwałtownie drzewa. Wystawały z bieli śniegu, najpierw maleńkie niczym kępki wrzосу, później wielkości krzewów i wreszcie rozłożyste jak prawdziwe zimmorośla.

Potem znikły.

Przy lądowaniu, gdy ptak siadał na ziemi, Kaira straciła orientację. To, co przed chwilą wydawało się bliskie niemal na wyciągnięcie ręki, nagle uciekło gdzieś w bok. Drzewa, owszem, istniały, widziała ich ciemne kształty na tle jaśniejszego mroku, ale były daleko. Blisko znajdowała się tylko biała pustka.

Tknęło ją złe przecucie.

— Gdzie zimmorośla? — zapytała.

— Co? — Jaheel spojrzała na nią z takim zdumieniem, że niemal było to zabawne.

Niemal, bo Kaira właśnie straciła dobry humor.

— W Zimowym Ogrodzie wszędzie są drzewa — wyjaśniła, czując, jak dopiero teraz narasta w niej mroczny strach. — Z wyjątkiem jeziora, a ono przy takiej pogodzie jest zamrożone.

— Jezioro? — powtórzyła Jaheel. Oczy wciąż miała wielkie, po dziecinnemu zdumione. — Chcesz powiedzieć, że wylądowałyśmy na jeziorze?

Kaira patrzyła, jak ta myśl przedziera się do jej świadomości, jak walczy z niedowierzaniem i resztkami rozbawienia.

— Pora się stąd zbierać — powiedziała Irla.

Jaheel skinęła głową, nagle pobladła.

W tej samej chwili usłyszały pierwszy trzask, coś jak głuche echo pioruna. Dobiegał z dołu, spod ich stóp. Odgłos rozdzierania. Odgłos pękania.

Mechaniczny ptak zadrżał, a one spojrzały na siebie z przerażeniem.

W cztery minuty po tym, jak mechaniczny ptak wylądował na zamrożonej tafli, lód się załamał. Przez ten czas trojaczki nie zdążyły zrobić nic sensownego. Kamai pochlipywała, a Jaheel, blada jak papier, powtarzała „nie mogę, nie mogę”. Tylko Irli udało się połączyć z maszyną, ale i ona nie zdołała wzbić jej w powietrze.

Lód pękł z hukiem, zwały kry spiętrzyły się wokół mechanoidu, a ptak zakołysał się, przechylił i gładko zsunął w lodowatą głębię. Wtedy Irla, wciąż połączona z jego mechanicznym ciałem, zaczęła krzyczeć.

— Zimno... — Upadła na podłogę i skuliła się. — Och, jak zimno.

Jaheel próbowała rozcierać jej ramiona, a Kamai potrząsała siostrą, krzycząc, żeby natychmiast przerwała połączenie. Rozdzierały ją między sobą niczym dziewczynki bijące się o szmacianą lalkę.

Kaira patrzyła na to, sparaliżowana bezradnością. Potem powoli, jak we śnie, odwróciła się i spojrzała w okno. Mechanoid opadał z wdziękiem, pokonując opór wody. Światła na bokach skrzydeł rozmywały się, kontury szyi i głowy były lekko zniekształcone. Lewe oko ptaka, to, które widziała, wydawało się nienaturalnie wielkie. Zerknęła w dół i zobaczyła dno, a na nim łagodnie falujące, długie pędy wodorostów. I cień spadającego ptaka, coraz większy, coraz ciemniejszy.

— Tu wcale nie jest głęboko — powiedziała, odzyskując przytomność umysłu. Odchrząknęła. — Wydostaniemy się.

Na twarzach siostr pojawił się cień nadziei.

Widziały już rybę, która na widok ptaka odwróciła się i odpłynęła, machając srebrzystym ogonem. Mechanoid opadł jeszcze niżej, wodorosty musnęły jego skrzydła, oblepiły okno. Poprzez gęstą, falującą zasłonę Kaira dostrzegła kamień. Duży, czarny i leżący bardzo blisko. Miał ostre krawędzie.

Za jej plecami któraś z siostr gwałtownie wciągnęła powietrze.

Wstrząs. Ptak osiadł w końcu na dnie, a szyba z paskudnym trzaskiem uderzyła w dostrzeżony głaz. Na szkle pojawiło się mleczne pęknięcie. Mały, biały pajęczek. Gapiły się na niego jak zahipnotyzowane.

Tu wcale nie jest głęboko, zdążyła jeszcze pomyśleć Kaira. Wydostaniemy się.

Tylko będzie nam cholernie zimno.

Szyba pękła i woda wdarła się do środka. Kaira nabrała w płuca powietrza i wtedy zimno uderzyło w nią, paraliżując na chwilę nerwy. Krzyknęła, a raczej miała wrażenie, że całe jej ciało krzyczy. Otworzyła oczy. Wokół falowały jej włosy, obok zobaczyła zawieszoną w mroku jasną twarz jednej z siostr. Syrena, skojarzyła jej się z syreną. A potem wydostała się z kabiny i popłynęła w górę.

Poruszała się powoli, kończyny jej zdębiały i stały się ciężkie, jakby ciągnęła za sobą tonę ołowiu. W górę. Nie myślała o niczym; zimno było wszędzie, na zewnątrz i wewnątrz niej. W krótkich, strasznych sekundach wydawało jej się, że wcale nie płynie, że wisi w ciemnej i lodowatej pustce, i że tak już zostanie.

W górę.

Zaczynały ją boleć płuca.

Spojrzała w dół i zobaczyła mechanicznego ptaka spoczywającego na posłaniu z wodorostów. Światła na końcach skrzydeł połyskiwały samotną, rozmytą bielą.

Nad zatopionym mechnoidem dostrzegła trojaczki. Płynęły, trzymając się za ręce. Ten widok dodał jej otuchy.

Wychynęła na powierzchnię, zanim zabrakło jej tchu. Zaczepnęła powietrza, na chwilę wpadła w panikę (brzeg, gdzie ten cholerny brzeg?!), po czym rozgarniając przed sobą resztki lodu, ruszyła w stronę linii drzew.

Wypęzła na ziemię i upadła. Nigdy wcześniej nie sądziła, że człowiek może tak zmarznąć. Wcześniej zdarzało jej się drzeć z zimna, ale teraz nie drżała, teraz całym jej ciałem szarpały dreszcze, a zęby uderzały o siebie jak kamyki w grzechotce. Z trudem udało jej się podeprzeć na ramionach i unieść głowę.

Trojaczki wyszły na brzeg kilkanaście metrów dalej. Poruszały się niczym na wpół zamarznięte automaty. Jednak już ktoś do nich biegł, światła latarni rozcinały ciemność, rozlegały się nawoływania.

W pierwszej chwili Kaira nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Kto, u licha, mógł być w parku o tej porze?

Potem dostrzegła charakterystyczną, sztywno wyprostowaną sylwetkę i zgłupiała jeszcze bardziej. Jaina Naroomi? Tutaj? Dlaczego?

Miała wrażenie, że powinna znać odpowiedź, ale jej komórki mózgowe najwyraźniej

zamarzły i za nic nie chciały zacząć pracować.

Wciąż trzęsąc się przeraźliwie, wstała i skryła się za pniem drzewa. Była to kiepska osłona, tak naprawdę gdyby ktokolwiek podszedł tu z latarnią, zobaczyłby ją od razu. Lecz nikt tego nie zrobił, tamci byli zajęci trojaczkami. Uspokajali je, otulali kocami. Tylko Jaina stała nieruchomo z boku.

— Jak? — wychrypiła Irla (a może to była Jaheel?). Widać dręczył ją ten sam problem, co Kairę.

— Widziałam, jak startujecie z Archiwum, i od razu powiadomiłam straż miejską — wyjaśniła Jaina. — Obserwowaliśmy was przez cały czas, gdy krążyłyście nad miastem. A Lakesh obliczył, że lądując pod takim kątem, możecie usiąść na jeziorze. Powinnyście być mu wdzięczne. Ledwo zdążyliśmy na czas.

— Ale numer — zachichotała Irla.

Kaira wcisnęła dłoń między zęby, tłumiąc coś pomiędzy szlochaniem a histerycznym parsknięciem. Miała wrażenie, że pomimo tego zabezpieczenia z jej ust wylewa się żalostny skowyt. Nie była pewna. Głowę miała ciężką, jakby już zdążyła się zmienić w lodową kulę. Zimno przenikało ją na wskroś. Potrafiła myśleć tylko o zimnie. Zimno było najważniejsze, stanowiło centrum jej wszechświata. Pozostałe uczucia, w tym rozbawienie i odrobina podziwu dla trojczków, zostały zepchnięte na plan tak daleki, że ledwo je rejestrowała.

— Co teraz z nami będzie? — zapytała Kamai. W jej głosie nie było słycać strachu, tylko ciekawość.

— Odprowadzę was do domu, a jutro wyjaśnimy sobie parę kwestii — odparła Jaina, a Kaira niemal zobaczyła, jak kobieta gniewnie zaciska usta.

— Zabiorę je mechanoidem — zaofiarował się jakiś mężczyzna, być może wymieniony wcześniej Lakesh. — Dziewczyny są szczupłe, więc zmieścimy się w kabinie we czwórce. No i będzie nam ciepło.

— Wolałabym... — zaczęła Jaina, ale trojczki zagłuszyły ją, krzyząc chórem „Dziękujemy!”. Kaira pomyślała mętnie, że Lakesh musi być przystojnym mężczyzną.

Światło latarni musnęło pień, za którym stała, ale Kaira nawet nie drgnęła. Tak naprawdę było jej wszystko jedno, czy ją znajdą, czy nie. Może nawet wolałaby, żeby znaleźli. Straciłaby pracę, ale za to dostałaby ciepły koc.

Koc. Koce. Spróbowała wyobrazić sobie, że owija się nimi aż po czubek głowy i że jest

jej ciepło. Ale nie potrafiła. Resztki instynktu samozachowawczego podpowiedziały, że jeśli będzie tkwić tu nieruchomo, to wkrótce zamarznie, więc spróbowała coś z tym zrobić. Zgięła na próbę jedną nogę w kolanie, potem drugą. Szło jej opornie, zupełnie jakby usiłowała uruchomić przerdzewiały mechanizm. Nie szkodzi, najważniejsze, żeby się nie poddawać.

Powtarzała w myślach dziecinny wierszyk i przytupywała niczym zwariowana lalka. Teraz już była pewna, że z jej ust wydobywa się ciche zawodzenie. Co gorsza, niewiele ją to obchodziło.

Ciekawe, pomyślała wolno, w otępieniu, czy trojaczki wspomną o mnie. Pewnie tak.

Lecz przynajmniej na razie żadna z sióstr nie wspomniała o Kairze. I nikt nie zauważył wysokiej sylwetki za pniem drzewa.

Irla, Jaheel i Kamai odeszły, odprowadzone przez Lakesha. Pozostali także zaczęli się rozchodzić. Wkrótce na brzegu jeziora została tylko Jaina Naroomi i jeden ze strażników.

Wtedy animatorka spojrzała w stronę Kairy, zupełnie jakby przez cały czas wiedziała, że dziewczyna tam jest.

Kaira znieruchomiała, jakimś cudem na chwilę nawet przestała się trząść. Nie było wątpliwości – kobieta patrzyła wprost na nią, a jej brzydka, pokaleczona twarz wydawała się zmęczona i smutna.

Trwało to kilka sekund, potem Jaina odwróciła się do strażnika.

— Da się pan skusić na kieliszek grzanego wina? — zapytała z napięciem. Cała jej pewność siebie znikła, teraz mówiła jak stremowana nastolatka, która usiłuje zaprosić chłopaka na randkę.

— Nie, dziękuję — odparł mężczyzna. — Chcę jak najszybciej wrócić do domu i wypać się po służbie.

— Tylko jeden kieliszek, proszę — w głosie Jainty brzmiało już coś więcej niż trema. Teraz jej słowa były podszyte lękiem, czarną rozpaczą. — Proszę — powtórzyła, a Kaira nagle wyobraziła sobie tę kobietę klęczącą na ziemi, błagającą.

Tylko raz słyszała, by animatorka mówiła podobnym tonem. Po południu, w drzwiach Archiwum, podczas rozmowy z mężczyzną, który uderzył ją w twarz.

— Naprawdę nie mogę. Przykro mi. — Strażnik odwrócił się i zniknął w mroku.

Jaina została sama, nagle jeszcze bardziej zmęczona i postarzała. Potem odeszła i ona.

A Kaira niezgrabnie ruszyła w drugą stronę.

— Zostaw zapaloną lampę, proszę.

— Po co?

— Boję się ciemności. — Noora przyciągnęła kolana pod brodę i objęła je, splatając palce.

Finnen ugryzł się w język, zanim wspomniał, że ostatnim razem spała bez światła. Widać dziewczyna uznała, że pora pokazać wrażliwszą część swojej natury.

Wstał, dorzucił kilka węgli do piecyka. Potem spojrzął w okno, w posrebrzony blaskiem księżyca mrok. Szyba od zewnątrz obramowana była cienką warstwą szronu i Finnen pomyślał, że temperatura musi oscylować w granicach zera.

Docenił, że w taką noc ma piecyk i ciepłe łóżko, a w tym łóżku ładną dziewczynę.

— Masz szczęście — powiedział, siadając za nią i obejmując jej ramiona.

— Czemu? — Noora ułożyła się wygodnie.

— Boisz się tylko ciemności. Ja boję się wszystkiego.

— Naprawdę? — w jej głosie zabrzmiał cień nieufności. — Na przykład czego?

— Mężczyzn, którzy są silniejsi ode mnie. Mechanicznych psów. Prawdziwych psów, choć tak naprawdę dotąd żadnego nie widziałem. Pająków. Bólu. Upokorzenia. Samotności. Tego, że kiedyś umrę. Tego, że dotrwam aż do Przebudzenia i nie umrę nigdy, bo Przedksiężycowi uczynią mnie nieśmiertelnym.

Noora poruszyła się lekko.

— Mówisz poważnie?

— Tak. Chyba tak. — Na początku żartował, ale w połowie zorientował się, że nieoczekiwanie dotknął czegoś ważnego i prawdziwego.

— I jak sobie z tym radzisz?

— Nijak. Maluję, czasem piszę wiersze. Bawię się i robię różne głupie rzeczy. Ogólnie staram się o tym nie myśleć.

— Aha. — Noora chyba straciła zainteresowanie.

Ogień w piecyku pożerał węgle, lampa naftowa paliła się wąskim, długim płomieniem, na zewnątrz rozżarzoną niemal do bieli, a wewnątrz, w samym jądrze, w kolorze indygo.

Zafascynowany gabinetem Issy, Finnen wyszukał ją u handlarza antykami i kupił za kilka tarsów.

Sprzedawca ostrzegwał, że palona nafta kopci i paskudnie cuchnie, ale na razie chłopak był zadowolony.

— A czego bała się Kaira? — zapytał ostrożnie.

— Kaira? Chyba niczego. Ona zawsze była bardzo odważna. Odważna, miła i dobra. Brakuje mi jej, wiesz?

— Zastanawiam się — nadal starannie dobierał słowa — dlaczego wasz ojciec zupełnie inaczej traktował swoje córki. Na przykład tobie pozwalał wychodzić z domu, a Kairze nie wolno było tego robić. Wiesz może czemu?

— Tata mówił, że to dlatego, bo Kaira jest najmłodsza i się o nią martwi.

— Rozumiem — przytaknął, choć wcale nie był przekonany. Przyczyna tak odmiennego traktowania musiała być głębsza, bardziej skomplikowana. Zresztą w ogóle stosunki w domu Brina Issy wydawały się mocno poplątane.

Finnen najchętniej wypytałby Noorę, o co w tym wszystkim chodzi, ale po pierwsze, nie chciał wzbudzać jej podejrzeń, a po drugie, sądził, że dziewczyna tak naprawdę niewiele wie. Issa miał charyzmę, która zniechęcała do zadawania pytań, a ponadto Noora wyrosła w jego domu i to, co ludziom z zewnątrz wydawało się dziwaczne, dla niej zapewne było najzupełniej normalne. Podobnie dla Kairy, choć ona w pewnym momencie zbuntowała się i postanowiła odejść.

Kto jeszcze mógłby znać odpowiedzi? Niraj? Brin Issa? Ten ostatni z pewnością, choć raczej nie zechce podzielić się nimi z Finnenem.

W ciszy zabrzmiał dzwonek. Przysypiająca Noora drgnęła.

— Kto to może być?

— Nie wiem. Sprawdzę.

Zimno posadzki kłuło w bosc stopy, gdy szedł do drzwi. Otworzył.

— Kaira? — miał na tyle przytomności umysłu, żeby nie powiedzieć tego głośno, tylko szepnąć.

Dziewczyna na progu wyglądała, jakby zaraz miała upaść. Woda z odmarzających włosów kapiała jej na czoło i policzki; wstrząsały nią dreszcze. Finnen wyciągnął rękę i dotknął płaszcza – był sztywny, warstewka lodu kruszyła się pod palcami. Potem spojrzał na usta w brzydkim, fioletowosinym kolorze.

— Kto to? — zza pleców dobiegł go głos Noory.

Złapał Kairę za ramię i powlókł po schodach na piętro.

— Pół minuty — powiedział. — Daj mi pół minuty. Muszę kogoś wyprosić z domu.

Prawdopodobnie nawet nie słyszała, co do niej mówi.

Pół godziny później Kaira siedziała przy piecyku, wykąpana w ciepłej wodzie, przebrana w suche ubranie i owinięta po czubek nosa w koc. Wciąż się trzęsła. Gdzieś głęboko w niej został zlodowaciały punkt, którego nie udało się rozgrzać.

— Nie wiedziałam, że sypiasz z moją siostrą — wymruczała, gdy Finnen podał jej grzane wino z przyprawami.

— Jesteś zazdrosna?

— Nie, czemu miałabym być?

— Szkoda. Myślałem, że będziesz.

Usiadł naprzeciwko ze skrzyżowanymi nogami. Kaira wypła wino. Było dobre i bardzo gorące. Trochę pomogło. Trochę.

— Nie pojmuję, jakim cudem udało ci się w ogóle tu dotrzeć — powiedział chłopak.

— Na początku nie było tak źle, mogłam nawet biec. — Wyciągnęła kubek po dolewkę. — Potem...

Przypomniała sobie tę chwilę, gdy przestała czuć własne nogi, zupełnie jakby nagle znikły, i runęła płasko na zlodowaciałą ziemię. W brzuchu i piersi poczuła paskudny ból i przez chwilę wyobrażała sobie, że wszystkie jej narządy wewnętrzne najpierw zamarły, a potem skruszyły się pod wpływem uderzenia. Zdołała wstać, ale potrafiła już tylko wlec się coraz wolniej. W dodatku straciła poczucie kierunku.

— ... potem było gorzej, ale pomógł mi pewien mężczyzna. Chciał mnie zabrać do szpitala, ale miałam jeszcze na tyle siły, żeby zaprotestować i podać mu twój adres. Odprowadził mnie tutaj. Szkoda, że nie wiem, jak się nazywał. Praktycznie biorąc, uratował mi życie, prawda?

— Chyba tak — potwierdził.

Dziewczyna wypła kolejny kubek wina. W miarę jak lodowaty punkt w jej wnętrzu topniał, wzrok miała coraz bardziej zamglony.

— Nie żebym miała więcej powodów do radości — wymruczała. — Jutro i tak Jaina wyrzuci mnie z pracy. Widziała mnie, mówiłam ci?

— Mówiłaś. A ja sądzę, że skoro cię widziała i pozwoliła odejść, to może tym razem przymknie oko na twój wybryk. Choćby dla sprawiedliwości, bo skoro siostrą Dia prawdopodobnie się upiecze, to dlaczego ty miałabyś cierpieć jako jedyna? Wspominałaś

przecież, że na początku wyglądało na to, że Jaina cię lubi.

— To było na początku... — Kaira odstawiała pusty kubek i oparła brodę o podciągnięte kolana. Siedziała w identycznej pozycji, jak jeszcze niedawno Noora.

W wydarzeniach dzisiejszej nocy było coś, nad czym powinna się zastanowić, wiedziała o tym. Problem polegał na tym, że za nic nie chciało jej się myśleć.

Osunęła się głębiej w ciepło koca.

To coś dotyczyło Jainy Naroomi.

Bo właściwie skąd animatorka wzięła się w parku? Powiedziała, że widziała, jak ptak startuje, a więc musiała być wtedy gdzieś w pobliżu Archiwum. A powinna być w domu, gdzie spędzała czas po godzinach pracy.

Myśli Kairy ślimaczyły się i rwały. Jaina, Archiwum, godziny pracy...

I dzisiejsze popołudnie.

Dziewczyna podniosła głowę, nagle znacznie mniej śpiąca. W natłoku nowych wrażeń zupełnie zapomniała o podsłuchanej rozmowie. Jaina obiecała, że będzie w nocy w Archiwum, i słowa dotrzymała. To dlatego mogła widzieć startującego ptaka. A spotkanie z owym tajemniczym mężczyzną chyba nie przebiegło zbyt pomyślnie dla animatorki, bo potem w Zimowym Ogrodzie kobieta była wyraźnie przybita i chyba też wystraszona. Tak bardzo nie chciała zostać sama; Kaira przypomniała sobie desperację, z jaką Jaina próbowała zaprosić strażnika na wino.

Skubnęła wargę, mętnie myśląc, że dałoby się to jakoś wykorzystać. Gdyby pomogła Jainie poradzić sobie z zagrożeniem, być może wdzięczna animatorka zapomniałaby, że widziała Kairę w parku. Tylko dziewczyna nie miała pojęcia, kim jest ów mężczyzna ani czego właściwie od Jainy chce.

— Kairo?

— Co?

— Mówię do ciebie od pół minuty. Nie słuchałaś.

— Przepraszam, zamyśliłam się. Możesz powtórzyć?

— Powiedziałem, że moim zdaniem powinnaś iść do Jainy i spróbować z nią porozmawiać. Przeproś ją, zdobądź ponownie jej sympatię, uwiedź ją, jeśli trzeba, skoro, jak mówisz, miała kiedyś dziewczynę podobną do ciebie.

Kaira zamrugła.

— Mówisz poważnie?

— Tak jest. — Drugi raz tej nocy zadano mu to pytanie i tym razem był pewien odpowiedzi. — Jeśli zrobisz to zrećźnie, moim zdaniem masz szansę. Ta kobieta musi być cholernie samotna i tak naprawdę tylko czeka, aż ktoś ją okłamie. Jednak jest środek nocy i musiałabyś ją obudzić, co prawdopodobnie nie wprawi jej w dobry humor...

— Jaiń nie ma w domu — zaprzeczyła odruchowo. — Myślę, że poszła do jakiejś kawiarni i tam szuka towarzystwa.

— Skąd wiesz?

— Tak myślę.

Opowiedziała Finnenowi o rozmowie, którą podsłuchiwała po południu, a potem o scenie w Zimowym Ogrodzie. Oczy chłopaka rozbłysły.

— Tym lepiej, nie sądzisz? Jaina Naroomi będzie ci wdzięczna choćby tylko za to, że posiedzisz z nią przez jakiś czas.

— Gdyby chciała mojego towarzystwa, to mogła się do mnie odezwać tam, w parku, gdy wszyscy już poszli — burknęła.

— To dumna kobieta, nie wymagaj zbyt wiele.

Kaira jęknęła i skuliła się pod kocem. Wyglądało na to, że Finnen mówi poważnie.

— Jest zimno — wymamrotała. — A mnie się chce spać. Ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili sobie życzę, to wyjść na mróz.

— Nie marudź, bo możesz w ten sposób stracić swoją jedyną szansę. Wstawaj. Pożyczę ci mój płaszcz. Buty też powinny pasować. Nie masz nic przeciwko chodzeniu w męskich ciuchach?

Podał jej rękę i pomógł wstać. Koc zsunął się Kairze z ramion, a pozbawiona jego ciepła dziewczyna momentalnie poczuła, że znowu zaczyna marznąć. Spojrzała w okno i na widok szronu zachciało jej się płakać.

— Finnen — powiedziała, gdy podał jej płaszcz. — Mówiłeś, że mam ją przeprosić, zdobyć jej sympatię, uwieść. Twoim zdaniem ja się do tego nadaję? Zwłaszcza do uwodzenia kogokolwiek?

— Szczerze mówiąc, nie. — Łagodnym ruchem popchnął ją w stronę drzwi. — Ale nie martw się. Pomogę ci.

Pułapka gotowa, pomyślał Daniel z zadowoleniem. Teraz trzeba tylko poczekać.

Usiadł przy szeroko otwartych drzwiach, wpatrzony w lustro, które ustawił tak, by odbijało fragment korytarza. Jeśli ktokolwiek będzie nim szedł, Pantalekis zobaczy go, zanim ów ktoś wkroczy do pokoju. A kiedy tylko stanie w progu, Daniel pociągnie sznurek i na głowę wchodzącego spadnie kamień wystarczająco duży, by ogłuszyć wielbłąda.

Wtedy nie będzie miało żadnego znaczenia, że człowiek ten jest niewidzialny. Daniel po prostu obejrzy nieprzytomnego w lustrze, i spokojnie będzie mógł go zabić.

Dziesięć minut po wyjściu z domu Finnen uznał, że to jednak głupi pomysł.

Kaira wiedziała mniej więcej, gdzie mieszka Jaina Naroomi, i na tym prawdopodobnie kończyły się ich sukcesy tej nocy. Dziewczyna wyglądała źle – trzęsła się mimo ciepłego okrycia, a kiedy przystawali, by sprawdzić drogę, zamykała oczy i sprawiała wrażenie, jakby miała zasnąć na stojąco.

Finnen żałował, że wyciągnął ją na mróz, zamiast pozwolić odpocząć. Dopiero teraz dotarło do niego, że przed kilkoma godzinami Kaira naprawdę mogła umrzeć. Na zewnątrz, zanim jeszcze doszła do jego mieszkania, albo nawet później, gdy ją ratował. Na samą myśl zmiękły mu kolana. Nie pojmował, jakim cudem wtedy zachował spokój i w ogóle potrafił zrobić cokolwiek, skoro teraz podsuwane mu przez wyobraźnię obrazy niemal przyprawiły go o atak paniki. Trwało to jednak krótko i zdołał wziąć się w garść. Po prostu szedł przed siebie, wciągając w płuca mroźne powietrze i powtarzając sobie, że już wszystko jest dobrze. Pomogło.

Pozostały jednak wyrzuty sumienia i strach. Już nie panika, ale właśnie strach, taki mętny, lepiący się do każdej myśli. Że dziewczyna poważnie zachoruje. Że Jaina Naroomi naprawdę okaże się wredną suką, wcale niespragnioną towarzystwa. Wyobrażał sobie możliwe zakończenia tej nocy i te najgorsze wydawały mu się jednocześnie najbardziej prawdopodobne.

Bywały chwile, gdy miał wrażenie, że byłby zdecydowanie szczęśliwszy, gdyby tyle nie myślał.

Wyczerpana i zziębnięta Kaira najwyraźniej takich wątpliwości nie miała. Ufała Finnenowi. Może to właśnie było najbardziej przerażające. Jej wiara, że chłopak wie, co robi, ciążyła mu jak kamień u szyi.

Bywały też chwile, gdy prostota tej dziewczyny niesamowicie Finnena irytowała.

— To tutaj? — zapytał, gdy znaleźli się na Schodach Krótkich. Pokryte warstwą zlodowaciałego śniegu stopnie były tak śliskie, że schodząc, musiał przytrzymywać się poręczy. W centrum schody posypywano solą, ale tutaj, na granicy Kwartалу Skadrańskiego, nikt nie dbał o takie rzeczy.

Finnen uniósł głowę. Stojący przed nimi budynek zdobiły rury ułożone w kształt smoczej paszczy: zęby jak pnie drzew, rozdęte nozdrza, lypiące na przechodniów oko. Brakowało chyba tylko ognistego oddechu.

Większość okien była ciemna, świeciło się tylko jedno, tuż nad smoczym kłębem.

— To tutaj?

— Tutaj — potwierdziła Kaira. — Ale i tak powinniśmy poszukać najbliższej czynnej kawiarni.

Finnen rozejrzył się. Wokół nie było żywego ducha, lecz nie tracił nadziei, że w końcu znajdzie się ktoś, kto wskaże im drogę. Mieszkańcy Lunapolis lubili nocne życie i mało prawdopodobne, by zimno oraz późna pora odstraszyły wszystkich.

W bramie budynku pojawiła się przysadzista, męska sylwetka. Finnen zawahał się.

— Kairo...

— Coś nie tak?

Chciał zaproponować, że może powinni wrócić do domu, ale zamiast tego powiedział tylko „Wszystko będzie dobrze” i pobiegł w ślad za mężczyzną, który zdążył już zejść ze schodów i skręcić.

To nie była świadoma decyzja, bo chłopak wcale w tym momencie nie myślał. Po prostu gładko wskoczył w rolę, którą los postanowił mu przeznaczyć. Skoro nie potrafił się pozbyć wątpliwości, to przynajmniej mógł udawać, że ich nie ma. Dziś w nocy Finnen będzie lekkomyślnym, pewnym siebie młodzieńcem, który głęboko wierzy, że swoim urokiem oczaruje każdą kobietę. Mógł nim być, dlaczego nie. Dla dobra Kairy, dla własnej przyjemności. Granica pomiędzy prawdą a udawaniem zawsze była bardzo cienka – być może w jego przypadku nawet w ogóle nie istniała.

Kaira przysypiała na kawiarnianym siedzeniu. Od czasu do czasu, gdy otwierała oczy, przez mleczną szybę przegródki oddzielającej boksy widziała niewyraźny zarys pleców Finna, który siedział w przeciwległym końcu sali. A gdyby podeszła bliżej i przysunęła oczy do szkła, w miejscu, gdzie biel przecinały fantazyjne kwiatowe wzory, zobaczyłaby też Jainę Naroomi siedzącą naprzeciwko chłopaka, z twarzą już rozpogodzoną i czerwoną od wypitego wina oraz komplementów.

Czasem rzeczywiście przyciskała nos do szyby i poprzez przezroczyste kwiaty patrzyła na kobietę, którą szanowała, której się bała i którą chyba też mimo wszystko lubiła. Myślała wtedy, jakim sposobem Finnowi udało się ją poderwać, i wiedziała, że nie pojmie tego, nawet gdyby chłopak opisał tę scenę słowo po słowie i gest po geście. To nie była kwestia zrozumienia, tylko instyktu, talentu. Finna miał ten talent, ona nie.

Resztką grzanego wina w kubku wystygła, więc Kaira odsunęła ją na drugi koniec stolika. Wszystko, co zimne, wciąż budziło jej niechęć. Z drugiej strony, nawet ten gest wykonany został bez przekonania. Jej zmęczenie osiągnęło pewien stały poziom, na którym właściwie było jej wszystko jedno.

Dostrzegła, że za mleczną szybą Finna odwraca się w jej stronę i unosi rękę w geście, jakby chciał kogoś pozdrowić, ale się rozmyślił.

Kaira wstała i przeszła przez salę do stolika, przy którym siedzieli Finna i Jaina.

Kobieta na jej widok zbladła, uśmiech zniknął z jej twarzy jak zdmuchnięty. Spojrzała na chłopaka wzrokiem, który wyrażać miał chyba wściekłość, ale tak naprawdę więcej w nim było bólu.

— Wiedziałam, że to będzie ona... — wymamrotała. Musiała już sporo wypić, bo język jej się plątał. — Jak mogłeś mi to zrobić?

Kaira nie przywykła do takich scen i teraz była zażenowana. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, więc tylko stała sztywno. Czuła się jak kompletna idiotka, a Jaina Naroomi budziła w niej zarówno litość, jak i niechęć.

Finna nie wydawał się ani przejęty, ani tym bardziej zażenowany. Położył rękę na dłoni Jaina, a ona – ku niejakiemu zdumieniu Kairy – nie cofnęła jej, tylko odwróciła twarz do ściany i jeszcze mocniej zacisnęła usta.

— Hej — powiedział łagodnie chłopak. — Prosiłem cię, żebyś mi zaufała, prawda? Od razu uczciwie ostrzegłem, że raz skłamię, a we wszystkich innych kwestiach będę mówił prawdę. To właśnie było to jedno kłamstwo. Tylko jedno. Poza tym mówiłem prawdę. Przez cały czas.

Jaina nadal odwracała twarz do ściany. Po jej policzku – tym, który widziała Kaira – płynęły łzy.

— Nie mogę — wyszeptwała.

Finnen delikatnie ujął ją za podbródek i zmusił, żeby na niego spojrzała. Potem odgarnął jej z czoła włosy ruchem tak pełnym czułości, że Kaira poczuła zazdrość. Sama już nie wiedziała, czy Finnen udaje, czy też nie.

— Możesz.

— Powinnam cię nienawidzić. — Jaina spróbowała raz jeszcze odwrócić głowę, ale Finnen powstrzymał ją bez trudu. Nie walczyła zbytnio.

— Jeśli chcesz, możesz mnie nienawidzić. Trochę. — Uśmiechnął się. — Odrobina nienawiści dodaje miłości pikanterii.

— Czego ode mnie chcecie?

— Chcemy dotrzymać ci do rana towarzystwa.

— A potem? — Przeniosła wzrok z Finna na Kairę. W jej oczach pojawiła się złość i zarazem coś w rodzaju ponurej satysfakcji, jakby już przyłapała ich na kłamstwie.

— Potem się zobaczy. — Chłopak uśmiechnął się znowu, szeroko, swobodnie, a jednocześnie wciąż z czułością. — Nawet gdybyśmy rzeczywiście czegoś od ciebie chcieli, to przecież nie możemy do niczego cię zmusić. Jeśli zechcesz, wyrzucisz nas o świcie, a my nic nie będziemy mogli zrobić. Ty rozdajesz teraz karty, Jaino.

Mieszkanie animatorki wyglądało tak, jak się można było spodziewać. Pokoje były wysokie, mroczne i chłodne, a podłogi zdawały się ziębić stopy nawet poprzez podeszwy butów. Żadnych dywanów ani miękkich kobierców. Na tle srebrnych ścian stały bardzo proste sprzęty z drewna zimnorośli, i znowu – żadnych bibelotów czy drobiazgów, które uczyniłyby pomieszczenia bardziej przytulnymi. Tylko w salonie wisiał szklany obraz podświetlony tak, że rzucał na środek pomieszczenia płamę jaskrawopomarańczowego światła, a w rogu stała świetlikowa rzeźba. Czerwone iskry pełzały po kocioludzkiej, wyprostowanej sylwetce o wyzywających kształtach dojrzałej kobiety i zwierzęcej głowie.

Przez otwarte drzwi Kaira dostrzegła sypialnię, a w niej lustro. Nie zwyczajnie powieszona, lecz wtopiona w ścianę, w wyrwę o brzegach tak nieregularnych, że wyglądała, jakby wydarło ją pazurami olbrzymie zwierzę. Kaira uznała, że to niezły, choć nieco ekscentryczny pomysł. Ponadto dziwiło ją, iż Jaina zdecydowała się na lustro, i to tak duże, że kiedy się wstawalo z łóżka, żadną miarą nie można było uniknąć przejrzania się w nim.

Dziewczyna usiadła na kanapie obok Finnena. Jaina zniknęła w kuchni, skąd po chwili dobiegł odgłos stawianego na płytce podgrzewającej dzbanka i szczęk filiżanek.

— Wcale nie mam ochoty na kawę — wyszeptła buntowniczo Kaira.

— Ja też nie, ale myślę, że ona — Finnen ruchem głowy wskazał kuchnię — lepiej się poczuje, jeśli najpierw czymś nas poczęstuje.

— Zamierzasz się z nią przespać?

— Dlaczego nie?

— Wygląda naprawdę paskudnie.

„Nią”, „ona” – Kaira celowo nie używała imienia Jainya. Tak było łatwiej. Potrzebowała teraz choćby odrobiny złości, która odciąłaby ją od innych, bardziej niebezpiecznych emocji.

— Przesadzasz, nie wygląda aż tak źle. Poza tym — Finnen zaśmiał się cicho — będę myślał o tobie.

Pocałował ją, zanim zdążyła wymyślić jakąś sensowną odpowiedź. Możliwe, że w ogóle nie było na to żadnej sensownej odpowiedzi.

— Przyznaj, że podnieca cię myśl, że ona teraz wejdzie i nas razem zobaczy — powiedziała Kaira, kiedy oderwał wargi od jej ust.

— Trochę. Ciebie nie?

— Ja mam nieco inne wyobrażenie o niebezpieczeństwie.

— Tak, wiem, że masz.

Chciał pocałować ją jeszcze raz, ale odsunęła się, mówiąc „Naprawdę mnie to nie bawi”, co nie było prawdą, ale przynajmniej dało jej odrobinę ponurej satysfakcji.

Jaina wróciła z tacą. Finnen uniósł swoją filiżankę i odstawił ją na stół.

— Rozmyśliłem się — oznajmił. — Chyba nie mam ochoty na kawę.

Wziął obie kobiety za ręce i zaprowadził do sypialni. Tam zajął się starszą, o młodszej zupełnie zapominając. Kaira sama zdjęła ubranie. Skupiła się na chłodzie, który przeniknął jej ciało. W lustrze jej własna twarz wydawała się naznaczona piętnem smutku. Zbyt wiele wypitych kubków grzanego wina, które miały ją rozweselić, a które jedynie napełniły ją tępym uczuciem samotności. Zbyt późna godzina, za mało snu, za dużo zimna. Tej nocy mogła z jego powodu umrzeć. Teraz powinna być zakłopotana, ale wcale nie była.

W lustrze widziała także Finnena i Jainę. Kobieta leżała na plecach, a chłopak ssął sterczące sutki. Potem, kreśląc na spoconej skórze skomplikowane wzory, zjechał językiem w dół i rozchylił jej uda. Oczy Jaiiny zamglily się od rozkoszy. Miała ładne, silne i białe ciało, które połyskiwało w mroku rozproszonym światłem niby-świec. Chwyciła Finnena za ramiona, przyciągnęła do siebie i pocałowała. Jej pojękiwania były teraz głębsze, bardziej nagłące. Sapnęła, a potem zamruczała, gdy chłopak w nią wszedł. Przesunął dłonią po jej policzku, włożył palce pomiędzy zęby, a ona ugryzła go lekko. Ich nagie ciała, uderzając o siebie, wydawały wilgotny, klaszczący dźwięk, który w każdej innej sytuacji brzmiałby zabawnie.

Kaira patrzyła na to w lustrze. Tak było prościej. Lustro oddzielało ją od tego, co działo się za jej plecami.

Jaina wygięła kręgosłup, odchyliła głowę i zacisnęła powieki. Wtedy Finnen odwrócił się, jego oczy spotkały się w lustrze z oczami Kairy. Wyciągnął dłoń, mokrą od potu i ciepłą, i zamknął palce wokół nadgarstka dziewczyny. Uśmiechał się.

„Będę myślał o tobie”.

Kaira wyrwała rękę, nagle czując uderzenie gorąca.

Jaina uniosła się na łokciach. Rysy miała odprężone, twarz niemal ładną. Pomiędzy jej piersiami połyskiwał złoty klucz. Dotknęła go delikatnie opuszkami palców.

— Kairo?

Zawołana odwróciła się niechętnie.

— Tego ode mnie chcesz?

Finnen nadal się uśmiechał, teraz porozumiewawczo, jakby chciał powiedzieć: „No dalej, Kairo, teraz twoja kolej”.

Dziewczyna milczała. Jaina ujęła jej dłoń i przyłożyła do swojej piersi, tak że Kaira wyczuwała jednocześnie wypukłą twardość klucza i gorąco skóry. Pozwoliła, by kobieta ją pocałowała. To było przyjemne i blizny na twarzy Jainya zupełnie nie miały teraz znaczenia. Kaira przymknęła oczy, a Jaina pochyliła się do jej ucha i wyszeptała kilka słów, jednocześnie wędrując dłonią po wewnętrznej powierzchni jej uda.

Kaira uniosła powieki i spojrzała w lustro. Rozbawiło ją, że Finnen patrzył na nie dokładnie w ten sam sposób, w jaki niedawno patrzyła ona.

Pantalekis walczył dzielnie, wbijając kciuki w gałki oczne, powtarzając szeptem zapamiętane z dzieciństwa wierszyki, a nawet szczypiąc przedramiona tak mocno, że na skórze rozlały się siniaki. Wszystko na próżno. Zmęczenie okazało się silniejsze i głowa Daniela opadła na pierś, a z ust wydobyło się miarowe pochrapywanie.

Kamień wciąż wisiał nad drzwiami. Korytarzem nikt nie nadchodził.

Kaira raz jeszcze zerknęła w lustro. Widziała teraz siebie, widziała Jainę i Finnena. I jeszcze kogoś. Szczupły mężczyzna stał przy łóżku. Jego twarz skrywał mrok, w ręce trzymał nóż.

Zamknęła oczy i otworzyła je na powrót. Mężczyzna nie zniknął. W sypialni było troje ludzi, w lustrze odbijała się czwórka.

Kaira krzyknęła i odruchowo odepchnęła Jainę, która spojrzała na nią, zdumiona. Jej oczy, już i tak rozszerzone, rozwarły się jeszcze szerzej, a na szyi pojawiła się cienka, czerwona linia, która szybko wezbrała krwią.

W lustrze niewidzialny mężczyzna podrzynał animatorce gardło.

Zareagowali jednocześnie, Finnen i Kaira. Jego dłonie ześlizgnęły się po czymś, co najwyraźniej było barkiem oplecionym metalową siatką. Ona na ślepo chwyciła widmowe ramię i pchnęła z całą siłą, na jaką ją było stać. Czuła, jak ciało poddaje się i leci w bok, na lustro, które pękło w miejscu, gdzie uderzyła niewidzialna głowa. Kaira widziała jej odbicie, krótkie, ciemne włosy, a także plecy zabójcy, który oszołomiony, zsuwał się na podłogę. Nie dostrzegła, czy w ręce nadal trzyma nóż.

Jaina opadła na czworaki, krwawiąc obficie na białą pościel.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że później ani Finnen, ani Kaira nie potrafili przypomnieć sobie szczegółów. Kaira w lustrze zobaczyła, jak mężczyzna zaczyna się niezgrabnie podnosić. Finnen doskoczył do niego, podniósł lecące przez ręce, niewidzialne ciało. Gdy nóż przejechał mu po skórze dłoni – chłopak poczuł nie ból, ale nagłe uczucie gorąca; z drugiej strony mężczyznę trzymała Kaira, wysoka i silna, która potrzasała nim jak słomianą kukłą.

Chwilę potem lustro było już zupełnie rozbite, a sylwetka zabójcy odbijała się w rozrzuconych odłamkach. Kapała na nie krew, która zbierała się też na oczkach metalowej siatki, czerwień i srebro tworzyły niepełny, jakby zawieszony w powietrzu obrys rozbitej głowy.

Kaira spojrzała na martwą Jainę, a Finnen spojrzał na Kairę. Dziewczyna oczy miała puste jak łupiny orzecha, ale to, co powiedziała, było rozsądne i logiczne:

— Teraz rozumiem, dlaczego nie chciała zostać sama. Myślała, że jak z nią będziemy, to on nie przyjdzie. — Potrząsnęła głową. — Myślała, że ją ochronimy.

Interludium

Lia Tistra

Tistra jest dzieckiem Principium, zamówionym przez ojca w jednym tylko celu: dziewczyna miała zostać kochanką idealną, piękną, czułą i uległą. I rzeczywiście taka jest, lecz ponadto ma kilka innych, dodanych przypadkowo cech, o których jej ojciec nic nie wie.

Każdego dnia Tistra schodzi do ciepłych piwnic, gdzie ojciec trzyma psy, podaje im wodę, głaszcze i mówi do nich, a one przychodzą, by trącać jej ręce zimnymi nosami. Prócz psów w Lunapolis żyje jeszcze kilkadziesiąt innych gatunków zwierząt. Króliki, lisy i łasice, owce i karłowate świnię, a nawet niewielkie małpy. Wszystkie są zbyt cenne, by pozwolić im żyć, a potem zestarzeć się i umrzeć, dlatego gdy tylko podrosną, zamienia się je w dzieła sztuki. W wiele różnych dzieł sztuki. Kucharze-artyści gotują ich mięso, kuśnierze-artyści szyją ze skór ciepłe rękawice i kamizele. A zwierzęca osobowość zostaje przeniesiona do mechanoidu, dzieła sztuki największego i najcenniejszego.

Tistra wie, że tak trzeba, ojciec mówi o tym każdego dnia, zanim weźmie ją do łóżka, a mimo to od czasu do czasu budzą się w niej wątpliwości. Mechanoidy – zanim zostaną wystawione na aukcjach – także przychodzą do niej, by trącać jej ręce zimnymi, metalowymi nosami, lecz to nie to samo. Tistra zdecydowanie woli żywe, ciepłe zwierzęta i lubi sobie wyobrazić, że między nią a nimi istnieje jakiś tajemniczy, telepatyczny związek, że rozmawia z nimi, a one jej odpowiadają. Dla Tistry niemal każdy dzień jest źródłem jakiejś niespodzianki, gdyż kolejne pokolenia niezgrabnych i puchatych szczeniaków wydają się coraz lepiej rozumieć jej myśli.

Czasem Tistrze wydaje się, że to psy stają się inteligentniejsze, a czasem (tylko czasem, bo Tistra jest bardzo skromna), że rosną jej własne umiejętności.

Część IV Niespodzianki

Finnen

Z ostatnich godzin tamtej nocy, gdy zginęli Jaina Naroomi oraz niewidzialny mężczyzna, pamiętam tylko przebliski. Czerwień rozlewającą się po białej pościeli, całe morze czerwieni o dusznym, metalicznym zapachu. Nad nią krążyły świetliki, te same, które jeszcze niedawno udawały płomienie świec, a teraz przypominały roje otumanionych much. Ich blask odbijał się we krwi w miejscach, gdzie zbierała się w załamaniach prześcieradeł, bo było jej zbyt dużo, by od razu wsiąknąć.

Pamiętam moment, gdy zapinałem koszulę: palce wcale mi nie drżały – chyba – ale trwało to niesamowicie długo, czas rozciągnął się jak we śnie. Haftka po haftce, haftka po haftce. Dotyk płótna pod skórą dłoni. Skupiałem się na tej czynności jak pijak, który bardzo chce udowodnić, że jest zupełnie trzeźwy.

I jeszcze później, gdy Kaira coś do mnie mówiła, a ja widziałem jej poruszające się wargi, ale nie słyszałem słów, zupełnie jakby ktoś wyłączył dźwięk.

Chwile wyłowione z mroku i wypalone w mojej pamięci.

Potem, już na schodach, Kaira chwyciła mnie za ramię i powiedziała: „Klucz”. Usłyszałem to, ale przez chwilę nie potrafiłem tego słowa do niczego dopasować. Brzmiało, jakby mówiła w obcym języku.

— Co?

— Klucz — powtórzyła cierpliwie. Oczy wciąż miała puste, bez wyrazu, ale za to na jej twarzy malował się upór. Taki bierny i tępy, pozbawiony choć cienia złości czy agresji. Kulila się, jakby było jej zimno, i wyglądała tam, na schodach, jakby mogła tak stać przez wieczność, wciąż z tą samą pustką w spojrzeniu.

— Musimy wziąć klucz. Ten, który Jaina nosi na szyi. Potrzebuję go.

Dopiero teraz dotarło do mnie, co ona mówi.

— Pójdę po niego. Zaczekaj.

Nie przyszło mi do głowy, żeby powiedzieć: „Sama idź po ten cholerny klucz”, albo coś w tym rodzaju. Jestem mężczyzną, więc oczywiste było, że powinienem to zrobić ja. Dopiero później zrozumiałem, że Kaira jest silniejsza ode mnie, i to zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Mimo to – dziwna rzecz – nigdy do końca nie wyzbyłem się wobec niej opiekuńczych

instynktów. Może dlatego, że czasem, mimo całej swojej siły i psychicznej odporności, Kaira sprawiała wrażenie tak bardzo samotnej i... zagubionej. Tak, właśnie zagubionej, jakby nie do końca mogła uwierzyć w to, co rozpętała. Ale o tym opowiem później, teraz klucz.

Wróciłem po niego.

Zaduch w sypialni był jeszcze gorszy, niż zapamiętałem, a świetlikowe lampki oblepiały widzialną (i rozbitą) głowę niewidzialnego człowieka. Gdy wszedłem, poderwały się i zaczęły krążyć wokół mojej twarzy. W ich ruchach wyczuwało się wyraźną nerwowość. Odeгнаłem je, ale tym razem zawiódł wpisany w nie program i nie zrozumiały komunikatu.

Pochyliłem się nad martwą Jainą i zdjąłem jej z szyi łańcuszek. Długo trwało, zanim odpiąłem zamek, zupełnie jak wtedy, gdy zapinałem haftki koszuli.

Kaira wciąż tkwiła tam, gdzie ją zostawiłem. Wyciągnęła rękę po klucz i wzięła go z krótkim skinieniem głowy.

Chyba właśnie wtedy przyszło mi do głowy określenie „bezwzględna”. Kaira była miła i dobra (miła i dobra – tak właśnie powiedziała Noora), lecz także w pewien sposób bezwzględna. Istniały dla niej kwestie ważne i ważniejsze, a zdobycie klucza zaliczało się do tych drugich. Ponieważ było oczywiste, że musimy po niego wrócić, nawet mi nie podziękowała.

Ani wtedy, gdy jeszcze była w szoku, ani nigdy później.

1

Finnen ponownie rozpałił w piecyku, który zdążył już wystygnać. Przez okno wdzierał się świt w kolorze mętnej herbaty. Zapowiadał się kolejny zimny, pochmurny dzień.

Kaira spała, w dłoni wciąż ściskając klucz, którego łańcuszek dla bezpieczeństwa owinęła wokół nadgarstka. Chłopak spróbował rozchylić jej palce, a wtedy uniosła powieki, patrząc na niego wzrokiem od razu przytomnym i czujnym.

— Ne chcę ci tego ukraść — powiedział łagodnie. — Pomyślałem tylko, że tak byłoby ci wygodniej...

Zamrugła i czujność zniknęła z jej oczu.

— Wiem, że nie chcesz ukraść klucza. Ufam ci.

— Tak często to powtarzasz, że czasem się zastanawiam, czy ty nie próbujesz w ten sposób mną manipulować. Próbujesz, Kairo?

Uniosła się na łokciach i przygryzła dolną wargę. Potrząsnęła głową.

— Nie wiem, może trochę. Ale poza tym mówię prawdę. Ufam ci i tak naprawdę nie mam teraz nikogo poza tobą. — Skrzywiła się jak dziecko, które właśnie uświadomiło sobie, że palnęło gafę. — To też zabrzmiało, jakbym usiłowała tobą manipulować, prawda?

Finnen roześmiał się, krótko i bez prawdziwej wesołości. Bolała go głowa, a ciało domagało się snu.

— Nie musisz stosować takich sztuczek. I tak zrobiłbym dla ciebie wszystko.

Większość ludzi obróciłaby taką propozycję w żart, a potem z uprzejmości o niej zapomniała, uznając, że rozmówca z pewnością już żałuje tego, co powiedział. Ale nie Kaira. Dziewczyna spojrzała na niego z powagą.

— To niebezpieczne, co mówisz. Mogłabym kazać ci zrobić coś, na co zupełnie nie miałbyś ochoty.

— Wiem. Ale mimo wszystko uważam, że warto zaryzykować. — Finnen nie żałował tego, co powiedział, chciałby tylko umieć lepiej to ująć, bo „zrobiłbym dla ciebie wszystko” brzmiało jak tekst z kiepskiej sztuki.

— Dlaczego?

— Z wielu skomplikowanych powodów. Sam nie jestem pewien, czy dobrze to rozumiem. Powiedzmy, że z pewnych względów wydajesz mi się... właściwą osobą.

— Właściwą do czego?

— Żeby zapisać się w historii. A jeśli będę się trzymał ciebie, to i ja się w niej zapiszę.

Po chwili pełnej zakłopotania ciszy Kaira zachichotała krótkim, wymuszonym śmiechem kogoś, kto próbuje docenić niezabawny dowcip.

— Czy ktoś ci już kiedyś mówił, że jesteś stuknięty?

— Nie, ale zawsze chciałem, żeby ktoś mi coś takiego powiedział. Wiesz, szaleństwo jest w cenie, zwłaszcza wśród artystów.

— No więc uważam, że jesteś stuknięty. — Uśmiechnęła się raz jeszcze, tym razem szczerze i jednocześnie jakby trochę smutno. — A twoją propozycję przyjmuję.

Krzywiąc się, Kaira wciągała przez głowę suknię, którą miała na sobie podczas wyprawy z trojaczkami. Po kąpieli w lodowatej wodzie materiał był sztywny i wygnieciony, a w dodatku u dołu spódnicy widniały plamy z błota.

Wzięła z łazienki wilgotną gąbkę i spróbowała je zmyć. Przy okazji odkryła oderwany rąbek i dwa niewielkie rozdarcia. Nie przejęła się nimi, tak samo jak niespecjalnie przejmowała się błotem.

— Będę musiała pożyczyć od ciebie płaszcz. Mój zrzuciłam w wodzie, żeby nie krępował mi ruchów, kiedy płynęłam.

— Proszę bardzo. — Finnen ziewnął demonstracyjnie i zamieszał łyżką w misce rozgotowanej kaszy kukurydzianej, która wyglądała wyjątkowo nieapetycznie. Najwyższa pora pójść do Hal i zdobyć coś świeżego, przemknęło mu przez głowę i myśl ta natychmiast utonęła w sennym odrętwieniu. Oparł policzek o rękę i zamknął oczy.

Był ranek, spali najwyżej półtorej godziny, a Kaira uparła się, żeby wstać. W dodatku – co napełniło chłopaka podziwem wymieszanym z zazdrością – wcale nie wyglądała na zmęczoną. Widok kogoś tryskającego energią o tej porze zawsze wywoływał w nim bunt, którego przejawem była ochota, by usiąść w fotelu i nic nie robić przez następnych kilka godzin.

— Możesz wziąć coś z moich rzeczy, jeśli tej sukni nie da się wyczyścić — zaproponował. Światło słońca przesączało się przez zamknięte powieki, pulsując przed oczami intensywną czerwienią. Wcisnął kciuki w oczodoły i czerwień stała się ciemniejsza, w niektórych miejscach niemal czarna. Finnen miał wrażenie, że jego głowę wypełnia miękka wata. — Albo możesz wrócić do siebie.

— Nie zdążę. Za pół godziny muszę być w Archiwum.

— To się trochę spóźnisz, co z tego? — Otworzył oczy i uśmiechnął się, nagle znacznie mniej senny. — A przy okazji uspokoiłabyś Dime. Idę o zakład, że on się o ciebie zamartwia, biedaczek.

Pilnował się, by w jego tonie nie zabrzmiała złośliwa satysfakcja, ale nie bardzo mu wyszło. To, że zeszłej nocy Kaira przyszła po pomoc właśnie do niego, o niczym jeszcze nie świadczyło, bo Dime mieszkał daleko od Zimowego Ogrodu. Lecz Finnen mógłby się także założyć, że przez ostatnich kilkanaście godzin Kaira wcale o Dime nie myślała, a to już miało

znaczenie.

Chwila milczenia pełnego zakłopotania upewniła go, że trafił w dziesiątkę.

— Wyślę do niego wiadomość z Archiwum — powiedziała wreszcie dziewczyna, wracając do rozczesywania włosów. — Nic mu nie będzie, od odrobiny niepokoju nikt jeszcze nie umarł.

Biedaczysko, pomyślał Finnen. Jego radość rozmyła się w litości, cieplej i doprawionej sporą dawką protekcyjnego poczucia wyższości. Kaira zdecydowanie nie była dziewczyną dla Dime. Inna rzecz, czy byłaby dziewczyną dla Finnena. Chłopak wcale nie miał pewności.

— Jesteś pewna, że chcesz tam iść? — zapytał. — A jeśli w Archiwum już wiedzą o śmierci Jainy?

— Muszę. — Z charakterystycznym dla siebie uporem potrząsnęła czupryną, a białe, rozczesane włosy miękko opadły wzdłuż twarzy. — Zwłaszcza jeśli już wiedzą o jej śmierci, to powinnam przyjść do pracy jak gdyby nigdy nic. Inaczej ktoś zacznie coś podejrzewać.

Finnen skinął głową, choć miał wątpliwości, czy Kaira potrafi zachowywać się „jak gdyby nigdy nic”.

— Poza tym — ciągnęła, teraz mniej pewna siebie, ale wciąż uparta — jeśli kiedykolwiek będę miała szansę wejść na dziesiąte piętro, to właśnie dziś. Potem zamki zostaną zmienione.

— Kairo?

— Mhm?

— Po co właściwie ci to dziesiąte piętro? To znaczy, ja rozumiem, tam są projekty, które mogą pomóc ludziom umierającym w przeszłości, ale co przyjdzie ci z tego, że je sobie poprzeglądasz?

Otworzyła szerzej oczy, szczerze zdziwiona, że Finnen pyta o takie rzeczy. Dla niej było to oczywiste.

— Wybiorę jeden albo kilka najłatwiejszych w realizacji i postaram się wynieść dokumenty poza Archiwum. A potem namówię kogoś, żeby sfinansował te projekty. Tak, wiem, co chcesz powiedzieć — dodała szybko, zanim zdążył otworzyć usta. — Że jestem naiwna i tak dalej. Ale ja to naprawdę dobrze przemyślałam. Archiwum wcale nie ma monopolu na wynalazki. Wiesz, że po mieście krąży co najmniej kilkadziesiąt sztuk broni palnej, stworzonej z całą pewnością poza jego murami? Można więc, jak widać. A w Lunapolis jest sporo ludzi, którzy nie mają co robić z pieniędzmi i których mogę namówić, żeby mi pomogli. Gdyby tylko

odpowiednio przedstawić im całą sprawę...

— Przedksiężycowi potrafią być mściwi i nie lubią, kiedy ktoś robi coś wbrew ich woli. Przy następnym Skoku wszyscy możemy zostać z tyłu. Ty, ja i nasz nieznany jeszcze sponsor, którego pewnie będziemy musieli oszukać, bo przecież nie powiemy mu całej prawdy.

Przez twarz Kairy przemknął cień wątpliwości. Zacisnęła usta.

— Dlaczego Przedksiężycowym miałoby przeszkadzać, że pomagamy ludziom z przeszłości? Nie zmienimy przecież ich losu. Mnie zależy tylko na tym, żeby mniej cierpieć, żyli dłużej i umarli z godnością. Co w tym złego? Poza tym Przedksiężycowi wcale tak chętnie i często nie karzą ludzi, którzy im się sprzeciwiają. Tak sędzę. Gdyby tak było, nikt nawet nie tknąłby broni palnej, prawda?

Finnen wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, nigdy nie spotkałem nikogo, kto by jej używał. Ani zresztą czegokolwiek innego, czego używania Przedksiężycowi zabronili. Czasem się zastanawiam, czy takie wynalazki nie są przypadkiem czymś w rodzaju miejskiej legendy. Mniejsza zresztą z tym. Jeśli chcesz ryzykować, twoja sprawa.

Mógł jej wypomnieć, że ryzykuje także jego życiem, ale nie zrobił tego, co napełniło go niejaką dumą. Mógł także powiedzieć (a miał na to wielką ochotę), że uszczęśliwianie ludzkości Kaira mogłaby zacząć od drobiazgów, na przykład takich jak zamartwiający się przez całą noc Dime, a potem dopiero zabrać się do poprawiania losu reszty.

Zrezygnował.

— Klucz — dodał tylko, gdy Kaira była już gotowa do wyjścia, a Finnen ubierał się, by ją odprowadzić. — Jeśli chcesz dzisiaj zabrać do Archiwum klucz, musisz go dobrze schować. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, co ludzie pomyślą, gdy go znajdą przy tobie?

W świetle poranka, który wbrew temu, co zapowiadał świt, wcale nie był pochmurny, wydarzenia zeszłej nocy wydawały się dziwnie nierealne. Nawet Finnen wahał się, czy zacząć na ten temat rozmowę z Kairą. Całkiem na serio rozważał, czy dziewczyna nie otworzy szeroko oczu i nie powie „Chyba coś ci się przyśniło”.

Finnenowi często sny myliły się z rzeczywistością, a wspomnienia były płynne, zmieniały się w zależności od tego, komu i w jaki sposób o nich opowiadał. Zresztą nie musiał nawet opowiadać, wystarczyło, że myślał o przeszłości, a już na to, co rzeczywiście pamiętał, zaczynało nakładać się to, co sobie wyobrażał. Właśnie aby uniknąć czegoś takiego, chciał się jak najszybciej naradzić z Kairą. Tym razem potrzebował faktów, nie fantazji, choćby i najbardziej barwnych.

— Jak sądzisz — zaczął, kiedy szli w stronę Archiwum — kim był mężczyzna, który zabił Jainę?

Rzuciła mu spłoszone spojrzenie, ale kiedy spostrzegła, że wokół nie ma nikogo, kto mógłby podsłuchiwać, odprężyła się.

— Nie wiem, ale stawiałabym na wynajętego art-zbrodniarza. Myślę... — zawahała się, jej oczy rozbłysły — ... myślę, że Jaina zdradzała tajemnice Archiwum. Może od czasu do czasu wносиła jakieś wynalazki? Ale w pewnym momencie odmówiła, a wtedy tamci zaczęli jej grozić...

— Skąd wiesz, że to mogło mieć coś wspólnego z wynalazkami? I że nie było jednorazowe?

— Bo umawiała się z tym tajemniczym człowiekiem właśnie pod Archiwum, a przecież nie robiłaby tego, gdyby jej ciemne interesy nie miały nic wspólnego z pracą. Poza tym w rozmowie była mowa o „ostatnim razie”, czyli trwało to dłużej.

Finnen skinął głową. Rozumowanie dziewczyny wydawało się logiczne.

— Nie mam pojęcia, co by to mogło być... — Kaira zmarszczyła brwi. — Nic dużego, oczywiście, bo nie dałaby rady tego wynieść, przynajmniej nie sama, a nie sądzę, żeby miała współnika. Może któryś z leków?

— Widziałaś twarz człowieka, który ją zabił?

— Przecież on był... och! — Rozbrajająco dziecięcym gestem przesłoniła usta ręką i raz

jeszcze rozejrzała się, spłoszona.

Zeszli już na plac Aylena, ale i tutaj nie było wielu ludzi, tylko przy pomniku zebrała się grupka młodzieży.

— Widziałam jego twarz w odłamkach, które leżały na podłodze. Wiesz, potem, kiedy już był... martwy. — Ostatnie słowo wypowiedziała starannie, jak ktoś, kto uczy się obcego języka. — Nie wszystko, ale parę charakterystycznych szczegółów. Nos, taki wydatny i bardzo cienki, i oko, ciemne i głęboko osadzone, a nad nim szeroka brew. Myślę, że z powodu tego nosa i brwi łatwo było go rozpoznać, kiedy nie nosił siatki niewidzialności.

Finnen potarł czoło. A więc miał rację. To nie wyobraźnia spletała mu figła, lecz naprawdę widział twarz martwego zabójcy. Też pamiętał ten charakterystyczny nos, odbijający się w największym z odłamków lustra, i oko, odbite w kawałku trochę mniejszym.

Przyszło mu do głowy coś jeszcze. Człowiek, który zamordował Jainę, nosił siatkę niewidzialności, dokładnie tak samo jak zabójca, o którym mówiła Noora – ten, który miał zabić kulawego mężczyznę z gwiazd. Niewielka szansa, że było to dwóch różnych ludzi, bo w Lunapolis istniały może ze trzy egzemplarze siatki.

A więc jeden zabójca, wynajęty najpierw do zabicia kulawego, a potem do zlikwidowania Jainy. Wynajęty przez jednego człowieka czy dwóch? To jest pytanie, pomyślał Finnen. Mogło być tak, że skrytobójca wykonał pierwsze zadanie, a potem przyjął następne, ale mogło być i tak, że pracował dla tylko jednego zleceniodawcy, którym w takim przypadku byłby Brin Issa lub któryś z jego przyjaciół.

Brin Issa... Finnen pokręcił głową. Znowu on. Miał wrażenie, że gdziekolwiek by się obrócił, natyka się na tego człowieka.

Postanowił, że na razie nie powie o swoich podejrzeniach Kairze. Tego ranka dziewczyna miała dość problemów na głowie.

Przed wejściem do Archiwum wyjęła z kieszeni przepustkę, a potem, wciąż ściskając ją w dłoni, spojrzała na Finnena.

— Nadal uważasz, że jestem naiwna?

— Chylę czoła przed twoją naiwnością — zapewnił ją. — Ludziom tak naiwnym udaje się wiele rzeczy, których zrobienie komuś bardziej rozsądnemu nawet nie przyszłoby do głowy.

Nie uwierzyła albo w ogóle nie usłyszała, co powiedział. Znowu wydawała się zagubiona, jakby myślami przebywała gdzieś daleko. Chłopak miał wrażenie, że Kaira chce coś dodać, może

zadać inne pytanie, znacznie ważniejsze. Lecz dziewczyna odwróciła się i bez pożegnania znikła w gmachu Archiwum.

Zastanowił się, o co mogła chcieć zapytać.

Na przykład o to, które z nich zabiło niewidzialnego człowieka.

Wielokrotnie analizował chwilę, gdy głowa zabójcy uderzyła w lustro, rozbijając je na części. Kto tak naprawdę pchnął wtedy mężczyznę? On czy Kaira? Im dłużej Finnen o tym myślał, tym większą zyskiwał pewność, że to była Kaira. To ona znalazła w sobie wystarczająco dużo siły i determinacji – a może po prostu przerażenia – by zabić.

I było coś jeszcze. Tamten dzień, gdy Brin Niraj udusił kobietę z przeszłości. Syn Issy czekał wówczas, aż w Archiwum zjawi się Kaira, choć już wcześniej wiedział, że umierającą trzeba będzie dobić. Dlaczego?

Na przykład po to, by siostra choć częściowo podzieliła z nim winę za tę śmierć, odpowiedział sobie Finnen. Albo z czystej złości, by sprawić jej ból. Albo – istniała też taka, znacznie bardziej niepokojąca możliwość – po to, żeby oswoić Kairę z przemocą.

Najwyższy czas pogadać z Nirajem, pomyślał chłopak. On może być kluczem do zrozumienia wielu rzeczy. Jasne, że nie będzie w czasie tej rozmowy szczery. Ale nawet z kłamstw można czegoś się dowiedzieć.

4

Koniec sznurka wysliznął się z palców Pantalekisa i zawieszony nad progiem kamień runął na podłogę.

Daniel poderwał się, adrenalina momentalnie rzuciła go w kąt pokoju, plecami do ściany. Prawa, zeszywniała dłoń sama odnalazła rękojeść noża, a lewa, pokonując skurcz, zacisnęła się w pięść.

Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w drzwi, a potem, już przytomniej, przesunął się ostrożnie i spojrzął w lustro. W głowie mu się kręciło, serce łomotało gdzieś w okolicy gardła.

Odbijający się w lustrze korytarz wyglądał na pusty.

Pantalekis kręcił głową, co chwila łowiąc kątem oka jakiś ruch czy błysk, które niezmiennie okazywały się przemykającym po ścianie cieniem gałęzi czy zabłąkanym promieniem słońca.

Nic niezwykłego. Nic... niebezpiecznego.

Solidny mur za plecami uspokajał i Daniel zaczął oddychać wolniej, a jego ręce przestały się trząść. Wszystko jest w porządku, powtarzał w myślach. Tu nie ma nikogo.

Podskoczył znowu, gdy usłyszał skrzypnięcie, i dłuższą chwilę nasłuchiwał, zamarły, ze spoconą dłonią zaciśniętą na nożu. Napięcie było tak wielkie, że momentami obraz wciąż pustego korytarza rozmazywał się Pantalekisiowi przed oczami i mężczyzna bał się, że zaraz zemdleje. Gdyby teraz do pokoju ktoś wszedł – ktokolwiek, choćby i niewinne dziecko – Daniel rzuciłby się na niego z płaczem i wściekłością jednocześnie.

Spokojnie, powtórzył, z trudem przetykając ślinę. Gdyby niewidzialny chciał cię zaatakować, już dawno by to zrobił. To stary dom, prawie ruina. Tu ma prawo czasem skrzypieć.

Rozejrzał się ponownie, tym razem mniej nerwowo. Kurz leniwie wirował w strugach czerwonego światła, a na różowobiałej ścianie poruszały się cienie bezlistnych gałęzi.

Pantalekis spojrzął w okno, ale oprócz szarpanego wiatrem drzewa nie zobaczył niczego ciekawego.

Odwrócił się i powoli, wciąż przygotowany na najgorsze, podszedł do drzwi. Kolana uginały się pod nim i czuł się jak mokra szmatka, którą ktoś przepuścił przez wyżymaczkę. Wciąż chciało mu się płakać, co wystraszyło go najbardziej. Teraz nie mógł sobie pozwolić na słabość.

Obejrzał kamień, który jeszcze niedawno wisiał na sznurze przerzuconym przez hak nad drzwiami. Pantalekis nie miał pojęcia, do czego ów hak służył – może kiedyś wieszano na nim zegar albo coś w tym rodzaju. Tak czy inaczej, jemu się przydał. Co prawda teraz, gdy myślał jaśniej, pułapka wydawała się niezwykle prymitywna, niemniej miała szansę zadziałać.

Pantalekis zdecydowanie lepiej by się czuł, gdyby niewidzialny zgodnie z planem dostał w łeb i skończył z podejrzanym gardłem. A tak Daniel nie miał pojęcia, co o tym sądzić. Spał długo, pewnie ponad osiem godzin, co mogło oznaczać, że zabójca z jakiegoś dziwnego powodu zrezygnował z pościgu. Ogarnęła go litość? Znudził się? Znalazł sobie inne zajęcie?

To brzmiało jak dowcip, ale każda z tych możliwości mogła być prawdziwa. Bądź co bądź Pantalekis nie miał bladego pojęcia, czym zasłużył na śmierć ani nic nie wiedział o psychice ludzi w tym świecie. Może niewidzialny chciał go zabić, ot tak, dla rozrywki? Może właśnie zamknięto tu sezon polowań na obcych?

Usiadł przy ścianie w takiej pozycji, by widzieć lustro, i zaczął myśleć. Był wyspany – niewątpliwie plus całej tej sytuacji, choć obudził się z dłońmi zdrętwiałymi od trzymania sznurka. Był też wciąż niezłe wystraszony, ale i głodny. I chciało mu się sikać.

To ostatnie przeważyło. Przy lustrze czuł się w miarę bezpiecznie, lecz wiedział, że nie może tu zostać wiecznie. A konieczność opróżnienia pęcherza była dobrym pretekstem, by zebrać się na odwagę i wyjść na zewnątrz.

Mahameni Mehus kucnął, zamiatając podłogę połą płaszcz. W nozdrza buchał mu ostry odór krwi, przez który z wielkim trudem przedzierały się inne zapachy. Bulwiasty nos mężczyzny zadrgał, grube wargi rozchyliły się, ukazując rzadkie i żółtawe zęby. Mahameni poruszył ustami, jakby coś przeżuwał.

— Było tu jeszcze dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta — powiedział po chwili, gdy jego ludzki umysł uporał się z sygnałami nadawanymi przez nieludzkie zmysły. — Oboje młodzi.

— W Lunapolis wszyscy są młodzi — odparła Tellis, co niezupełnie zgadzało się z prawdą, bo ona sama była stara. — Zdejmij płaszcz, proszę. Ubabrzysz go w krwi.

— Większość krwi jest na łóżku — wymamrotał Mahameni, ale posłusznie zdjął okrycie. Tak jak kobieta się spodziewała, nosił koszulę nie pierwszej już świeżości, ubrudzoną czymś, co wyglądało na resztki sosu, i z wielkimi plamami potu pod pachami.

Tellis odwróciła się bez słowa komentarza, podeszła do łóżka i spojrzała na martwą kobietę. Leżała na brzuchu, a końce jej czarnych włosów zlepione były zakrzepłą już krwią.

— Jaina Naroomi — powiedziała. — To jej mieszkanie. Sąsiadka z naprzeciwka zobaczyła dziś rano, że drzwi są uchylone, więc weszła i zawołała. A ponieważ nikt nie odpowiadał, poszła dalej, w głąb mieszkania.

— I znalazła ją.

— Ją i jego też. — Tellis westchnęła, spoglądając na drugie ciało, spoczywające na podłodze i oplątane srebrnymi drucikami.

— To siatka niewidzialności, prawda? — szepnął Mahameni z szacunkiem. Był sierżantem, wynalazki widywał tylko na zdjęciach w gazetach, a Tellis miała rangę kapitana i raz nawet brała udział w sprawie włamania do Archiwum.

— Zgadza się. Siatka działa bezpośrednio na umysł, tak jakby każdy z tych maleńkich węzełków wysyłał ci sygnał „tu nic nie ma”. Oczywiście to duże uproszczenie, ale mniej więcej o to chodzi. A kiedy noszący siatkę umiera, jego ciało stygnie, znika energia, która podtrzymuje działanie wynalazku, i człowiek na powrót robi się widzialny. — Popisawszy się wiedzą, Tellis obciągnęła rękawy koszuli, która była świeżo wyprana i wyprasowana, a mankiety zapięte jak należy. Na każdym z nich, tak samo jak na sprzączce paska od spodni, widniał złoty wąż, symbol straży.

Pod względem stroju trudno było o większy kontrast niż Mahameni i Tellis, lecz mimo to coś ich łączyło. On był brzydki, a ona stara, oboje więc odbiegali od standardowego wizerunku mieszkańców Lunapolis. Kobieta zawdzięczała wiek talentom detektywistycznym, dzięki którym Przedksięzycowi pozwolili jej przetrwać kilkanaście Skoków. Zmarszczki i siwe włosy budziły w ludziach szacunek, lecz bynajmniej nie poprawiały Tellis humoru, zwłaszcza gdy w lustrze spoglądała na własną twarz. Mahameni z kolei był ofiarą roztargnienia matki, która duszoinżynierom zwierzoludzi zapłaciła za udoskonalenie synowskich zmysłów, ale zapomniała dorzucić choć paru tarsów na rzecz urody.

Jak na ironię, zamordowana też była oszpecona, o czym Tellis przekonała się, gdy przekreśliła ją na plecy.

— Biedna kobieta — wymruczała, przesuwając palcami po jej twarzy. — Biedna kobieta.
— Ciekawe, czy mnie też byś żałowała, gdybym umarł. — Mahameni wyszczerzył zęby.
— I ciekawe, czy też byś dotknęła. Zrobiłabyś to? Nie teraz, ale po śmierci, gdy byłbym siny i zimny?

Znała ten jego ton, niby żartobliwy, a jednak nie do końca, jakby Mahameni, mając alibi w postaci ironii, chciał jednak powiedzieć coś więcej.

Spojrzała na niego chłodnymi, szarymi oczyma.

— Twoje uwagi są nie na miejscu. Proponuję, żebyś się od nich powstrzymał i zajął pracą.

— Przepraszam — wymamrotał, wycofując się jak ślimak w głąb skorupy. Uraza przemknęła przez jego twarz tak szybko, że Tellis ledwo zdążyła ją zauważyć. — Już wszystko w porządku, tak? To był żart, rozumiesz. Głupi żart.

— Żart — przyznała posłusznie. — A teraz powiedz mi, czy zdołałbyś po zapachu rozpoznać tych dwoje, którzy tu byli.

— Jasne, że tak. — Gorliwie skinął głową.

Uwierzyła mu, niestety. Co prawda pracowali razem ledwo od tygodnia, lecz z tego, co słyszała, Mahameni rzeczywiście był wystarczająco dobry, by sobie z tym poradzić. A to mogło... komplikować wiele spraw.

Westchnęła, spoglądając na martwego młodzieńca w siatce niewidzialności. Art-morderca czy zwykły zabójca? Ci pierwsi byli niezwykle sprawni, wyćwiczeni. Nie istniał dla nich mur, na który nie mogliby się wspiąć, ani zamek, którego nie zdołaliby otworzyć. Im lepszą cel miał

ochronę, tym większą satysfakcję dawało zlikwidowanie go. Wręcz szukali trudnych wyzwań – jeśli ktoś publicznie chwalił się, jak bardzo zaufane ma strażę i jak mocne kraty w oknach, było pewne, że prędzej czy później ktoś przyjdzie go zabić, choćby nikomu nie zawinił.

Art-mordercy czynili ze śmierci widowisko, im bardziej okrutne, tym lepsze. Niedawno pewien mężczyzna został wywleczony nocą z łóżka, skrępowany i zaprowadzony do wieży widowiskowej, gdzie art-mordercy zmusili go, by wszedł pomiędzy szklaną kopułę i dach. Potem zamknęli za nim klapę i zablokowali zamek. Mężczyzna przez kilka godzin pełzał po szkle, nagi i doskonale widoczny dla zebranych w sali ludzi, którzy okrzykami i gwizdami zachęcali go, by ruszał się szybciej. Umarł wreszcie z przegrzania, pod palącymi promieniami sztucznego słońca, zanim strażnicy miejscy zdążyli się do niego dostać. Inne przypadki były niewiele mniej spektakularne. Mężczyzna, którego w biały dzień i na oczach trzech jego kochanek przecięto stalową linką na dwie równiutkie części. Siedem sióstr nawleczonych na iglicę wieży widowiskowej czy też sprawa otrucia rodziny Toramea. A potem jeszcze pewien młodzieniec, który – choć całkowicie martwy i nawet lekko już cuchnący – wszedł do sali bankietowej, metalicznym głosem powitał wszystkich, po czym skłonił się uprzejmie i padł nosem na posadzkę.

Jeśli ktoś z takiego czy innego powodu chciał, by jego wróg zginął w najbardziej efektowny sposób, wynajmował art-mordercę. Jeśli komuś zależało, by taką czy inną osobę usunąć cicho i szybko, płacił zwyczajnemu zabójcy.

A więc – Tellis wróciła do pytania – art-morderca czy po prostu zabójca do wynajęcia, jeden z tych młodych ludzi, którzy mając kiepskie geny i niewiele czasu, żeby przed śmiercią się zabawić, nieustannie potrzebują pieniędzy? Na to mogłoby wskazywać podejrzenie Jainie gardło, co nie było zbyt pomysłowe. Z drugiej jednak strony, nie wiadomo, co zamierzał zrobić później. Może zabiłby także dwie pozostałe osoby, chłopaka i dziewczynę, a potem „artystycznie” (Tellis nawet w myślach zaznaczała cudzysłów) ułożyłby ciała całej trójki. Albo, tu kobieta skrzywiła lekko usta, uznał, że zamordowanie kogoś w trakcie miłosnej gry jest już wystarczająco dziwaczne, by mogło ująć za sztukę.

Schyliła się, wymacała na piersi trupa zatrask i zdjęła siatkę niewidzialności. Nie musiała w tym celu nawet obracać zwłok. Jeśli ktoś wiedział, za jakie druciki pociągnąć, węzłki rozplątywały się i siatka schodziła gładko jak łupinka kasztana.

Za plecami usłyszała cichutki gwizd podziwu, który – choć w tych okolicznościach

zupełnie niestosowny – sprawił jej przyjemność. Nie odwróciła się jednak w stronę Mahameniego. Spojrzała na Jainę Naroomi i zapytała w myślach: „A ty? Kim ty byłaś?”.

Rzecz jasna, Tellis znała najprostszą odpowiedź; wiedziała o zmarłej nawet więcej, niż w tej chwili powinna. Jednak nie chodziło o tożsamość Jainy, jej znajomości czy zwyczaje. Chodziło o jej charakter.

Jaina była brzydka.

Ta zewnętrzna cecha określała jej osobowość, zwłaszcza tutaj, w Lunapolis, gdzie piękni – a przynajmniej ładni – ludzie żyli zabawą, której najważniejszą część stanowiły flirt, romans i wreszcie seks. Jaina dobrowolnie zrezygnowała z urody, oddała ją w zamian za zdolności animatorki i choć niewątpliwie były one dla niej pocieszeniem, to przecież musiała też cierpieć.

Tellis nie miała wiele czasu. Niedługo zjawi się ekipa badawcza, lekarze zabiorą ciało Jainy, a technicy przetrząsną jej mieszkanie cal po calu. Raport wyląduje na biurku Tellis, ciężki tom z kartkami spiętymi metalowymi spinaczami. Mało prawdopodobne, by znalazło się tam coś ważnego, ale może... może któryś z tych podrzędnych niuchaczy zauważy coś, czego nie powinien widzieć.

Rozejrzała się, starannie omijając wzrokiem Mahameniego, który stał w pozie pełnej szacunku, milczący i nieruchomy niczym wypchana słomą kukła wiernego sługi. Z nim też będzie problem, ale nad tym zastanowi się później.

A teraz – kim byłaś, Jaino Naroomi?

Tellis wyobraziła sobie kobietę, która każdego ranka budzi się w tym łóżku i przegląda w lustrze. Prawdopodobnie patrzy na własną twarz długo, może dotyka blizn opuszkami palców. Albo mruczy pod nosem najbardziej okrutne określenia, jakie przyjdą jej do głowy. Brzydsza od najbrzydszego dziwoląga. Gęba paskudna jak zaropiał tyłek. Żadnych złudzeń, żadnej litości. „Pamiętaj, kim jesteś, i nie wyobrażaj sobie zbyt wiele” – oto lekcja, jaką powtarza codziennie przed wyjściem do pracy. Jest w tym duma, bo Jaina nie chce się oszukiwać, ale jest i coś bardziej... chorobliwego? I rodzaj asekurancja też. Ostatecznie teraz nikt już nie zrani jej bardziej, niż ona zraniła samą siebie.

Nie znaczy to bynajmniej, że Jaina nie ma z kim sypiać. Prawdopodobnie kręci się wokół paru facetów. Mężczyźni, którzy dzięki niej czują się lepsi, bo przespali się z brzydulą. Mężczyźni, których brzydota fascynuje, i tacy, którzy wierzą, że brzydkie dziewczyny mają niezwykle erotyczne uzdolnienia, bo przecież czymś brak urody muszą nadrabiać. I wreszcie

najgorsi z nich, czyli mężczyźni, którzy lubią zadawać ból, nie fizyczny, ale subtelniejszy, duchowy. Na pozór są czuli, mówią, że blizny to nic, że nie mają znaczenia, ale nieustannie do nich w rozmowie wracają, wypytyują, skąd się wzięły, czy bardzo bolało i czy nadal boli, przesuują palcami po okaleczonych policzkach i głaszczą je, rozdrapując w ten sposób rany, choć udają, że chcą wyleczyć.

Tę odrobinę ludzkiego ciepła, jakiej każdy potrzebuje, Jaina wylawiać musi spod sadystycznych perwersji i chorobliwych fascynacji. Mężczyźni oszukują ją mniej lub bardziej świadomie, a ona pozwala się oszukiwać, sądząc przy tym, że sama znajomość ich motywacji (z których musi zdawać sobie sprawę) ją chroni. Ale to nieprawda, nic jej nie chroni, bo co z tego, że Jaina wie, jakie naprawdę znaczenie mają wszystkie te słodkie słówka i czułe gesty, skoro szybko się od nich uzależnia?

Tellis stała pośrodku sypialni, patrząc na martwą kobietę. Czasu było coraz mniej.

Jak daleko to wszystko zaszło? Jaina powiesiła lustro w sypialni, więc oglądała w nim nie tylko samą siebie, ale też siebie w towarzystwie. Jej własna brzydota skontrastowana z urodą mężczyzn i kobiet, zapraszanych do łóżka. To mogło być źródło kolejnych uderzeń, które Jaina z upodobaniem sobie aplikowała. Patrzyła w lustro podczas miłosnych igraszek? A może... może...

Wyobraź sobie, co ty zrobiłabyś na jej miejscu. Też przecież jesteś brzydka, choć twoja brzydota wynika ze starości, nie z okaleczenia.

— Mahameni, idź do drzwi wejściowych i sprawdź, czy ktoś nie majstrował przy zamku — rzuciła z roztargnieniem, patrząc na ścianę, gdzie niegdyś znajdowało się lustro. — Musimy wiedzieć, jak zabójca dostał się do środka.

Natychmiast, gdy tylko mężczyzna wyszedł, Tellis skoczyła do ściany. Miała rację. Na wysokości łóżka połyskiwało krągłe ślepie aparatu wirofotograficznego.

Wiszące pod sufitem wiatraki obracały się wolno, zagarniając powietrze. Cienie ich ramion przemykały przez twarze pracowników, spływały na biurka, a stamtąd na podłogę; wspinały się, zniekształcone i rozedrgane, na ściany. Pochylona nad tłumaczeniem Kaira słyszała tupot nóg wyższych urzędników, którzy biegali tam i z powrotem z tekstami, przyciszone rozmowy (dominował temat zniszczonego ptaka oraz nieobecności Jaiiny Naroomi) oraz stukot translatorów, a dalej, w tle, równomierne szszszszschodów ruchomych.

Zawieszona nad klawiaturą dłonie znieruchomiały i wtedy padł na nie cień wiatraka. Podmuchał włosy Kairy, ktoś krzyknął cicho, gdy przeciąg zrzucił na podłogę stertę kartek – nie uniosła głowy, ale słyszała, jak spadają, ten szeleszczący dźwięk był nie do pomylenia z niczym innym. Mimo wiatru wciąż było nieznośnie gorąco, dziewczyna czuła, jak strużka potu spływa, łaskocząc, między jej łopatkami. Suche powietrze pachniało nagrzanym metalem, a także czymś pylistym, co przywodziło na myśl głębokie, ciemne i stare studnie, w których od dawna nie było kropli wody.

Woda. Kaira przesunęła spuchniętym językiem po wyschniętych wargach. Muszę się czegoś napić. Nie wstała jednak, żeby pójść do bufetu. Tłumaczyła nadal.

Zmęczenie wbijało się w czaszkę niczym klin. Dokładnie tak to odczuwała – jakby ktoś włożył w jej mózg kołek promieniujący znużeniem na całe ciało. Do nasady nosa i niżej, do brzucha, gdzie wirowało ospałymi falami. Energia, która ożywiała ją rano, znikła bez śladu, teraz spocona dziewczyna najchętniej położyłaby się do łóżka, pod chłodne prześcieradło. Choć i tak chyba nie zdołałaby zasnąć. Jej umysł pracował jak zepsuta maszyna, wciąż i wciąż wyświetlając te same obrazy, wracając do tych samych wspomnień.

Czarno ubrano sylwetka przy łóżku, błysk noża, Jaina konająca z poderżniętym gardłem. Krew, jej zapach, jej kolor, oleista gładkość czerwieni na białej skórze. Odgłos pękającego lustra. Obrazy, dźwięki i zmysłowe wrażenia niczym garść niekompletnych klocków. Nie potrafiła przestać, jej umysł zbuntował się i krążył wokół wspomnień z uporem psa oszczekującego jeża. Zachichotała. Nigdy nie widziała prawdziwego jeża.

I znowu – błysk noża, Jaina konająca w rosnącej kałuży krwi, dźwięk rozbijanego lustra. Pomiędzy tymi scenami była ciemność. Kto zabił zabójcę, kto rozwalił mu głowę o zwierciadło? Ona czy Finnen? Kaira coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Finnen.

Wszystko to musiało mieć jakiś sens i dziewczyna próbowała go odnaleźć. Ludzie zafascynowani książką analizują ją, starając się dotrzeć do źródła jej niezwykłości, lecz ostatecznie zostają z garścią czarnych literek na białym tle, ze słowami, które z każdym czytaniem stają się coraz bardziej puste, bo istota książki gdzieś znika. Tak samo Kaira rozłożyła wspomnienia zeszłej nocy na elementy podstawowe, nic nieznaczące.

Zapach krwi, jej kolor, czerwony, intensywny, błyszczący w blasku świetlików. Chwila, gdy głowa zabójcy uderzyła w lustro. Czy naprawdę widziała zdumienie w odbiciu jego oczu, czy tylko je sobie wyobraziła? Nie była pewna, choć jeszcze przed kilkoma godzinami mogłaby to sobie przypomnieć, a potem przywołać w pamięci także inne szczegóły, aż wreszcie pojęłaby wydarzenia zeszłej nocy i dopasowała je do układanki. Przynajmniej tak jej się zdawało, bo teraz miała wrażenie, że to, co najważniejsze, przecieka jej między palcami jak woda, z każdą chwilą bledsze, dalsze, aż wreszcie przestała wierzyć, że w ogóle istniało.

Odsunęła translator, wyprostowała plecy. Bolały ją mięśnie i wciąż chciało jej się pić.

— Pójdę do bufetu, tylko na moment, zaraz wracam — powiedziała w przestrzeń, do nikogo konkretnego.

Minęła młodego mężczyznę, który pracował przy jednym z biurek. Dla ścisłości – udawał, że pracuje, a tak naprawdę, gdy tylko wstała, zaraz zaczął się na nią gapić. Była tego pewna, co więcej, pamiętała, że ten sam chłopak śledził ją oczyma już kilka razy. Czasem w przelocie mówił „cześć”, ale to wszystko, nigdy nawet się nie przedstawił. Nieśmiały wielbiciel? Kaira nie miała w tej chwili głowy, żeby się nad tym zastanawiać.

W bufecie wypila kawę, po czym wróciła na siódme piętro i stanęła przed drzwiami sali 9C. Zawahała się. Oprócz niej w holu były tylko dwie kobiety, obie ukryte za doniczką i liśćmi wielkiego krzaka zimnorośli. Kaira słyszała ich przyciszone głosy – mówiły o siostrach Dia, które zostały karnie usunięte z pracy, ale ponieważ ich dziadek pociągnął za odpowiednie sznurki, nic więcej im nie groziło.

Kaira wstrzymała oddech, czekając, czy kobiety wspomną o czwartej osobie biorącej udział w kradzieży ptaka. Nie wspomniały, z czego dziewczyna wynioskowała, że trojaczki wzięły całą winę na siebie. Powinna poczuć wdzięczność, ale nie potrafiła. Wiedziała, że dla siostr Dia był to drobny gest uprzejmości, jak otworenie drzwi przed kimś, kto niesie zbyt wiele pakunków i sam nie może sobie poradzić. Siostry nie zdradziły jej, bo nic by na tym nie zyskały, ale w przeciwnym wypadku nie zawahałyby się ani chwili.

Kaira odwróciła się i wskoczyła na ruchome schody.

Hol ostatniego piętra świecił pustkami. Nie było tu nawet zimnorośli, za którymi można by się schować, lecz Kaira, podchodząc do zakratowanych drzwi z szyfrowym zamkiem, i tak rozglądała się płochliwie, jakby lada moment ktoś miał wyskoczyć z kąta. Już wcześniej rozważała, czy powinna przyjść tu teraz, w dzień, czy poczekać do wieczora, a może nawet do nocy. Każde z tych rozwiązań miało swoje plusy i minusy. Teraz ryzykowała, że ktoś zacznie jej szukać, bo przecież powinna pracować. Później miałyby więcej czasu – pod warunkiem, że udałoby się jej niepostrzeżenie przemknąć na dziesiąte piętro – lecz jednocześnie ktoś mógłby usłyszeć odgłos jej kroków, bo nocą większość maszyn była wyłączona i w budynku panowała cisza.

Ostatecznie przeważył argument, że lepiej zrobić to teraz, póki do Archiwum nie dotarła wiadomość o śmierci Jainy.

Kaira wsunęła klucz do zamka i obróciła, po czym przekręciła gałkę szyfrowego zamka. Wrona, morski żółw, liść paproci, żelazo i powietrzny statek. Znaki najstarszego w Lunapolis alfabetu, od dawna już nieużywanego. Mimo to znała je, wszyscy je znali, bo był to jeden z najpopularniejszych elementów zdobniczych.

Serce dziewczyny biło mocno, na twarzy miała szeroki uśmiech.

Już. Gotowe.

Nic się nie stało. Drzwi pozostały zamknięte.

Rozczarowanie momentalnie zmyło całą ekscytację. Kaira tępo gapiała się w zamek, potem raz jeszcze zakręciła gałką. To musiało zadziałać, przecież dobrze pamiętała.

Nie zadziało.

Spróbowała ponownie, z rosnącą złością. Gdy drzwi wciąż nie chciały się otworzyć, kopnęła je i walnęła pięścią, nie zważając na to, że hałas może kogoś zwabić.

Niech to Skok pochłonie! Musiała pomieszać kolejność obrazków albo może Jaina zwyczajnie skłamała, szepcząc jej do ucha tych kilka słów. Wtedy Kaira mogła przysiąc, że w głosie animatorki słyhać absolutną szczerłość, ale teraz nie była już tego taka pewna, a wspomnienia z zeszłej nocy zacierały się i rozmywały coraz bardziej.

Włożyła dłoń do ust i ugryzła. Ze złości chciało jej się krzyknąć.

Z drugiej strony, pomyślała, wciąż gryząc palce, nawet jeśli się pomyliłam, to niewiele, mogłam źle zapamiętać jeden symbol, ale przecież nie wszystkie. A jeśli Jaina mnie oszukała, to

szyfr, który mi podała, wciąż może być bliski prawdziwemu.

Wyjęła dłoń z ust, czując przyptyw optymizmu. Słyszała gdzieś teorię, że większość ludzi kiepsko kłamie, bo wymyślanie czegoś naprędce jest znacznie trudniejsze niż proste powiedzenie prawdy. Może więc Jaina ograniczyła się do zmodyfikowania prawdziwego szyfru, zamiast w całości zmyślić fałszywy? Mogła na przykład przestawić dwa ostatnie symbole, albo coś w tym rodzaju.

Możliwe, pomyślała Kaira, że da się do tego dojść metodą eliminacji.

Spróbowała zamienić miejscami dwa ostatnie obrazki, potem pierwszy z ostatnim, a następnie wpisać szyfr od końca.

Bez efektu.

Opanowała się na tyle, żeby nie zacząć walić w drzwi pięścią. Kołysała się tylko chwilę ponuro, z rękami w kieszeniach, mierząc szyfrowy zamek pełnym niechęci spojrzeniem. Później spróbowała jeszcze raz.

Starła się zastępować każdy symbol innym, po kolei i zgodnie z ruchem wskazówek zegara, tak jak ułożone były wokół gałki, lecz szybko się pogubiła. Spocone dłonie ślizgały się na metalu; podskakiwała za każdym razem, gdy na niższym piętrze ktoś kogoś zawołał, a mimo to próbowała dalej, czując, jak wzbiera w niej posępna, zacięta wściekłość. Wiedziała, że powinna przestać, ale przez cały czas tłumaczyła sobie, że jeszcze tylko raz, teraz na pewno się uda.

Za plecami słyszała równomierny szum ruchomych schodów i coś jeszcze, co jej skoncentrowany na zupełnie czymś innym umysł dopiero po chwili zidentyfikował jako rozmowę kochanków. Czułe szepty, chichoty, wypowiedane bez większego przekonania „Przestań” i „Nie tutaj”. Para przebywała na pustym zazwyczaj dziewiątym piętrze, najwyraźniej gdzieś blisko schodów, bo Kaira słyszała ją doskonale.

Nagle coś się zmieniło. Na początku nie było to nic konkretnego, po prostu fałszywy ton w odgłosach Archiwum, które Kaira dobrze już знаła. Wibrujący w ścianach dźwięk pracujących maszyn, tupot nóg, nawoływania, nawet ta szeptano-chichotliwa rozmowa kochanków – wszystko to było normalne, zwyczajne. Ale teraz, z dołu, jak wzbierający przyptyw, nadciągało coś odmiennego. Zamieszanie i krzyki, a potem alarm, tak zgrzytliwie przejmujący, że Kaira odczuła go w korzonkach zębów. I wzmocniony przez megafony głos: „Proszę wszystkich o opuszczenie budynku. Bez paniki. Proszę udać się w kierunku wyjścia. Powoli i spokojnie”.

Chwilę stała nieruchomo, nasłuchując i zupełnie nie mając pojęcia, co w tej sytuacji

powinna zrobić.

Potem pomyślała, że to idealna okazja, aby dostać się do sali z planami odrzuconych wynalazków, bo przecież w zamieszaniu nikt nie będzie jej szukał. Nawet znów kręciła gałką, coraz szybciej i bardziej nerwowo, ale wiara, że zaraz znajdzie właściwą kombinację, gdzieś znikła.

Kaira podeszła do schodów i przechyliła się przez poręcz. Na dole ktoś zawodził, a w strzępach rozmów wychwyciła słowo „pożar”. Wtedy poczuła ostry, gryzący dym, który wpełzał na schody, coraz wyżej i wyżej.

Cofnęła się, sparaliżowana strachem tak bardzo, że nie potrafiła nawet krzyknąć. Wróciły wspomnienia chwil, kiedy wisiała nad ogniem, przekonana, że zaraz w niego wpadnie. Żar, który kaleczył jej gardło przy każdej próbie oddechu, ból palonej skóry.

Wpadła na ścianę, odwróciła się i w panice, łamiąc paznokcie, otworzyła okno. Pomogło trochę, gdy przechylona przez parapet zaczerpnęła oddechu. Na dole zobaczyła tłum pracowników, którzy na jej widok zaczęli machać i coś krzyknąć, ale była zbyt wysoko, by usłyszeć słowa.

Coś było nie tak. Przecież Archiwum nie mogło płonąć, bo mury zrobiono z materiałów, które potrafiły oprzeć się każdemu, nawet największemu ogniowi. Co tu się więc paliło? Biurka? Jakies inne sprzęty?

I ten dym też był jakiś dziwny, bardziej gryzący, ale wcale nie wyczuwało się w nim charakterystycznego żaru, który Kaira dobrze pamiętała.

To nie dym, pomyślała, tylko jakiś rodzaj gazu.

Wciągała w płuca hausty czystego powietrza, a Archiwum za jej plecami uspokajało się powoli. Nie słyszała już krzyków ani szlochów, ucichł nawet alarm, tylko metaliczny głos wciąż powtarzał: „Proszę wszystkich o opuszczenie budynku. Bez paniki. Proszę udać się w kierunku wyjścia. Powoli i spokojnie”.

Kaira wisiała przewieszona przez okno z mocnym postanowieniem, że zostanie tu, aż gaz się rozwieje. Chłodny wiatr wiał jej prosto w twarz i właściwie było całkiem przyjemnie.

Dopóki nie usłyszała gdzieś z dolnego piętra głosu wzywającego pomocy.

W pierwszej chwili była pewna, że się przesłyszała, ale nie, rzeczywiście słyhać było czyjeś rozpaczliwe wrzaski.

Zacisnęła palce na parapecie, czując, jak narasta w niej bunt. Dlaczego nikt nie chce

pomóc temu człowiekowi? Przecież ona jest za daleko i nie może, naprawdę nie może przejść przez ten gryzący dym, żeby wyciągnąć nieszczęśnika na zewnątrz.

Kuliła się odruchowo za każdym razem, gdy słyszała krzyki, coraz słabsze i coraz bardziej chrapliwe, aż wreszcie, bardziej ze złością niż współczuciem, odwróciła się i zasłaniając usta oraz nos rękawem, ruszyła w dół schodów.

Nie było tak źle, jak się spodziewała. Niżej dym zgęstniał, ale mimo to dało się wytrzymać. Musiała tylko oddychać płytko przez materiał sukni, bo gdy brała głębszy oddech, zaraz zaczynało jej się kręcić w głowie. Przez większość czasu zaciskała też powieki, czując się, jakby ktoś wbijał jej w gałki oczne rozpalone igły. Grube strugi łez łaskotały, spływając po policzkach, a dziewczyna szła na ślepo, w myślach licząc stopnie. Dziewiąte piętro, ósme. Gdzie u licha był wrzeszczący człowiek? Wołała go, mimo że dym pozostawiał w ustach posmak, od którego przewracał się żołądek, dwa razy nawet odważyła się otworzyć oczy, płacąc potem za to chwilami paskudnego bólu, gdy skulona pod ścianą mamrotała w duchu wszystkie najgorsze przekleństwa, jakie przychodziły jej do głowy.

Siódme piętro, szóste. Wrzeszczącego człowieka (który teraz już nie wrzeszczał) znalazła dopiero na piątym.

Dym był tu rzadszy i Kaira mogła unieść powieki na więcej niż kilka sekund. Oczy nadal piekły, jakby przetarła je rękami ubrudzonymi chili, a łzy wszystko zniekształcały, ale przynajmniej widziała.

W tej zniekształconej, załamanej i zadymionej rzeczywistości Kaira ujrzała dziwoląga.

Był chudy i tak niski, że sięgał jej ledwo do piersi. Głowę miał przekręconą o sto osiemdziesiąt stopni jak ofiara wypadku, usta szerokie i niemal pozbawione warg, nozdrza płaskie. Tylko jego oczy były normalne i nawet ładne, a przynajmniej tak się Kairze zdawało.

Wyciągnął do niej ręce. Prawa była normalna, a lewa zdeformowana, z trzema palcami, z których środkowy miał dwa dodatkowe stawy.

— Pomóż — poprosił dziwoląg. Przy nim odmieńcy wydawali się ideałem piękna i normalności.

Z wahaniem ujęła go za zdrową rękę i poprowadziła do wyjścia. Posuwał się za nią w dziwacznych podskokach, które szarpały całym ciałem, co upewniło Kairę, że z jego stopami też coś jest nie w porządku. Dobrze, że w ogóle mógł się poruszać.

W połowie piętra zatrzymał się, wczepił w poręcz i posapywał bezradnie przez płaskie

nozdrza.

— Wezmę pana na ręce, dobrze? — Kaira starała się, żeby w jej głosie zabrzmiała odpowiednia doza szacunku. Dziwoląg musiał być jednym z wynalazców, bo tylko oni byli aż tak bardzo zdeformowani.

Schyliła się, ujęła go pod kolana i przerzuciła sobie przez plecy. Był zadziwiająco lekki, nawet jeśli wziąć pod uwagę niewielki wzrost. Kaira miała wrażenie, że niesie worek pełen ptasich kości.

— Już niedaleko — powiedziała.

Na zewnątrz wciąż trwało zamieszanie. Ludzie przekrzykiwali się i tarli zażawione oczy, jakaś kobieta wymiotowała, podtrzymywana przez koleżankę. Tu i ówdzie kręcili się strażnicy miejscy, którzy wymachując ramionami, przekonywali, że wszystko jest pod kontrolą, co tylko potęgowało ogólny rozgardiasz.

W tym chaosie tylko strażnik pilnujący wejścia zwrócił uwagę na Kairę. Pomógł jej położyć dziwoląga na ziemi, a potem wezwał lekarza.

Odsunęła się głębiej w tłum, robiąc mu miejsce.

Żadnych fanfar ani gratulacji, które w książkach zawsze towarzyszyły aktom bohaterstwa. Jedynie strażnik poklepał ją po ramieniu i powiedział: „Zostań, on pewnie będzie chciał ci podziękować, jak odzyska przytomność”.

Kaira nie została. W gruncie rzeczy nie zależało jej na wyrazach wdzięczności.

Wyłowiła z tłumy kobietę, z którą czasem rozmawiała w bufecie.

— Co tu się dzieje?

— Podobno art-złodzieje — lakonicznie odparła zapytana. — Wrzucili nam jakiś gaz, żebyśmy wpadli w panikę i żeby mogli w spokoju obrabować dziewiąte piętro. Nie wiem, czy ich złapali.

— Będziemy dziś jeszcze pracować?

Kobieta spojrzała na Kairę szeroko otwartymi oczami.

— Co ty, zwariowałaś? Strażnicy obstawili wszystkie wyjścia i podobno nie otworzą Archiwum aż do wieczora. A poza tym kto miałby teraz głowę do pracy?

— To co mamy robić?

— Kazali nam się rozejść do domów, a jeśli ktoś źle się czuje, ma się zgłosić do lekarza.

Kaira odeszła kilka kroków, po czym odwróciła się i obrzuciła wzrokiem tłum. Prócz niej

nikt nie wykazywał chęci, żeby wrócić do domu.

To zdarzenie napełniło Kairę radosnym spokojem, który być może mogłaby nawet nazwać dumą z samej siebie. Zdawała sobie co prawda sprawę, że nikomu w Archiwum nie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, ale przecież liczyło się to, że pokonała strach i wstręt, jaki czuła do zniekształconego dziwoląga.

To, i coś jeszcze.

Wcześniej bohaterstwo kojarzyło jej się albo z przyływym adrenaliną, albo z wyczytanymi w książkach scenami, gdy uratowani ze łzami w oczach dziękowali swemu wybawcy. Za każdym razem myśl o czymś takim budziła w niej skomplikowane emocje – od lęku, że sobie nie poradzi, aż po strach, że zachłystnie się tym, jak świetnie sobie radzi. A tymczasem to było takie niesamowicie proste. Dziś nie czuła radosnego przyływu adrenaliną, dziś po prostu się bała, bo tam, pośród dymu, wróciły do niej wspomnienia ognia i bólu. Mimo to zeszła na dół, gdzie nie było żadnych oklasków, żadnych wzruszających podziękowań ani łez w oczach. A jej, Kairze, wcale tego nie brakowało.

Takie proste.

W tej prostocie było coś zarazem uspokajającego i dodającego pewności siebie i Kaira, idąc podniebnym traktem, poczuła się zdecydowanie lepiej.

Przystanęła w pewnej chwili, oparła dłonie o poręcz i spojrzała w dół, na miasto, jednocześnie głęboko wdychając chłodne powietrze, które oczyściło płuca z resztek dymu. Wspomniała Jainę – i tym razem udało jej się pomyśleć o niej bez karuzeli krwawych obrazów.

Jaina.

Poczuła, jak zalewa ją fala ciepłego współczucia. Najpierw tylko pociągała nosem, potem, wciąż wracając do wspomnień, wymusiła na sobie płacz. Taka głupia, bezsensowna śmierć, chlipała Kaira, podczas gdy zimny wiatr zwiewał jej z policzków łzy.

Po chwili odetchnęła, wysmarkała nos i wytarła oczy.

Śmierć Jaina, opłakana i ułożona w zgrabnym pudełeczku z odpowiednim napisem, stała się zaakceptowaną częścią rzeczywistości.

Tellis wsunęła płytkę do projektora i spojrzała w obiektyw. Manipulowała obrazem tak długo, aż ujrzała twarz nagiego mężczyzny.

Wyprostowała się i potarła bolący kark. Szczerze mówiąc, zaczynała mieć tego dość. Wyglądało na to, że przez łóżko Jainy Naroomi w ciągu ostatnich paru miesięcy przewinęło się kilkadziesiąt osób obojga płci, najwyraźniej przypadkowych znajomych, bo jak na razie nikt nie występował na zdjęciach dwa razy.

Do przejścia pozostało jej jeszcze pięć wirofotografii, które leżały na biurku, ułożone w schludny stosik.

Tellis wypila ostatni łyk wystygłej już kawy i poruszyła ramionami. Ból promieniował od karku na plecy, w ustach czuła smak, jakby przed chwilą przeżuła kawałek zakurzonego dywanu. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz jadła porządny posiłek (wczoraj rano?), ale właściwie nie była głodna, tylko zmęczona, śpiąca i obolała.

Przymknęła oczy i pozwoliła sobie na chwilę odprężenia. Myślała o domu, łóżku z ciepłą pościelą i długim, dziesięciogodzinnym śnie.

Westchnęła, gestem dłoni przywołała świetliki, po czym naląła z dzbanka świeżej kawy. Świetliki jaśniały mocnym blaskiem, lecz Tellis i tak musiała przysunąć nos niemal do ścianki kubka, by zobaczyć, czy jest już pełny.

Dla Tellis zawsze i wszędzie było zbyt ciemno, bo urodziła się, zanim dzieciom zaczęto udoskonalać wzrok. Od lat obiecywała sobie, że zaoszczędzi na genozmianę, i od lat zarobione pieniądze znikają nie wiadomo gdzie i nie wiadomo jak. Tellis niekiedy wspominała czasy, gdy słońce świeciło jaśniej, a po zmroku palono lampy naftowe i świece. Pamiętała to jak przez mgłę, tak jak można by pamiętać piękną, lecz nieprawdziwą opowieść usłyszaną w dzieciństwie.

Teraz żyła w wiecznym półmroku, czerwonym od słonecznych promieni, niebieskim od blasku inoszyb, złotawym od świetlików. Przyzwyczała się i nauczyła częściowo zastępować zmysł wzroku wyostrzonym słuchem, ale to nie zawsze wystarczało. A poza tym czasem było jej po prostu żal tamtego jasnego, kłującego w oczy słońca.

Wsunęła kolejną płytkę do projektora i schyliła się, krzywiąc się, gdy zabolął kark.

Na zdjęciu widniała naga ciemnoskóra i białowłosa dziewczyna. Tellis nie zwróciłaby na nią uwagi, bo tak dziwaczne zestawienia kolorów zdarzały się w Lunapolis często, jednak jej

twarz wyglądała znajomo.

Patrzyła na zdjęcie, zapominając o bolącym karku i podłym smaku w ustach. Krew szybciej krążyła w żyłach, w głowie się przejaśniło i Tellis poczuła cień owego podniecenia, jakie towarzyszyło jej dawno temu, w czasach młodości, gdy wpadała na trop.

Ta twarz kiedyś była chyba inna, bardziej krągła, z wystającymi kośćmi policzkowymi...

Tellis wyprostowała się i cicho gwizdnęła.

— Coś ciekawego? — Mahameni, który właśnie stanął w progu, najwyraźniej usłyszał to gwizdnięcie.

— Nie, absolutnie nic — odparła, czując, jak opada z niej niedawne podniecenie. To nie była jej sprawa, ona musiała tylko wysłać wiadomość. — Po prostu dziwi mnie, jakim cudem tak brzydka kobieta miała tak wielu kochanków.

Trzy należące do Kairy pokoje były bardzo do siebie podobne. Wszystkie miały ściany pokryte glazurowanymi płytkami w kolorze ciemnej zieleni, z wyrytymi na nich konturami drzew o płaskich, przesadnie rozciągniętych w prawo koronach, jakby z lewej strony wiał potężny wichur. Jedno z pomieszczeń, wysunięte poza główny budynek w formie przybudówki, miało skośnie ścięty dach, w który wprawiono kolorowe szybki. Przesączające się przez nie promienie słońca dawały w efekcie rozproszone światło w barwach fioletu, głębokiej czerwieni i pomarańcza. Pokryte czarną laką meble musiały być bardzo stare.

Wszędzie pełno było książek – na półkach, niskich stoliczkach, nawet w stosach pod ścianami.

Finnen wziął jedną z nich i kciukiem popchnął suwak aż do symbolu oznaczającego „ulubione”. Książka z cichym szelestem otworzyła się na odpowiednim fragmencie.

„Ostatnia, rozpaczliwa obrona twierdzy przed przeważającymi siłami wroga nie miała prawa się powieść, lecz mieszkańcy nie tracili ducha...”.

Finnen podniósł wzrok znad tekstu i spojrzał na tytuły kilku innych książek. Legendy i baśnie. Opowieści z Czasów Odległych. O czynach bohaterskich, dawno minionych.

— Kaira miała interesujący dobór lektur — powiedział.

— Po co tu przyszedłeś? — odezwał się za jego plecami Niraj.

— Nie jesteś zbyt gościnnie, co? — Finnen odłożył książkę. — Chcę tylko pogadać.

— O czym?

— O Kairze, na przykład. Nie zapytasz, co u niej?

— Co u niej?

Finnen odwrócił się i spojrzał na Niraja. Brat Kairy siedział wygodnie rozparty w fotelu, z twarzą na wpół skrytą w mroku. Pomarańczowy blask oświetlał tylko kawałek policzka i oko, pod którym rysował się głęboki cień

— Ma się dobrze. Przez jakiś czas nie widywaliśmy się zbyt często, bo miałem wrażenie, że ktoś za mną chodzi, ale teraz wszystko jest w porządku. Chyba.

— I sądzisz, że śledzili cię ludzie mojego ojca? — Gdy Niraj chichotał, cień pod jego okiem zdawał się poruszać, a w źrenicy tańczyła iskierka. — Chyba trochę go przeceniasz.

— Ostrożności nigdy za wiele.

— I kto to mówi? Pan, panie „Ostrożności nigdy za wiele”, który spędziłeś z moim ojcem miłe popołudnie najpierw na publicznej egzekucji, a potem na turnieju?

— Zgoda, to może nie był najszcześniejszy pomysł. Ale uważałem wtedy na każde słowo.

— A może tak zacząłbyś uważać na nie tutaj, co? — Niraj rozejrzał się, a potem dodał konfidencyjnym szeptem — w tym domu ściany mają uszy, więc dobrze się zastanów, zanim coś powiesz.

Finnen zbladł.

— Mówiłeś, że twojego ojca nie ma w domu. A służący... — Zbladł jeszcze bardziej. — Myślisz, że służący mogą podsłuchiwać, a potem donosić?

— Oczywiście, że tak. — Niraj cofnął się w mrok, skąd po chwili dramatycznej ciszy dobiegł wybuch śmiechu. — Szkoda, że nie możesz teraz zobaczyć swojej miny! No już, spokojnie, nie martw się. Zadbalem o parę rozrywek dla służących, więc przez najbliższe pół godziny będą bardzo zajęci.

— Twój ojciec nie wie, że Kaira żyje? — upewnił się Finnen.

Niraj poruszył się niespokojnie i z mroku wychynęła cała jego twarz. W pomarańczowym świetle wyglądała jak wyrzeźbiona przez dziecko: oczy wciśnięte zbyt głęboko małymi paluszkami, nos jak nieforemna kula z papier mâché, zapadłe policzki, do tego wszędzie pełno cieni. Już się nie śmiał.

Finnenowi zdawało się, że dostrzega na jego twarzy niepewność, ale to mogło być złudzenie.

— Nie, jasne, że nie. Gdyby ojciec wiedział o Kairze, przecież bym ją ostrzegł.

— Na pewno? Bo właśnie się zastanawiam. Wiesz, od początku całej tej popieprzonej sprawy męczy mnie wątpliwość, po czyjej ty właściwie jesteś stronie.

— Gdybym był po stronie ojca, Kaira już dawno miałaby go na karku.

— Niby tak — niechętnie przyznał Finnen. — Ale wolałbym jednak poznać odpowiedzi na kilka pytań. Na przykład moment, kiedy dobiłeś tamtą kobietę w Archiwum. Już wcześniej wiedziałeś, że trzeba będzie pomóc jej umrzeć, ale wyłgałeś się jakąś bzdurą i czekałeś, aż Kaira do nas dołączy, bo chciałeś, żeby patrzyła na jej śmierć. Dobrze mówię, prawda? Zależało ci, żeby Kaira widziała, jak ją dusisz. Dlaczego?

— Za dużo chciałbyś wiedzieć. — Jeśli wcześniej na twarzy Niraja widać było niepewność, to teraz nie pozostał po niej ślad. — Powinieneś już iść. Mój ojciec niedługo wraca i

lepiej, żeby cię tu nie zastał.

— Wiesz, Niraj, ja lubię tajemnice, ale co za dużo, to niezdrowo. Czy ktoś z waszej rodziny nie mógłby choć raz odpowiedzieć normalnie na zadane pytanie? Noorze i Kairze się nie dziwię, one chyba niewiele wiedzą, ale założę się, że ty wiesz więcej.

Syn Issy wyszczerzył radośnie zęby.

— Bierzesz mnie pod włos? Będziesz teraz tłumaczył, jaki to jestem mądry, w przeciwieństwie do moich sióstr?

— Nie wiem, czy mądry. Po prostu mam przeczucie, że z jakiegoś powodu masz więcej informacji niż one.

— Z takiego powodu na przykład, że trzymam stronę ojca? Finnen, popadasz w paranoję.

— To dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, czemu zwlekałeś z zabiciem tamtej kobiety?

Niraj wstał.

— Zrobiłem to, co trzeba było zrobić — powiedział, mijając chłopaka. — Ani więcej, ani mniej. A teraz chodź, odprowadzę cię do wyjścia, bo ja z kolei mogę się założyć, że sam do niego nie trafisz.

— Jeśli chcesz iść do Finnena, to ja cię nie będę zatrzymywał — powiedział Dime.

— Nie chodzi o to, że chcę iść do Finnena. — Zniecierpliwiona Kaira machała nogami, siedząc na parapecie tyłem do otwartego okna. — Wcale nie chcę. Po prostu uważam, że lepiej byłoby, gdybyśmy mieszkali osobno.

— I twoja decyzja nie ma nic wspólnego z Finnenem?

— Nie, nie ma. — Kaira odwróciła się i wyjrzała. Za oknem rozciągał się widok na Kwartał Kandrisa, najcichszą ze wszystkich opuszczonych dzielnic Lunapolis. Znajdowała się wystarczająco daleko, by nie dolatywały tu jej zapachy, a jednocześnie wystarczająco blisko, by Dime i Kaira mogli cieszyć się absolutnym spokojem. Po zgiełku centrum cisza w tym miejscu aż dzwoniła w uszach.

Kaira zastanawiała się, czy właśnie jest obiektem klasycznej sceny zazdrości.

Uznała, że jednak nie, bo w książkach wyglądało to zupełnie inaczej – tam mężczyźni krzydzeli na kobiety, które podejrzewali o romans, bili je, a czasem nawet grozili samobójstwem. Natomiast Dime był spokojny, słowa dobierał ostrożnie, jakby zastanawiał się nad każdym z osobna, i miał przy tym taki dziwny, lękliwy i zarazem czujny wyraz twarzy, który zupełnie do niego nie pasował.

— Jeśli nie zależy ci na Finnenie — powiedział — to może dasz mi szansę? Proszę, Kairo. Wszystko przemyślałem. Wiem, że mnie nie kochasz, ale mnie to nie przeszkadza. Doceniam twoją uczciwość, że szczerze mi o tym mówisz. No i mogę się postarać, żebyś mnie pokochała, jeśli tylko dasz mi szansę. Zastanów się choć przez chwilę, w porządku? O nic więcej nie proszę...

Kaira milczała, wciąż nie patrząc na Dime, nieszczęśliwa i nastroszona, trochę zirytowana, a trochę przejęta współczuciem. Miała wrażenie, że zupełnie do tej sceny nie pasuje, że jest jak bohaterka innej sztuki, którą nagle wrzucono w sam środek sentymentalnego melodramatu.

Dime najwyraźniej wziął jej milczenie za przynajmniej połowiczną zgodę.

— Ty tylko pomyśl, a ja się będę starał, żebyś była szczęśliwa — zapewnił, teraz znacznie bardziej przypominając samego siebie, optymistycznego i zarazem gorliwego. — W porządku? Naprawdę się postaram.

Wiem, pomyślała dziewczyna ponuro. Częściowo właśnie o to chodzi, że tak bardzo się starasz.

— Pomyślisz?

Skinęła głową, zła na siebie, że tak łatwo dała się zmanipulować. Powinna była na początku znaleźć odpowiednie słowa. Teraz będzie znacznie trudniej, wiedziała o tym.

Spojrzała na Kwartał Kandrisa. Jego nieruchomy spokój miał w sobie coś kojącego. Puste (prawie puste) budynki, ciche place oraz schody. Poruszał się tylko mechaniczny ptak, czarny punkt na tle nieba, które miało kolor bladych pomarańczy. Usłyszała, jak Dime wychodzi z pokoju.

Chłopak był miły, nie mogła temu zaprzeczyć. Zdawał sobie sprawę, że Kaira wolałaby zostać sama, więc wyszedł, choć pewnie wolałby zostać.

Spróbowała sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby się wyprowadziła i znalazła własne mieszkanie.

Przede wszystkim miałyby spokój – niewątpliwy plus takiej sytuacji, bo Kaira przez lata przywykła do samotności i teraz zdarzało się, że irytowała ją sama obecność drugiej osoby w tym samym pomieszczeniu. Nie musiałyby rozmawiać o głupotach, jeśli nie miałyby na to ochoty, względnie nie musiałyby znosić gorliwych i pełnych zrozumienia zapewnień Dime, że nie musi rozmawiać, jeśli nie chce. Nie musiałyby się śmiać z jego dowcipów lub cierpieć z powodu wyrzutów sumienia, jeśli się nie śmiała. Nie musiałyby chodzić z Dime do łóżka, bo jak dotąd z seksu zdołała wykrzesać ledwo tyle przyjemności, by z w miarę czystym sumieniem móc powiedzieć, że tak jest dobrze.

Z drugiej strony, gdyby mieszkała sama, od razu znalazłby się ktoś, kto zacząłby ją podrywać. Dla ścisłości – sporo ktosiów. I nie pomogłyby zapewnienia Kairy, że nie ma na to najmniejszej ochoty, bo przecież w Lunapolis wszyscy mieli ochotę jeśli nie na romans, to przynajmniej na niezobowiązujący flirt, i jeśli czasem odmawiali, to wyłącznie po to, by podrażnić drugą osobę. Przedsmak tego Kaira czuła już w Archiwum, a przecież tam wszyscy wiedzieli, że ma chłopaka.

Oczywiście mogłaby się wyprowadzić i twierdzić, że nadal z kimś mieszka, to byłoby jakieś wyjście. Problem polegał jedynie na tym, że w takich sprawach Kaira nie potrafiła dobrze kłamać.

Ponadto związek z Dime chronił ją przed potencjalnym związkiem z Finnelem.

Niebo zmieniło barwę na kolor dojrzałej, soczystej śliwki, zerwał się lekki wiatr. Kaira naciągnęła na zziębnięte dłonie rękawy, myśląc jednocześnie, że kończy się jeden z nielicznych naprawdę ciepłych dni; jutro pewnie znów będzie padać deszcz albo nawet temperatura spadnie poniżej zera.

Myślała też o Finnie, o tym, że można komuś tak instynktownie, całkowicie ufać, a jednocześnie zupełnie go nie rozumieć.

Za plecami usłyszała szmer cichych, ostrożnych kroków. Ktoś dotknął jej ramienia. Nie odwróciła się.

— I jak, zostajesz?

Jej wzruszenie ramion mogło oznaczać zarówno „nie”, jak i „tak”. Oczywiście Dime zinterpretował je na „tak”.

— To dobrze, bardzo się cieszę — głos był pełen ulgi i zarazem entuzjazmu. — Więc między nami wszystko znowu jest w porządku? Powiedz, jest w porządku?

Między nimi nic nie było w porządku i Dime powinien zdawać sobie z tego sprawę. Może i zresztą o tym wiedział, ale i tak chciał, żeby dziewczyna go okłamała. Chyba to właśnie przeważało, bo Kaira poczuła, jak coś w niej twardnieje. Znikły ostatnie wyrzuty sumienia; ostatecznie istniało całe mnóstwo ludzi bardziej zasługujących na współczucie niż ci, którzy sami prosili się o nieszczęście.

— Tak, wszystko w porządku — odparła, odwracając się, po czym zeskoczyła z parapetu i zamknęła okno w ochronie przed wieczornym chłodem.

— „Zrobiłem to, co trzeba było zrobić. Ani więcej, ani mniej” — za plecami Niraja odezwał się głos na granicy szeptu. Słowa mieszały się z szumem ogrodowej fontanny. — Ach, jak to wzniosłe brzmi. Prawie jak tekst z książki, ale przecież ty w życiu żadnej nie przeczytałeś, więc tym bardziej jestem pełen podziwu.

— Zamknij się — warknął brat Kairy, nie odwracając głowy. Gdy rozmawiał z Unajem, nigdy na niego nie patrzył.

— No, no, nie złość się na mnie. Przecież obaj wiemy, że tak naprawdę wściekasz się na samego siebie. Chodzi o to, że nie potrafiłbyś odpowiedzieć na pytanie tego tam, jak mu... Finnena, nie? Nie masz zielonego pojęcia, po kiego grzyba nie udusiłeś tamtej baby od razu, tylko czekałeś na siostrę. Mam rację, mój ty milkliwy chłopcze o skłonnościach do wzniosłych deklaracji? To znaczy, kiedyś może i wiedziałeś, ale czy ostatnio świat nie stał się jakby bardziej... rozmyty? Niepewny? Wiesz, jak na tych obrazach, gdzie świecznik czasem jest tylko świecznikiem, a czasem głową demona...

— Zamknij się — powtórzył z jękiem Niraj.

— No dobra, teraz rzeczywiście się zamknę. Idzie tu twoja siostra.

— Kaira?

— Nie, idioto. Noora. Naprawdę powinieneś coś ze sobą zrobić. Może na początek pomogłoby włożenie głowy do fontanny?

— Z kim rozmawiasz? — Noora szła w jego stronę, brnąc po kostki w zgniłych liściach, na których leżały resztki śniegu. Zimno zaróżowiło jej policzki, w oczach widniał dobrze znany Nirajowi błysk.

— Z nikim.

— Aha. — Klapnęła obok na ławkę. — Słuchaj, pamiętasz, jak mówiłam ci, że nasz ojciec do spółki ze swoimi przyjaciółmi poluje na człowieka, który przyleciał do nas z gwiazd? Że wynajęli zabójcę, żeby go załatwił? Pamiętasz?

— Pamiętam.

— No więc tamten im się wymknął na dobre. Zabójca tropił go za pomocą czegoś, co podobno wykrywa zaburzenia w strukturze naszego świata, które powstają, jak dostanie się tu ktoś obcy. I przez jakiś czas było w porządku, wynalazek działał, chociaż tato się dziwił, czemu

tamtemu ciągle jakimś cudem udaje się uciec. A teraz człowiek z gwiazd wtopił się w nasz świat i przestał być obcy.

— Znowu podsłuchiwałaś pod drzwiami?

— Pewnie, że podsłuchiwałam. To jedyny sposób, żeby w tym domu czegoś się dowiedzieć. Niraj, czy to, co mówię, w ogóle cię interesuje?

— Niespecjalnie. Nie mam pojęcia, czego tato może chcieć od człowieka przybyłego z gwiazd, i nic mnie to nie obchodzi.

Noora wydeła pogardliwie wargi.

— Jak sobie chcesz. Gdyby Kaira żyła, na pewno by ją to zainteresowało.

— Ale nie żyje. Kaira nie żyje. Nie żyje.

Noora wstała i odsunęła się, patrząc niepewnie.

— Wiem przecież. Co z tobą, Niraj? Zachowujesz się tak dziwacznie, bo chcesz mi dać do zrozumienia, żebym sobie poszła? Nie ma sprawy, wcale nie mam ochoty dotrzymywać ci towarzystwa. Możesz tu siedzieć sobie aż do nocy, nie musisz nawet przychodzić na kolację, która będzie za chwilę.

— Za chwilę? Przecież ledwo minęła pora podwieczorku.

Noora wolno pokręciła głową.

— Człowieku, otwórz oczy, już zaczyna się ściemniać. Zasnąłeś tutaj? Jeśli tak, to wybrałeś sobie idiotyczne miejsce. Możesz się przeziębnić...

— Idź już.

Z na wpół przymkniętymi powiekami poczekał, aż dziewczyna odejdzie. Dopiero gdy umilkł dźwięk jej kroków, za jego plecami znów odezwał się cichy, kpiący głos.

— No widzisz, nawet twoja niezbyt mądra siostra wie, że coś jest z tobą nie tak. To pozwolisz sobie pomóc, czy nie?

— Mam zacząć od wsadzenia głowy do fontanny? — burknął Niraj.

— Nie — tym razem głos jakby spoważniał. — Powinieneś zacząć od przypomnienia sobie tego, co robiłeś w ciągu tych kilku godzin, które gdzieś ci się zapodziały.

Kaira spała, zwinięta na nieposłanym łóżku. I śniła.

Jej sny zawsze były pełne przemocy i chaosu. Ludzie umierali i zabijali się nawzajem w scenach pełnych czerwieni krwi oraz pomarańczowego ognia, a potem w to wszystko, w tę czerwień i pomarańcz, wkraczała Kaira i brała chaos w swoje ręce. W jej dłoniach przemoc nadal była przemocą, ale teraz już bardziej... ukierunkowaną, taką, która wraz z krwią i ogniem niesie ze sobą oczyszczenie.

— Kaira? Kaira!

Ktoś szarpnął ją za ramię, więc podniosła się, wciąż nie do końca rozbudzona. Była spocona i roztrzęsiona, a widziane we śnie sceny już zaczynały odpływać.

— Śnił ci się koszmar — powiedział Dime.

— To nie był koszmar — zaprotestowała. Nie pamiętała, co jej się śniło, ale wiedziała, że nie koszmar.

Dime przytulił ją mocniej.

— To nie był koszmar — odsunęła się. — Naprawdę. Nic mi nie jest.

— Przepraszam — bąknął chłopak. — Wyglądałaś tak... no, wyglądałaś, jakby śniło ci się coś złego. — Odsunął z jej czoła kosmyk mokrych od potu włosów. — Wiesz, że możesz mi o wszystkim powiedzieć, prawda? Jeśli coś cię dręczy...

— Nic mnie nie dręczy — zaprzeczyła odruchowo.

Dime wciąż dotykał jej twarzy. Wiedziała, że robi to po to, by ją uspokoić, ale ona niespodziewanie poczuła przyływ podniecenia. Przyciągnęła chłopaka bliżej i pocałowała. Wyczuła jego zdziwienie, to charakterystyczne napięcie mięśni świadczące o dezorientacji. A potem poddał się jej pieszczotom.

Kaira nie była pewna, co robi, ale wytłumaczyła sobie to po swojemu: może i nie znała się na miłosnych sztuczkach, nie była mistrzynią uwodzenia, ale miała nad kobietami i mężczyznami pewną władzę. Teraz właśnie, z zawadiackim uśmiechem zdejmując z Dime ubranie, po raz pierwszy w pełni to sobie uświadomiła.

Daniel Pantalekis poślinił końcówkę rysika i zapisał:

„Spostrzeżenie pierwsze: jeśli przeniesie się przedmioty z bardziej zniszczonego świata do mniej zniszczonego, to będą się wolniej starzeć.

Spostrzeżenie drugie: jeśli zrobi się na odwrót i przeniesie się przedmioty ze świata mniej do bardziej zniszczonego, to będą się starzeć szybciej.

Spostrzeżenie trzecie: jeśli człowiek przejdzie ze świata mniej do bardziej zniszczonego, to szybciej umrze.

Spostrzeżenie czwarte: na logikę należałoby się spodziewać, że ludzie masowo będą przechodzić do światów jak najmniej zniszczonych, gdzie jeszcze działa ogrzewanie, a jedzenie nie jest zepsute, ale wcale tak nie jest.

Wniosek: jeśli wyobrazić sobie te światy jako rodzaj drabiny, gdzie na dole są światy najbardziej, a na górze najmniej zniszczone, to wychodzi mi na to, że tutejsi ludzie mogą tylko iść w dół. Znaczy, mogą zejść niżej, a potem wrócić na szczebelek, skąd wystartowali, ale nie mogą wspiąć się w górę.

Tak wynika z moich obserwacji”.

Krytycznym spojrzeniem obrzucił to, co napisał. Wyglądało nieźle, zwłaszcza ostatnie zdanie.

„Z moich obserwacji wynika też – dopisał, starannie stawiając litery – że gdy ludzie schodzą w dół, to wyłącznie po to, żeby szybciej umrzeć.

Z umieraniem nie mam kłopotu, świetnie wiem, gdzie i na co ludzie tu umierają.

Problem polega na tym, że za diabła nie mam pojęcia, skąd się ci wszyscy ludzie biorą, bo nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział tu jakieś dziecko.

Plus jeszcze jedno – sądzę, że niewidzialny, który mnie ścigał (piszę w czasie przeszłym, bo na szczęście chyba na dobre zrezygnował), w ogóle nie był stąd. Znaczy, mam na myśli wszystkie te mniej lub bardziej zniszczone światy. Tutaj ludzie nawet na pozór zupełnie zdrowi szybko się męczą, a tamten nie.

Wniosek: wcześniej się myliłem, bo jednak gdzieś tu jest jeszcze jeden świat, najmniej zniszczony ze wszystkich albo w ogóle niezniszczony.

I teraz mam problem. Z jednej strony bardzo bym się chciał tam dostać, a z drugiej trochę

się boję. Bo co, jeśli tam jest więcej takich niewidzialnych?”

Pantalekis przygryzł końcówkę rysika. Dylemat, który męczył go od kilku dni, pozostawał nierozstrzygnięty.

Przez całą długość łazienki ciągnęła się umywalnia, której wąskim, przechylnym pod niewielkim kątem korytem płynęła zimna woda. Całość prawdopodobnie miała kojarzyć się z górskim strumieniem – stąd wymalowane na dnie ryby oraz ścienna mozaika przedstawiająca skały i las. W łazience unosił się zapach czegoś, co przywodziło na myśl chłodne, zacienione miejsca, wilgotną glebę i gnijącą roślinność.

Tellis lubiła sobie wyobrażać, że tak właśnie pachnie las, i nie przeszkadzało jej nawet to, że spod tej woni przebija delikatny smrodek środków dezynfekujących.

Położyła dłonie na dnie umywalni, ciesząc się zimnem wody, która omywała jej nadgarstki. Przymknęła oczy.

Ktoś stanął za jej plecami, a ona bez odwracania się wiedziała kto.

— To damska łazienka, Mahameni.

— Hę?

Jedną z wielu wad Mahameni było to, że nie rozumiał aluzji, nawet tych najwyraźniejszych. Tellis powinna się już przyzwyczać, a mimo to poczuła lekką irytację.

— Nie powinienes tu wchodzić.

— Nikogo innego tu nie ma, a ty myjesz ręce, a nie siedzisz w kiblu.

Zacisnęła wargi, powstrzymując pchające się na usta słowa. Wyjęła dłonie z wody i wytarła je w ręcznik, wilgotny już i szarawy. Łazienka była pomysłowo urządzona, ale niezbyt często w niej sprzątano.

Mahameni patrzył na nią, jak zawsze lekko przygarbiony, z nadzieją i obawą jednocześnie, niczym pies, który nie wie, czy spodziewać się kopniaka, czy też smacznej kości. W takich chwilach Tellis niemal widziała ogon, poruszający się nieśmiało za jego plecami.

— To nie było zbyt kulturalne, co? To o kiblu. Nie powinienem używać takich słów.

Tellis wzruszyła ramionami.

— Używaj, jakich chcesz.

— Chcę być kulturalny — upierał się Mahameni. — Jak ty. Ty jesteś najlepsza.

— I przyszedłeś tu, żeby mi to powiedzieć?

Pokiwał gorliwie głową, najwyraźniej nie zauważając sarkazmu.

— Aha. I chcę ci też powiedzieć, że zamknięcie śledztwa to nie twoja wina. Gdyby dali ci

więcej czasu, na pewno znalazłabyś mordercę.

— Morderców — poprawiła Tellis. — Było ich dwoje, chłopak i dziewczyna, pamiętasz?

— Wiem — tym razem w głosie Mahamieniego zabrzmiała leciutka uraza. — Mnie chodzi tylko o to, że jakbyś miała czas, to byś znalazła tych dwoje.

— Bo jestem najlepsza?

— Bo jesteś najlepsza. — Zademonstrował poząłkłe zęby. — A tamci na górze to skurwiele, przepraszam za mój niekulturalny język.

Tellis odpowiedziała gorzkim uśmiechem. Gdyby to było tak proste, jak on sobie wyobrażał...

— Dziękuję — odparła i tym razem starała się, żeby w jej głosie nie zabrzmiał sarkazm. Mahameni był brzydki i niezbyt mądry, ale wierny, a ona nie mogła pozwolić sobie na lekceważenie takiej cechy u współpracownika. Nie w sytuacji, w jakiej się znalazła.

Rozciągnął wargi w szerszym uśmiechu, prezentując jeszcze więcej zębów, których wolałaby nie oglądać.

— To może pójdziemy się razem napić, co?

Parsknęła śmiechem. Porównanie sierżanta Mahamieniego z wszystkimi inteligentnymi, zabawnymi i wykształconymi mężczyznami, którzy niegdyś zabierali ją na tańce albo na drinka... nie, to było zbyt wiele. Gdyby się nie roześmiała, musiałaby chyba wybuchnąć płaczem.

— Przepraszam — powiedziała po chwili, wciąż chichocząc. — To nie o ciebie chodzi. Po prostu mnie zaskoczyłeś, i tyle.

Czasem za takie drobne kłamstwo można kupić bardzo wiele.

— To jak będzie? Idziemy?

Jego nieustępliwość naprawdę robiła wrażenie. Z drugiej strony tak naprawdę była to nie tyle nieustępliwość, ile prosty brak wyczucia.

Westchnęła. Mężczyzna czekał cierpliwie.

Szlag, właściwie dlaczego nie? Dlaczego nie miałyby napić się z nim wina? Albo piwa, on pewnie woli piwo, mniejsza z tym. Alternatywą było samotne siedzenie w domu i gapienie się w ścianę, a to już przerabiała wczoraj. I przedwczoraj, a także wiele dni wcześniej.

Mahameni nie był odpowiednim partnerem do inteligentnej rozmowy, ale przynajmniej miał parę uszu i mógł jej wysłuchać.

— Idziemy — rzuciła, celowo niedbale, chcąc ukryć, jak wiele ją ta decyzja kosztowała.

Skoro już się zgodziła, to nie powinna dawać mu do zrozumienia, że jego towarzystwo ją zawstydzą. Jak już coś robić, to na całego, bez półśrodków, nawet jeśli robi się coś głupiego.

Potem pomyślała, że skoro zamierza w towarzystwie sierżanta Mahameniego pić i mu się wyżalać, to będzie musiała bardzo uważać na to, co mówi.

Leżąc na dachu kilkupiętrowego budynku, Pantalekis obserwował, jak z hali, którą przywykł nazywać „muzeum”, wychodzi uzbrojony mężczyzna.

Nieznajomy zatrzymał się i poprawił na ramieniu pasek czegoś, co przypominało staroświecką strzelbę, potem odchylił poły płaszcza i zerknął na kolby dwóch pistoletów, które nosił zatknięte za pasem. Na jego wargach pojawił się wilczy uśmiech.

Daniel wstrzymał oddech – wiedział, po co tamten tu przybył, widywał już takich ludzi, ale po raz pierwszy w tym świecie zobaczył broń palną.

Mężczyzna był młody, przysadzisty i długoręki, z płaską twarzą Mongoła i dziwaczną, postrzępioną bródką w kolorze lwiego futra, która nijak do tej twarzy nie pasowała. Rozejrzał się, a Pantalekis cofnął się odruchowo poza krawędź dachu.

Zaraz wstał niezgrabnie i posykując, rozmasował zdrętwiałe kończyny. W brzuchu czuł tępy, zimny ból, jakby ktoś zamienił jego nerki w grudki lodu. Zakaszłał, myśląc jednocześnie, że może leżenie na dachu w zimie, nawet na kilku kocach, nie było najlepszym pomysłem. Z drugiej strony był to doskonały punkt obserwacyjny, a wokół „muzeum” zawsze kręciło się sporo ludzi.

Dla ścisłości: sporo jak na umierające miasto.

Uzbrojony mężczyzna ruszył w stronę schodów, a Pantalekis poszedł za nim wzdłuż dachu. Kuśtykając, uświadomił sobie, że jeśli tamten wybiera się gdzieś dalej, to szybko go zgubi. Nie zatrzymał się jednak, bo chciał rozruszać mięśnie, a poza tym ciekawość pchała go naprzód.

Brodaty nie wybierał się daleko. Przystanął na jednym z placów, a Daniel, sapiąc i przeklinając w myślach sztywną nogę, wdrapał się po drabinie na kolejny, wyższy dach, z którego mógł nieznajomego obserwować.

Rozpoczęła się polowanie.

Schodami na plac zeszła jasnowłosa dziewczyna i przez krótką chwilę Daniel myślał, że to ta sama, która kiedyś dała mu pieczone kasztany. Jednak oczywiście tamta dziewczyna nie żyła, a ta, prócz szczupłej figury, zupełnie zmarłej nie przypominała. Nawet jej włosy tak naprawdę nie były jasne, tylko mysioszare, a Pantalekis pomylił się, patrząc pod czerwone słońce.

Mężczyzna i dziewczyna spoglądali na siebie. On z łagodnym, fałszywym uśmiechem,

ona zeszywniała, jakby spodziewała się, że sam bezruch pozwoli jej wtopić się w tło i pozostać niezauważoną.

Brodacz sięgnął po broń – bardzo powoli, tak żeby dziewczyny nie spłoszyć. Daniel chciał krzyknąć, ale to nie miałoby najmniejszego sensu, przecież mysiowłosa musiała zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

I rzeczywiście zdawała sobie, bo w pewnym momencie oprzytomniała, odwróciła się i zaczęła biec.

Mężczyzna ruszył za nią, wcale się nie spiesząc. Nie musiał, bo osłabiona dziewczyna potknęła się, jeszcze zanim zdążyła dotrzeć do schodów. Ręce rozjeżdżały jej się w błotnistej brei, gdy stojąc na czworakach, próbowała wstać. Jej twarz zasłaniały długie, skołtunione włosy, a Pantalekis zgadywał, że pod nimi kryją się oczy przerażonego zwierzątka.

Brodacz szedł swobodnym krokiem, lufa strzelby, którą trzymał, kołysała się w rytm jego ruchów, zataczając maleńkie kręgi. Z twarzy nie schodził mu wilczy uśmiech.

Wtedy Pantalekis zrozumiał, że coś tu jest nie tak. Oglądał tyle podobnych scen, że fałsz wyczuwał szóstym zmysłem. Dziewczyna trochę zbyt długo gramoliła się z ziemi, jej ruchy były przesadnie powolne i niezgrabne, przecież nawet ktoś chory i osłabiony zdążyłby już wstać...

Znów miał ochotę krzyknąć ostrzegawczo – tym razem pod adresem mężczyzny.

Mysiwłosa wreszcie zdecydowała się podnieść i nagle odzyskawszy siły, wbiegła w przejście pomiędzy dwoma budynkami – tym, na którego dachu stał Daniel, i sąsiednim. Gdy pędziła w jego stronę, Pantalekis ujrzał rysy wykrzywione zmęczeniem i zarazem czymś, co mogło być tylko posępną, zaciętą złością.

Brodacz przestał się uśmiechać i rzucił w pościg, a Daniel ruszył w stronę drugiej krawędzi dachu, skąd mógł obserwować dalszy rozwój wydarzeń.

Gdy tam dotarł, dziewczyny nigdzie nie było widać; w wąskim przejściu stał tylko mężczyzna. Zatrzymał się na granicy, w miejscu, dokąd sięgał jęzor czerwonego światła. Dalej był cień, chłodny, wilgotny i kamienny mrok.

Z tego mroku wynurzyły się dwie postacie, a jednocześnie dwie inne stanęły u wylotu przejścia, w słońcu, zamykając tym samym mężczyznę w pułapce.

Daniel wstrzymał oddech, czując nagły przyływ podniecenia. Tak musieli się czuć ludzie, którzy dawno temu szli oglądać uliczne egzekucje.

Brodaty obracał się wokół własnej osi, strzelba obijała mu się o udo. Daniel niemal

słyszał jego niespokojny oddech, prawie czuł woń strachu. Wychylony niebezpiecznie poza krawędź dachu, przyjrzał się czwórce napastników. Wszyscy byli młodzi, wychudzeni i zdeterminowali, i wszyscy nosili coś, co Pantalekis zidentyfikował jako zbroje. Przynajmniej sądził, że to zbroje, dopóki jedna z nich nie zaczęła się zmieniać. Noszący ją młodzieniec opadł na czworaki, a wtedy z płytek na jego przedramionach wysunęły się kolejne płytki, i jeszcze kolejne, aż wreszcie dłonie znikły pod warstwą metalu i chłopak stał na czterech kończynach równej długości, jak wilk. Dosłownie jak wilk, bo w międzyczasie hełm z metalicznymi kliknięciami przepoczwarzył się w pełną ostrych zębów paszczę i zwierzęcy łeb. Wilkopodobny twór miał nawet ogon, który poruszał się niespokojnie.

— O kurwa — mamrotał Pantalekis, jednocześnie zafascynowany i przerażony. —
Kurwa, kurwa...

Brodacz uniósł strzelbę i wypalił. W tym samym momencie wilk skoczył – tak wysoko i daleko, jak z całą pewnością nie skoczyłby żaden człowiek. Kula odbiła się od opancerzonego ciała, a metalowe zęby zagłębiły się w miękkiej skórze gardła.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że Pantalekis nie zdążył nawet powiedzieć czwarty raz „kurwa”. Brodaty mężczyzna znikł pod potężnym stalowym cielskiem, a pozostali trzej napastnicy dołączyli do swego kompana. Daniel zamknął oczy. Z dachu słyszał teraz odgłosy rozrywania ciała i miażdżenia kości. Trzask wykręcanych stawów, krótkie, ostre słowa, jak powarkiwanie zwierząt. Duszny, metaliczny zapach krwi i smród treści żołądkowych, których nie mógł czuć na tej wysokości, a jednak czuł.

Pierdoleni jaskiniowcy, mamrotał Daniel. Wzbierała w nim fala mdłości, usta miał pełne gęstej śliny, której nie potrafił przełknąć.

Gdy otworzył oczy, było po wszystkim, brodaty mężczyzna wyglądał, jakby przejechał po nim pociąg, ze zmiażdżonej twarzy ostała się tylko kępka brody, dawniej koloru lwiego futra, a teraz lepkiej i szkarłatnej, z białymi odłamkami kości wplątanymi pomiędzy włosy.

Nad zwłokami stali napastnicy – w tym ten, który jeszcze niedawno był metalowym wilkiem, teraz przywrócony do ludzkiej postaci. Krew brudziła płytki czegoś, co wyglądało na zbroję, a co zbroją z pewnością nie było. Wszyscy czterej wyglądali na śmiertelnie wyczerpanych, jakby przed chwilą przebiegli maraton. Dyszeli ciężko, spływając potem, a jeden ledwo trzymał się na nogach i aby nie upaść, musiał oprzeć dłonie o ścianę. Mimo to wciąż miał na tyle sił, by łapiąc oddech, ze złością mówić coś do drugiego mężczyzny, który w rękę trzymał

strzelbę brodacza.

Pantalekis cofnął się nieco dalej, nagle zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Gdyby tamci dostrzegli, że obserwuje ich z góry, miałby przechłapanie. Mimo to nie odszedł, na miejscu trzymała go ciekawość silniejsza niż strach, obrzydzenie i mdłości.

Wiedział, że to jeszcze nie koniec widowiska.

Napastnicy najwyraźniej kłócili się o broń, którą odebrali brodaczowi. Pantalekis nie znał ich języka, ale kontekst sytuacji był najzupełniej jasny. Pistolety zgodnie przypadły wilkołakowi, ale o strzelbę rozgorzał spór.

Ten, który opierał ręce o ścianę, wyprostował się z trudem i poruszył prawą dłonią, jakby chciał rozruszać nadgarstek. Pomiedzy zakutymi w metal palcami przeskoczyły błękitne iskry.

Mężczyzna ze strzelbą roześmiał się gardłowo i zniknął, zanim trafił go piorun.

To nie jaskiniowcy, zdecydował Pantalekis, to porabani bohaterowie komiksu, prosto z wyobraźni nawalonego nastolatka. Gdzie ja jestem?

Ten ze strzelbą pojawił się kilka kroków dalej, a ten od piorunów odwrócił się w jego stronę, wciąż ze złością, wciąż poruszając dłonią. Wtedy czwarty mężczyzna powiedział coś mitygująco, wskazując jednocześnie sylwetkę dziewczyny, która właśnie wyszła z cienia.

Mysiowłosa zatrzymała się na widok zmasakrowanych zwłok. Na jej twarzy widać było obrzydzenie, które zaraz zastąpił wyraz ponurego triumfu. Splunęła w stronę ciała, ale bliżej nie podeszła.

Mężczyzna, ten najstarszy i chyba zarazem najrozsądniejszy, ujął ją za ramię i przeprowadził obok martwego brodacza. Dziewczyna szła, odwracając głowę, rąbek długiej sukni nurzał się we krwi. A może nie, może to ostatnie Pantalekis sobie tylko wyobraził, tak samo jak mógł sobie wyobrazić wyraz triumfu na jej twarzy, ostatecznie tkwił przecież wysoko na dachu.

Odeszli w piątkę powolnym krokiem zmęczonych, starych ludzi, choć żadne z nich nie wyglądało na więcej niż dwadzieścia kilka lat.

Pantalekis przytknął oczy. Wiatr suszył lepki pot na jego czole, a w trzewiach znów odezwał się zimny, kłujący ból. Daniel wymamrotał pod nosem litanię uspokajających przekleństw, wszystkie te „co ja tu robię, co za pierdolony świat, za co, kurwa, kurwa...”.

Zazwyczaj pomagało, i tym razem też tak było, choć dłużej trwało, zanim Pantalekis odetchnął głęboko i ruszył w stronę zejścia z dachu.

Brodaty mężczyzna z pewnością był już całkowicie i absolutnie martwy, i jako taki budził w Danielu co najwyżej obrzydzenie, nic więcej. A Pantalekis miał wypróbowany sposób na radzenie sobie z nieprzyjemnymi widokami – broń Boże nie ogarniać wzrokiem całości, tylko skupić się na jednym elemencie, w miarę możliwości najbardziej neutralnym.

Wybrał sobie but zmarłego i gapiąc się na ten but, wysoki i czarny, zbliżał się do ciała. Oddychał płytko, powtarzając w myślach: „To tylko kupa mięsa, przecież nie będziesz się bał czegoś takiego”.

Gdy był już wystarczająco blisko, przeniósł wzrok z buta na kieszeń płaszcza, niegdyś w kolorze jasnoszarym, a teraz czerwonego od krwi. Tego, co zobaczył po drodze, nawet nie zapamiętał. Miał lata praktyki w ignorowaniu takich widoków. W pamięci pozostał tylko niejasny obraz rozdarcia w spodniach, przez które przezierало coś białoróżowego, może kość, a może fragment zakrwawionej bielizny.

Schylił się i wstrzymując oddech, włożył rękę do kieszeni płaszcza. Dotyk wilgotnego, sztywniejącego już materiału był nieprzyjemny, ale Pantalekis zacisnął zęby i wsunął dłoń głębiej. Jego palce natrafiły na prostokątny kartonik. Wyszarpnął go, odwrócił głowę i wyprostował się, jednocześnie z ulgą wypuszczając powietrze przez wciąż zaciśnięte zęby.

Odszedł na tyle szybko, na ile pozwalała mu sztywna noga. Wiedział oczywiście, że w płaszczu jest jeszcze jedna kieszeń, ale miał dość. Na samą myśl, że miałby przewracać zmasakrowanego trupa, by do niej sięgnąć, buntował się jego żołądek.

Zatrzymał się dopiero na małym placyku, dwie kondygnacje schodów powyżej „muzeum”. Była tam kamienna ławka, wciąż jeszcze na tyle porządna, że można było na niej usiąść wygodnie, a także fontanna, nieczynna i z cembrowiną pełną zeschniętych liści o osobliwych, podłużnych i strzępiastych kształtach. Odłożył kartonik i użył ich, by wytrzeć buty z krwi – nie bardzo wyszło, bo martwe roślinne tkanki były tak kruche, że rozpadały się, gdy tylko mocniej je ścisnął. Skrzywił się z niesmakiem, zrezygnował i wytarł dłonie o spódnie, już i tak sztywne od błota.

Zależało mu przede wszystkim, żeby jeszcze bardziej nie uszkodzić kartonika, sięgnął więc po niego dopiero wtedy, gdy uznał, że ręce ma już tak czyste, jak to tylko możliwe.

Pochylił się i wyteżając wzrok, bo czerwone słońce powoli zachodziło, przyjrzał się

swojej zdobyczy.

Prostokątny kartonik był mniej więcej wielkości jego dłoni. Z jednej strony widniał rysunek, cały w kolorze brązoworudym, jakby ktoś zrobił go piórkiem za pomocą soku z cebuli, a z drugiej coś, co wyglądało na napisy. Pantalekis zignorował je, bo przecież i tak nic by z nich nie zrozumiał.

Skupił się na rysunku.

Przedstawiał kilkanaście osób bawiących się na tarasie. Dzieci puszczały latawce, jakaś para tańczyła, grupka mężczyzn opierała się o barierkę i piła z wysokich kieliszków. Za nimi widać było miasto, zaznaczone kilkoma zgrabnymi kreskami domy tak małe, że wszyscy ci ludzie musieli znajdować się naprawdę wysoko.

Pantalekis najdłużej patrzył na dzieci, dwie dziewczynki w koronkowych sukienkach i chłopca w wąskich spodniach, jak do konnej jazdy. Dziewczynki śmiały się radośnie, twarzą chłopca nie widział, bo przesłoniła ją krwawa plama, ale Daniel mógłby się założyć, że dzieciak jest równie szczęśliwy jak jego koleżanki.

A więc naprawdę był tu świat, gdzie istniały dzieci, a dorośli wyglądali normalnie, nie jak zagłodzeni żebracy

Świat, który się nie starzał i z którego przyszedł dziś uzbrojony mężczyzna z brodą, a wcześniej niewidzialny człowiek.

Co z tego wynikało?

Na przykład to, że najwyraźniej nie był to świat pełen surowych, ogarniętych żądzą mordy wojowników. Były tam ładnie ubrane kobiety, które uśmiechały się zalotnie, były tańce i zabawy, czyli wszystkie te przyjemności, na których wspomnienie Daniel czuł, jak ściska się jego serce.

Prawda, że mężczyźni z tamtego świata czasem przychodzili tutaj, by polować na umierających ludzi, a niewidzialny najwyraźniej uznał, że Daniel jest jedną z tych żalosnych, schorowanych kreatur i jako taki zasługuje na śmierć. W sumie trudno mu się dziwić, bo Pantalekis wiedział, że wygląda okropnie; wychudzony, brudny, ze splątaną brodą i zmierzwionymi, od dawna nieściętymi włosami, przypominał jednego ze stukniętych proroków, których wizerunki oglądał w szkole.

Jednak mógłby się umyć, ściąć włosy i brodę, a potem przejść do niestarzejącego się świata i przekonać jego mieszkańców, że jest jednym z nich.

Problem rzecz jasna polegał na tym, że nie znał ich języka, ale i to mogło zadziałać na jego korzyść. Powiedzmy, że wyszedłby tam, na górze, i od razu zacząłby wrzeszczeć coś po franespańsku, nowogrecku czy angielsku. Może oszczędziliby go ze zwyczajnej ciekawości, przynajmniej przez pierwszych kilka minut, a nawet tak krótki czas wystarczyłby, by ktoś dostrzegł, że Daniel nie jest chory ani tym bardziej umierający.

Tam było wszystko, czego w tej chwili pragnął. Świeże, ciepłe jedzenie bez posmaku zgnilizny. Ciepłe łóżka z pościelą, która nie cuchnęła wilgocią. Kobiety o czystej, miękkiej skórze i chętnych uśmiechach. Alkohol, tańce, zabawy. A przede wszystkim żadnych pożarów, walących się budynków, trupów i smrodu.

W brzuchu znów coś go zakłuło, a jednocześnie jego żołądek ścisnął się ostrzegawczo, sugerując, że Daniel powinien pójść na stronę. Zakaszłał sucho i wstał, krzywiąc się, gdy poczuł nagłe uderzenie zimna na karku pokrytym warstwą potu. Wsunął kartonik do kieszeni, ale nim to zrobił, spojrzał na niego jeszcze raz.

Tęsknota za normalnością była tak silna, że niemal go przerażała.

Kaira pokazała strażnikowi przepustkę i wskoczyła na ruchome schody. W ciszy nocnej zmiany ich szum wydawał się głośniejszy, tak samo zresztą jak wszystkie inne odgłosy Archiwum. Klótnia na piętrze trzecim, szcęk szklanek i talerzy na czwartym, stukot translatorów na szóstym i siódmym.

Jechała w górę, sztywno wyprostowana, starając się sprawiać wrażenie, że ma wszelkie prawo tu być. Nigdy dotąd nie pracowała na ostatniej zmianie, ale przecież mogła zmienić sobie grafik, prawda?

Pocieszając się w ten sposób, dotarła na ósme piętro. Wyżej panowała ciemność, a ruchome schody były nieczynne.

Wyjęła z kieszeni kawałek szkła, które zazwyczaj montowano na mechanoidach. Martwe, sprasowane świetliki dawały żółty, mętny i bardzo słaby poblask. Większy fragment świeciłby mocniej, ale Kaira uznała, że nie warto ryzykować. Ten wystarczy, aby poradzić sobie z zamkiem szyfrowym, a potem, w środku, będzie już mogła obudzić żywe świetliki, bo przez szczelnie zamknięte drzwi i tak nikt nie dostrzeże ich blasku.

Ktoś wyszedł z jednej z sal i skierował się na skos przez hol. Kaira zamarła na pierwszych stopniach prowadzących w ciemność schodów, z kawałkiem świetlikowego szkła w ręku. Gdyby ów człowiek zapytał ją teraz, dokąd u licha się wybiera, nie potrafiłaby odpowiedzieć.

Pomyślała ponuro, że zawsze może takiego ciekawskiego znokautować. Niraj pokazywał jej swego czasu, jak zgrabnie i cicho pozbawić ludzi przytomności.

Z sercem tłukącym gdzieś w okolicy gardła czekała, aż nieuniknione pytanie zostanie zadane. Jednak nic się nie stało, niższy urzędnik przemknął za jej plecami i zaaferowany, pobiegł dalej, nawet się nie odwróciwszy.

Z ulgą i uśmiechem na ustach Kaira kontynuowała wspinaczkę. Schody były metalowe, więc choć starała się iść wyjątkowo ostrożnie, i tak odgłos każdego kroku rozlegał się dźwięcznie w ciszy. Cieszyła się teraz, że nie pobiegła w górę – wtedy łomot na pewno kogoś by zaalarmował.

Na dziewiątym piętrze przełożyła fragment szkła do drugiej dłoni, tej mniej spoconej. Uśmiech na ustach Kairy stawał się coraz szerszy.

Na dziesiątym przystanęła i nasłuchiwała chwilę. Dźwięki Archiwum docierały tu

zniekształcone i wyciszone przez odległość, wciąż jednak mogła rozpoznać szum maszyn na ósmym piętrze, a nawet śmiech przerywany napadami kaszlu, jakby ktoś zakrztusił się, usłyszawszy pointę dowcipu.

Podeszła do zamka szyfrowego i włożyła do niego klucz.

Miała sporo czasu na przemyślenie całej kwestii i doszła do wniosku, że jeśli tamtej nocy źle zrozumiała słowa Jainy, to istnieją cztery najbardziej prawdopodobne możliwości.

Przyświecając sobie świetlikowym szkłem, spróbowała pierwszej kombinacji.

I nic, zero. Nie działało.

Tym razem rozczarowanie było mniejsze, bo Kaira przygotowała się na to, że nie będzie łatwo. Zaczęła nawet dopuszczać do siebie myśl, że Jainy po prostu ją oszukała.

Odetchnęła i spróbowała kolejnej możliwości.

Nim przekręciła gałkę na ostatnią pozycję, w megafonach coś zachrypiało. Kaira drgnęła, wrażenie *déjà vu* było tak silne, że nagle realność świata rozmyła się i znikła, zastąpiona przez logikę snu.

„Animatorzy sekcji od jeden do pięć proszeni są do pokoju 37D, gdzie zostaną przesłuchani. Prosimy udać się tam w spokoju i bez zbędnego zamieszania. Pamiętajcie, aby zostawić porządek przy maszynach...”.

Przepytując wszystkich, którzy mogliby coś wiedzieć o śmierci Jainy, pomyślała Kaira. Najpierw animatorzy, potem przyjdzie kolej na urzędników.

Miała dużo szczęścia, bo skoro w Archiwum wiedzieli już o Jainie, to powinien tu stać ktoś, kto pilnowałby drzwi, dopóki zamki nie zostaną zmienione. Co zatrzymało strażnika? I ile miała czasu, zanim przyjdzie?

Wiedziała, że powinna się nad tym zastanowić, jednak pokusa zwyciężyła i Kaira ponownie ujęła gałkę, tym razem całą dłonią, a nie ostrożnie w dwa palce jak wcześniej, i ściskając ją mocno, przekręciła.

Jednocześnie stały się dwie rzeczy: po pierwsze, w głębi mechanizmu szyfrującego coś przeskoczyło z kliknięciem, a po drugie, Kaira poczuła ostry, przeszywający ból u nasady kciuka.

Odruchowo ssąc piekące miejsce, patrzyła, jak drzwi rozsuwają się cicho.

Udało mi się, udało!, myślała, zapominając już zupełnie o strażniku. Serce biło jej mocno i z trudem zmuszała się do tego, by zachować spokój. Najchętniej wrzeszczałaby i tańczyła z radości.

Wśliznęła się do środka i wtedy poczuła, że coś jest nie tak. Do głowy uderzyło jej gorąco, kolana zmiękły, a czoło zrosił pot, który wystygł momentalnie, gdy ciałem dziewczyny wstrząsnął dreszcz. W nagłym odruchu zrozumienia i zarazem paniki oświetliła dłoń, na której widniała mała ranka.

Ślad po ukłuciu igłą.

W tym mechanizmie była pułapka, pomyślała. Trucizna, która zabija niepowołane osoby...

„Spokojnie, nie histeryzuj”, rozległ się głos w jej głowie. „Nic ci nie jest, więc proszę, bez paniki”.

Dziewczyna stała, oparta o framugę; gdyby nie to, pewnie osunęłaby się na podłogę. Kolana jej dygotały, w głowie wirowało oszołomienie, myśli się rwały. Logika snu, o której Kaira zdążyła już zapomnieć, właśnie podkradła się od tyłu i z całej siły walnęła ją w czaszkę.

„Nie śpisz i nie zwariowałaś”, zapewnił ją głos, jakby lekko zirytowany. „A słabość za chwilę ci przejdzie, stój tylko spokojnie. Albo sobie usiądź”.

Nie chcę siedzieć, już mi lepiej. Kim jesteś?

„Pracuję w Archiwum i obserwuję cię od jakiegoś czasu. Wiem, czego szukasz, i domyśliłem się, że przyjdiesz tutaj w nocy. Dlatego pozwoliłem sobie zastawić tę małą pułapkę. Do twojej krwi został właśnie wprowadzony eksperymentalny narkotyk. Dzięki niemu możemy porozumiewać się telepatycznie”.

Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

„Buteleczki z tym środkiem znajdują się na dziewiątym piętrze, wśród innych wynalazków. Są małe, więc pewnie nawet nie zwróciłaś na nie uwagi”.

Skąd masz coś takiego?

„Mniejsza z tym. Później ci wszystko wytłumaczę. Teraz...”.

Czemu nie skontaktowałaś się ze mną normalnie?

„Bo wzbudziłbym podejrzenia, gdybym nie przyszedł jak zawsze do pracy, zwłaszcza teraz, gdy mamy na karku straż miejską. A ja nie mogę pozwolić sobie na wzbudzanie podejrzeń. Nie przerywaj mi więcej, proszę. Nie mamy wiele czasu, narkotyk działa tylko pół godziny, a ja za chwilę będę przesłuchiwany i wtedy nie będę mógł z tobą rozmawiać. Słuchasz mnie uważnie?”.

Tak.

„W porządku. Więc po pierwsze, to, co właśnie robisz, jest niewątpliwie szlachetne, ale jednocześnie bardzo głupie. Nie znajdziesz tutaj wynalazku, na którym ci zależy, bo jest ich zbyt dużo – musiałabyś szukać kilka dni, a masz do dyspozycji może parę godzin, i to tylko jeśli będziesz miała szczęście. Nie wierzysz mi? Wejdz dalej, zamknij drzwi i obudź świetliki”.

Kaira tak właśnie zrobiła. W złotym blasku dostrzegła halę, w której stały dziesiątki, a może i setki regałów sięgających sufitu i tak długich, że ich końce ginęły w mroku. Miejsce przywodziło na myśl bibliotekę, ale oczywiście nie było tu książek, tylko metalowe tuleje z projektami wynalazków, ułożone warstwami w specjalnych otworach niczym leżakujące butelki wina. Najniższe rzędy znajdowały się na wysokości stóp, najwyższe daleko poza zasięgiem rąk człowieka.

Jeden z regałów oznaczono jako Wynalazki Dotyczące Zdrowia i Higieny, a przy poszczególnych półkach widniały określenia szczegółowe, takie jak: Zdrowie Kobiet w Średnim Wieku czy Siła Mięśni i Szybkość.

Kaira rozejrzała się i jęknęła w duchu – samo obejście całej hali i przeczytanie wszystkich kartek zajęłoby jej więcej czasu, niż miała do dyspozycji.

„No i jak, nadal chcesz tu zostać? Bo moja rada brzmi: zamknij za sobą drzwi i idź do domu, a po drodze wywal w cholerę klucz, który zabrałaś Jainie. Niebezpiecznie jest nosić go przy sobie. Rano spotkamy się w jakimś spokojnym miejscu, pogadamy, a potem zaprowadzę cię do ludzi, którzy wiedzą, jak pomóc tym, którzy zostali w przeszłości”.

Jest inny sposób niż wynalazki?

„Jest”.

To zdradź mi go teraz.

„Nie. Nie jestem do tego upoważniony. Mnie kazano tylko z tobą porozmawiać i wy badać, jak bardzo jesteś zdeterminowana, żeby pomóc tym nieszczęśnikom”.

Jestem bardzo zdeterminowana.

„Może i jesteś. Ale decyzja i tak nie zależy ode mnie”.

W porządku, więc powiedz, gdzie się jutro spotkamy, a ja trochę się tu rozejrzę. Potem pójdę do domu.

„Sporo ryzykujesz, wiesz?”.

Wiem – Kaira pomyślała o strażniku, który mógł przyjść w każdej chwili – ale nie wycofam się teraz, kiedy jestem tak blisko.

„A jesteś w stanie wydostać się na zewnątrz Archiwum? Na dolnych piętrach pełno jest teraz straży, jeśli spróbujesz zejść głównymi schodami, na pewno cię zatrzymają. Wiesz, jak dotrzeć do tylnych schodów?”.

Tak... nie, zreflektowała się Kaira, bo co prawda szła tamtędy z trojaczkami, ale nie zapamiętała drogi.

„No widzisz, jestem ci potrzebny. Znam Archiwum jak własną kieszeń i mogę cię poprowadzić”.

Mówiłeś, że ile ten środek działa? Pół godziny?

„Teraz zostało już tylko dwadzieścia minut. Potem stracimy kontakt”.

To daj mi kwadrans, powinno wystarczyć. Potem się odezwiesz i powiesz mi, jak mam stąd wyjść.

„Moim zdaniem głupio ryzykujesz. Może będą mnie przesłuchiwać dłużej, a jak już mówiłem, w czasie przesłuchania nie mogę rozmawiać”.

Nie będą, jeśli tylko nie masz czegoś na sumieniu. Kaira uśmiechnęła się lekko. Właściciela głosu wyobrażała sobie jako jednego z tych źle ubranych młodzieńców o skwaszonych twarzach, których ostrożność zawsze ją bawiła.

„Niech ci będzie. W razie czego radź sobie sama”.

Poradzę sobie, ale na wszelki wypadek powiedz teraz, gdzie się jutro spotkamy.

„Czwarty dom po lewej przy Schodach Płatnerzy. Na kracie drzwi są trzy księżyce. Mieszkam tam od niedawna, więc to bezpieczne miejsce. Teraz muszę już iść”.

Idź. Do usłyszenia za piętnaście minut.

Przyszło jej do głowy, że może nie powinna właścicielowi głosu ufać, ale odrzuciła tę możliwość, bo gdyby ktoś chciał ją wydać, mógłby to zrobić znacznie łatwiej, bez uciekania się do tak dziwacznych sztuczek.

Istniała też szansa, że to żart, co było bardziej prawdopodobne, bo mieszkańcy Lunapolis – nawet ci źle ubrani i o skwaszonych minach – potrafili zadać sobie wiele trudu, by zabawić się czyimś kosztem.

Wiedziała, że powinna zaakceptować taką możliwość, choćby po to, żeby zmniejszyć ewentualne rozczarowanie, ale rozum wiedział swoje, a serce swoje. A dziewczyna nie potrafiła być ostrożna, bo wypełniająca ją radość natychmiast dławiała wszelkie wątpliwości.

Kaira nie była już samotna. Istniało więcej ludzi, którzy pragnęli tego samego co ona. Już

samo to otwierało perspektywy tak oszołamiające, że kręciło się w głowie.

Zmusiła się, żeby teraz o tym nie myśleć. Najwyższa pora wykorzystać jak najlepiej czas, który jej pozostał.

Zdrowie Kobiet w Średnim Wieku, Siła Mięśni i Szybkość czy jeszcze coś innego?

Zdecydowała się na to pierwsze. Ostatecznie w przeszłości było mnóstwo kobiet, które bardzo szybko osiągały wiek średni.

Efektorem pospiesznych, mocno chaotycznych poszukiwań były trzy projekty leków, które wyjęła z tulei i złożyła wpół, z trudem łamiąc sztywny papier. Potem włożyła je pod bluzkę. Powinnam wyglądać w miarę normalnie, pomyślała, żałując, że nie ma tu lustra. Przynajmniej z daleka, a jeśli ktoś podejdzie bliżej... Cóż, Kaira już raz powiedziała, że jest skłonna zaryzykować.

Pora się zbierać.

Podchodząc do drzwi, obrzuciła halę ostatnim, pełnym żalu spojrzeniem. Gdyby tylko miała wystarczająco dużo czasu...

Wyszła, przekręciła klucz w zamku i sięgnęła do kieszeni. Po chwili jej wzrok przyzwyczaił się do mroku rozpraszanego jedynie nędznym blaskiem świetlikowego szkła.

Jesteś tam?, zapytała w myślach.

Liczyła uderzenia serca. Przy siedemnastym, kiedy już miała zacząć się bać, w głębi czaszki usłyszała znajomy głos.

„Jestem. Masz światło?”

Tak.

„To dobrze. Teraz skręć...”

Zaczekaj.

„Co znowu? Kończy nam się czas”.

Jak masz na imię?

„Niyari. Skręć w drugi korytarz po prawej... Szybko, dziewczyno, przebieraj nogami, bo utkniesz tu na dobre!”

Poranek wstał pochmurny i wilgotny, powietrze konsystencją przypominało mokrą gazę, a pasma białoszarej mgły snuły się tu i ówdzie, podświetlane przez blask wciąż niewygaszonych latarni.

W tym świetle, w półmroku i mgle ośmiokątny budynek przypominał przyczajonego pająka.

Tak właśnie pomyślała Kaira, stojąc na zewnątrz i grzejąc zziębnięte dłonie w kieszeniach płaszcza. Przyczajony Pająk o Tysiącu Odnóży.

Zachichotała, bo brzmiało to jak tytuł kiepskiego opowiadania.

Oczywiście tak naprawdę odnóży nie było tysięcy, lecz co najwyżej kilkadziesiąt, ale całość i tak robiła wrażenie. Miedziane rury sterczały ze ścian budynku, pozostawiając zaledwie tyle miejsca, by nie zasłaniać wąskich okien, i spływały w dół, splątane pod dziwacznymi kątami. Niektóre miały grubość męskiego torsu, inne były cienkie jak gałązki. Kaira przeszła pod nimi, kierując się w stronę głównego wejścia.

Panujący wewnątrz chłód przejął ją dreszczem. Na półpiętrze okno było otwarte, mgła skraplała się na zakończonych głowami meduz poręczach i światłowodach, które miały kształt węży lub ciemnych pędów róż. Kaira ostrożnie pociągnęła nosem – pachniało zimną, kamienną wilgocią i czymś jeszcze, co odlegle kojarzyło się z kadzidłem.

Jestem za wcześnie, pomyślała, wsłuchując się w ciszę.

Mimo to nie zawróciła.

Na trzecim piętrze zatrzymała się przed drzwiami, których krata ozdobiona była trzema księżycami, wytarła spocone dłonie w płaszcz i zadzwoniła.

Zaraz otworzy mi jakiś zaspany nieszczęśnik, który w ogóle nie będzie wiedział, o co chodzi, szepnęła mniej optymistyczna część jej umysłu.

Zdusiła tę myśl i zadzwoniła raz jeszcze.

Czekała długo, w ciszy niemal słysząc bicie własnego serca. Nic, żadnej reakcji.

Chwyliła gałki i spróbowała rozsunąć drzwi – o dziwo, ustąpiły bez trudu.

Jej umysł wykonał gwałtowną woltę i teraz nie myślała już o żartach, lecz o czymś znacznie bardziej mrocznym i brutalnym.

— Jest tu ktoś? — zapytała, z duszą na ramieniu wsuwając się w głąb mieszkania. — To

ja, Kaira! Przepraszam, jeśli cię obudziłam.

Panująca wewnątrz cisza nie zapowiadała nic dobrego. Wróciły wspomnienia z domu Jainy – martwe, blade ciało i czerwona krew o żelazistym zapachu.

Kaira przełknęła nagle zgęstniałą ślinę. Gardło miała suche i ściśnięte.

— Hej, Niyari! Odezwij się, proszę!

W jej głosie brzmiał strach, słyszała go, ale nic nie mogła na to poradzić. Kolana lekko drżały, gdy powoli obchodziła wszystkie pomieszczenia, każde z nich od podłogi aż po sufit wyłożone drewnem innego koloru: złocistomiodowym, czerwonym, szarobrazowym lub zielonym jak mech.

Wszystkie były puste, a w oczy rzucał się niesamowity bałagan. Zawartość wybebeszonych szuflad leżała na podłodze, jakieś papiery, zdjęcia, dokumenty i przybory do pisania mieszały się z porzuconymi ubraniami, kawałkami szkła i gąbką z rozprutych materacy. W jednym z pokoi okno było otwarte; wcześniej deszcz zalał biurko i znaczną część dywanu, a teraz do środka w podmuchach wiatru wpływały kłęby białej mgły.

Kaira przygryzła wargę, przygnieciona ciężarem niezrozumienia. Ze ściany patrzyło na nią zdjęcie młodej dziewczyny o melancholijnym uśmiechu. Ona też najwyraźniej nie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi.

— Proszę pani!

Kaira podskoczyła nerwowo. Głos dobiegał z zewnątrz, z klatki schodowej.

— Proszę pani! Niech no pani przyjdzie tu na chwilkę.

Na podeście schodów stała postawna kobieta we wściekle kolorowym szlafroku, z ciemnymi włosami niedbale związanymi na karku. Jej duże, wilgotne oczy patrzyły na Kairę z wyraźną ciekawością.

— Widziałam, jak pani tam wchodziła, ale się zastanawiałam, czy się odezwać, czy nie, bo w końcu to nie moja sprawa — powiedziała. — Niyari to pani znajomy?

— Tak — potwierdziła Kaira, choć niezupełnie była to prawda. — Wie pani, co tu się stało?

— Przyszli po niego o świcie, ledwo z pracy wrócił.

— Kto?

— Nie wiem. Normalnie można by pomyśleć, że straż miejska, ale nie mieli mundurów ani nic. Bałam się — wyznała szczerze kobieta.

— Dobrze go pani znała?

— Gdzie tam, ledwo zdążyłam z nim parę zdań zamienić. Wprowadził się kilka dni temu.

Niyari rzeczywiście wspomniał, że przy Schodach Płatnerzy mieszka od niedawna.

Powiedział też, że to bezpieczne miejsce, i w tym względzie niewątpliwie się mylił.

— Niech pani idzie do domu i zapomni o tym chłopaku — poradziła jej życzliwie ciemnowłosa. — Niedobrze jest wtykać nos w takie sprawy.

— Wiem, ale ja muszę...

Kaira nie wyjaśniła, co musi, tylko wróciła do mieszkania Niyariego, pozostawiając ciemnowłosą na schodach, z miną pełną zadumy i współczucia.

Przez wciąż otwarte okno wezwała mechanicznego ptaka i przesłała wiadomość do Finnena. Potem usiadła na podłodze pośród bałaganu. Uświadomiła sobie, że nie wie nawet, jak Niyari wygląda. Szkoda, że nie zapytała sąsiadki, ale ponieważ przyznała, że chłopak był jej znajomym, nie mogła już tego zrobić.

Żałowała, że nie umówiła się z Niyarim przy Archiwum, w porze, gdy ostatnia zmiana kończyła pracę. Żałowała, że nie zwróciła uwagi na znaczenie słów „bezpieczne miejsce”, bo przecież człowiek, który nie ma powodów obawiać się o swoje życie, nie używa takich określeń.

Żałowała mnóstwa rzeczy, ale najbardziej straconej szansy na porozumienie z ludźmi, którzy myśleli tak samo jak ona i tego samego pragnęli.

Westchnęła, podciągając kolana pod brodę. Wciąż lekko drżała, nie tylko z zimna. Puste, ciche i pachnące różnobarwnym drewnem mieszkanie było naznaczone piętnem brutalności i strachu, a Kaira wolała nie myśleć o wydarzeniach, które rozegrały się tu o świcie.

Zamiast tego spod lewego poślądka wyciągnęła kilkanaście zdjęć i zaczęła je przeglądać, licząc, że znajdzie Niyariego.

— Nie patrz tak na mnie, proszę.

— Jak?

— Jakbym był magikiem na scenie, który za chwilę wyciągnie z ucha kwiat róży.

— Wcale tak nie patrzę. No, może trochę — przyznała Kaira. — Pomyślałam sobie, że Niyari zdążył zostawić mi jakąś wiadomość...

— Jeśli tak — Finnen podniósł oczy znad zamka drzwi wejściowych — to powinniśmy szukać w spiżarni.

— Czemu tam? — Niepewnie zmarszczyła brwi.

Wyprostował się.

— Bo obawiam się, że twój nowy znajomy nie był przesadnie inteligentny albo w panice stracił głowę. Musiał słyszeć, że ktoś wpada do środka, ale zamiast próbować zwać przez okno, zamknął się w spiżarni, czyli jedynym pomieszczeniu, gdzie okno jest na tyle małe, że nawet dziecko by się nie przecisnęło.

— Skąd to wiesz?

— Zamek drzwi wejściowych jest wyłamany i zamek spiżarni też. Reszta jest w porządku. Poza tym w spiżarni widziałem ślady krwi, niewiele, ale jednak... Kairo? Zauważyłaś coś ciekawego?

— Nie... chyba nie. — Dziewczyna z trudem oderwała wzrok od pogrążonego w cieniu kąta korytarza. — W porządku, poszukajmy.

W spiżarni ze ścian zwieszały się sznury suszonych fig i daktyli, a na półkach stały wielkie, kolorowe słoje z kruchymi ciasteczkami. Na szafce leżał krągły bochenek słodkiego chleba z wetkniętym weń nożem. Z plecionych koszy wysypywały się czerwone jabłka i żółtozielone gruszki; część z nich leżała rozpaćkana na podłodze, gdzie owocowy sok mieszał się z krwią.

Finnen w skupieniu patrzył na różową, rozmazaną smugę, a Kaira w równym skupieniu patrzyła na Finnena.

— Krwi jest za mało, żeby ktoś zrobił Niyariemu poważną krzywdę — powiedział chłopak. — Co najwyżej rozbił mu nos. Albo... — Podniósł się i przesunął palcem po krawędzi wąskiego parapetu. Na skórze pozostał rdzawy ślad. — ... albo Niyari skaleczył się wcześniej,

jeszcze podczas ucieczki, zanim tamci tu wpadli. Mógł potknąć się i uderzyć o parapet. A w takim razie...

— Myślisz, że swoją krwią napisał mi wiadomość?

Spojrzał na nią rozbawiony.

— Za dużo książek czytasz. Na mój rozum człowiek zamknięty w pomieszczeniu, do którego zaraz wpadnie paru uzbrojonych zbirów, panikuje albo szuka broni, a nie myśli o wypisywaniu wiadomości.

— Poszukajmy, proszę. Co mamy do stracenia?

— A gdzie w takim miejscu zostawiłabyś wiadomość, żeby nie znaleźli jej ci, którzy po ciebie przyszli, i żeby potem łatwo znalazła ją właściwa osoba? Pomyśl.

Kaira rozejrzała się, marszcząc nos. Wyraz pełnego powagi skupienia na jej twarzy wydał się Finnenowi bardzo zabawny.

— Tutaj. — Zdjęła ze ściany jeden z koszy.

Pod koszem widniały litery, wypisane na białej ścianie zrudziałą już krwią.

„Łaż.un. Skok-2”.

— Zwracam honor i kajam się, przyznając do błędu — mruknął Finnen. — I pomyśleć, że zrobił to ten sam facet, który zamknął się w spiżarni, zamiast uciec przez okno... „Łaż.un.”.

Łaźnie uniwersyteckie?

— I świat odrzucony podczas przedostatniego skoku — dodała Kaira, a Finnen wyjął z bochenka chleba nóż i zeszkrobał napis.

— Zastanów się dobrze, czy naprawdę chcesz tam iść. To mi wygląda na coś bardzo poważnego.

— Chcę — odparła bez wahania. — Pójdiesz ze mną?

Już miał odpowiedzieć, kiedy mięśnie Kairy zeszywniały, a jej oczy rozszerzyły się w nagłym przeblysku zrozumienia. Nie patrzyła już na Finna, tylko na drzwi.

— Przepraszam... — szepnęła. — Bardzo cię przepraszam.

— Za co? — Odruchowo odłożył nóż. — Kairo, nie strasz mnie, proszę. Co się...

Spojrzała na niego z powagą i czymś, co zidentyfikował jako wolno narastającą determinację.

— Tam, w rogu korytarza, coś jest, a ja nie skojarzyłam w pierwszej chwili. To brama, rozumiesz? Brama wyjściowa Transportera Materii Ożywionej, widziałam taki w Archiwum.

Wejście pewnie zamontowano gdzieś pod domem, może w mechanoidzie...

— Pilnują tego mieszkania — skojarzył od razu Finnen. — Zgarnęli Niyariego, a teraz chcą dostać każdego, kto tu przyjdzie, bo skoro Niyari miał coś na sumieniu, to automatycznie podejrzany jest każdy, kto chciałby go odwiedzić.

— Aha — ponuro przytaknęła Kaira. — Słyszysz? Ktoś tu jest.

Finnen słyszał. Odgłos cichych, ostrożnych kroków był nie do pomylenia z niczym innym.

— Jak myślisz ilu? — szepnęła dziewczyna.

— Dwóch, moim zdaniem.

— Też tak sędzę.

Obrzucił spojrzeniem maleńkie okienko i wymamrotał pod nosem: „Ironia losu”. Może uda nam się wyłgać, pomyślał, ostatecznie jak dotąd nie zrobiliśmy nic złego. Kaira może powiedzieć, że przysłała do Niyariego, żeby odnieść mu coś, co zostawił w pracy, jakieś ważne dokumenty albo coś w tym rodzaju, a mnie wezwała, bo zaniepokoił ją cały ten bałagan... Jeśli tylko uzgodnimy zeznania, może wyjdziemy z tego cało.

— Posłuchaj... — Złapał ją za ramię.

Wtedy zobaczył, że dziewczyna w dłoni trzyma nóż.

— To była moja wina, więc ja to załatwię — powiedziała.

W tym samym momencie przez szparę w uchylonych drzwiach padł na posadzkę długi cień.

— Wyjdźcie spokojnie, a nikomu nic się nie stanie — zabrzmiał stanowczy głos, najwyraźniej przywykły do wydawania rozkazów. — Chcemy tylko porozmawiać.

— Kairo, nie. — Finnen ścisnął jej ramię, ale ona z uporem pokręciła głową i kopnięciem rozsunęła drzwi.

Stojący za nimi mężczyzna był tak zaskoczony, że nie zdążył nawet aktywować tarczy. Dziewczyna szerokim chłapieniem przejechała mu ostrzem przez pierś, a kiedy cofnął się odruchowo, przewróciła go kopniakiem. Drugi otoczył się polem deflecyjnym, ale nic mu to nie dało. Kaira zamarkowała cios od góry, płynnie przerzuciła nóż do drugiej ręki, po czym zaatakowała niskim, podstępym ciosem w kolana.

Mężczyzna krzyknął, upadając do tyłu, tarcza wyłączyła się, a dziewczyna kolejnym kopniakiem wytrąciła mu z dłoni broń. Kiedy usiłował niezgrabnie wstać, uderzyła go pięścią w

skroń, pozbawiając tym samym przytomności.

Wszystko to zrobiła szybko i z tak niesamowitą gracją, że Finnen mógł tylko patrzeć i podziwiać.

Pochylił się nad jednym z mężczyzn. Z tyłu dziewczyna coś krzyczała.

— Nie chciałam zrobić im krzywdy. Nie chciałam!

— Następnym razem jak nie będziesz chciała robić krzywdy, weź coś mniej ostrego niż nóż.

Finnen natychmiast pożałował tej odpowiedzi, bo Kaira trzęsła się w szoku. Nóż upadł na dywan, a dziewczyna uniosła ręce do ust w dziecinnym, bezradnym geście – tylko dłonie tego dziecka były czerwone od krzepnącej krwi.

— Nie chciałam nikogo zabić...

— I nikogo nie zabiłaś, nie histeryzuj. Są nieprzytomni, a ten — wyprostował się i czubkiem buta wskazał mężczyznę, któremu Kaira przejechała nożem po piersi — ma tylko powierzchowną ranę i paskudny guz z tyłu głowy. Nic im nie będzie.

Uspokajając ją, uspokajał jednocześnie siebie. Reakcja dziewczyny była zbyt szybka, zbyt... brutalna i jednocześnie pełna morderczego wdzięku, by potrafił od razu się z nią pogodzić.

Ujął ją za ramiona i potrząsnął.

— Musimy uciekać, zanim przyjdą ich koledzy.

— Tędy? — Spojrzała na okno pokoju, na szczęście wystarczająco szerokie.

— Aha. Dasz sobie radę?

Zamrugnęła. Oszołomienie powoli zniknęło z jej twarzy. Uśmiechnęła się, najpierw z wysiłkiem, potem bardziej naturalnie.

— Tak.

W rzeczywistości Kaira radziła sobie znacznie lepiej niż Finnen. Pajęczonoga konstrukcja na zewnątrz w niczym nie przypominała drzew, po których chłopak łąził do tej pory. Dłonie ślizgały się na wilgotnym od deszczu metalu i czasem tylko w miejscach, gdzie rury krzyżowały się na kształt gigantycznych iksów, Finnen znajdował solidne oparcie dla stóp. Mógł wtedy wypocząć, zawieszony pomiędzy niebem a ziemią, spocony, z obolałymi mięśniami i mocno bijącym sercem. Potem znów ruszał w dół, zsuwając się powoli, niczym niezgrabna małpa na pniu palmy. Zaciskał zęby, wnętrza dłoni paliły ogniem, mięśnie coraz bardziej protestowały. Nie miał już nawet ochoty kląć.

W dół, ostrożnie wymacując kolejne spojenia. W dół.

W dole była mgła. Podświetlone blaskiem gazowych latarni kłęby miały połyskliwy, żółty kolor siarki. Finnen nieuchronnie schodził do miejsca, gdzie będzie musiał się w niej zanurzyć.

Już. Wilgotna białość oblepiła go, tłumiąc dźwięki. Poniżej wciąż widział światła latarni, żółte i rozmyte. Jak wysoko był? Wydawało mu się, że gdzieś przy pierwszym piętrze, ale nie miał pewności.

Wisiał, daremnie szukając w dole oparcia dla prawej stopy. Zamiast palców prawej dłoni czuł jedno wielkie ognisko bólu, lewe kolano podrygiwało, jakby wybijając bardzo szybki rytm. Wiedział, że powinien natychmiast zmienić pozycję, trzeba iść w dół, bo tam, w pożółkłej bieli, na pewno jest coś, na czym będzie mógł stanąć.

Nie ruszył się z miejsca. Oblizął wargi, nagle bardzo suche.

— Kaira? — wychrypiał.

Po chwili nieznośnej ciszy z dołu dobiegł głos:

— Jestem.

— Nie mogę... Nie widzę...

— Spokojnie, idę do ciebie.

Sylwetka wynurzyła się z mgły tuż pod stopami Finnena, silna dłoń chwyciła go za kostkę i pociągnęła.

— Tutaj.

Wyczuł bezpieczne skrzyżowanie rur i stanął na nim z ulgą. Nareszcie mógł wyprostować kurczowo zgięte palce. Oddychał głęboko, ciesząc się przepływającymi przez mięśnie falami ulgi. Przepocona koszula zeszytniała na zimnie i Finnen czuł się trochę tak, jakby na gołe ciało założył pancerz z lodowatej blachy.

— Wszystko w porządku? — Kaira podciągnęła się wyżej, tak że jej głowa znajdowała się teraz na wysokości kolan Finnena.

— Nie wiem, czy dam radę zejść.

— Stąd już możemy skoczyć.

— Jesteś pewna?

— Jestem. Ja ci zaufałam, pamiętasz? To teraz ty zaufaj mnie. Skoczysz?

Nie widział jej twarzy, ale wiedział, że dziewczyna uśmiecha się szeroko, a jej oczy błyszczą radością. I coś z tej energii udzieliło się Finnenowi, który odetchnął, a potem, zanim

zdążył się zastanowić, a tym bardziej wystraszyć, zgiął kolana i skoczył.

Daniel Pantalekis był chory. Kaszlał i miał dreszcze, a przy okazji chyba też gorączkę, bo na przemian było mu to zimno, to znów gorąco. Do tego przyplątały się kłopoty żołądkowe. Zupełnie jak w tym kretyńskim dowcipie, myślał, kuląc się pod kocem, który niedawno jeszcze wyglądał jak nowy, a teraz zalatywał piwniczną wilgocią. Co wleci jedną stroną, zaraz wylatuje drugą.

Wszystko przez to obrzydliwe żarcie, pomyślał, gdy w jego żołądku coś zabulgotało i zakrakało. Odczekał chwilę, krzywiąc się, podczas gdy lepki pot pokrył mu czoło, kark i plecy. Tym razem był to fałszywy alarm, ale Daniel nie łudził się. Wkrótce znowu będzie musiał wstać.

Żałował, że nigdy nie zapytał Sarimel, co zrobiła z jego apteczką. Jeszcze bardziej żałował, że nie jest u siebie w domu, gdzie wyleczyłby tę niedyspozycję, po prostu leżąc kilka dni w łóżku i jedząc chudy rosół.

Jeszcze niedawno tylko się bał, teraz zaczynał wpadać w panikę. Choroba uświadomiła mu z całą wyrazistością jedno – nie był nietykalny. Nadal miał szczęście, widać to było choćby po tym, że bezbłędnie unikał szerzących się w mieście pożarów, ale nie był nietykalny.

Mógł tu umrzeć.

Nagle poczuł złość na samego siebie. Trząsł się pod kocem, spocony i śmierzący, zamiast próbować coś zrobić.

Wstał. Nogi miał jak z waty, mokra koszula kleiła się do pleców, a mimo to czuł się odrobinę lepiej.

Podszedł do okna i otworzył je szeroko; światło wtargnęło do cichego, mrocznego pokoju i jednocześnie zakłuło Daniela pod powiekami. Zamrugał. Za jego plecami w promieniach słońca leniwie poruszały się drobinki kurzu, blask padał na obite materiałem ściany, których pierwotnego koloru nie sposób było już rozpoznać.

Z zaciśniętymi zębami Pantalekis przeczekał skurcz żołądka, a potem odetchnął. Z jednej kieszeni wyjął znaleziony przy brodaczu kartonik, z drugiej ośmiokątną złotą monetę z okrągłym otworem pośrodku. Już dawno przestał zbierać pieniądze, wokół było mnóstwo znacznie cenniejszych rzeczy, ale jedną monetę zachował, rozsądnie uznając, że gdy wróci na Nowe Ziemie, naukowcy z pewnością zechcą zobaczyć tutejszą walutę.

Jeśli wróci.

Na prostokątnym kartoniku wciąż trwała zabawa, dzieci dokazywały, para tańczyła, a grupka młodych mężczyzn rozmawiała i piła przy barierce.

Daniel Pantalekis znów poczuł szarpnięcie tęsknoty tak silne, że musiał zagryźć wargi, aby nie jęknąć. Czemu, kurwa, to wszystko przytrafiło się właśnie jemu?

Dobra, pora przestać się mazać i coś z tym zrobić.

Położył kartonik na parapecie i rozwarł drugą dłoń, w której wnętrzu spoczywała złota moneta. Daniel oglądał ją już tyle razy, że świetnie wiedział, co jest po jednej i po drugiej stronie.

Ptak podobny do jaskółki na awersie, a na rewersie brodaty mężczyzna w średnim wieku, noszący coś w rodzaju wypukłych okularów do nurkowania.

W porządku, więc awers na „tak”, a rewers na „nie”.

— E... czymkolwiek jesteś, siło sprawcza w tym świecie... — zaczął Pantalekis na głos, czując się jak kompletny kretyn. Ostatni raz przeżywał coś podobnego w szkole, gdy przyszła jego kolej na czytanie podczas mszy. — Eee... opiekowałaś się mną przez tyle dni i pomagałaś... Albo pomagałaś, przepraszam cię, Boże, jeśli to jesteś ty, nie chciałem się do ciebie zwracać w formie żeńskiej... I ten tego... No więc opiekowałaś... opiekowałaś się mną i dlatego chcę ci zadać pytanie...

Zamilkł z nadzieją, że gdy odetchnie, poczuje się lepiej. Nic z tego. Nadal miał wrażenie, że robi z siebie idiotę. A przy tym, co dziwne, był też nieelicho wystraszony. Nie kościół, przemknęła mu przez głowę przelotna myśl. Satanistyczna ceremonia. Tak muszą się czuć dzieciaki wzywające diabła. Niby wiadomo, że to wszystko hucpa, ale mimo wszystko ciarki chodzą po plecach.

Zachichotał nerwowo.

— Czy... e... czy powinienem pójść do świata, który jest na tym obrazku? Proszę, odpowiedz. Awers na „tak”, rewers na „nie”.

Rzucił monetą. Mało brakowało, a spadłaby za okno, lecz Daniel w ostatniej chwili wyciągnął rękę i szorując dłonią po parapecie, zgarnął ją do środka. Złoty krążek upadł na podłogę pokoju, a Daniel schylił się, by mu się przyjrzeć.

Ptak podobny do jaskółki. Czyli awers. Czyli tak.

Nie liczy się, pomyślał. Popchnąłem ją ręką.

Rzucił jeszcze raz i znowu wyszło „tak”. Za trzecim i czwartym też.

Za jedenastym Daniel poczuł się tak, jakby w niebie rozwarło się wielkie oko i wycelował

w niego Boski palec. Dwunasty raz, trzynasty.

Tak. Tak. Tak.

— Jestem za gruby. — Finnen z niesmakiem spojrział w lustro. — Ty wyglądasz nieźle, ale ja zdecydowanie jestem za gruby.

— Przesadzasz. — Kaira pospiesznie dokonywała poprawek przy spódnicy. Materiał był już wygnieciony i brudny, a teraz przydałoby się go jeszcze tu i ówdzie rozedrzeć. Sięgnęła po nożyczki i zrobiła parę dziur, które powiększyła, wyskubując nitki, by zniszczenia wyglądały bardziej naturalnie. — Może być?

— Ujdzie. — Finnen skrzywił się, poprawiając zbyt szeroką i wytartą na łokciach kurtkę, którą znalazł w szafie. Spodnie miał sztywne od błota, a w lewym bucie kłapała podeszwa. — Mam nadzieję, że nikt nie będzie się nam dokładnie przyglądał.

— Kiedy pilnowałeś domu tamtej kobiety, nie myślałeś o żadnym przebraniu.

— Bo w tamtym świecie prawie nie było żywych, którzy mogliby zrobić mi krzywdę — burknął, po czym sięgnął po nóż o wąskim ostrzu, nic lepszego bowiem nie mieli. Nie bardzo umiał się nim posługiwać, pomyślał jednak z ponurym humorem, że w razie zagrożenia zawsze może przekazać broń Kairze.

Rzucił ostatnie spojrzenie w lustro. Ujdzie, powtórzył w myślach, starając się wzbudzić w sobie entuzjazm.

Od pół godziny wcierali sadzę oraz rozmiękłą ziemię w najstarsze, najbardziej sfatygowane ubrania, jakie udało im się znaleźć. Efekt był mizerny – Kaira przypominała ofiarę błotnej lawiny, a strój Finnena sprawiał wrażenie scenicznego kostiumu nędzarza. Na pierwszy rzut oka może i wyglądali jak ludzie z przeszłości, ale na drugi już nie. Poza tym tak naprawdę oboje byli zbyt dobrze zbudowani, by można ich wziąć za kogoś, kto od dawna głoduje. Gdyby Finnen miał więcej czasu, mógłby dopracować ich przebrania, ale Kaira nie chciała czekać.

Odruchowo potarł tył głowy. Guza oczywiście już nie było, ale chłopak wciąż pamiętał ból po uderzeniu kamieniem, a potem wściekle, pełne agresji kopniaki.

— Człowiek uczy się na błędach — wymamrotał pod nosem, po czym spojrział na Kairę, która stała przy drzwiach, kręcąc się niecierpliwie.

Na jej twarzy nie było śladu lęku. Co prawda dziewczyna ustąpiła i zgodziła się przebrać, ale Finnen wiedział, że Kaira nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Nie myślała o nim, nie rozważała go nawet w kategoriach abstrakcyjnych i gdyby to od niej zależało, zesłaby w

przeszłość natychmiast w tym, co akurat miała na sobie, choćby to był najlepszy i najcieplejszy płaszcz.

I, co dziwniejsze, Finnen był gotów uwierzyć, że mogłoby jej się udać.

Kaira niemal weszła na trupa, który stał przed windą czasową.

Gdy cofnęła się gwałtownie, idący z tyłu Finnen wpadł na nią, przeprosił odruchowo, a potem równie odruchowo zerknął ponad jej ramieniem.

Trup stał, podtrzymywany pazurami wyprostowanego, mechanicznego lwa. Chłopak dopiero po chwili zorientował się, że to ciało młodej dziewczyny. Z jej sukni zostały spłowiałe strzępy, policzki zapadły się, twarz wyschła i poczerniała. Ściągnięte wargi odsłaniały zęby, które sprawiały wrażenie zbyt dużych i zbyt żółtych. Kępka rzadkich włosów przesłaniała lewe oko; prawe było szeroko otwarte i zmętniałe.

— Przejdź bokiem. — Finnen zręcznie wyminął Kairę, po czym chwycił ją za łokieć. — I uważaj, bo cała ta konstrukcja w każdej chwili może się zawalić.

Dziewczyna bez słowa wyrwała się i podeszła bliżej. Ostrożnie dotknęła policzka zmarłej, a wtedy zwłoki wraz z podtrzymującym je zardzewiałym mechanizmem zachybotały się niebezpiecznie. Finnen zamknął oczy, policzył do pięciu i otworzył. Trup nadal stał, a na twarzy Kairy malowała się ponura zaciętość.

— Nikt nie powinien w ten sposób umierać. Nikt.

— Wiem. Chodźmy... — Raz jeszcze chwycił dziewczynę za łokieć i pociągnął w stronę wyjścia. Poszła za nim niechętnie.

Kaira milczała przez całą drogę. Patrząc na jej wyprostowaną sylwetkę i równy, pewny krok, Finnen myślał ponuro, że nici z ich przebrania. Tutaj, w umierającym świecie, ludzie przemykali w cieniu, skradali się albo wlekli ostatkiem sił, ale nikt nie chodził tak po prostu środkiem schodów, z wysoko uniesioną głową i ustami zaciśniętymi w wyrazie determinacji.

Chłopak był niemal pewien, że ktoś ich obserwuje – nie widział nikogo, ale wyczuwał obecność ludzi w zrujnowanych domach, za brudnymi resztkami szyb i w bramach, z których wiało wilgotną pleśnią. Czasem kątem oka łowił jakiś ruch, zarys sylwetki w półmroku, cień rozmazany czerwonym, popołudniowym słońcem. Coś, co mogło być zawieszoną w oknie szmatką, ale również odbiciem bardzo bladej i bardzo chudej twarzy. Świeży śnieg poskrzypywał pod czyimiś ostrożnymi krokami, gdzieś pękła warstwa lodu w kałuży. Szepty docierały do uszu Finna, miękkie i szeleszczące, jakby w głębi budynków, które mijali, ktoś przesypywał suche liście. Byli tam – chłopak o tym wiedział. Czekali w ciemności pośród zimnych murów. I patrzyli.

Przyspieszył kroku, chcąc zrównać się z Kairą. Przez cały czas spodziewał się, że zaraz ktoś zastąpi im drogę, splunie, uderzy pięścią albo kamieniem.

Nic takiego się nie stało.

Na terenie uniwersytetu Finnen bez trudu rozpoznał łaźnie; był to najniższy, najbrzydszy budynek, cały opleciony rurami, które tworzyły kontury ryb, krabów i koników morskich. Weszli do środka i Finnen natychmiast poczuł się, jakby zanurkował pod wodę. Otoczyła go ciemność, cisza naciskała na uszy. Żadnego szumu wiatru, żadnych szeleszczących szeptów i skrzypienia śniegu pod butami. Nic, zero, cisza absolutna jak na dnie jeziora.

Zamrugał i po chwili jego wzrok przyzwyczał się do mroku. Nie było tu zresztą aż tak ciemno, jak się wydawało w pierwszej chwili, bo wprawione w sufit szyby, choć niesamowicie brudne, przepuszczały jednak odrobinę światła. Koniec wysokiego korytarza ginął gdzieś w czerni, po prawej rozsunięte drzwi ukazywały wnętrze szatni. Finnen zgadywał, że to szatnia, bo widział zarysy czegoś, co uznał za szafkę oraz stojące przy niej ławki. Cuchnęło stamtąd potem wżartym w drewno, zapach był tak silny, że przebijał nawet przez woń kurzu i pleśni.

Idąc korytarzem, mijali kolejne zakratowane drzwi, a Finnen z ciekawości zaglądał do środka. Rozpoznawał kształty basenów, ale nic więcej. Woń potu zniknęła, teraz w powietrzu

wyczuwało się już tylko kurz, pleśń, a także ledwo uchwytny zapach wilgotnych murów i rdzewiejących rur. Błoto chlupotało pod ich nogami i czasem – tylko czasem – przez okna w suficie wpadało tyle światła, że mogli zobaczyć odrapane napisy nad kolejnymi salami.

„Kąpiele gorące”. „Łaźnia parowa”. „Sala masażu”.

Finnen zorientował się, że korytarz zakręca, obiegając cały budynek, i wkrótce znajdą się w punkcie wyjścia.

— Poczekajmy tutaj. — Wskazał pierwszą z brzegu salę. — Miejsce równie dobre jak inne, a wolę usiąść, niż łaźnię w kółko.

Ledwo uchylonych drzwi nie sposób było otworzyć szerzej, więc musieli wcisnąć się do środka. Kairze poszło to sprawnie, Finnen kłął i sapał. Krata zostawiła na jego policzku rdzawą smugę, którą wytarł ze wstrętem.

Snop czerwonego światła padał na krawędź basenu, podkreślając częściowo skruszony kamień i kupkę ludzkich odchodów. Finnen splunął na podłogę. Dopiero teraz poczuł się naprawdę brudny.

Żadne z nich nie miało ochoty usiąść, stali więc, Kaira gapiąc się w mrok, a Finnen patrząc na Kairę.

— Wciąż myślisz o tamtej martwej dziewczynie?

Skinęła głową.

Chłopak bardzo chciał powiedzieć coś pocieszającego, mądrego i zarazem dowcipnego, ale nie miał żadnego pomysłu.

— Nic na to nie możesz poradzić — wymruczał tylko, bo cisza za bardzo mu ciążyła.

Spojrzała na niego, jej wargi uniosły się, odsłaniając zęby w grymasie złości.

— Mylisz się. Właśnie przez takich jak ty ten świat jest tak popieprzony.

Odwrócił się, zaciskając usta. Cisza stała się jeszcze cięższa, ciemność bardziej gęsta i duszna.

Po chwili milczenia Kaira lekko dotknęła jego ramienia.

— Przepraszam, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

— Nie ma sprawy.

— Jak myślisz, kim byli mężczyźni w mieszkaniu Niyariego? Straż miejska?

— Wątpię. Nie poradziłabyś sobie z dwójką strażników, i to w dodatku tylko za pomocą noża. Nie zrozum mnie źle: poszło ci naprawdę świetnie i jestem pełen podziwu, ja w życiu bym

tak nie potrafił, ale dobrze wyszkoleni ludzie nie daliby się tak zaskoczyć. Bez urazy.

— Wiem. — W półmroku Kaira uśmiechnęła się szeroko. — I nie żywię urazy.

Finnen chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował. Wróciło uczucie, że jest obserwowany, teraz wielokrotnie silniejsze. Kark przewiercało mu czyjeś badawcze spojrzenie, po plecach przebiegły ciarki.

Gdy odwrócił się gwałtownie, w drzwiach mignęła jakby ludzka sylwetka, a chwilę później do uszu Finna dotarł tupot oddalających się kroków.

— Ktoś przyszedł nas sobie pooglądać...

— Hm? — Kaira spojrzała na niego, wyrwana z zamyślenia.

— Mielіśmy przyjść z Niyarim, więc teraz pewnie zastanawiają się, kim do cholery jesteśmy i skąd znamy to miejsce. Jeśli uznają, że można nam zaufać, to przyjdą.

— A jeśli nie?

Wzruszył ramionami, bo odpowiedź była oczywista.

Kaira stała nieruchomo z rękoma w kieszeniach. Wyglądała, jakby mogła tak stać jeszcze długo, gapiąc się w ciemność i myśląc nie wiadomo o czym. Na sam jej widok Finnen poczuł, że ma wielką ochotę usiąść. Bolały go nogi, było mu zimno, a przede wszystkim zaczynał się niecierpliwić.

W półmroku i ciszy minuty wlokły się, jakby do każdej przywiązano kamień. Finnen chodził tam i z powrotem, kopiąc cembrowinę basenu. Od czasu do czasu popatrywał na Kairę, ale wyglądało na to, że jego towarzyszką nie ma ochoty na rozmowę. W porządku, nie to nie. Nie zamierzał jej przeszkadzać.

Wreszcie na korytarzu rozległ się odgłos kroków i dziewczyna skoczyła do drzwi tak szybko, że Finnen nie miał szans zareagować. Jej wysoka sylwetka zasłoniła człowieka, który przyszedł, a chłopak usłyszał tylko, że ktoś wypowiada jej imię, a w głosie tym brzmi radość i zdziwienie.

Kaira krzyknęła „Gurleen!”, również z radością i jeszcze większym zdumieniem, po czym padła przybyszowi w ramiona.

Esh Gurleen poprowadził ich podziemnymi przejściami do budynku uniwersytetu, do sali Wydziału Geologii. Tam zapalił kilka świec i postawił je na jednej z ławek. W blasku chybottliwych, żółtawych płomieni Finnen zobaczył wiszące na ścianach mapy i tablice.

Z grubych murów wiało chłodem i chłopak spróbował wyobrazić sobie ludzi, wypełniających salę gwarem rozmów oraz śmiechem. Prawie ich zobaczył – młodych, zdolnych, żądnych wiedzy i jednocześnie chętnych do płatania niewinnych żartów. A potem uświadomił sobie, że ta wizja już od dawna nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, bo kolejne Skoki mocno przetrzebiły liczbę studentów.

— Częstujcie się. — Gurleen wyjął spod ławki dwa poobijane kubki i butelkę wina. — Co jak co, ale wino mamy tu świetne. Zabutelkowane ledwo przed tygodniem, a już smakuje tak, jakby miało z piętnaście lat. Dziwię się, że nikt inny nie wpadł na to, że wino może dojrzewać w przeszłości. Zdaje się, że na najprostsze rozwiązania najtrudniej wpaść. Sery też mamy niezłe, może znajdę kawałek... Nie, obawiam się, że nic nie zostało. Ale mamy suszone mięso... Chcecie?

Wyjął paski mięsa zawinięte w natłuszczony papier. Kaira wzięła kawałek i zaczęła przeżuwać, Finnen odmówił. Patrzył z ciekawością na Gurleena, zastanawiając się, ile mężczyzna może mieć lat. Dawny nauczyciel Kairy poruszał się z energią młodzieńca, ale włosy miał białe jak mleko, a jego inteligentną twarz znaczyła sieć zmarszczek, głębszych w kącikach ust i oczu, jakby Esh Gurleen często się uśmiechał. Teraz jednak był poważny.

— Pewnie macie sporo pytań, co?

Kaira gorliwie skinęła głową. Przez ostatnich kilkanaście minut odmłodziła o dziesięć lat i teraz wyglądała jak dziewczynka, z podziwem i miłością patrząca w twarz ukochanego mentora.

— W porządku, zaraz odpowiem na wszystkie. Jak możecie się domyślać, jest nas tutaj więcej, ale tę pierwszą rozmowę wolałam odbyć z wami na osobności. Resztę moich przyjaciół poznacie później. Ale najpierw chciałbym wiedzieć, co z Niyarim? Dlaczego nie przyszedł z wami?

To Kaira opowiedziała o tym, co się stało, z wahaniem i jękając się. Nie patrzyła już Gurleenowi w twarz, tylko uciekała wzrokiem w bok, a Finnen ze zdziwieniem uświadomił

sobie, że dziewczyna czuje się winna.

— Przepraszam — zakończyła, kładąc ręce na ławce i splatając palce. — Przepraszam. Nawet go nie znałam, nie wiedziałam, jak wygląda, próbowałam go szukać na zdjęciach, ale... — Nagle uniosła głowę, jej oczy rozbłyły. — On był okaleczony, prawda? Na zdjęciach był jeden młody, okaleczony mężczyzna z szyną na prawej nodze. Mógł się poruszać, ale nie mógłby wyjść przez okno! Dlatego właśnie został, mam rację? My mogliśmy uciec, ale on znalazł się w pułapce...

Gurleen zamknął jej dłonie w krzepiącym uścisku.

— To nie była twoja wina.

— Wiem. — Potrząsnęła głową, po czym spojrzała na Finnena, który przypomniał sobie Kairę śmiejącą się podczas schodzenia po pajęczej konstrukcji i wreszcie zrozumiał.

Nachylił się do jej ucha, pocałował lekko i szepnął:

— W porządku, ja wtedy też nieźle się bawiłem.

— Jesteś dobrą dziewczyną — odezwał się Gurleen, puszczając jej dłonie. — Wiem o tym.

— Nie, nie jestem. Ja...

— Nie kłóć się ze starym człowiekiem. — Uśmiechnął się, ale ten uśmiech nie sięgał oczu. — Znam cię lepiej, niż ty znasz samą siebie.

— Mogłam się zmienić przez te wszystkie lata.

— Mogłaś, ale się nie zmieniłaś. Już od pewnego czasu wiedziałem o tobie.

— Skąd?

— Mam swoich ludzi na różnych szczeblach władzy i mam też różne... sposoby.

— Wynalazki wzmacniające zdolności telepatyczne?

— Między innymi. Wiem, że ten pomysł może ci się nie podobać, ale to najpewniejsza metoda, by sprawdzić, czy można komuś ufać.

— Mnie też tak przetestowaliście? — zapytał Finnen.

— Nie. — Gurleen wyszczerzył zęby i tym razem uśmiech objął także oczy. —

Przyszedłeś w towarzystwie Kairy, a to uznałem za wystarczającą rekomendację. Przy okazji przepraszam za wybór miejsca spotkania. Łącznie są paskudne, ale jest tam sporo podziemnych korytarzy, dzięki którym w razie czego można zwać.

— Strasznie ostrożni jesteście. — Kaira pokręciła głową. — Chociaż biorąc pod uwagę,

co się stało z Niyarim...

— Właśnie — wpadł jej w słowo Finnen. — Kto go zabrał?

— Podejrzewam, że czyjaś prywatna straż. Sporo obywateli Lunapolis zatrudnia prywatne straże, które wykorzystuje nie tylko dla ochrony przed art-mordercami.

— I co oni z nim robią? Zabiją go?

— Możliwe, chociaż możliwe też, że po prostu wymażą mu pamięć i wszystkie talenty tak, by przy następnym Skoku został z tyłu.

— To się już zdarzało? — Finnen pociągnął łyk wina. Było naprawdę dobre.

— Tak. — Gurleen pochylił się, pokazując tył czaszki, gdzie pomiędzy krótkimi, białymi włosami widniały okrągłe blizny. — Mnie też próbowano to zrobić, ale udało mi się uciec.

— I wciąż pan nie wie, co to są za ludzie?

— Mam pewne podejrzenia, ale zbyt niejasne, żeby mówić o nich głośno. Na razie ukrywamy się tutaj, w przeszłości. To doskonałe miejsce, bo mało komu przyjdzie do głowy, że ktoś mógłby dobrowolnie tu zamieszkać. Oczywiście są pewne minusy — osobiście nie pamiętam już, kiedy ostatni raz brałem porządną kąpiel w czystej, ciepłej wodzie ani kiedy nosiłem coś, co nie wyglądałoby jak brudna wycieraczka. No i jedzenie... to bolesny temat, więc może go pominiemy. Jeszcze mięsa?

— Nie, dziękuję. — Kaira pospiesznie sięgnęła po kubek z winem, demonstrując, że jako gość czuje się w pełni usatysfakcjonowana. Od przeżuwania poprzedniego kawałka wciąż bolała ją szczeka.

— A wszyscy ci, którzy zostali z tyłu? — zagadnął Finnen. — Mam uwierzyć, że tak bez problemu was zaakceptowali?

Uśmiech zniknął z twarzy Gurleena. Mężczyzna wyglądał teraz na starego i znużonego.

— Nie bez problemów, ale w końcu zaakceptowali. Bystry jesteś, młodzieńcze: oczywiście, że to jest podstawowy kłopot. Kąpiel, ubrania, jedzenie, wszystko to bzdury, o których opowiadam tylko po to, żeby nie mówić o ludziach. A prawda jest taka, że żyjemy wśród umierających, że patrzymy na ich śmierć i cierpienie, i niewiele możemy dla nich zrobić. Nie patrz na mnie z takim wyrzutem, Kairo, bo łamiesz mi serce. Ja sam najchętniej przywłóklbym tu tonę świeżej żywności i dobrych leków, a potem rozdał to wszystko. Lecz jeśli to zrobimy, prędzej czy później zostaniemy odkryci, a wtedy nikt już tym biedakom nie pomoże. Rozumiesz mnie, Kairo? Musimy poświęcić tych ludzi, żeby ocalić następnych. To nie znaczy oczywiście,

że absolutnie nic nie robimy – czasem przemycamy dla nich trochę lekarstw, a czasem podsuwamy sposoby, jak poradzić sobie z takim czy innym niebezpieczeństwem. Tutejsi w razie potrzeby potrafią być sprytni i brutalni, potrafią też działać razem i mają w zanadrzu parę niespodzianek, które mogą zaskoczyć poszukiwaczy mocnych wrażeń...

— Zaraz. — Finnen uniósł dłoń. — Co pan miał na myśli, mówiąc o ocaleniu następnych?

— Właśnie. — Oczy Kairy błyszczały gorączkowo. — To znaczy, że istnieje jakiś sposób, żeby uratować wszystkich tych ludzi? Jakiś wynalazek, tak? Wiedziałam, że coś takiego musi istnieć!

— Moment. — Gurleen zaklął i schylił się pod biurko po kolejną butelkę wina. Korek wyjął zębami. — Spokojnie, nie ekscytujcie się tak. Zaraz wszystko wam powiem. Niech to Skok... — Wylał rozlane wino rękawem. — Chyba powinienem przyhamować z piciem, bo ręce zaczynają mi się trząść. Ale w końcu jakieś przyjemności człowiek musi mieć, nie sądzicie?

Pociągnął długi łyk prosto z butelki, po czym odchylił się do tyłu. Spojrzał na Kairę.

— Kiedy twój ojciec uznał, że moje usługi nie będą mu już potrzebne i wyrzucił mnie z domu, można powiedzieć, że przeżyłem coś w rodzaju załamania nerwowego. Wpadłem w złe towarzystwo i nie mam na myśli narkomanów ani pijaków, bo takich, zdaje się, uważa się dzisiaj za towarzystwo bardzo dobre. Myślę o dziwakach, wyrzutkach społecznych, którzy nie mają ani dobrych genów, ani porządnego wykształcenia, ale za to zastanawiają się nad sprawami, którymi większość ludzi nie zaprzęta sobie głowy. No więc i ja zacząłem się zastanawiać... Na przykład wynalazki, które Przedksiężycowi akceptują. Zauważyliście, że one dzielą się na dwie kategorie: wynalazki bardzo proste, takie jak krosna, albo wręcz przeciwnie, bardzo skomplikowane, jak mechanoidy albo ptaki przenoszące wiadomości. Nie ciekawiło was nigdy, dlaczego Przedksiężycowi nie pozwalają nam używać niczego pośredniego? Na przykład pojazdów kołowych? Pierwsze takie konstrukcje istniały i myślę, że sprawdziłyby się lepiej niż mechanoidy. Albo broń palna. Czemu Przedksiężycowi ją odrzucili? Ma to dla was sens?

— Dla mnie nie ma — przyznał Finnen. — A do jakich wniosków pan doszedł?

— W tej kwestii do żadnych, szczerze mówiąc. — Gurleen wyszczerzył zęby. — Nadal nie ma to dla mnie najmniejszego sensu. Za to po latach odkryłem coś znacznie ciekawszego.

— Co takiego? — Kaira kręciła się niespokojnie na krześle.

— Otóż, moi drodzy, Przebudzenie, w które wszyscy wierzymy i na które czekamy,

Przebudzenie, z którego powodu nie protestujemy, gdy Skok zabiera naszych bliskich i przyjaciół, to Przebudzenie to jedno wielkie oszustwo. Nigdy czegoś takiego nie będzie. Nawet ci z nas, którzy mają najlepiej dobrane geny, w końcu zostaną z tyłu i zdechną w przeszłości.

Kaira patrzyła znad kubka z winem. W jej oczach widać było oszołomienie, twarz wydłużyła się w wyrazie bolesnego rozczarowania. Finnen wiedział, że dziewczyna myśli w tej chwili dokładnie to samo co on („Ten facet to wariat”), i zrobiło mu się przykro, bo tak bardzo w Gurleena wierzyła.

— Myślicie, że postradałem zmysły, co? — Mężczyzna uprzedził ich słowa. — Ale to prawda i mogę to udowodnić. Nie wiem, dlaczego tak jest, nie pytajcie mnie, ale jeśli teraz wyjdziecie na zewnątrz i zobaczycie kogoś umierającego, to wiedźcie, że ten ktoś umiera zupełnie bez sensu. I że sami też tak skończycie. Przepraszam, dziecko, wiem, że to boli, ale zawsze byłem zdania, że najgorsza prawda jest lepsza od kłamstwa.

Kaira wciąż milczała, zaciskając palce na kubku tak mocno, jakby lada moment miała go zgnieść.

— To prawda — szepnęła dopiero po chwili. — Znam go, on często mówi trochę tak, jakby żartował, ale ja umiem odróżnić, kiedy to naprawdę żart, a kiedy nie. Teraz mówi prawdę. A przynajmniej — dodała w nagłym przypiływie rozsądku — on jest przekonany, że to prawda.

Esh Gurleen roześmiał się z uznaniem.

— No dobrze. — Finnen postanowił dać staremu szansę. — Powiedzmy, że ma pan rację. To w takim razie co możemy zrobić? Gdzie ten wynalazek, który nas wszystkich ocali?

— Nigdy nie mówiłem, że to wynalazek, to był wasz pomysł. Kairo, pamiętasz, czego cię kiedyś uczyłem? Że nie należy się ograniczać do leczenia objawów, ale wykorzenieć z organizmu chorobę? Pamiętasz?

Skinęła głową, patrząc na niego jak zahipnotyzowana.

— No więc pomaganie poszczególnym jednostkom byłoby takim właśnie leczeniem objawów. Ale ja mam pomysł, jak zlikwidować samo źródło zła, jakim są Skoki.

Teraz już oboje gapili się na niego jak para dzieciaków oglądających występy magika.

— Wyobraźcie sobie, że cały nasz świat to drabina, dobrze? Często się go tak przedstawia. Najwyższy szczebelek to teraźniejszość, porządny, czysty świat, w którym wszyscy chcemy jak najdłużej zostać. A niższe szczebelki to kolejne światy odrzucone, zgadza się? No więc ja, moi drodzy, mam pomysł, jak tę drabinkę połamać. I biorąc pod uwagę, że już raz

próbowano mnie zabić, musi to być całkiem niezły pomysł.

Oświetleni wieczornym słońcem, wyglądali całkiem malowniczo. Miękkie, czerwone światło dodało ich zapadniętym policzkom romantyzmu, a brudne, postrzępione ubrania zyskały niepokojący urok. Finnen chętnie by ich teraz namalował, całą dziewiątkę, z kamieniami lub nożami w dłoniach. Tylko że to nie był obraz, lecz ponura rzeczywistość, tamci zaś czekali przed Archiwum, by pokazać Finnenowi oraz Kairze, gdzie jest ich miejsce.

Chwycił dziewczynę za łokieć.

— Musimy wrócić do Gurleena. Mówił, że dogaduje się z tutejszymi, więc niech coś zrobi. Albo poszukajmy tylnego wejścia, podobno jest tu takie...

Spojrzała na niego z twarzą rozjaśnioną, jakby ktoś zapalił świecę. Zasnęte błoto osypywało jej się z włosów, smuga brudu ciągnęła się od czoła aż do szczęki, a mimo to Kaira była w tej chwili bardzo piękna.

— Nie bój się. Przejdziemy pomiędzy nimi.

— Zwariowałaś? Oni czekają tu na nas. Przyjrzyj się, co mają w rękach. Te noże i kamienie to na nas. Już raz coś podobnego przerabiałem.

— Tym razem ja jestem z tobą.

— Zupełnie straciłaś rozum. Oni cię mogą nawet zabić, nie rozumiesz? Im już na niczym nie zależy, to pieprzone chodzące trupy, które przy życiu trzyma nienawiść. Nie możesz tam pójść.

— Mogę. Ja wszystko mogę.

Posłała mu szeroki, słodki i przerażający uśmiech, a potem poszła. Bez żadnego wahania, równym, spokojnym krokiem, z wysoko uniesioną głową.

Finnen patrzył za nią, niezdolny do żadnego ruchu. Powietrze wokół stało się gęste, a nogi nagle zrobiły się ciężkie, jak to czasem bywa w snach. Chciał biec za nią, złapać, zatrzymać i zawrócić, albo przynajmniej dać jej nóż, by mogła się bronić. Widział nawet samego siebie, jak biegnie, niemal poczuł pod palcami fakturę jej płaszcza.

I nie zrobił nic. Nawet nie krzyknął. Dopiero znacznie później pomyślał, że to był nie tylko strach, ale także zaskoczenie. Zdumiony, przerażony i zarazem pełen podziwu Finnen mógł tylko patrzeć. Więc patrzył.

Dziewczyna weszła pomiędzy obdartusów. Musiała do nich coś mówić, bo widział, jak jej

odpowiadali, nie słyszał jednak słów. Ktoś podszedł do niej bardzo blisko i zaraz się cofnął. Ktoś uniósł dłoń z kamieniem i zrezygnował w połowie ruchu. Grupka posępnych, gotowych ich zabić ludzi rozstępowała się przed Kairą jak brzegi krojonego chleba, a ona szła spacerowym krokiem, wcale się nie spiesząc.

Zatkało ich z zaskoczenia, przemknęło przez głowę chłopaka, lecz ta myśl była tylko pozostałością z dzieciństwa, z czasów spędzonych wśród sierot, gdy niepisane zasady nakazywały traktować wszystko z cynicznym dystansem. To, co sobie Finnen pomyślał, w niczym nie odzwierciedlało tego, co czuł, bo oczywiście było w tej scenie o wiele więcej. Jakieś szalone piękno i moc, którą czuł nawet tutaj.

Kaira dotarła już do bramy Archiwum i odwróciła się, by skinąć zachęcająco. Wciąż się śmiała, podczas gdy wiatr rozwiewał jej włosy, wyczesując z nich jednocześnie grudki zaschniętego błota. A Finnen nie miał innego wyjścia, jak tylko zakląć w duchu, dodając sobie odwagi, i ruszyć w jej stronę.

Muszę to zrobić teraz, póki wyglądam na w miarę zdrowego, pomyślał Daniel Pantalekis po raz kolejny. Jeśli rozchoruję się bardziej i to będzie widać, pewnie od razu mnie zabiją.

Odetchnął, wyprostował się. Najlepsze ubranie, jakie znalazł, wisiało na nim jak na wieszaku, ale przynajmniej było czyste i bez dziur. Poza tym umył, rozczesał i przyciął włosy, a brodę przystrzygł do kształtu, który od biedy dało się uznać za równy półokrąg. Co prawda nadal wyglądał jak prorok, ale pocieszał się myślą, że tym razem jest to chyba prorok porządny, z gatunku tych, którzy budzą szacunek i zaufanie.

Stał, kołysząc się na piętach, i gapił się na wnętrze okrągłej wnęki, którą przywykł nazywać wehikułem czasu. Poza tym powtarzał „kurwa mać”. Do tego zwyczajowego zaklęcia nie dodawał już pytania „Dlaczego ja?”. Za bardzo się bał, że Bóg mógłby odpowiedzieć.

Wiedział, że musi tam wejść. Pogodził się z tym, a teraz tylko próbował zyskać na czasie. Jeszcze parę sekund, żeby poprawić koszulę, jeszcze fałdy płaszcza nie leżą tak, jak powinny. I buty... Czy wyczyścił porządnie buty?

Wszystko robił powoli, czując się tak, jakby ktoś uwiązał mu do rąk ciężarki. Strach oklejał go miękką warstwą i tłumiał wszystkie myśli poza tym nieszczęsnym „kurwa mać”, w którym nie było nawet złości.

Wreszcie ruszył naprzód, świadom, że jeszcze chwila, a załamie się całkowicie. W ciasnej wnęce wyjął z kieszeni kartonik i spojrzał na niego. Spróbował wyobrazić sobie tę scenę w naturalnych, żywych kolorach. Skupił się na ciele tańczącej kobiety, na jędrnych piersiach ukrytych pod stanikiem sukni.

No dalej, popędzał oporny umysł, który najwyraźniej wolał trzymać się bezpiecznego przekleństwa. Wyobraź ją sobie. Zobaczysz, że będzie dobrze. Dalej.

Młode ciało, spocone w tańcu, krągłe biodra, długie i smukłe nogi z udami tak gładkimi, że w dotyku przypominają atlas.

Dalej, dalej.

Nogi i to, co pomiędzy nimi, płaski brzuch, piersi ze sterczącymi sutkami, zalotny uśmiech... Uśmiech?

Wreszcie zadziało i Daniel zniknął, wciąż mocno wystraszony, ale jednocześnie z nikłą nadzieją, że może... może naprawdę będzie dobrze.

Przed wejściem do Archiwum leżał strzaskany wiropojektor. Finnen spojrział na niego ze zdziwieniem i trącił nogą – posypały się śrubki i tryby. Chwilę potem z okna przeciwległego budynku wyleciał kolejny aparat, zatoczył malowniczy łuk, po czym roztrzaskał się na bruku.

— Co jest? — Chłopak rozejrzał się zdumiony.

Pośród ludzi na placu Aylena wyczuwało się poruszenie, rozmowy były głośniejsze, gesty bardziej nerwowe. Finnenowi z czymś się to kojarzyło, ale zanim zdążył pomyśleć, podmuch wiatru przygnał w jego stronę gazetę, którą przydepnął.

„Przedksięzycowi ogłaszają termin kolejnego Skoku”, przeczytał na pierwszej stronie. „Już za trzy tygodnie!”.

Nagle zrobiło się zimno, wieczorny chłód wstrząsnął całym jego ciałem i wpelzył w serce, by usadowić się tam na dobre. Obok Kaira wciągnęła powietrze przez zęby.

— Szybko... — mruknęła.

Na placu zapalały się latarnie gazowe, w ich świetle jakaś para tańczyła dziko, rozpuszczone włosy kobiety łopotały jak żałobna flaga. Ludzie zbijali się w grupki i dyskutowali gorączkowo, przekazując sobie z rąk do rąk gazety. Mężczyzna w rozchełstanej koszuli wskoczył na postument pomnika i zaczął wrzeszczeć, że to już teraz, że to będzie ostatni Skok i wszyscy prócz niego zostaną z tyłu, bo tylko on zasługuje na Przebudzenie. Inni mężczyźni, może przyjaciele, a może nieznajomi, ściągnęli go, nim skończył przemowę, po czym zanosząc się pijackim śmiechem, unieśli na wyciągniętych ramionach.

Długowłosey chłopak upił z butelki łyk wina, chwycił tańczącą kobietę i zakręcił nią, a potem pocałował w usta i odepchnął. W tej samej chwili z okna wypadł następny wiropojektor, który trafił ją w czoło. Upadła na kolana, krew zalała jej twarz i zaczęła ściekać na bluzkę. Długowłosey skwitował to wybuchem śmiechu, po czym machnął w stronę Finnena i Kairy butelką po winie.

— Hej, nie stójcie jak kołki! Nie słyszeliście? Skok za trzy tygodnie, trzeba użyć życia. Bawmy się, póki czas!

— A co mają do tego wiropojektory? — odkrzyknęła Kaira.

Rzucił butelkę, która rozbiła się obok resztek mechanizmu.

— To pomysł administratora Archiwum. Podobno Przedksięzycowi nigdy tak naprawdę

ich nie zaakceptowali i teraz każdy, kto tego używa, może zostać z tyłu. Ja tam nie wiem, ja nic takiego nie mam. Wy macie?

— Nie.

— To nie ma się co martwić. — Pogwizdując radośnie, zniknął w mroku. Plac powoli pustoszał, na bruku zostały resztki strzaskanych mechanizmów oraz plama krwi.

— Pójdziemy się upić albo potańczyć? — zaproponował Finnen. — Albo jedno i drugie, wszystko jedno w jakiej kolejności. Skoro to mają być nasze ostatnie chwile...

— Daj spokój, żadne z nas nie zostanie z tyłu. — Kaira chwyciła go za rękę. Ponad ramieniem chłopaka zobaczyła jasnowłosego, bardzo brzydkiego mężczyznę, który wyszedł z Archiwum, rozejrzał się ze zdziwieniem i jednocześnie nadzieją, po czym kulejąc, ruszył w stronę najbliższych schodów. — Pamiętasz, jak mi obiecałeś, że zrobiłbyś dla mnie wszystko?

— Pamiętam. — Dotyk jej dłoni napełniał go przyjemnym ciepłem, choć Finnen już wiedział, że usłyszy coś, czego wcale nie chciałby słyszeć. — A ty powiedziałaś, że pewnego dnia może to wykorzystasz. Mam rozumieć, że to jest właśnie ten dzień?

— Tak, właśnie tak. — Ścisnęła mocniej jego palce. — Nie spodoba ci się to.

— Wiem. Mów.

Powiedziała mu.

Interludium Prem Sakai

Zmrok.

W Kwartale Kandrisa jedna po drugiej zapalają się gazowe latarnie. Ich światło pada na puste schody, puste place, puste ławki na placach. W oknach odbija się blask różowawego Woźnicy, jedyne księżycy, który zdążył już wzejść.

Na placu, którego nazwa została zapomniana, tyka zegar – poza tym dźwiękiem w promieniu kilkudziesięciu kroków nie słyhać nic. W dzielnicy panuje martwa cisza.

Pod wieloma względami dosłownie martwa.

W opuszczonych mieszkaniach, na łóżkach, fotelach, a czasem i krzesłach, spoczywają zmarli. Przynosi się ich tu pod osłoną nocy, zawiniętych w bielone płótno, bez żadnej ceremonii, chyłkiem i wstydliwie. Tak właśnie w Lunapolis wygląda śmierć. Żywi nie chcą pamiętać o tych, którzy zginęli w wypadkach, zostali zabici bądź umarli na którąś z rzadkich chorób. Śmierć psuje nastrój radosnego oczekiwania na Przebudzenie i przypomina, że tak naprawdę tylko bardzo, bardzo nieliczni go doczekają.

Tak więc zmarli swą ostatnią drogę odbywają jedynie w towarzystwie zatrudnionych przez miasto mechanicznych. Mechaniczni niosą ich na ramionach, kładą w łóżkach lub sadzają na fotelach, mechaniczni wreszcie żegnają zmarłych ostatnimi słowami. Są idealni do tej pracy, bo nie przeszkadza im woń rozkładających się ciał ani nie straszą szkliste oczy wpatrzone w ciemność.

Potem przychodzi Skok i zabiera zwłoki wraz z całym brudem, warstwą błota i śmieci. I już. Po kłopotcie.

Poza mechanicznymi do dzielnicy zapuszczają się tylko najbardziej zdesperowani złodzieje kosztowności i czasami jeszcze pewien człowiek, Prem Sakai.

Tik, tak, słyhać ciche tykanie zegara na placu, którego nazwa została zapomniana. I słyhać coś jeszcze, odgłos kroków kogoś, kto krąży po dzielnicy zmarłych, zupełnie jakby spacerował po parku.

Sakai lubi śmierć. Nigdy nie rozmyśla, skąd wzięło się w nim to upodobanie, ale pamięta, że zawsze ją lubił. Chętnie na nią patrzy, z przyjemnością smakuje jej zapach na języku. Wchodzi do domów i siada przy stole wraz z umarłymi. Oni patrzą na niego w cuchnącej ciszy, on wyciąga z kieszeni butelkę, nalewa do kielicha wina i przepija do gospodarzy. Czasem z nimi

rozmawia, czasem też kładzie się obok kobiet, zimnych jak sople lodu, obejmuje je i dotyka.

Sakai urodził się jako art-morderca i wciąż jeszcze pamięta trzydzieści dwa sposoby efektownego uśmiercania ludzi. Żadnego z nich nie wykorzystuje. Po co miałby to robić, skoro w Kwartale Kandrisa jest tylu pięknych zmarłych?

SPECIAL_IMAGE-../Images/powergraph_sklep_rekla_fmt.jpeg-REPLACE_ME